НОВАЯ ПОЛЬША

WYDANIE SPECJALNE

1999-2004

NOWAJA POLSZA WYCHODZI JUŻ 5 LAT

NATALIA GORBANIEWSKA I JERZY POMIANOWSKI
O JERZYM GIEDROYCIU

JOSIF BRODSKI, ALEKSANDER LIPATOW
I SIERGIEJ ŁARIN O POLSCE

Władimir Britaniszski o Zbigniewie Herbercie

Wiktor Woroszylski: MOI MOSKALE

Andrzej Nowak O POKUSACH GEOPOLITYKI

Witalij Portnikow: POLSKI RAPTULARZ

ROZMOWY Z WISŁAWĄ SZYMBORSKĄ I ERWINEM AXEREM

WARSZAWA

ISSN 1508-5589

НОВАЯ ПОЛЬША

№ 1-55
1999 - 2004

ISSN 1508-5589

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-POLITYCZNY I LITERACKI

RAPORT 3

Jerzy Giedroyc 4
LIST DO REDAKCJI

Jerzy Pomianowski 6
CHLEB Z MEJSZAGOŁY

Josif Brodski 9
POLSKA

Siergiej Łarin 13
ZRZĄDZENIE LOSU

Opowiadają dawni dysydenci 16
POLSKI MIT

Andriej Jermonski 31
A CZYTALIŚCIE GOMBROWICZA?

Władimir Britaniszski 33
DLACZEGO HERBERT

Aleksander Lipatow 37
NIEZNANA POLSKA

PAMIĘTAJMY O NICH

Jerzy Pomianowski 41
IRINA ALEKSIEJEWNA IŁOWAJSKA

PAMIĘTAJMY O NICH

Natalia Woroszylska 42
POŻEGNANIE ZINY SZATAŁOWEJ

PAMIĘTAJMY O NICH

Andriej Bazilewski 43
PAMIĘCI WIKTORA RUTMIŃSKIEGO

Witalij Portnikow 44
DZIENNIK 2000-2002 (fragmenty)

Tatiana Woltskaja 54
NIEMOŻLIWE MOŻLIWE

Witalij Portnikow 55
INNE BIESY

POLEMIKI

Natalia Podolska 58
W OBRONIE PRAWDY

POLEMIKI

Andrzej Nowak 61
POKUSY GEOPOLITYKI

Wiktoria i René Śliwowscy 67
WŁADZA SOŁOWIECKA I POLACY

Jerzy Timoszewicz 71
WARSZAWSKI „DOMEK W KOŁOMNIE"

DLACZEGO STALIN 73
WYTĘPIŁ SWOICH GENERAŁÓW
Rozmowa z Pawłem Wieczorkiewiczem

Wiktor Kulerski 77
CO BYŁO W LEŚNICZÓWCE, CO W SZUWARACH...

Wiktor Woroszylski 79
MOI MOSKALE

NIETRUDNO BYĆ PROROKIEM 87
Z Wisławą Szymborską rozmawia Jan Strzałka

Jerzy Fedorowicz 90
CHULIGANI GRAJĄ SZEKSPIRA

STARALIŚMY SIĘ POSŁUGIWAĆ (również) ROZUMEM 93
Rozmowa z Erwinem Axerem

Janina Kumaniecka 99
POWRÓT KINA ROSYJSKIEGO

Jan Strękowski 102
POLSKI LĄD

Z LISTÓW DO REDAKCJI 108

ANKIETA „NOWOJ POLSZY" 113

Wiktor Kulerski 122
KRONIKA (niektórych) WYDARZEŃ BIEŻĄCYCH

Natalia Gorbaniewska 131
DWA WIERSZE NA ZGON JERZEGO GIEDROYCIA

NASI AUTORZY 132
NASI TŁUMACZE 136

Rada Programowa
Stefan Bratkowski
Henryk Woźniakowski
Natalia Gorbaniewska
Jerzy Kłoczowski
Karol Modzelewski
Janusz Tazbir
Stanisław Ciosek

Jerzy Pomianowski
(redaktor naczelny)

Kolegium redakcyjne
Stanisław Filipczak *(sekretarz redakcji)*
Natalia Gorbaniewska
Wiktor Kulerski
Janina Kumaniecka
Nikita Kuzniecow
Piotr Mitzner *(z-ca red. naczelnego)*
Krystyna Paszek *(sekretariat)*
Eliza Wolska *(sekretariat)*
Grzegorz Przebinda
Jerzy Redlich *(z-ca red. naczelnego)*
Leszek Szaruga
Dmitrij Szewionkow-Kismiełow *(grafika)*

Skład i łamanie
zespół

Adres redakcji
Al.Niepodległości, 213
02-086 Warszawa
tel: **(0-22) 608 27 95; 608 25 65**
fax: **(0-22) 608 25 05; 608 27 96**
e-mail: **nowpol@bn.org.pl**

Wydawca
BIBLIOTEKA NARODOWA
Na zlecenie Ministerstwa Kultury Rzeczpospolitej Polskiej

Tłumaczenie: Stanisław Filipczak, Jerzy Redlich, Eliza Wolska, Hanna Zajączkowska
Foto: Archiwum

RAPORT

Pięć lat temu, we wrześniu 1999 r., ukazał się pierwszy numer tego pisma. Przed czterema laty, we wrześniu roku 2000 zmarł Jerzy Giedroyc, redaktor paryskiej „Kultury". To z jego inspiracji „Nowaja Polsza" powstała. To na jego nalegania podjęliśmy się zadania, które wielu uznało za karkołomne. Podobnie jak on, byliśmy jednak zdania, że nie wolno dłużej ugorować terenu, na którym pojawiły się wreszcie warunki, niezbędne dla porozumienia Rosjan z Polakami. Porozumienia rzetelnego, niewymuszonego, nieskażonego przemocą z jednej, a fałszem z drugiej strony. Porozumienia niezbędnego dla całego kontynentu.

Byliśmy świadkami najbardziej fortunnej przemiany w dziejach naszej państwowości. Polska przestała być orzechem między dwoma kamieniami młyńskimi. Na jej ziemiach nie stały już obce wojska. Razem z zachodnim sąsiadem weszła do sojuszu, zapewniającego samopomoc, bezpieczeństwo i demokratyczne prawa – tak państwom członkowskim, jak i ich obywatelom.

Rosja z kolei pozbyła się fatalnego brzemienia imperium. Jej naród z wielkodusznym spokojem przyjął wyjście spod sowieckiego całunu wielu republik, pragnących niepodległego bytu i zdolnych do niego. Federacja Rosyjska pozostała przy tym największym krajem świata. Żaden wróg zewnętrzny nie zagrażał jej całości i nie wykorzystał kryzysu jej wojsk. Wzorem wszystkich mocarstw Zachodu, które wyrzekły się ekspansji i kolonii, mogła teraz przeznaczyć na reformę gospodarki i potrzeby społeczne to, co ZSSR wydawał na rozrost imperium i trzymanie go w posłuchu. Był to nie skarb, tylko garb, choć nie wszyscy do dziś to zrozumieli. Reformy z kolei wymagały kategorycznie inwestycji, które przynieść mógł tylko kapitał, przede wszystkim – zagraniczny. To zaś zależało od polepszenia stosunków Rosji i z Zachodem, i z krajami ościennymi jako terenem tranzytu i najłatwiejszego handlu.

U schyłku mijającego wieku te zmiany geopolityczne wydawały się same przez się decydować o pomyślnym rozwoju wypadków. Tymczasem zaś skuteczne i pozytywne wnioski z opisanej sytuacji można było wyciągnąć tylko dostrzegając jeszcze c z y n n i k l u d z k i, o którym dyplomaci i politolodzy rzadko myślą.

Trzeba było mieć na uwadze, że Rosjanie wreszcie stali się z poddanych wyborcami. Że pojawiła się w tym ogromnym kraju j a w n a opinia publiczna. Że zniknęła na długo natrętna cenzura i to w kraju powszechnego, namiętnego wręcz czytelnictwa.

Z drugiej strony – nie wolno było zapominać o skutkach izolacji i dezinformacji, która w ciągu trzech ćwierci wieku spaczyła i utrwaliła poglądy Rosjan na Zachód, jako na wroga, gotowego do napaści, a na sąsiadów z Obozu – jako na niewdzięcznych, buntowniczych utrzymanków. Dotyczyło to zwłaszcza Polski.

Ignorancja – i to obustronna – okazała się nie mniej poważnym czynnikiem, niweczącym pomyślne skutki geopolitycznych przemian, co częste tarcia między władzami obu państw, dość powoli uczącymi się wyciągać wnioski z końca sowieckiego feudalizmu. Tym ważniejsza więc staje się rozmowa bezpośrednia, tym pilniejsze szukanie z obu stron oczu i uszu, otwartych na racje sąsiada. Co prawda – PRL zalana była wydawnictwami TPPR, ale czytali je chyba tylko korektorzy. Obywatele ZSSR mieli do dyspozycji periodyk „Polsza", wydawany pomysłowo (mimo wysiłków cenzury), a czytany bardzo chętnie, acz nie przez tzw. decydentów. Traktowany był w Rosji raczej jako rodzaj lufcika, przez który widać było odblaski niedosiężnego Zachodu. Wyszło to na jaw natychmiast po tryumfie *głasnosti* na Wschodzie. Napływ gazet, telewizyjnych informacji, korespondentów, słowem – otwarcie okien na świat – wszystko to sprawiło, że lufcik stał się zbędny i „Polsza" zniknęła z rynku. Zniknęły w latach 90. polskie książki z księgarń, polskie pisma z kiosków – a tak niedawno Brodski kupował „Przekrój" Eilego, aby uczyć się języka Czesława Miłosza! Zniknęli polscy śpiewacy z estrad, została tylko pamięć po Annie German.

Gorzej, że z pola widzenia Rosjan zniknęła wtedy sama Polska, wraz z całą problematyką jej przemian. Wolno twierdzić, że zjawisko to bardziej szkodziło samej Rosji, niż Polsce. Znajomość nie tylko naszych sukcesów, ale i niepowodzeń, na pewno mogła się Rosjanom przydać.

Nie zniknęły za to uprzedzenia i pretensje. Ich źródłem była przez wieki nade wszystko krwawa rywalizacja o dominację nad narodami, mieszkającymi między Polską a Rosją, zwłaszcza nad Ukraińcami. Rosjanie ignorują fakt dla nas oczywisty: wyrzeczenie się przez Polskę wszelkich pretensji do dawnych Kresów. Choć zostały na nich klejnoty polskiej kultury i tradycji, koncepcja Giedroycia, Mieroszewskiego, Stempowskiego odniosła wśród nas zwycięstwo nie tylko moralne. Brak informacji dla Rosjan w tej dziedzinie jest szczególnie groźny – przy ciągłych nawrotach polityków moskiewskich do planów zdominowania Ukrainy.

Jerzy Giedroyc:

Powstanie Waszego pisma uważam za wydarzenie, którego nie można przecenić. Od normalizacji bowiem stosunków polsko-rosyjskich zależy nie tylko przyszłość naszych krajów, ale również przyszłość powstającej Zjednoczonej Europy. Nasze dzieje są krwawiącym rejestrem krzywd i porachunków. Te antagonizmy są pogłębione wzajemną ignorancją. Zarówno Polacy, jak i Rosjanie mają skrzywiony wzajemny obraz. Ambitnym zadaniem pisma będzie skupienie ludzi dobrej woli po obu stronach, by zmienić ten stan rzeczy: bliżej się poznać i wspólnie szukać dróg nie tylko normalizacji, ale również współpracy. Takie próby były przecież w przeszłości jak działalność Hercena czy Aleksandra Lednickiego, czy obecnie mojej „Kultury".

„Nowaja Polsza" 1999, nr 1

Nieświadomość w rosyjskim **społeczeństwie** polskich spraw, osiągnięć i trosk stała się szczególnie dotkliwa po wejściu Polski do NATO. Na Polsce, kraju granicznym Sojuszu, skupiły się pretensje i podejrzenia tych, którzy chcą zawrócić Wołgę kijem i wrócić na starą, samobójczą drogę konfrontacji.

W tej sytuacji trzeba było zadbać o *informację* i przekonać do niej czytelnika stylem jak najbardziej odmiennym od – dobrze mu znanego – stylu urzędowej propagandy. Należało też liczyć się z tradycyjnym obrazem Polaka w imperialnej dydaktyce społecznej, a nawet w literaturze. Postacie obłudnych i obleśnych Polaczków nie obrzydziły nam lektury dzieł Dostojewskiego, ale rosyjskim jego czytelnikom w pamięć zapadły... Trzeba było tedy, aby Rosjanin przekonał się, że mówimy z nim rzetelnie, i że cały nasz program, to chęć budzenia szacunku dla Polski; a warta jest szacunku także dlatego, że prawdy się w niej nie ukrywa. Budzić ciekawość i szacunek; tylko tyle. I aż tyle. Niekiedy już się to udaje. Wystarczy zajrzeć do listów, jakie ślą zapamiętali czytelnicy *Kroniki (niektórych) wydażeń bieżących*, prowadzonej przez Wiktora Kulerskiego.

Czas, aby czytelnik polski dowiedział się czy i jak „Nowaja Polsza" stara się spełniać zadanie, postawione przez Jerzego Giedroycia, wspierane nieustannie przez oba resorty – Kultury i Spraw Zagranicznych, otaczane opieką przez kierownictwo Biblioteki Narodowej, ale wykonywane w atmosferze zaufania i pełnej niezawisłości.

Macie w ręku 60-ty numer naszego miesięcznika. 57 kolejnych numerów opublikowano w języku rosyjskim. W roku 2001 ukazał się specjalny numer pisma w języku ukraińskim. W tym samym roku wydaliśmy numer specjalny w języku gruzińskim; cały nakład zabrał do Tbilisi prezydent Aleksander Kwaśniewski.W lutym 2004 wydaliśmy drugi numer gruzińskiej edycji.

Od lat niemal dwóch większa część rosyjskiego nakładu tłoczona jest w moskiewskiej drukarni; oszczędza to kosztów transportu i ułatwia dystrybucję. Dbają o nią od początku nasi przyjaciele – moskiewskie wydawnictwo M.I.K., wsławione wydaniem pism historycznych Michaiła Hellera (czyli Adama Kruczka, kronikarza paryskiej „Kultury"), utworów Marguerite Yourcenar i Alaina Besançona, oraz dzieł Gustawa Herlinga-Grudzińskiego w rosyjskim tłumaczeniu.

Pismo nasze trafia w Rosji do 3200 czynnych bibliotek w najodleglejszych zakątkach Federacji; dostajemy listy z Sachalinu i spod Orenburga. Dociera do księgozbiorów wszystkich wyższych uczelni, seminariów i wszechnic, w których wykłada się polonistykę i slawistykę. Polskie Instytuty Kultury w Moskwie i Petersburgu rozsyłają NP do biur poselskich, fundacji kulturalnych, kół artystycznych, organizacji pisarskich i związkowych, do gazet i czasopism.

Spora część nakładu rosyjskiego drukuje się dalej w Warszawie i dociera potem do instytucji, uczelni, bibliotek i prenumeratorów nie tylko w Polsce. Rozsyłana jest do wielu krajów, także zamorskich, tam, gdzie wykłada się na uczelniach – uwaga! – rusycystykę; niech dowiedzą się jej studenci, co Polacy mają do powiedzenia.

Od stycznia 2004 istnieje edycja internetowa naszego pisma (www.novpol.ru)

Czytelnik zorientował się już, że zespół NP liczy nie na odbiorcę masowego, lecz na kręgi opiniotwórcze. Sądzimy, że tylko tą drogą wpłynąć można na stosunek szerszej opinii rosyjskiej do Polski. I do jej racji, potrzeb, propozycji. Rzecz wymaga cierpliwości, a nawet więcej: zrozumienia dla oporów i uprzedzeń partnera.

W klarowaniu naszych racji i naświetlaniu faktów nie jesteśmy przecież sami. Możemy liczyć – i w niemałym stopniu – na wypróbowanych przyjaciół, na inteligentów rosyjskich.

Nie tu miejsce na objaśnianie tego terminu. W Polsce o definicję skądinąd nietrudno. Niedawno jeszcze wystarczyło zagabnąć kogoś z MO: inteligenci to ci, którzy zajmowali najwięcej miejsca na listach do internowania. Dziś, mam nadzieję, o taką prostą odpowiedź już trudniej. W Rosji sprawa jest zawilsza.

Władza sowiecka wiele uczyniła, aby tę warstwę odsunąć od wpływu na bieg rzeczy i przekształcić w tzw. wąskich specjalistów, czyli dostawców surowca do decyzji, podejmowanych przez rządzących dyletantów. Ten zabieg przesądził zresztą o przegranej ZSSR w wyścigu koncepcji (i zbrojeń, owszem) z Zachodem. Nam wystarczy chwilowo definicja prymitywna, ale pożyteczna: inteligent w Rosji to także ten, który ma więcej od innych sympatii (niech to nawet uważa za swoją słabość) do Polski. Za filmy Wajdy i Kieślowskiego. Za naszą miłość do Okudżawy. Za legendę Giedroycia. Za tę stronicę Sołżenicyna, gdzie mowa o niezłomnym Polaku, co nie przerwał głodówki w obozie.

Dowody ich rosnącej obecności znajdziecie na stronicach naszego pisma. Stało się ono organem dialogu. Nie duetu z operetki, tylko dialogu. Jest to fakt nowy, w istocie – bez precedensów.

Opatrzyliśmy ten numer spisem naszych autorów i tłumaczy. Wśród tych setek nazwisk znajdziecie 64 autorów rosyjskich i 65 tłumaczy. Są tu najświetniejsze nazwiska ludzi, którzy oddali literaturze polskiej pół swego życia w Rosji, czy w Paryżu (jak niestrudzona Natalia Gorbaniewska i Aleksander Bondariew). Są pisarze, jak Asar Eppel, wyborny prozaik, który setek nocy nie pożałował, aby oszlifować swój przekład *Balu w operze* Tuwima aż do lśnienia klejnotu. Jest Ksienia Starosielska, która prowadzi stałe seminarium, istną szkołę przekładu z polskiego. Są uczeni, jak Aleksander Lipatow, idący w zawody z najlepszymi historykami Polski. Są publicyści jak W.Mastierow czy W.Portnikow. Są polemiści, jak Natalia Podolska, którzy bronią prawdy o Polsce wymowniej od naszych zawodowych patriotów.

Bo nie tylko przyjaciele o nas w Rosji pamiętają. To prawda, że polakożerstwo nie należy w Rosji do sportów ludowych. Przeważają – dziwaczne dla nas – pretensje o niewdzięczność za dobrodziejstwo sowieckiej o c h r o n y przed zakusami Zachodu po wojnie. I żal, prawdziwy żal po tych 600.000 biednych chłopców, co leżą „w poliach za Wisłoj sonnoj", z niemiecką kulą w piersi, a przecież przyszli tu nie po to, aby nas pchać do kołchozów, bo sami ledwie się z nich wyrwali.Tym żalem powinniśmy podzielić się z ich matkami.

Ale są nadto wypadki patologiczne, z którymi „Nowaja Polsza" musiała się zetknąć. Trzeba było przyjrzeć się chorobliwym elukubracjom J.Muchina, który neguje sowiecką winę za katyńską zbrodnię. Trzeba było z obrzydzeniem wziąć do ręki kolekcję kopalnych fekalii – dziełko St.Kuniajewa *Szlachta i my*, referującego po swojemu dzieje stosunków Rosji z Polską. Sądzimy wszelako, że brak podobnych głosów i napaści bardzo źle by świadczył o roli i sprawności „Nowej Polszy". Podobnie, jak brak rzeczowej reakcji na nie.

Ta publikacja polska z natury rzeczy nie zawiera utworów znanych na ogół Polakom. O wiele więcej miejsca w rosyjskiej edycji zajmują dowody żywotności naszej kultury – wiersze i proza naszych pisarzy, prezentacje ich dzieł – często pisane przez ich rosyjskich tłumaczy, wspomnienia naszych wygnańców-badaczy, rozmowy z ludźmi, którzy mogą być ozdobą każdego społeczeństwa, nowe odkrycia znawców teologii, filozofii, fizyki. Jeśli się czym chwalimy – to dowodami codziennej przedsiębiorczości, której Polaków nie zdążono oduczyć, przykładami bezinteresownej solidarności ludzkiej i tą żądzą wiedzy, która czyni z polskiej młodzieży nadzieję Europy. Jeśli czego nie chcemy, to dowodów trwania anachronicznych stosunków suwerena z wasalem, co niszczą gospodarkę obydwu polityczną zachłannością – przykładem sprawa zależności Polski od dostaw gazu palnego.

Jeśli czego pragniemy – to możności przytaczania naszym czytelnikom przykładów i polskiej, i rosyjskiej wielkoduszności, rozwagi, wzajemnej życzliwości. Nie co dzień je znajdujemy. Trzymamy się jednak zasady, że jest grzechem nie robić nic tylko dlatego, że nie można od razu osiągnąć wszystkiego.

Redaktor

Jerzy Pomianowski

CHLEB Z MEJSZAGOŁY

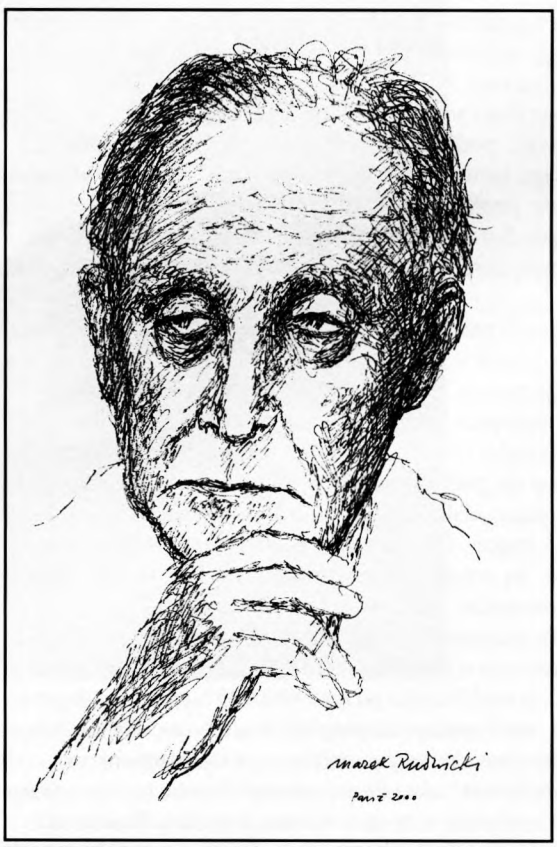

Jerzy Giedroyc *Rys.Marek Rudnicki*

Małe i wytarte są wszystkie słowa podziwu, cisnące się człowiekowi pod pióro po zgonie Jerzego Giedroycia. Ale żałoby było w Polsce na koniec wieku tyle, tak wielu znakomitych ludzi odeszło jeden po drugim, że obawiać się trzeba rychłego zapomnienia – w tłoku nazwisk i bliźniaczych pochwał – właśnie tych wyjątkowych cech i zasług, które uczyniły z Giedroycia fenomen bezprzykładny.

Nie dość, że wydał przez 54 lata emigracyjnego życia we Francji 636 numerów najpoważniejszego czasopisma w dziejach naszej – a może i nie naszej – prasy i 147 tomów „Zeszytów Historycznych", bez których nasze dzieje najnowsze byłyby polem minowym dla przyszłych badaczy. Nie dość, że opublikował po polsku ponad 500 tomów biblioteki, pełnej zabronionych w PRL, najważniejszych książek XX wieku, w tym masy dzieł rosyjskich i ukraińskich dysydentów (którzy – jak Siniawski i Daniel – posyłali swoje rękopisy wprost na ręce tego Polaka). Nie dość, że swoim samotnym życiem, strawionym wyłącznie na bezinteresownej pracy, dał przykład w Polsce bardzo rzadki. Ponadto jeszcze wykazał, że miał rację Chesterton: prawdziwy patriota nie może być zadowolony ze swojej ojczyzny. Giedroyc był przeciwieństwem szowinisty, jeśli czego nie tolerował, to sarmackiej tromtadracji. Ale mało kogo z rodaków zostawiał za drzwiami; znał tylko jeden rodzaj pokuty za grzechy – odrabianie ich póki życia. Był nie tylko wielkoduszny, był gospodarny, nie znosił polskiego marnotrawienia talentów. Brał talenty w obronę właśnie wtedy, kiedy chciano je oczernić, zadeptać, przemilczeć. Gdyby nie ta jego monarsza skrzętność i opieka – pewno by nie było ani *Zniewolonego umysłu* Miłosza, ani *Trans-Atlantyku* Gombrowicza. Co więcej jednak, poczynił kilka kroków, po których nikt nie ma prawa do odwrotu na drogę, jaka prowadziła Polskę od jednej chwalebnej klęski do drugiej. Tylko o niektórych z tych przedsięwzięć Giedroycia będzie tu mowa. Tych mianowicie, które mogą zadecydować o politycznej przyszłości kraju, jeżeli wskazania Redaktora doczekają się szerszego zrozumienia i kontynuacji.

To on i jego „Kultura" dały kształt i najjaśniej wskazały cel żywiołom buntu, wzbierającego w społeczeństwie PRL. Swobodne dyskusje i programowe artykuły w piśmie Giedroycia poprzedziły pojawienie się w kraju programów tajnej opozycji. Nie bez przyczyny reżim uznał to pismo za naczelny organ dywersji i atakował je piórami swoich sługusów. To czytelnicy „Kultury" zasilili przemyślanymi postulata-

mi kanon haseł spontanicznych ruchów robotniczych. To oni niewątpliwie przyczynili się do wystąpienia właśnie w Polsce niezwykłego, mitycznego zjawiska – współdziałania robotników z inteligencją. Trwało to tylko chwilę, ale tylko w takiej chwili można było zawrzeć porozumienie gdańskie z sierpnia 1980 i posadzić rząd i opozycję za Okrągłym Stołem w 1989. Programy innych ośrodków polskiej opozycji ten właśnie sojusz miały za utopię. Giedroyc nie miał wątpliwości – bez utopii praktycy tracą cel z oczu. Powtarzał, że więcej klęsk w dziejach spowodował brak wizji, niż brak pragmatyzmu. A przecież był pragmatykiem urodzonym i zmieniał taktykę, nie odstępując od swoich zasad.

Przygotował więc zawczasu poważny program na wypadek zmian, które uważał za nieuchronne. Pewność brał wcale nie z irracjonalnej wiary, a raczej z wybornej znajomości tego, co działo się w Centrali – w dotkniętej paraliżem gospodarce sowieckiej i w maszynerii Imperium, nastawionej na samobójczą konfrontację z Zachodem.

Wnioski, jakie z tej pewności wyciągnął i niestrudzenie podpowiadał, pomogły walnie w zdobyciu przez Polskę sytuacji wyjątkowej: była w Obozie jedynym krajem, którego przełom 89. roku nie całkiem zaskoczył. Tak jest, nie sam to sprawił, ale to on zapalił jedną z dwóch latarni, bez których nie sposób wejść do przystani; drugą było niewątpliwie pismo Turowicza, katolicki „Tygodnik Powszechny".

I oto po raz pierwszy w polskich dziejach nie sprawdziła się diagnoza Norwida:

„Kraj! – gdzie każdy czyn za wcześnie wschodzi,
Ale książka – każda... za późno!"

Sprawdziły się za to przewidywania, wypracowane przez ów kombinat mózgów, jakie ten wielki inspirator skupił dla wsparcia naczelnej swojej idei: był pewien, że nieuchronny jest rozpad obozu zwanego niesłusznie socjalistycznym. Kładł większy nacisk na ten wątek procesu niż na klęskę ideologii komunistycznej, bo wiedział, że od dawna jest ona atrapą, a nadto obchodził go najbardziej los narodów, trzymanych w karcerze. Nie tylko polskiego. Reszta świata miała to za utopię i to szkodliwą, bo psuła stosunki z władcami ZSSR. Giedroyc zaś po prostu i spokojnie konstruował z góry, na wszelki wypadek plan działania, aby był gotów w momencie odzyskania pełnej suwerenności przez Polaków i ich sąsiadów.

To Giedroyc z Mieroszewskim sformułowali takie zasady polskiej polityki wschodniej, które są dla nas rękojmią trwałej niepodległości. Są zarazem rozwiązaniem wiecznego dylematu – jak tu wiązać się z suwerenną Ukrainą, nie czyniąc sobie z Rosji wroga? Publicyści „Kultury" twierdzą zaś, że niepodległość narodów Najbliższego Wschodu, żyjących między Rosją a Polską, niweczy powód i przedmiot sporu między naszymi dwoma państwami; toż całe wieki krwawe walki toczyły się o dominację nad tymi narodami. Powodów do konfliktów nie będzie, gdy zagwarantujemy naszym wspólnym sąsiadom nietykalność i suwerenność.

To w kręgu „Kultury" wykluła się koncepcja strategicznego sojuszu z najbliższymi naszymi, wschodnimi sąsiadami, sojuszu kosztem wyrzeczenia się przez Polskę Kresów z Wilnem, Lwowem, Grodnem. Uparty utopista Giedroyc został pod Paryżem, łżony i szkalowany zgodnie przez patentowanych polskich patriotów na wychodźstwie i w kraju, aby w końcu doczekać się sytuacji, w której jego straceńcza koncepcja przyjęta została powszechnie i weszła do kanonów zdrowego rozsądku narodowego. To, co u Piłsudskiego było niespełnionym marzeniem o konfederacji – to Giedroyc przemienił w trzeźwą strategię normalnego sojuszu i stopniowo przekonał do niej najbystrzejsze umysły, a za nimi – całe rzesze. Już dlatego należy mu się pierwsze miejsce wśród polskich statystów.

Ale – co warte jest nie mniejszej uwagi – Giedroyc nie zalecał tej swojej koncepcji jako narzędzia walki z Rosją i Rosjanami. Zgadzał się z tezą, wedle której niepodległość naszych wspólnych sąsiadów jest warunkiem rozwoju samej Rosji; toż ważnym hamulcem koniecznych tam reform jest pokusa odwojowania Ukrainy. Niełatwo naśladować Anglię, Francję, Holandię (a też Niemcy i Japonię), zapomnieć, jak one, o koloniach, zaborach i terytorialnych zdobyczach, a skupić się na nowoczesnej, intensywnej gospodarce, która tym krajom dała największy dobrobyt i siłę – bez dyktatury i bez zaboru cudzych ziem... Dziś żaden naród w Europie nie stoi wobec tak dramatycznego wyboru, jak rosyjski, bo – na nowej drodze Rosjanin poznał tymczasem tylko wyboje, a stara droga ekspansji wydaje się wciąż otwarta.

Giedroyc wiedział, ile od tego wyboru zależy – dla samej Rosji, dla Europy, dla Polski. Dlatego taką wagę przywiązywał do informowania Rosjan o tym, jakie rozstrzygnięcia wybrali Polacy, na jakie trudności natrafili, co im się w końcu udało, jakie nasze doświadczenia mogą być ostrzeżeniem. Jeszcze bardziej zależało mu na dialogu na te tematy z samymi Rosjanami. Nie z wierchuszką, po dawnemu, ale z najbardziej chłonnymi, ciekawymi świata. I Polski. Przecież stali się z poddanych obywatelami, wyborcami.

To dlatego powstała „Nowaja Polsza". Miesięcznik dociera w głąb ogromnej Rosji, do jej umysłowej awangardy. Pierwszy numer zaczynał się od przesłania Giedroycia i mowa tam była nie o tradycjach słowiańskiego pobratymstwa, czy o jednym płaszczu, pod którym stali w Petersburgu dwaj znani młodzieńcy, tylko o całych stuleciach krwawych zapasów, o długiej polskiej niewoli i o tym, że wreszcie przyszedł czas, aby mówić z Rosjanami jak równy z równym, bez obłudy . Bo tylko tak możliwe jest porozumienie.

To Giedroyc skłonił piszącego te słowa do założenia i redagowania tego pisma. Myślę, że nie może być większej satysfakcji niż ta, którą daje doprowadzenie do skutku zamysłu, poczętego w umyśle tak świetnym. Sądzę, że Jerzy Giedroyc zasłużył na coś więcej niż na pośmiertne honory. Trzeba przyjąć jego koncepcje za ważne wskazania i nie odstępować od jego strategii. Tak, nie będzie już „Kultury". Zostały do spełnienia obowiązki, które na jej stronicach wskazał. Tylko z pomocą naszych rosyjskich przyjaciół da się je bez konfliktów wypełnić.

Jest tu miejsce i czas, aby wyznać, że zawdzięczam temu człowiekowi więcej niż komukolwiek w całym moim długim życiu, bo zwalił na mnie już kilkakroć prace, które życiu dają sens. To od Giedroycia przywiózł banicie do florenckiego hoteliku Gustaw Herling pierwsze, przemycone z Rosji stronice Sołżenicyna i list z prośbą o przekład. Nasamprzód chodziło o *Krąg pierwszy*, potem o *Archipelag GUŁag*, później o pisma Sacharowa, Hellera, Szałamowa. To Giedroyc słał mi żądania recenzji, polemik, artykułów, karcąc za opieszałość. On też skłonił mnie do zebrania tych szkiców o Rosji i Polsce, opatrując wstępem książkę *Ruski miesiąc z hakiem* i zaskakując swoim zwyczajem autora nagrodą imienia Mieroszewskiego. Ale nie te przywileje pamiętam najlepiej, tylko ostatnie spotkanie z Redaktorem, przy wielkanocnym stole w Maisons Laffitte. Przełamaliśmy się wtedy kromką czarnego, żytniego chleba z Mejszagoły, w którym zasmakował, bo przypominał litewskiemu księciu z Mińska jego dzieciństwo. Znalazłem ten litewski chleb w jakimś warszawskim sklepie. Schowałem tę kromkę i sądzę, że tylko o nią jestem bogatszy od tych tysięcy Polaków, których Giedroyc żywił swoją mądrością.

НОВАЯ ПОЛЬША 2000, nr 10
TYGODNIK POWSZECHNY 24 X 2000

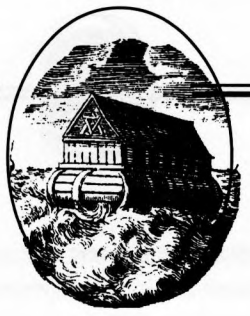

Josif Brodski

Przekład z angielskiego
Renata Gorczyńska

POLSKA

Wykład wygłoszony na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach w 1993 roku

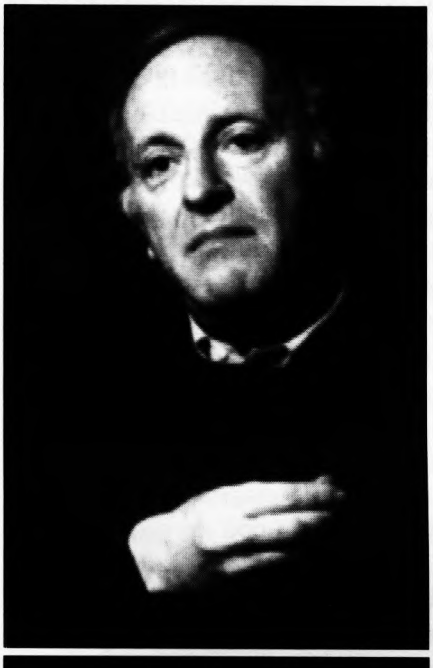

Josif Brodski

Co mam powiedzieć, powinno zostać powiedziane, logicznie rzecz biorąc, po polsku albo po rosyjsku. Ale mój polski, który ćwierć wieku temu wystarczał mi do ułożenia zadowalającego liryku, jest teraz martwy. Co do rosyjskiego, to jak sadzę, jest to język, na który większość z państwa jest uczulona. Pozostaje mi angielski, który to język – mam nadzieję – jeszcze nie wywołał u państwa reakcji alergicznej i który szczególnie dobrze służy panowaniu nad emocjami. Co mam powiedzieć, jest bowiem wysoce sentymentalnej natury.

Chciałbym wyrazić Polsce moją wdzięczność.

Zacznę od podziękowania Uniwersytetowi Śląskiemu za obdarzenie mojej skromnej osoby takim zaszczytem [doktorat honoris causa]; zaszczyt ten budzi we mnie zarazem wdzięczność i oszołomienie, ponieważ nie wyróżniłem się niczym szczególnym wobec kultury polskiej, literatury polskiej. To prawda, przetłumaczyłem na rosyjski utwory niektórych polskich poetów, ale nie jest tego zbyt wiele i nie są to aż tak dobre przekłady. Te tłumaczenia – Norwida, Gałczyńskiego, Miłosza, Herberta, Szymborskiej, Staffa (by wyliczyć tylko niektórych) sprowadzają się nie tyle do wkładu w tzw. rosyjsko-polski dialog kulturalny; są raczej faktem z biografii własnej. Czytelnicy tych przekładów zyskali, jak sobie wyobrażam, dużo mniej ode mnie – tłumacza, a nade wszystko człowieka czytającego wymienionych i niewymienionych tu poetów. Jeżeli mogę tu mówić o wkładzie, to poeci polscy z ich dziełami w ogromnej mierze przyczynili się, wręcz ukształtowali umysł człowieka stojącego przed wami. Tak więc istnieje znacząca tautologia w przyznaniu mi tego zaszczytu przez Uniwersytet Śląski; przyjmuję ją jednak z przyjemnością. W pewnym wieku wszystko, co się robi lub mówi, jest wyłącznie „hołdem strumienia wobec źródła".

Pozwolą państwo, że będę kontynuował na tę modłę.

Stojąc tu, na polskiej ziemi, przed wami, Polakami, pragnę wyrazić wdzięczność waszemu narodowi za zniszczenie największego zła, jakie dotychczas nawiedziło ludzkość: systemu komunistycznego. Jeśli ktoś uważa to twierdzenie za nieco przesadne, pozwolą państwo, że wyjaśnię, co mam na myśli.

To, co wasz kraj uczynił systemowi komunistycznemu, nie osiągnął potęgą broni; w istocie myślę, że nie było to nawet zamierzone działanie. Jak żartowała wielka poetka rosyjska Anna Achmatowa: „Polacy nie umieją wojować, lecz buntować się... Sztuka wojenna Polaków jest niczym w porównaniu z ich talentem do rebelii..." A rebelia rzadko kiedy jest zamierzonym działaniem; najczęściej bywa instynktowna.

Jest to ten wasz instynkt, który tak cenię, ten instynkt, który nigdy nie zginął, w odróżnieniu od wielu jego nosicieli. Nawet w stanie uśpienia przybiera formę skrajnego uporu albo otwartego oporu. Nie wierzę w istnienie odrębnej duszy polskiej, tak jak nie wierzę w odrębną duszę rosyjską, niemiecką czy brazylijską; nie wierzę, że Wszechmogący rozdziela dusze według zasady geograficznej. Ale charakter narodowy, jak sądzę, jest faktem. I co zdaje się odróżniać wasz naród od sąsiadów ze wschodu, zachodu i południa to właśnie ten upór, wasza zdolność do oporu.

Powyższy osąd nie jest głosem znawcy, lecz waszego ucznia. Jeśli cokolwiek naprawdę usprawiedliwia moją tu obecność, to fakt, że sztuki oporu nauczyłem się głównie od was: od pokolenia waszych rodziców. Mówię to nie po to, by wam schlebiać, lecz dlatego, że gdy spoglądam na swoją młodość, pojmuję, że tamtych czasach, jakieś czterdzieści lat temu, prawie niemożliwe było znaleźć inny wzór postępowania – przynajmniej nie w moim kraju ojczystym. W tym sensie być może rzeczywiście kwalifikuję się do roli honorowego Polaka.

Nie idealizuję waszego powojennego rejestru spraw. Nie ulega kwestii, że w tym czasie doszło także i w Polsce do licznych aktów kolaboracji lub dobrowolnych związków z systemem komunistycznym. Żadnemu narodowi nie jest obca wulgarność serca; ponadto owa wulgarność jest tym, na czym zasadzał się cały system; nie miał innych fundamentów. Jednakże jakoś te szale nigdy nie ciążyły na rzecz kolaboracji albo – jeśli wolicie – współpracy z systemem. Możecie to tłumaczyć wpływem Kościoła katolickiego, tradycją szlachecką lub inercją nastrojów antyrosyjskich; ja myślę, a może wyjaśnienie tkwi w samym języku polskim, a dokładniej – w jednym jego słowie.

Tym słowem jest „niepodległość", co zazwyczaj tłumaczy się na angielski jako „independence". I nawet wy, rodowici Polacy, używacie go w wąskim znaczeniu politycznym. Rodowity Polak jest rzadko świadom etymologii zwrotów, jakich używa na co dzień. Dosłowne znaczenie tego rzeczownika ma wiele wspólnego z odmową położenia się pod kimś lub pod czymś; być może najwłaściwiej należałoby przełożyć go jako „un-prone-ness", „nieskłonność". Co oznacza, że ten zwrot polityczny, już mniejsza o to, jak pusty stał się przez wieki politycznej paplaniny, na poziomie podświadomości rodowitego Polaka stale pobrzmiewa jednoznaczną odmową posłuszeństwa. Zatem „non-submisiveness", nieposłuszeństwo? Być może, ale jak to z końcówkami bywa, „ness" nie równa się spalatalizowanej „niość" , a przedrostek „non" w żaden sposób nie oddaje tego przewrotnego, wyginającego wargi „nie".

W istocie samo to „nie", rozciągające usta w rodzaj antyuśmiechu, powinno było dać sobie radę z systemem komunistycznym. I być może tak się stało, ponieważ człowiek, który czerpie zmysłowe przyjemności z negacji, jest może zniszczalny, ale niezdobywalny. Jeśli nawet to, co powiedziałem, jest czystą fantazją, choć w moim wypadku wiążącą zawodowo, waszemu językowi winniście wdzięczność za zdobycie w końcu „independence", niezawisłości, bo „niepodległość" mieliście zawsze.

Istnieją przypuszczalnie bardziej wiarygodne tłumaczenia polskiego fenomenu, ale zezwólcie mi na upór: ani potęga waszej broni, ani świadomy wybór oporu nie spowodowały, że system polityczny został doprowadzony do upadku; było to jedno słowo, lub jego przedrostek, eufonicznie przyśpieszający waszą instynktowną reakcję. Bowiem słowa i ich znaki, szczególnie samogłoski, korespondują z systemem nerwowym człowieka jako ich wzmacniacze i vice versa. Wojna systemu politycznego z systemem nerwowym nie może zakończyć się wygraną tego pierwszego, skoro ani obłęd, ani śmierć nie stanowią zwycięstwa. Im dłużej trwa taka wojna, tym większa jest eufonia negacji; opór staje się automatyczna reakcją. (I jeśli ten opór przybiera postać literatury, jest naznaczony monotonną ironią.)

Jednak to, o czym teraz mówię, ma jedynie cechy spóźnionej refleksji. Bez względu na źródło waszego oporu i jego rozmiary (szczególnie w latach 80., z zaraniem „Solidarności"), nie mieliście pojęcia, czy to wszystko się opłaci. Gdy próbowaliście zgłębiać przyszłość, czyniliście to bez wątpienia z obawą, po części oczekując, że ujdzie to wam na sucho, a po części lękając się rozlewu krwi. Ale po czym poznaje się prawdziwego gracza: jest on skłonny dopuścić myśl o przegranej.

Istniała i inna sprawa, o której nie mieliście pojęcia ani wy, ani – trzeba tu dodać – wasi przeciwnicy na Kremlu: to mianowicie, że akceptacja przegranej przez jednego z graczy kompromituje całą grę. Gry, bez względu na to jak są skomplikowane, nie mają własnej świadomości i nie potrafią się przedefiniować. Skompromitowana gra pozbawia graczy przewagi; im większa jest ich przewaga, tym bardziej niszcząca staje się dla posiadaczy silniejszych kart jej bezsensowność.

To dokładnie przydarzyło się ludziom na Kremlu u zarania „Solidarności". W obliczu sytuacji w Polsce pojęli, że zostaną skazani na klęskę, jeśli ruszą do działania i skazani na klęskę, jeśli od tego odstąpią. Ta konstatacja wprowadziła do ich umysłów nowe jakościowo pojęcie: ambiwalencję. Ambiwalencja, by sparafrazować Lorda Actona, powoduje korozję, a kiedy napotyka ideologa, doprowadza do całkowitej korozji. Im sztywniejszy jest umysł, im bardziej wyniosły w „albo – albo", tym bardziej staje się sparaliżowany wskutek niemożności podjęcia decyzji. I za to właśnie jestem wdzięczny Polakom: za wprowadzenie ambiwalencji do umysłów Wschodniej Superpotęgi. Reszta należała do natury i ta poszła swoim tropem.

Teraz jednakże musicie rozegrać całkiem odmienną grę. Teraz już nie macie poręcznego wroga zewnętrznego lub wcielonego zła – równie poręcznego – pod postacią państwa. Teraz musicie stanąć twarzą w twarz ze złem w was samych. Albowiem triumf nad siłami zła nie czyni z kogokolwiek automatycznie dobrego człowieka. Gdyby tak było, dawno już byśmy osiągnęli Raj na Ziemi.

Wiecie zapewne, że źródłem wszelkiego zła w człowieku jest interes własny, który w nieunikniony sposób żywi się kosztem innych. Jak zamierzacie się z tym uporać, nie wiadomo. Ten dawny upór niewiele wam pomoże, chyba że przełożycie go na skład zasad zobowiązujących was do wzajemnej miłości. Trudno sobie wyobrazić takie ustawodawstwo, szczególnie teraz, gdy robicie wszystko, by gorliwie naśladować demokracje zachodnie.

Opór wobec interesu własnego, ciągła troska o innych domagają się wyrobienia odmiennego instynktu niż opór wobec państwa policyjnego. Nie przychodzi mi do głowy żadne słowo w języku polskim, jakie mogłoby wywołać ten instynkt. Naprawdę nie wiem nawet, czy taki instynkt w ogóle istnieje. Prawdą jest jednak, że zapomniałem polskiego. Może istnieje słowo oddające *compassion* [współczucie] lub *misericordię*; być może całą sprawę należałoby pozostawić Kościołowi.

Wątpię, biorąc pod uwagę rejestr spraw Kościoła, w tym rejestr polskiego Kościoła katolickiego. Bowiem człowiek jest nie tyle sumą swoich wierzeń lub przekonań, co sumą swoich czynów. Poza tym, biorąc pod uwagę ubóstwo, w jakim znajduje się wasz naród, działanie w interesie własnym zdaje się nieuniknione. W tych okolicznościach nadzieja na przetrwanie egalitarnej wrażliwości, tego poczucia, że „znajdujemy-się-wszyscy-na-tej-samej-łodzi" jest, obawiam się, bezrozumna.

To smutne, wręcz rozdzierające patrzeć, jak demokracje, z takim trudem wywalczone, ulegają pokusie samolubstwa. Tak się dzieje wszędzie, ale gdybym wam powiedział, że Polska pod tym względem małpuje Rosję, niczego to nie zmieni. Zapewne należałoby rozejrzeć się gdzie indziej za instrukcjami moralnymi, ale ani Zachód, ani Wschód nie dostarczają przekonywającego modelu, przypuszczalnie z wyjątkiem reguł monastycznych.

Jedyna odtrutka na rozpasane samolubstwo, jaka przychodzi mi do głowy, to dobry gust i wątpliwości wobec siebie. Te cechy nie są zawarte w spisie praw demokracji industrialnych; ich pokłosie można zbierać jedynie z dzieł sztuki, szczególnie z literatury. Podczas gdy negatywny potencjał człowieka objawia się w zbrodni, jego potencjał dobra objawia się w sztuce, sferze zasadniczo wolnej od utylitaryzmu.

Wbrew powszechnemu mniemaniu, sztuka nie imituje życia (byłoby to po prostu wtórne), ale daje wzorzec, do którego życie powinno dążyć. Krótko mówiąc, stara się zachwalać życie życiu. Pomnik mówi przechodniowi: bądź jak ja; powieść mówi czytelnikowi: myśl jak ja. Takie przepływy są możliwe; w przeciwnym razie nie mielibyśmy alfabetu. Mamy go, a zatem logicznym wnioskiem jego posiadania jest rozwijanie gustu do literatury i w samej literaturze. Ktoś z dobrym gustem jest mniej narażony na hipnotyzerstwo demagoga, a początek systemu komunistycznego tkwi nie tyle w złym guście jego wynalazców, co w złym guście jego poddanych.

Jeśli więc troszczycie się o zachowanie demokracji, która nieodwołalnie prowadzi do pewnego stopnia nierówności społecznej, proponuję, abyście dali literaturze pierwsze miejsce w swojej republice. Z powodu liczby ludności w Polsce oraz inercji scentralizowanego państwa, myślę, że jest wyobrażalne przemienienie tego narodu w czytelników. Musicie jedynie podjąć się drukowania w wielkonakładowych dziennikach arcydzieł literatury w odcinkach i kontynuować ten program na skalę całego kraju przez jakieś dziesięć lat. Co do wyboru autorów – ja osobiście zacząłbym od Prousta i Musila – macie dosyć ludzi wokoło do konsultacji; niektórzy z nich znajdują się dziś na tej sali. A co do kosztów, to nawet przy obecnym stanie gospodarki możecie sobie na to pozwolić.

Nierówności społeczne w Polsce są nieuniknione, ale w kulturze można ich uniknąć i do tego należy dążyć. Mogłoby zakończyć się to wyłonieniem prawdziwie cywilizowanej demokracji w sercu Europy. Celem demokracji jest bowiem równość jej uczestników wobec kultury, a kultura jest demokratyczna przez samo swoje istnienie; jest także rękodziełem. W przeciwnym razie republika może mniej lub bardziej zejść do poziomu policyjnej dżungli. Zapewne mówię o tym wszystkim z tego powodu, że moja Polska pochodzi z książek, że Polska jest dla mnie bardziej stanem umysłu lub stanem serca niż realnym – policyjnym lub demokratycznym – państwem. Może te fantazje są zbyt książkowe. Mimo to głęboko wierzę, że kultura, a literatura w szczególności – jest jedyną asekuracją, dzięki której republika może uchronić się przed wulgarnością człowieczego serca. Bowiem literatura jest dużo bardziej rzetelna niż dowolny skład praw, a jej kodeks nie wymaga policji do wdrażania go w życie. Jest ona również bardziej niezawodna niż Kościół i niekiedy ofiarowuje lepszej rangi metafizykę. W ostatecznym rozrachunku jej współczynnik przetrwania jest wyższy od jakiejkolwiek encykliki lub konstytucji.

Dlatego uważam, że wasza republika, wasza Rzeczpospolita, powinna aspirować do roli księgozbioru, co jest najwyższą formą demokracji. Jeśli sądzicie, że jest to naiwna idea, będzie to po prostu oznaczało, że Uniwersytet Śląski obdarzył swoim najwyższym zaszczytem niewłaściwą osobę, że my – wy i ja – zmarnowaliśmy nieco czasu dzisiejszego popołudnia, oraz że niektórzy winni są przeprosiny przyszłości waszego kraju.

Siergiej Łarin

ZRZĄDZENIE LOSU

Jest taka przypowieść: kiedy zapytano stonogę, jak to robi, że potrafi tak szybko biegać, nie plącząc się w swoich licznych nogach, zaczęła się nagle potykać – po prostu wcześniej nie zastanawiała się nad tym.

Kiedy zadano mi pytanie: dlaczego, za co lubię polską literaturę, również wpadłem w rozterkę. Przecież jeżeli coś lub kogoś lubisz, to na takie pytanie zawsze jest trudno dać jasną i jednoznaczną odpowiedź. Tak, lubię! Ale dlaczego? Skąd się wzięła ta sympatia?

Trzeba zagłębić się w swoją przeszłość.

Zainteresowanie polską literaturą pojawiło się u mnie żywiołowo, samo z siebie, gdzieś w połowie lat 50. U nas nastąpił wtedy okres pewnej odwilży, a w Polsce do władzy doszedł Gomułka.

W Polsce rozpoczęła się nowa liberalna epoka, wszystkie zakazy i tabu, ciążące jeszcze nad naszą literaturą, kinem i sztuką – w Polsce zostały odrzucone. Aż strasznie wymówić takie zdanie: Związek Literatów Polskich na swoim kolejnym Zjeździe oficjalnie odrzucił zasadę realizmu socjalistycznego, która została narzucona polskiej literaturze przez Moskwę. W Polsce zaczęły pojawiać się odważne, ostre utwory utalentowanych autorów, mówiło się o nowych, młodych prozaikach, poetach, filmowcach, dramatopisarzach.

Pamiętam, jakie namiętności kipiały podczas Międzynarodowego Festiwalu Młodzieży i Studentów, odbywającego się w Moskwie latem 1957 roku. Imprezą towarzyszącą była wystawa sztuki krajów socjalistycznych, otwarta w Manieżu. Główne zderzenie biegunowo przeciwnych wyobrażeń miało miejsce właśnie w polskiej części wystawy. Skrajne oburzenie ortodoksów wywołało kilka prac polskiego rzeźbiarza starszego pokolenia Xawerego Dunikowskiego, podczas okupacji hitlerowskiej więźnia Oświęcimia. Wspominając obóz śmierci, mistrz umieścił na swoich płótnach coś w rodzaju wydłużonych, podobnych do szkieletów figur, jakby dawnych strachów na wróble, oddalonych od nas, kołysanych wiatrem. Obrazy, o ile pamiętam, były utrzymane głównie w tonacji bladobłękitnozielonkawej, dzięki czemu wyobrażenia więźniów były przezroczyste, jakby utkane z mgły. Ta niezwykła gama kolorystyczna i schematycznie zaznaczone, zanikające figury drażniły oglądających je adeptów akademickiego malarstwa – Gierasimowa, Johansona, Łaktionowa. Oburzali się, że Dunikowski nie pokazał samego ducha walki, sprzeciwu, który powinien obowiązkowo – według nich oczywiście – towarzyszyć ofiarom Oświęcimia. Przytoczyłem ten przykład celowo, po to, aby łatwiej było zrozumieć, jak nowa, współczesna sztuka, z jej poszukiwaniami śmiałych artystycznych rozwiązań (może nie zawsze udanych), straszliwie drażniła wszystkich tych zwiedzających wystawę, którzy byli zagorzałymi dogmatykami, z marszu odrzucającymi wszelkie nowinki w malarstwie. Jakiekolwiek odstępstwo od dogmatów i kanonów socrealizmu było wówczas uznawane za podcinanie korzeni, za zamach na władzę radziecką.

Takie same szablony rządziły i literaturą piękną. Jednak, mimo to, nowa polska sztuka, literatura, kino różnymi drogami przenikały do Moskwy. Utwory polskich autorów budziły nowe myśli, rozwijały wyobraźnię, pomagały wyswobodzić się z jarzma, ujrzeć otaczający świat nowymi oczami. Jednym słowem, zainteresowanie Polską, współczesną polską kulturą, było w tym czasie przeogromne, szczególnie w środowisku twórców. Nie bez powodu liczni znani nasi poeci rzucili się do tłumaczenia polskich autorów: Borys Słucki, Dawid Samojłow, Arsenij Tarkowski, a także ci z

młodszego pokolenia: Josif Brodski, Władimir Britaniszski, Natalia Gorbaniewska, Władimir Buricz i wielu innych. Zwrócili się ku poezji Gałczyńskiego, Różewicza, Harasymowicza, Grochowiaka, Herberta. Z ich twórczości nasi poeci czerpali natchnienie, znajdowali tam odpowiedź na życiowe pytania, które i ich nurtowały. Myślę, że to zauroczenie naszej inteligencji Polską – to temat osobny, czekający jeszcze na swojego badacza. Jedno nie budzi wątpliwości: ówczesne nasze kontakty z polską sztuką, literaturą i filmem zmiękczyły nasze dusze, przygotowały grunt dla przyszłej pierestrojki...

Ta fala zagarnęła i mnie. Tak jak inni biegałem na różnego rodzaju przeglądy nowych polskich filmów, prenumerowałem ilustrowane czasopisma: „Film" i „Ekran", które charakteryzowały się minimalną ilością tekstu, tak więc mogłem z nich co nieco zrozumieć, znając nie więcej niż dwadzieścia polskich słów.

Możliwe, że głębsze zainteresowanie polską literaturą nie obudziłoby się we mnie, gdyby nie... choroba. Z diagnozą „gruźlica płuc" trafiłem do szpitala, gdzie przeleżałem kilka miesięcy. Oczywiście, przyjaciele odwiedzali mnie często. Wśród nich był Walentin Oskocki, młody polonista – w tym czasie stanowił moje główne źródło informacji o polskich nowościach w dziedzinie kultury.

Pewnego razu Walentin przyniósł mi dwie pozycje, które wywołały dużo szumu – zbiór opowiadań Marka Hłaski *Pierwszy krok w chmurach* i powieść Kazimierza Brandysa *Matka Królów*.

Te dwie książki okazały się moim elementarzem, według którego zacząłem pojmować polską literaturę. Muszę się przyznać, że nie posiadam szczególnych zdolności do języków. W szkole bez wielkiego sukcesu męczyłem niemiecki, na uniwersytecie, z takim samym skutkiem – angielski. Dlatego też przy nauce polskiego zastosowałem inną metodę – z marszu zacząłem czytać opowiadania Hłaski, nie zaglądając do słownika (mimo że miałem go stale pod ręką). Pierwsze 30–40 stron czytałem, usiłując złapać jakiś sens, wydawało mi się, że widzę obraz przez źle umytą szybę okienną. Dalej poszło już lepiej. W ten sposób przeczytałem swoją pierwszą książkę po polsku, a potem przeszedłem do powieści Brandysa.

Myślę, że ówczesne moje oswojenie się z polską literaturą w dużym stopniu określiło mój dalszy los. Dziennikarz i krytyk literacki. Zachwyciwszy się kiedyś współczesną literaturą polską, coraz głębiej „właziłem" w nią, nie tylko tłumaczyłem, ale i pisałem o polskich nowinkach literackich, które pojawiały się u nas w przekładzie na rosyjski.

Ciężko w dwóch słowach powiedzieć, dlaczego polubiłem polską literaturę. Być może dlatego, że jak już powiedziałem wcześniej, polska literatura i sztuka filmowa lat 50. i 60. wywarła na mnie i na ludzi mojego pokolenia ogromny wpływ. „Polska szkoła filmowa", jak nazywali to zjawisko sami Polacy, dla nas była kawałkiem wolności, tym głosem nagiej prawdy, której tak nam brakowało w rodzimej produkcji filmowej. Oto dlaczego, jak myślę, żaden z naszych reżyserów filmowych nie wywarł takiego wpływu na pokolenie lat 60. jak Andrzej Wajda.

Zostawszy tłumaczem, nieustannie obcowałem z polską literaturą, odkrywałem w niej wciąż nowych, nieznanych mi wcześniej twórców, którzy często stawali się dla mnie kimś bliskim, kogo chciałoby się jak najszybciej przetłumaczyć, udostępnić rosyjskiemu czytelnikowi. Jednocześnie traktowałem siebie jak niewolnika literatury, rozumiejąc, że od tego, jak uda mi się przetłumaczyć pisarza, którego polubiłem, zależy jego dalszy los w naszym kraju. Jasne jest, że bardzo często nie udawało się przetłumaczyć i wydać upatrzonej przeze mnie nowinki literackiej. Przecież nad niektórymi polskimi pisarzami przez wiele lat ciążył zakaz publikacji w Rosji.

Wystarczy wspomnieć w związku z tym, że jedna z lepszych powieści powojennej polskiej literatury – *Popiół i diament* Jerzego Andrzejewskiego mógł się pojawić w rosyjskim przekładzie dopiero ponad dwadzieścia lat po polskim wydaniu. „Kuratorom" ze Starego Placu, uważnie kon-

trolującym pojawiające się rosyjskie przekłady polskich nowinek literackich, nie odpowiadała zarówno problematyka Armii Krajowej, poruszana w powieści, jak i sama postać autora, który (z ich punktu widzenia) zachowywał się skandalicznie: podpisywał się pod wszelkiego rodzaju protestami, występował w obronie robotników itp.

Zresztą, wówczas kontakty kulturalne między naszymi krajami osłabły nawet nie tylko dlatego, że ktoś tam gdzieś u nas przeciągał lub odmawiał wydania książek tego lub innego pisarza. Nasze dwustronne związki rozluźniły się, oddaliliśmy się od siebie, według mnie, z powodu narastania jakiejś obojętności, utraty wzajemnego przyciągania, które istniało wcześniej. W rezultacie pozbawiliśmy się wielu osiągnięć w sferze kultury, bez których nasze dalsze zbliżenie jest skrajnie utrudnione. Szczególnie dużo tracą ci, którzy w dalszym ciągu lubią polską literaturę, i ci, którzy zajmują się nią zawodowo.

Kiedyś w sklepie „Drużba" w centrum Moskwy (jego filie działały we wszystkich ważniejszych miastach) można było kupić dowolną polską nowinkę literacką. Nie stanowiło problemu również zaprenumerowanie polskich periodyków – gazet, czasopism. Obecnie cały ten system runął i żadna ze stron nie próbuje nawet czegoś zmienić, naprawić. Całkiem niedawno podszedłem na placu Puszkina do kiosku z gazetami, gdzie dziesięć lat temu często kupowałem „Politykę" i „Życie Warszawy". Teraz ich miejsce w witrynie zajęły gazety „New York Times", „Die Zeit", „Repubblica" itd. Jeszcze szersza oferta zagranicznej prasy znajduje się na ladzie – zrozumiałe, że ten widok cieszy. Nie mogę jednak uwierzyć w jedno: czy rzeczywiście opłakana sytuacja polskiej prasy w Rosji wynika tylko z tego, że obie strony nie mogą dogadać się co do wzajemnych rozliczeń? W efekcie przez ostatnie dwa – trzy lata nie miałem w rękach ani jednej polskiej gazety. Wątpię, czy taki marsz dwóch sąsiednich krajów do „wariantu zerowego" w dziedzinie kultury można określić mianem normalnej sytuacji.

A mimo to powracam do pytania, od którego zacząłem: za co lubię polską literaturę?

Odpowiedzieć na to pytanie (muszę się powtórzyć) jest mi bardzo trudno. Może dlatego, że jak to mówią, miłość jest ślepa.

Jednak w tym, że dawno temu, leżąc w szpitalu, przeczytałem zbiór opowiadań Marka Hłaski, który mnie nadzwyczaj urzekł, widzę zrządzenie losu. Przecież właśnie po tym naprawdę zainteresowałem się i zająłem polską literaturą. Dlatego, być może, że pierwszej miłości nie zapomina się. Jednym słowem uważam, że wówczas powiodło mi się. Obecnie trudno mi nawet wyobrazić sobie, że mógłbym nigdy nie poznać satyry Mrożka, powieści Dygata, prozy Janusza Głowackiego, poezji Herberta, fantastyki Lema, a także będącego klasyką XX wieku *Cesarza* Kapuścińskiego. O ile byłbym uboższy bez tych książek!

НОВАЯ ПОЛЬША 1999, nr 1

Siergiej Łarin *(1926-2002) – tłumacz literatury polskiej, przez wiele lat członek redakcji miesięcznika „Nowyj Mir".*

POLSKI MIT

Opowiadają dawni dysydenci

Niniejsza publikacja powstała na bazie rozmów przeprowadzonych z byłymi radzieckimi dysydentami i więźniami politycznymi. Wywiady przeprowadziła Tatiana Kosinowa (poza wywiadem z Walentinem Pogoriłym, którego autorką jest Sofia Czujkina) w Rosji w latach 1991-96. Początkowo były to rozmowy w ramach programu „Historia ruchów dysydenckich" Petersburskiego „Memoriału" , następnie w ramach samodzielnego projektu „Dialog. Polsko-radzieckie dysydenckie i kulturowe więzi i wzajemne oddziaływania w latach 1950-1980". Powstał on i funkcjonował w dużej mierze dzięki pomocy polskich przyjaciół z Ośrodka Karta, przede wszystkim Piotra Mitznera. Projekt został zrealizowany głównie z jego inicjatywy. Bez zainteresowania strony polskiej, która również widziała w jego realizacji wartość dla historii Polski, mógłby nie zaistnieć. W latach 1994-1995 prace nad projektem były prowadzone dzięki wsparciu finansowemu Fundacji Heinricha Böll a. Do roku 2001 w Rosji i w Polsce zarejestrowanych zostało ponad 100 wywiadów.

Dla kilku pokoleń opozycyjnie nastawionej rosyjskiej inteligencji rozmaite wydarzenia w Polsce miały epokowe znaczenie. Sprawy polskie były z uwagą obserwowane, głośno komentowano wszystkie rewizjonistyczne i antykomunistyczne akcje i wystąpienia, wspólnie przeżywano, wzdychano z zazdrości, rodziła się nadzieja. Działo się tak i w Moskwie, i na Uralu, w obozach w Mordowii i Permie, wśród zesłańców na Kołymie i w miasteczku Ługa leżącym 101 kilometrów od Leningradu.

Publikowane fragmenty relacji dają pojęcie jedynie ułamkowe o „polskim micie" funkcjonującym w czasach radzieckich w społeczeństwie rosyjskim.

T. K.

Lew Lurie:

Pokolenie lat 60. było polonofilskie. W roku 1956 powtórzyła się historia wieku XVII, kiedy to Zachód przenikał do Rosji za pośrednictwem Polski. Golicyn i królewna Sofia byli wówczas rzecznikami przejęcia od Polski zachodnich doświadczeń: Polska miała być swego rodzaju pomostem łączącym Europę i Rosję.

Dzięki temu, że bardzo niepokorna Polska znalazła się w jednym obozie wraz z Rosją, mogły przenikać przez nią różne informacje. Dotyczy to znacznie starszego pokolenia, i ja mogę mówić tylko na podstawie moich bardzo wczesnych wspomnień... Natalia Gorbaniewska, częściowo na pewno Josif Brodski... Lepiej opowiedzą o tych czasach ludzie urodzeni w latach 30. Oczywiście, ja również coś tam pamiętam, ale miałem wtedy dziesięć lat... Pamiętam ogromne zainteresowanie językiem polskim, tygodnik „Ekran". Ojciec uczył się czytać po polsku. Częściowo miało to związek z pracą – był slawistą, ale oprócz tego chodził na filmy Wajdy, czytał „Politykę". Miał kolegów w Polsce. Bardzo ich lubił. Był znacznie większym polonofilem niż ja.

Znałem polskie opowieści, związane z rokiem 1939, z powstaniem warszawskim. Wszystko było oczywiste: Rokossowski nie przyszedł z pomocą, Suworow zdusił powstanie kościuszkowskie... Doskonale pasowało to do tradycji liberalnych. W lewicowej tradycji Polska była oceniana pozytywnie...

Aleksander Ławut:

Jest takie znane powiedzonko: „Polska to najweselszy barak w naszym obozie". Powstało ono wiele, wiele lat temu.

Władimir Poresz:

Zawsze bardzo interesowałem się Polską. Przede wszystkim bardzo lubiłem polskie kino. Oglądałem wszystkie polskie filmy, które wchodziły na ekrany naszych kin. Literatura polska niezbyt do mnie wówczas trafiała, bo nie znam języka polskiego. Oczywiście czytałem klasykę; bardzo mi się podobała. Jest to specyficzny świat, bardzo osobliwy, ze swoją specyficzną uczuciowością. Mnie osobiście jest bardzo bliski wewnętrzny spokój Polaków, polska estetyka. Życie duchowe znam słabiej, szczególnie religijne, ale z polską kulturą, która wciąż jest przetykana nitką katolicyzmu, w ten czy inny sposób jestem obeznany. Polacy mają swoistą intuicję, intuicję w głębokim tego słowa znaczeniu, która jest dla nas bardziej zrozumiała i bliższa niż, dajmy na to, dla Francuza.

Rościsław Jewdokimow:

Mogę powiedzieć, że w moich żyłach płynie jedna czwarta polskiej krwi. A nawet więcej. Moja babcia była z domu Fleming-Makowiecka, a jeszcze wcześniej był jakiś Biellewicz... Ale to tak na maginesie... Nie mogę pochwalić się, jak Sasza Dolinin, specjalnym zainteresowaniem językiem polskim, ale niektóre polskie zdania i wyrażenia tkwią we mnie od najwcześniejszego dzieciństwa. Z tym, bez wątpienia związane są moje własne odczucia. Wydaje mi się, że można to określić jako coś w rodzaju „polskiej brawury", „honoru" – wyjątkowo specyficzne odczucie...

Wiaczesław Dolinin:

Jeżeli w ogóle mówimy o roli, jaką odegrała Polska, polskie wydarzenia, myśl, kultura, ruch demokratyczny oraz o tym, jaki wpływ wywarło to na mnie i na moich znajomych – na pewno nie możemy zaczynać od „Solidarności"...

Byłem dzieckiem, gdy po raz pierwszy obejrzałem film, który mną wstrząsnął. Był to *Kanał* – jeden z pierwszych filmów Andrzeja Wajdy. Miałem wtedy 10 lat. [*Kanał* po raz pierwszy w ZSRR pokazano na Ogólnoświatowym Festiwalu Młodzieży i Studentów w 1957r., na ekrany kinowe wszedł znacznie później. – *Wszystkie przypisy w nawiasach kwadratowych pochodzą od Redakcji*]. Dlaczego zapadł mi głęboko w pamięć? Nagle zrozumiałem, że oglądam prawdę. Dorastaliśmy w czasach, kiedy były wyświetlane filmy o II wojnie światowej, kiedy czytaliśmy o niej książki. Jak wiadomo, w dzieciństwie wierzy się we wszystko. Lecz to „wszystko" wydawało się bardzo jednostronne, potraktowane wąsko, stereotypowo. I nagle zobaczyłem coś zupełnie innego, pokazanego absolutnie inaczej. Czujesz w tym momencie, że właśnie to jest prawdą...

Lew Lurie:

Dla mnie i dla mojego pokolenia, już po roku 1965, Polska to przede wszystkim *Popiół i diament* [film wszedł wtedy na ekrany kin radzieckich; rok później, tzn. dwadzieścia lat po polskim wydaniu, ukazał się rosyjski przekład powieści Jerzego Andrzejewskiego]. Był to film szalenie egzystencjalny; wywarł ogromne wrażenie i odegrał niezwykle ważną rolę dla naszego pokolenia. Mój przyjaciel, poeta Wendel, wymyślił określenie – „pokolenie podniesionych kołnierzyków". Cybulski stał się głównym bohaterem, brutalnym i diabolicznym. Wszyscy bywalcy „Sajgonu" [nieoficjalna nazwa kawiarni na Newskim Prospekcie] starali się za wszelką cenę upodobnić do niego. Nosili ciemne okulary, starali się być urzekająco małomówni, a jednocześnie szorstcy.

Stało się tak dlatego, że był on bohaterski i tragiczny zarazem. I, oczywiście, egzystencjalny. Jego bohater, zderzając się z rzeczywistością, pojmuje, że nie jest w stanie niczego zmienić; on wypełnia tylko swoją powinność i dlatego nie ma na nic wpływu. Jego kryteria nie są etyczne, ale estetyczne. Jego etyka to estetyka, tak bym to określił. Czasowo współgra to z popularnością powieści Camusa, a wszystko razem obnaża beznadziejność funkcjonowania w systemie...

Wiaczesław Dolinin:

Popiół i diament oglądałem wiele razy. Wrażenie wywierał ogromne. Miałem 17 lat – to jest akurat taki wiek, kiedy dokonuje się pewnego rodzaju przełom w świadomości człowieka. Odszedłem w tym czasie od marksizmu. Do tej pory byłem zagorzałym marksistą, czytałem dzieła Lenina, wbrew faktom wierzyłem oficjalnej propagandzie. W tym sensie polska kultura, a polskie kino w szczególności, pomogło mi odzyskać wewnętrzną wolność...

Walentin Pogoriłyj:

To był rok 1974. Chodziłem wtedy do szkoły muzycznej w Żytomierzu. Granica Polski znajduje się tylko 500 kilometrów na zachód – całkiem blisko. W Polsce wychodził tygodnik „Panorama". U nas jego zdobycie graniczyło z cudem, ale mnie się zawsze udawało. Porównywałem to pismo z naszą prasą – stwierdzałem, że czytając je, czuję jakby powiew świeżego powietrza, mogłem odetchnąć pełną piersią. Język polski w tym czasie mniej więcej znałem, ponieważ uczyłem się go z przyczyn osobistych. W „Panoramie" sporo miejsca poświęcano muzyce, co mnie szczególnie interesowało. Poza tym czytałem inne ciekawe artykuły, głównie dotyczące polityki. Mówiły o takich sprawach, o których w naszej prasie trudno było znaleźć choćby wzmiankę, .

Oczywiście, wszystko, co dotyczyło Polski, chłonąłem jak gąbka. Wówczas bardzo trudno było słuchać radiostacji w rodzaju „Swobody" czy „Głosu Ameryki" – praktycznie był to tylko nieustający szum. A Rozgłośnia Polska Radia „Wolna Europa" była słyszalna niemal bez zakłóceń. To było bardzo ważne doświadczenie, dostrzeżenie rozbieżności między tym, co widzisz i słyszysz dookoła, a tym, co mówią inni, z zagranicy. Bazując na tych sprzecznościach, zaczynasz sam myśleć, szukać. I tak się złożyło, że doszedłem do wniosku, iż lepiej jest wierzyć tym informacjom, które docierają do nas z zagranicy, z Polski...

Lew Lurie:

Pierwsze zajścia w Polsce, które pamiętam, to wydarzenia 1968 roku. Poprzedzały one wydarzenia w Czechosłowacji i były bardzo tragiczne. W istocie początek jawnego antysemityzmu w ZSRR – po Wojnie Sześciodniowej – był następstwem wcześniejszego zaaprobowania takich postaw przez Gomułkę. Polska była pierwszym krajem w obozie socjalistycznym, gdzie miały miejsce wystąpienia antyżydowskie. Wśród aktywistów polskiego ruchu studenckiego w roku 1968 było, o ile się orientuję, stosunkowo wielu Żydów. Oficjalna polska propaganda potrafiła nastawić robotników przeciwko studentom dzięki antysemityzmowi, który w Polsce tradycyjnie był bardzo silny. Oprócz tego wplątanie się w tym samym roku Polaków pod wodzą Gomułki w historię czechosłowacką także było znamienne. To wszystko sprawiło, że u nas nastąpiło rozczarowanie co do Gomułki, którego wcześniej idealizowano, i jednocześnie rozczarowanie co do Polski jako takiej.

W ten sposób na długie lata Polska, oprócz Lema i Wajdy, a także Jerzego Kawalerowicza i Beaty Tyszkiewicz, wypadła z kręgu naszych zainteresowań. Dodatkowo, w latach 70. nastąpiło odprężenie w stosunkach międzynarodowych, zaczęli przyjeżdżać obcokrajowcy; bezpośrednie kontakty z Amerykanami, Francuzami, Anglikami sprawiły, że Polska nie była już niezbędna jako pomost na Zachód... Wiem, że w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych w ZSRR było bardzo wielu polonofilów. W moim otoczeniu, oprócz poetki Leny Szwarc, która zawsze naśladowała starsze pokolenia, oni nie

występowali. Polską nie interesował się ani Witia Kriwulin, ani znajomi dysydenci, ani nikt z bywalców „Sajgonu"...

Wiaczesław Dolinin:

W „Klubie 81", w otoczeniu Borysa Iwanowicza Iwanowa, w redakcji [niezależnego] czasopisma „Czasy", ogólnie mówiąc w środowisku kulturalnym, niemałe było zainteresowanie kulturą polską. Tłumaczono i drukowano w nim utwory polskich autorów, które oficjalnie nie mogły być w naszym kraju publikowane. Nieco później można było je znaleźć także w czasopiśmie tłumaczy „Priedłog". Przede wszystkim utwory Mrożka.

Mrożek jako autor nie był wówczas znany radzieckim czytelnikom [dokładnie – był mało znany; w latach 60. jego utwory można było przeczytać w czasopiśmie „Polsza", a czasami udawało się je opublikować i w radzieckich czasopismach], a w „Czasach" był drukowany...

Władimir Poresz:

Już w połowie lat 70. byłem, a teraz tym bardziej jestem przekonany, że kontakty z Polską mają u nas przyszłość. Mogą być znacznie owocniejsze i ciekawsze niż kontakty z właściwym Zachodem.

Jednak wtedy, w latach 70., takie kontakty jakoś nam się nie udawały, choć dążyliśmy do nich. Zawsze powtarzałem na naszym seminarium, że należy szukać kontaktów z krajami socjalistycznymi. I Polska powinna być na pierwszym miejscu; w Czechosłowacji nie ma wielu katolików, a protestanci nie są nam tak bliscy. Tymi, z którymi powinniśmy współdziałać, są właśnie polscy katolicy. Wiedzieliśmy, że Kościół w Polsce jest w innej sytuacji niż u nas, że jest niezależny od państwa. Kiedy Papieżem został Polak, poczuliśmy, że to nowa epoka w historii Kościoła. Na naszym seminarium do Papieża mieliśmy zawsze głęboki szacunek. Prawosławni duchowni nas nie odwiedzali, ale katoliccy owszem. Przyjeżdżali do nas duchowi przywódcy litewskiej opozycji. Maszynę do pisania też kupiliśmy za pieniądze otrzymane od katolików.

Walerij Ronkin:

Do końca lat 80. nie spotkałem się z żadnym Polakiem. Po wyjściu z obozu mieszkałem w Ludze. I, choć to niedaleko od Leningradu, byłem odcięty od świata. „Oni" doskonale wiedzieli, co robią, nie pozwalając wrócić do stolicy.

Dopiero w roku 1989 w Moskwie, w mieszkaniu Larisy Bogoraz spotkałem się z Adamem Michnikiem. W tamtych czasach moglibyśmy być w jednej grupie, jesteśmy w podobnym wieku. Zaczynaliśmy też podobnie. Zrobił na mnie całkiem przyjemne wrażenie. Troszkę powspominaliśmy stare czasy, troszkę porozmawialiśmy o teraźniejszości. Trudno mu było uwierzyć, że może chodzić po Moskwie bez kajdanków *(śmieje się)*, że siedzi w mieszkaniu Larisy.

Larisa Bogoraz:

Michnik bardzo mi się spodobał, kiedy go lepiej poznałam. Przekonałam się, że jest to całkowicie „swój" człowiek, zupełnie jakby „z jednej kuchni" *(śmieje się)*. To było w roku 1989. Razem z Wajdą wystąpili w Instytucie Historii i Archiwistyki. Samego wystąpienia nie pamiętam. Pamiętam natomiast rozmowy prowadzone u mnie w domu. Nie dotyczyły one jakiejś konkretnej sprawy, ot, po prostu wrażenia i odczucia dotyczące tamtych czasów, dogadywaliśmy się bez problemów...

Wiaczesław Dolinin:

Chyba w 1976 roku po raz pierwszy wpadła mi w ręce paryska „Kultura". Przejrzałem wtedy kilka numerów. Byłem zaszokowany, ponieważ zobaczyłem, jak wiele uwagi Polacy poświęcali problemom radzieckim. Okazało się, że zarówno polska emigracja, jak i polska opozycja uważnie śledzą, co się u nas dzieje; demokratyczna Polska jest bardzo zainteresowana tym, żeby demokratyzacja nastąpiła i u nas. Wspólnota interesów była jasna i dla Polaków i dla nas.

Nikołaj Obuszenkow:

Ze słyszenia wiem, że liczne kontakty z Polakami miał jeden z członków naszej grupy – Wadim Kozłow. Przede wszystkim ze studentami, mieszkającymi w akademikach. Kiedy się poznaliśmy, wiosną 1956 roku, całkiem swobodnie czytał po polsku, zachwycał się polskimi pismami i literaturą. Szczególnie interesowała go postać Wiktora Woroszylskiego, jako najbardziej radykalnego przedstawiciela polskiej inteligencji.

Władimir Mieńszykow:

Mój kontakt z Polakami sprowadzał się początkowo do tzw. spraw damsko-męskich. Pewna dziewczyna, za którą kiedyś się uganiałem, postanowiła odnowić znajomość po moim powrocie do Moskwy po rocznej pracy w nadamurskiej wiosce. Lecz nie była sama – miała nowego kawalera, polskiego studenta. Znając dokładnie moje poglądy i przekonania, zaprosiła mnie na spotkanie z redaktorem naczelnym młodzieżowego pisma „Po prostu" – Eligiuszem Lasotą. Spotkanie odbyło się w jej pokoju w uniwersyteckim akademiku. Przyszło z nim dwóch młodych ludzi, ja przyprowadziłem kilka osób z kółek, które wówczas prowadziłem. Opowiedziałem o naszej grupie, co było dla nich bardzo interesujące – oto w bastionie komunizmu pojawiła się nielegalna grupa, działająca w podziemiu! O sobie również opowiadali. Działali całkiem legalnie, choć demokratyzm 1956 roku chylił się już ku upadkowi. Lasota był posłem na Sejm, wspólnie wydawali pismo, w istocie opozycyjne. Później, wiosną 1957 roku przed festiwalem Lew Krasnopiewcew pojechał do Polski jako członek delegacji studentów radzieckich. Miał moją rekomendację do redakcji „Po prostu". Wszystko poszło pomyślnie, spotkał się z Lasotą i innymi działaczami. Powstała między nami bardzo bliska więź, zawarliśmy porozumienie o wymianie literackiej. Lasota otrzymał od Lwa artykuł *Rosyjskie ruchy rewolucyjne w latach 1831-1917*. Materiały do publikacji były przekazywane „po znajomości". Kanałem naszej łączności była przez cały czas moja oddana przyjaciółka, Lija i jej mąż Ernest Skalski.

Rościsław Jewdokimow:

Członkowie SMOT* również mieli kontakty z Polakami. Przede wszystkim, niektórzy z nas otrzymywali niezależną polską prasę, tłumaczyli teksty, które następnie drukowaliśmy w naszym „Biuletynie Informacyjnym". Poza tym dostawaliśmy z Polski wiele przesyłek z lekarstwami. W końcu, po 1980 roku, nasze kontakty nabrały trójstronnego charakteru: SMOT – „Solidarność" – NTS. Wydawnictwo „Posiew" wydało specjalną broszurę (we współpracy z Polakami), poświęconą „Solidarności" i SMOT. Przedstawiono w niej dwa niezależne związki zawodowe, ich statuty i materiały programowe, problemy, z jakimi się spotykają, oraz dane o aresztowaniach.

Walentin Pogoriłyj:

Około listopada 1978 roku dojrzałem do tego, żeby przejść przez polską granicę. Koniecznie chciałem dotrzeć do zorganizowanych grup nastawionych antykomunistycznie. To była moja *idée-fixe*. Doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, że jeszcze jestem bardzo młody, nic nie wiem, niczego nie umiem i muszę koniecznie zdobyć jakieś doświadczenie, informacje, poparcie. Byłem przekonany, że właśnie to wszystko zdobędę w Polsce. Jak to zrobić – miałem o tym bardzo mgliste pojęcie. Liczyłem na łut szczęścia i improwizację. Oczywiście nie chciałem emigrować na zawsze. Jak można myśleć o emigracji w wieku 17 lat?

[W listopadzie 1978 roku Pogoriłyj podjął próbę przekroczenia polskiej granicy w rejonie Krakowca – obwód lwowski. Został aresztowany przez WOP i przekazany władzom radzieckim].

Władimir Sytinski:

W 1984 r. spotykałem się w Pitrze z Polakiem, niejakim Zbigniewem. Przyjechał z Berlina Zachodniego, przedstawił się jako członek kierow-

*SMOT (Swobodnoje Mieżotroslewoje Objedinenije Trudiaszczichsia – Wolny Międzyresortowy Związek Pracjwników), dysydencki zalążek niezależnych związków zawodowych.

nictwa „Solidarności" Regionu Mazowsze. Dogadaliśmy się w sprawie dalszych kontaktów. Niestety, na tym się skończyło, bo wkrótce zostałem aresztowany...

Siergiej Chachajew:

Nie, nie. W 1981 roku absolutnie nie chciałem jechać do Polski. Dlaczego? Po prostu czułbym się tam obco. Cały ten ruch nosił absolutnie specyficzny, polski charakter, zwłaszcza w początkach lat 80. Wszystkie rozruchy w byłych krajach socjalistycznych były związane z ostrymi antyrosyjskimi nastrojami i jednoczyły się na bazie walki z ZSRR i głoszeniu haseł o rosyjskich zagrożeniach. Sasza Skobow głosił idee ucieczki do Polski. Ale to jest już sprawa wieku. Ja miałem 40 lat, nie była to jeszcze starość, ale też nie było to 20 lat.

Łarisa Bogoraz:

My z kolei nie próbowaliśmy nawiązywać kontaktów z Polakami. Z Czechami również nie. Jeżeli zawiązywały się jakieś pojedyncze kontakty, nie były one zacieśniane, nie było wymiany między ludźmi. A mogła być. Gdyby nasz ruch dysydencki zjednoczył się z ich ruchem – co było możliwe – antyrosyjskie nastroje nie grałyby żadnej roli. Po prostu nie istniałyby. W tym czasie na Ukrainie były takie nastroje. Dążenia wolnościowe Ukraińców, działalność inteligencji i ludzi kultury zjednoczyły się z rosyjskim ruchem dysydenckim. Tak samo na Litwie. Z Polską tak też mogłoby być. Wielkim błędem było, że nie nawiązaliśmy kontaktów z Polakami. Jasne, że byliśmy na to zbyt słabi. Nie dlatego, że nie docenialiśmy wagi problemu, ale dlatego, że nie czuliśmy, że realnie może tak się stać. Dopiero teraz rozumiem, jak to było ważne i potrzebne.

Walerij Ronkin:

Możliwe, choć dokładnie tego już nie pamiętam, że o wydarzeniach końca lata 1980 roku w Polsce przeczytałem najpierw w prasie radzieckiej. Każdy człowiek w miarę inteligentny mógł w tym czasie, czytając naszą prasę lub słuchając „Głosu Ameryki", o wszystkim się dowiedzieć. Trzeba było tylko uważnie wczytać się i wsłuchać w teksty. Częściowo źródłem informacji były również różne pogłoski, ale prasa radziecka sama wystarczająco szczegółowo o wszystkim informowała.

Arkadij Curkow:

W 1980 roku siedziałem w obozie w Permie, w zonie 37. Początkowo sądziliśmy, że zajścia w Polsce to pojedyncze protesty i akcje antyrządowe, ponieważ wiedzieliśmy tylko o strajkach. Jednak chyba w lutym 1981 roku Jurij Orłow, z którym w tym okresie siedziałem w jednej celi w PKT [pomieszczenie pełniące rolę celi więziennej; wewnątrzobozowe więzienie, w którym umieszczano ukaranych więźniów na okres do 6 miesięcy], powiedział mi, że w Polsce dokonuje się rewolucja. Później, kiedy niektórzy współwięźniowie opowiadali, że Polacy działają podstępnie, odpowiadałem im, że rewolucja nie czeka, rewolucja działa. Twierdzili tak Gleb Jakunin i Anatolij Koriagin, a nawet i sam Orłow. Omawialiśmy później z dużym zainteresowaniem wydarzenia każdego dnia. Oceny nasze zmieniały się.

Wydarzenia w Polsce wywoływały żywy oddźwięk. „Solidarność" rosła w siłę, pokonywała przeszkodę za przeszkodą. Bardzo mnie to cieszyło. Później, w Czystopolu, gdy siedziałem w jednej celi z Anatolijem Szczaranskim, usłyszałem, że „Polacy w październiku 1981 roku powinni byli zwolnić tempo, wziąć na razie to, co im wówczas dawano". Ja byłem przeciwnego zdania. Podobało mi się hasło, które sformułowano w maju roku 1968 na Sorbonie: „Bądźcie realistami – żądajcie niemożliwego!"

Wiaczesław Dolinin:

Ze szczególną uwagą obserwowano wydarzenia polskie na Litwie. Miałem wówczas okazję spotkać się z wieloma Litwinami. Mówili, że cała Litwa w napięciu słucha polskiego radia, jako że społeczność polska jest u nich bardzo liczna. To też był powód, dla którego Litwa, bardziej niż jakakolwiek inna republika, interesowała się rozwojem sytuacji w Polsce i sympatyzowała z „Solidarnością".

Lew Lurie:

Rozkwit „Solidarności" nastąpił u schyłku ruchów dysydenckich. Oczywiście, wszystkie wydarzenia przeżywaliśmy na równi z Polakami, ale ze znacznie mniejszym zaangażowaniem niż w przypadku Czechosłowacji. Nawet nie można tego porównywać. Po pierwsze nie byliśmy okupantami, po drugie był to ruch robotniczy. Do tego czasu, mówiąc z grubsza, masowy ruch w zasadzie nie był przez nas brany pod uwagę. Chcę przez to powiedzieć, że ruch robotniczy był oceniany negatywnie: uważano, że jest to rodzaj „bezmyślnego i okrutnego buntu". Chociaż zastanawiało, że Polacy byli tak doskonale zorganizowani. Rozmawialiśmy o tym – u nas nie było podobnego związku i dlatego taka demokratyzacja w naszym kraju nie mogła nastąpić.

Aleksander Ławut:

W sierpniu 1980 roku siedziałem w Butyrce. Mogłem tam regularnie czytać gazety. Pojawiła się nikła nadzieja, że to, co się dzieje, zakończy się tym razem sukcesem. Przecież w Polsce takie rozruchy miały miejsce regularnie – w 56 roku był Poznań, w 1970 obalono Gomułkę itd.

Obawiałem się powtórki wariantu czechosłowackiego – wkroczenia naszych wojsk, tym razem do Polski. Jednak miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie. Przede wszystkim dlatego, że na Czechosłowacji mocno się sparzyliśmy. Były niebezpieczeństwa, ale nadzieja była również. I to ona zwyciężyła – ingerencji w polskie sprawy właściwie nie było. Była za to radość, że protesty przynoszą efekty. Śledziłem rozwój sytuacji w Polsce, potem, już w obozie zbierałem nawet wycinki z gazet.

Georgij Jermakow:

Dla mnie początek polskich rozruchów był dramatem. Sytuacja przygniatała mnie, na nas były ciągle wywierane naciski ideologiczne. Zdarzało się, że zwołują ogólne zebranie: „Wysłuchajcie wystąpienia KC KPZR", a wszyscy – głowy w dół. Wzywają: „Podnoście wydajność pracy!" Nie mogłem w tym wszystkim znaleźć dla siebie miejsca. Coś chciałem zrobić. Czas płynie, szybko minie, a później będę żałował, że nic nie zrobiłem... I wtedy zacząłem pisać wiersze – zawsze miałem do tego ciągotki. Wiersze układałem sam, czasem przerabiałem zasłyszane gdzieś w towarzystwie, przyśpiewki. Przelewałem moją twórczość na papier i posyłałem do redakcji ważniejszych gazet i periodyków, a także do większych zakładów pracy. Później brałem z tablic ogłoszeniowych o zamianach mieszkań adresy i wysyłałem tam kartki pocztowe z wierszami.

O Polsce pisałem także prozą; pisałem, że „popieramy was, zazdrościmy wam «Solidarności», której my nie mamy". W tym czasie posługiwałem się pseudonimem „Udawkin". Zdarzyło się jednak coś, co mnie bardzo zabolało. W Sokolnikach była wystawa, w której Polska brała udział. Wystawiała jakieś narzędzia. Chodząc i oglądając kolejne stoiska, niepostrzeżenie podłożyłem karteczkę ze swoim wierszykiem, tak, żeby znaleźli ją polscy przewodnicy. I rzeczywiście znaleźli mój wierszyk – ale zanieśli szybciutko na Łubiankę. Zostałem zatrzymany. Śledczy ze złośliwym uśmieszkiem zwrócił się do mnie: „ No cóż, staraliście się. Byliście nawet na wystawie. A ot, Polacy sami nam to przynieśli".

Wiaczesław Dolinin:

Biorąc pod uwagę to, że razem z Rościsławem Jewdokimowem w tym akurat okresie byliśmy redaktorami biuletynu SMOT, polskie wydarzenia roku 1980 interesowały nas szczególnie. Blisko współpracowaliśmy z NTS. Wydali wtedy zbiór materiałów o SMOT i „Solidarności". Oczywiście, numer w 95% był poświęcony „Solidarności", a tylko w 5 – SMOT. I chociaż nawet to nie oddaje w pełni stosunku sił w obu związkach – w „Solidarności" było ponad 10 milionów ludzi, a w SMOT – tylko 300 osób, to nasze władze przestraszyły się. Po aresztowaniu nas przesłuchujący wciąż mówili: „nie pozwolimy wam utworzyć u nas «Solidarności»!" Lwa Wołochonskiego z przekąsem nazywali ciągle „Lechem Wałęsą". Za

ich niby żartami skrywał się prawdziwy strach. Rzeczywiście żywili oni poważne obawy, że powstanie u nas silny ruch związkowy i doświadczenia, które zdobyła „Solidarność", zostaną wykorzystane przez robotników i wszystkich ludzi pracy. Niestety, ówczesna klasa robotnicza w ZSRR nie dojrzała do stworzenia tak silnego ruchu związkowego.

Siergiej Chachajew:

Nie mam moralnego prawa mówić obecnie o wpływie tamtych wydarzeń, nie byłem człowiekiem, który twierdził: moje miejsce jest tam. Jeśli na grupę Skobowa i Reznikowa wydarzenia w Polsce w 1980 roku wywarły jakiś wpływ, to nasza w tym czasie nie robiła już nic. I nawet nie zachęciło nas to do napisania jakichkolwiek prac teoretycznych. Tylko Mołostwow obserwował te wydarzenia. Pamiętam dobrze nasze spory na ten temat; twierdził, że to, co wydarzyło się w Polsce, jest potwierdzeniem marksistowskich teorii.

Oczywiście, mieliśmy do tego bardzo sceptyczny stosunek, ponieważ dla nas nie był to, pomimo całej euforii, ruch czysto robotniczy. Jasne, że ruch robotniczy mógł osiągnąć sukces jedynie we współpracy z wszystkimi siłami demokratycznymi w kraju. I właśnie niechęć do stworzenia takiego sojuszu umożliwiła Jaruzelskiemu dokonanie przewrotu wojskowego.

Do wydarzeń w Polsce nie podchodziłem emocjonalnie dlatego, że przeżyłem już wiele rozczarowań i nie miałem sił na to, żeby cieszyć się z Polakami, choć nie uważałem, iż jest to przedwczesne. Mówiłem nawet, że robotniczych postulatów jest zbyt mało i że nie zmienią oni istniejącego systemu. Jedynym wyjściem było zniszczenie całego systemu. Nie przypuszczałem, że samym robotniczym buntem uda się tego dokonać.

Wiaczesław Dolinin:

Cieszyliśmy się z sukcesów „Solidarności". Przed nami i przed „Solidarnością" było wspólne zadanie. I mieliśmy obowiązek wspierać się nawzajem i uczyć się jedni od drugich. Wspólna sprawa – demokratyzacja i obalenie komunizmu. Rozumieliśmy doskonale, że dopóki istnieje komunistyczna dyktatura, dopóty o żadnych niezależnych związkach zawodowych nie ma mowy. Człowiek pracy zawsze będzie niewolnikiem państwa.

Walerij Ronkin:

W Polsce zostało zrealizowane to, o czym marzyliśmy. Wydarzenia w Polsce dla mnie osobiście były potwierdzeniem mojego punktu widzenia: że klasa robotnicza i ruch robotniczy są gwarancją demokracji i głównym motorem postępu. Wszystko to, co działo się w Polsce, wyzwalało pozytywne emocje – przede wszystkim system się chwieje, upada. Ale też obawę o Polaków. Strach, ponieważ w naszej prasie wyraźnie można było przeczytać, że sowieccy bonzowie nie cofną się przed niczym. Jeżeli przykręcili śrubę w Czechosłowacji, to co tam dla nich Polska? Rozumieliśmy jednocześnie, że Polacy, w przeciwieństwie do Czechów (literatura to poważna sprawa, Czesi mają w sobie coś ze Szwejka, można o nich pomyśleć i powiedzieć, że będą strugać wariata, ale za broń nie chwycą) chodzili z szablami na hitlerowskie czołgi. Było absolutnie pewne, że Polskę trzeba będzie raczej zetrzeć z powierzchni Ziemi.

Z drugiej strony myśleliśmy, że władze ZSRR również są w stanie ocenić, jakie byłyby konsekwencje interwencji. Dlatego przewrót wojskowy Jaruzelskiego przyjęliśmy z mieszanymi uczuciami: z jednej strony była krew i siłowe rozwiązania, ale z drugiej – nawet z naszej prasy można było się tego dowiedzieć – w Polsce pozostał duży margines wolności, nie dla rozwiązania wszystkich problemów, a dla dalszego rozwoju.

Arkadij Curkow:

Na ten temat napisałem „kobyłę". 30 października 1981 roku obchodzony był Dzień Więźnia Politycznego. Tradycją tego dnia jest pisanie politycznych protestów, przeprowadzanie głodówek i innych akcji protestacyjnych. Kilka dni wcześniej, 18 października, zdjęto Kanię ze stanowi-

ska pierwszego sekretarza PZPR i wybrano Jaruzelskiego. A 21 października „Solidarność" przeprowadziła jednodniowy strajk ostrzegawczy. W swoim liście do generalnego prokuratora ZSRR napisałem: „W Polsce PZPR kroczy od jednej zmiany organizacyjnej do drugiej, a «Solidarność» od sukcesu do sukcesu. Upadek PZPR jest nieunikniony. Nieuchronnie stanie się tak i u nas. Oczywiście, polską rewolucję możecie zatrzymać siłą oręża, ale wcześniej czy później takie wydarzenia ogarną również i Rosję. I o ile w Polsce moglibyście pokonać bagnetami te 2/3 pracowników (czyli 10 milionów ludzi), to pokonać w ten sposób 2/3 ludzi pracy (a więc około 70 milionów osób) w ZSRR jest niemożliwe – nie starczy wam bagnetów. Przy okazji – czy jesteście pewni, że wszystkie bagnety będą wasze?"

Łarisa Bogoraz:

Podczas rozruchów w Polsce ciągle słuchaliśmy radia, wszystkie informacje docierały do nas za pośrednictwem radia „Swoboda". Co wieczór Anatolij Tichonowicz Marczenko siedział z uchem przyklejonym do odbiornika radiowego. Inaczej być nie mogło. Rozumiecie sami, że dla niego była to walka o wyzwolenie kraju. Był bardzo niespokojny, że rzeczywiście wojska wkroczą do Polski. Wszystko razem budziło ogromne obawy, bo doskonale rozumieliśmy, że sprawy mogą przybrać znacznie gorszy obrót niż w Czechosłowacji, że krew poleje się strumieniami.

Cóż jednak mógł zrobić? Napisał artykuł, ale nie zdążył go opublikować. Rękopis artykułu w protokole rewizji jest opisany następująco: „Zaczyna się od słów: «Czy sowieckie czołgi wejdą do Polski?»" To jeden z dziewięciu punktów oskarżenia Anatolija w sprawie z roku 1981.

Nie czytałam artykułu, wiem tylko, że został napisany jesienią 1980 roku, tuż przed aresztowaniem. Z jakichś przyczyn Marczenko zajmował się równolegle dwoma tematami: wydarzenia w Polsce i powstania w obozach sowieckich.

Rościsław Jewdokimow:

W latach 80. były akcje poparcia dla Polaków. Ulotki, zebrania, listy, wystąpienia poszczególnych osób i całych grup. Nie było akcji masowych, bo po prostu nie mieliśmy takich możliwości. Jednak ulotki i tym podobne działania firmowane przez SMOT lub inne organizacje, aż do pełnych błędów napisów na podmurówkach, do dosłownie „parkanowej twórczości" – takich akcji było całe mnóstwo.

Władimir Sytinski:

Mój przyjaciel Walerij Sulimow wydał wspólnie z Irą Curkową dwa zbiory materiałów *Polska o sobie*, które myśmy powielali i rozpowszechniali. Powstały one na podstawie artykułów opublikowanych w polskiej prasie partyjnej, oceniających wydarzenia w kraju. Były tam zamieszczone porozumienia z Gdańska i Szczecina oraz wywiad z Wałęsą. Sulimow sam tłumaczył je na rosyjski. Działo się to w latach 1981-1982. Wiedzieliśmy, że po 13 grudnia 1981 roku „Solidarność" nadal istniała. Wiedzieliśmy również, że „jeszcze Polska nie zginęła", chociaż próbowano nas przekonać, że „zginęła".

Radio informowało o wielkim proteście górników. I 1 maja zwracaliśmy na to uwagę, krzycząc „Solidarność!" zarówno w 1982, jak i 1983 roku. Krzyczeliśmy tak w mieszkaniach, w lasach – wszędzie. Zwracaliśmy uwagę, podkreślaliśmy jej istnienie. Nie mogliśmy wołać otwarcie, choć zdarzało się tak na placach, jednak było to z przyczyn oczywistych rzadkie.

Wiaczesław Dolinin:

W naszych aktach oskarżenia były rozpowszechniane przez nas materiały o „Solidarności". Głównie odezwa, w której „Solidarność" wzywała narody wszystkich państw komunistycznych do walki z reżimem [apel I Zjazdu „Solidarności" do ludzi pracy w ZSRR i Europie Wschodniej]. Wydrukowaliśmy je w „Biuletynie Informacyjnym" SMOT i bezpieka nie mogła nam tego darować. Dużo materiałów na tematy polskie było publikowanych w czasopiśmie „Suma". Kiedy wprowa-

dzono w Polsce stan wojenny, SMOT wydał specjalną odezwę. Razem z Jewdokimowem zredagowaliśmy w imieniu SMOT protest przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego.

Mieliśmy nadzieję, że tak silna organizacja jak „Solidarność" będzie potrafiła przeciwstawić się wojsku. Jednak przecenialiśmy jej możliwości. Myśleliśmy, że Polska szybko wyjdzie z kryzysu, który powstał po wprowadzeniu stanu wojennego, ale okazało się, że proces ten przebiega bardzo powoli.

Rościsław Jewdokimow:

Kiedy wprowadzono stan wojenny, a właściwie tuż przed nim, wpadła nam w ręce jakaś informacja o planach naszych wojskowych. Dotyczyła ona konkretnie ruchów wojsk sowieckich rozmieszczonych na terytorium Polski, na wypadek niepożądanego dla komunistycznych władz rozwoju wypadków w Polsce. Udało się przekazać te dane Polakom i w ten sposób uprzedziliśmy wprowadzenie planu w życie.

Aleksander Skobow:

Istnienie SMOT pod takim szyldem przedłużyło się właśnie dzięki wydarzeniom w Polsce. Jak pamiętam, w 1980 roku władze naszego związku były przekonane, że u nas ruch związkowy nie ma żadnych środków ani możliwości, żeby działać, i dlatego miały wątpliwości co do sensu utrzymywania SMOT. Jedyny sens widziały w tym, że istnienie związku oddziałuje na Zachód – jest to swego rodzaju zalążek ruchu związkowego, który tak naprawdę jeszcze nie istnieje. W tym czasie SMOT prawie nie różnił się od zwykłego prowincjonalnego stowarzyszenia dysydenckiego, próbującego, wśród innej działalności, aktywniej zbierać informacje o problemach zwykłych ludzi.

Polska znowu dała nadzieję. A więc jednak można coś zrobić. Powinniśmy, nie patrząc na nic, chronić nasz sztandar, dopóki wokół niego nie zgromadzą się tłumy. Polskie wydarzenia dawały bardzo mocny bodziec, tchnęły nowe życie w naszą działalność, stłumioną przez czasy, w jakich żyliśmy. Sam aktywnie włączyłem się w działalność SMOT, ci ludzie stali mi się bliscy.

Po grudniu 1981 roku główne idee SMOT były bardzo bliskie „Solidarności". Opierały się na przekonaniu, że ludzie mogą sami zorganizować się i w ten sposób stworzyć struktury obalające totalitarne reżimy. Jeśli zjednoczą się w niezależne związki i będą działać w sposób niezależny, to ludzie ze struktur oficjalnych w sposób naturalny przejdą do nich, a struktury reżimowe upadną. W Polsce było to możliwe do osiągnięcia, dlatego, że ruch był masowy. U nas zaś tylko przepiękna idea nieuczestniczenia w niczym oficjalnym, państwowym. Wiosną 1982 roku w towarzystwie Wołochonskiego pojechałem na wyrąb lasu w obwodzie nowogrodzkim. Była to próba zrealizowania naszego marzenia o zebraniu ludzi podobnych do nas, oddzieleniu się od obcych środowisk i w miarę możności ukróceniu kontaktów i związków z reżimowymi strukturami.

Arkadij Curkow:

13 grudnia 1981 roku siedziałem z Anatolijem Szczaranskim w jednej celi w Czystopolu. Wtedy dowiedzieliśmy się o wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego. Początkowo rozgrzewała nas nadzieja, że te 10 milionów członków „Solidarności" pokonają komunistów i powstanie coś nowego, oczywiście, pod warunkiem, że nie będzie interwencji wojsk sowieckich. Wiele godzin siedzieliśmy przy radioodbiorniku, czekaliśmy na informację, że sytuacja zmienia się... I nic... Wtedy zrozumieliśmy, że jeżeli przewrót udało się z powodzeniem przeprowadzić w ciągu jednego dnia, to znaczy, że system zwyciężył na długo...

Byłem przygnębiony. Anatolij uspokajał mnie: nic się nie stało, to przecież nie pierwsze nasze rozczarowanie... Byliśmy bardzo rozgoryczeni. Nie wiedziałem wtedy, że do początku końca socjalizmu zostało tylko 45 dni: w styczniu 1982 roku zmarł lub się powiesił Semion Cwigun, jeden z zastępców Andropowa, po nim zmarł Susłow. Rozpoczęła się huśtawka dymisji i śmierci, która wyniosła na stanowisko sekretarza generalnego KPZR Gorbaczowa. A później rozpadł się cały ten socjalizm.

Aleksander Skobow:

Po aresztowaniu Wołochonskiego, na początku grudnia 1982 roku rozpocząłem przygotowania do akcji wypisywania politycznych haseł na ścianach budynków. Poinformowałem o tym Moskwę, skąd po otrzymaniu ode mnie sygnału, miała być przekazana informacja na Zachód. Teksty haseł były bardzo proste: „Uwolnić więźniów politycznych!", „Uwolnić Wołochonskiego!", „«Solidarność» żyje!". Reżim Jaruzelskiego wówczas przechwalał się sukcesami w walce z podziemiem solidarnościowym, co oczywiście było bzdurą. Jednak takie informacje bardzo chętnie były przedrukowywane przez naszą prasę, oświadczano głośno, że żadne „podziemie" już nie istnieje.

Akurat, może u was – „nie istnieje", ale u nas jest. I wszystkie te hasła były podpisane przez SMOT. Wszędzie widać było „SMOT". A to, że ktoś nie wie, co to takiego – nieistotne; niech sami myślą, że jest organizacja podziemna, jakiś tam „SMOT".

Konkretnego planu nie mieliśmy (ze mną współpracowała jeszcze jedna dziewczyna); ot, wypisaliśmy te hasła w wielu miejscach w centrum miasta – dziesiątki takich napisów, niebieską farbą w aerozolu. Było to w nocy z 12 na 13 grudnia 1982 roku. Po tygodniu, 20 grudnia, zostałem aresztowany. Nie wiem, dlaczego czekali cały tydzień. Dla nikogo nie było tajemnicą, że to moje dzieło. Jednak nie chciałem im pomagać – tak wszystko zorganizowałem żeby nic nie znaleźli. I nie znaleźli najmniejszego nawet śladu.

Lew Lurie:

Pamiętam, że napisałem wiersz na czyjeś urodziny; były tam między innymi takie wersy:

„Dobrego w pismach wciąż mniej,
A złego – coraz więcej.
Piszą, że umarł towarzysz Pelsze,
I znowu rozruchy w Polsce."

Tak, „znowu rozruchy". To początek lat 80. Nie mogę zaprzeczyć – było to wydarzenie, które interesowało wszystkich. Jednak w tym samym czasie był Afganistan. I ostatnie natarcie na dysydentów. To wszystko razem jakby zlewało się, traciło swą ostrość... Baliśmy się o siebie: w rzeczy samej, jeżeli nasze wojska weszłyby do Polski, sytuacja w kraju byłaby znacznie gorsza. Wszyscy bali się wkroczenia radzieckich wojsk. Wprowadzenie stanu wojennego, nie patrząc na dramatyczną walkę górników na Śląsku, wydawało się jednak mniejszym złem niż interwencja wojskowa. Tym bardziej, że zaczynało już pachnieć wojną światową. Wszyscy mówili przede wszystkim o „czasie przelotu". Początek lat 80. był z tego słynny.

Wiadomo, że skrzydlate rakiety typu „Cruise" mogły zniszczyć podziemne schrony przeciwlotnicze. Osiągały cel w ciągu 6 minut, a więc nie było najmniejszych szans na ewakuację. I dlatego nie tylko sowiecki wywiad, ale i wszyscy pozostali tak zawzięcie sprzeciwiali się rozmieszczaniu rakiet średniego zasięgu. Jak wiadomo, Amerykanie w 1982 roku, tuż po dojściu Reagana do władzy, oznajmili, że wcale nie zamierzają zaprzestać swojej działalności. Nie miejcie żadnych wątpliwości – nastąpiło drugie apogeum „zimnej wojny".

Aleksander Skobow:

Prawdopodobnie dla każdego pokolenia dysydentów jakieś jedno wydarzenie było ważne i znaczące. Dla pierwszego pokolenia takim wydarzeniem była rewolucja na Węgrzech w 1956 roku, dla następnego – Czechosłowacja 1968 roku; moje pokolenie tego nie pamięta, urodziłem się rok po rewolucji węgierskiej. W podświadomości wszystkich walczących z istniejącym systemem zawsze było silne przekonanie, że ustrój ten jest wieczny i że nie ma takiej siły, która mogłaby go obalić. A zatem walka jest bez sensu. Obciążało to psychicznie wszystkich. Dlatego właśnie dla każdego pokolenia wystąpienia przeciwko systemowi w jednym z państw należących do obozu socjalistycznego miało ogromne znaczenie: dawało przykład, że mimo wszystko „podgryzamy" reżim.

A skoro jest to możliwe u nich, to również i u nas. I dlatego dowolne wystąpienie przeciwko systemowi komunistycznemu w jakimkolwiek kraju bloku socjalistycznego wywoływało życzliwość czy entuzjazm wśród naszych dysydentów. Było to coś bardzo drogiego, naszego.

Rościsław Jewdokimow:

Jeżeli mówimy o stosunku większości społeczeństwa do polskich wydarzeń z lat 80, to było to widać w rozmowach prowadzonych w najróżniejszych kręgach, i wśród osobników spod kiosku z piwem, i wśród taksówkarzy, którzy w przytłaczającej większości są nastawieni propolsko. Pamiętam, jak przeprowadzane były tajne ankiety wśród robotników. Wyniki ich jednoznacznie wyrażały poparcie dla „Solidarności". Obecnie trudno podać konkretne dane, tym bardziej że i wtedy nie były one określane dokładnie; natomiast jest absolutnie pewne, że przytłaczająca większość mieszkańców dużych miast popierała Polaków.

Aleksander Skobow:

Do końca wiosny 1982 roku pracowałem w fabryce ceramiki w Pitrze. Mogę powiedzieć, że wśród tamtejszych robotników zajścia w Polsce nie znalazły żadnego odzewu. Wywoływały absolutnie negatywną reakcję – rozdrażnienie, wściekłość – czyli reakcję zgodną z oczekiwaniami władz. Miała ona charakter imperialno-szowinistyczny: „Swołocze-Polacy nie chcieli żyć, tak jak żyjemy my wszyscy; my jednak nie pozwolimy im żyć inaczej, ponieważ wszyscy powinni żyć dokładnie tak jak i my".

Nie udało mi się nikomu otworzyć oczu na prawdę o tych wydarzeniach, mimo że bardzo nad tym pracowałem.

Możliwa jest następująca psychologiczna reakcja: człowiek czuje, że wszystko jest kłamstwem, wszystko jest nie tak, że go ogłupiają, uciskają, że on sam jest nikim, ale wyzwala się w nim odwrotna reakcja – spycha to wszystko do podświadomości, sam zaś na przekór agresywnie najeża się, zazdroszcząc jednocześnie Polakom, że są odważni, nie boją się walczyć i strajkować, występować przeciwko władzom, a on – słaby.

Rościsław Jewdokimow:

Jeżeli mowa o szowinizmie, to ja osobiście nie całkiem rozumiem, co mogło w stosunku do Polski wywołać takie odczucia u prostych ludzi. Nie było przecież korzystnego klimatu dla szowinizmu. W ogóle opinie o rosyjskim szowinizmie są mocno przesadzone...

Przypomniałem sobie taki argument, który nie ma związku z tą sprawą, ale sądzę, że jest bardzo adekwatny, oddaje ówczesną rzeczywistość lepiej niż jakiekolwiek procenty – mówię o folklorze. Myślę, że wielu z nas pamiętają znany wierszyk:

„Wódka jest po siedem i osiem,
My to mamy jeszcze w nosie!
Przekażcie to Iljiczowi:
Nam i dziesięć nie zaszkodzi.
Lecz gdy bardziej podrożycie,
To tu Polskę zobaczycie..."

Folklor precyzyjnie i bardzo wiernie wyraża nastroje narodu, nie powstaje w pustce. A z folklorem antypolskim, jak myślę, nikt się nie spotkał.

Siergiej Chachajew:

Robotnicy w Łudze, tam gdzie wówczas mieszkałem i pracowałem, nie interesowali się polskimi zajściami. Nie występowały żadne szowinistyczne nastroje, ale zainteresowania też nie było. Tym bardziej nie było też chęci, by cokolwiek zmieniać u siebie. Mówili: u nas nie jest to możliwe, tam – owszem, jest konieczne. W 1968 roku, jak mi opowiadano, wśród robotników szowinistyczne nastroje rzeczywiście występowały; wyrażały się twierdzeniem „słusznie, że zaprowadzili u Czechów porządek, dobrze im tak!" Możliwe jednak, iż informacja Skobowa jest prawdziwa, tym bardziej że pracował on w budownictwie, gdzie jest najwięcej lumpenproletariatu.

Walerij Ronkin:

Robotnicy reagowali bardzo różnie. Wiem o tym, bo miałem z nimi dość bliskie kontakty, nawet pracowałem jako ślusarz. Z jednej strony były głosy: „czego ci Polacy się buntują; myśmy ich wyzwolili, a oni się buntują". Z drugiej: „tam się buntują robotnicy". Jeden i ten sam człowiek w trakcie rozmowy mógł wyrażać różne opinie. Jednak szowinistycznych nastrojów nie było.

Lew Lurie:

Były niewątpliwie jakieś nadzieje na to, że wydarzenia w Polsce wpłyną bezpośrednio na ruch robotniczy; chodziły nawet słuchy, że to już się stało jest, szczególnie na Ukrainie i Białorusi. Oczywiście, interesowali się wszyscy, ale czasy były takie, że niebezpiecznie było tym się zajmować w sposób szczególny. Niczego podobnego do polskiej „Solidarności" nie można było u nas zrealizować, bo nie było tak masowego ruchu robotniczego.

Łarisa Bogoraz:

Anatolij Marczenko w tym czasie nie oczekiwał od robotników absolutnie żadnego poparcia. Wydawało mu się, że w naszym kraju nie ma klasy robotniczej. Chociaż pisał o obronie praw robotników. Chociaż sam był robotnikiem i znał ludzi pracujących w przemyśle – w 1978 roku podczas zesłania pracował w fabryce. Jednak wciąż wydawało mu się, że klasa robotnicza została zamordowana w latach 20. Nie mógł nawet wyobrazić sobie powstania ruchu robotniczego, analogicznego do polskiego. Dla mnie również było wielką niespodzianką, że organizowane są u nas strajki górnicze. Zaszokowała mnie kultura tego ruchu. Nie oczekiwałam tego od żadnej grupy robotników w naszym kraju. Skąd się ona wzięła – do tej pory nie mogę pojąć.

Wiaczesław Dolinin:

W tym okresie nie było wątpliwości, że Polska wcześniej od nas obali komunizm, że w Polsce wcześniej niż w Rosji zwycięży demokracja. To było jasne od początku. Polskie społeczeństwo było znacznie dojrzalsze i znajdowało się znacznie dalej na drodze do demokracji. Śledząc to, co działo się w Polsce, widzieliśmy w tym wyobrażenie naszych przyszłych wydarzeń, zdawaliśmy sobie sprawę, że naród jest gotowy do przebudzenia się z komunistycznej niewoli. Zapoczątkują wszystko niezbyt mocne wstrząsy, tak jak w Stoczni Gdańskiej, a później stopniowo będzie to narastać. Mieliśmy nadzieję, że u nas zmiany będą następować jeśli nie w taki sam sposób, to według bardzo zbliżonego scenariusza.

Łarisa Bogoraz:

Mam wrażenie, że jedynie Andriej Dmitriewicz Sacharow wyobrażał sobie dla Rosji taką drogę, jaką poszła Polska. Nie przypadkiem w roku chyba 1989 wzywał do strajku... Ja nie wyobrażałam sobie dla naszego kraju takiej drogi rozwoju, jaką poszła Polska. Wydawało się, że nasz kraj jest martwy. Tak sądziłam aż do sierpnia 1991 roku. Kiedy zobaczyłam ludzi przed Białym Domem, zrozumiałam, że wcale nie znam tych, wśród których żyję. Ludzie poczuli, że stanowią realną siłę.

Walentin Pogoriłyj:

Polskie bagno jako pierwsze zaczęło się burzyć i jako pierwsze naruszyło fundamenty komunistycznego porządku w Europie. Był to precedens.

Andriej N.:

Workucka „Solidarność" wywodziła się z grupy obrońców praw człowieka, która rozpoczęła działalność w 1987 roku. Miałem tam kontakt z górnikiem R.K.Meclerem; poznałem go po przeczytaniu w gazecie „Krasnoje Znamia" o jego działalności. Wielu obywateli Workuty miało nieufny stosunek do klubu politycznego o nazwie „Solidarność", podobnie jak do polskiej „Solidarności". Proponowali nawet zmienić nazwę. Nie zgadzaliśmy się na to: uważaliśmy, że w tym słowie istnieje wielki sens, określający cele i zadania organizacji i z szacunkiem odnosiliśmy się do polskiej „Solidarności". „Solidarność" dała początek politycznej aktywności bezpartyjnych mieszkańców Workuty. Workuccy górnicy w okresie polskiego strajku w 1989 roku jako pierwsi w ZSRR podnieśli polityczne żądania. Jest to zasługa „Solidarności".

Noty biograficzne

BOGORAZ Łarisa Josifowna *(1929 -2004)*
Filozof, członek ruchu obrońców praw człowieka. Za udział w demonstracji na Placu Czerwonym 25 sierpnia 1968 roku skazana na czteroletnie zesłanie. Po odbyciu kary współzałożycielka almanachu „Pamiat" i współredaktor „Chroniki Tiekuszczich Sobytij". W latach 90. kierowała programem „Siatka obrońców praw człowieka" w ramach Grupy Helsińskiej. Wspominany przez nią Anatolij Marczenko był jej mężem. Zmarł w wyniku długotrwałej głodówki 8 grudnia 1988 roku.

CHACHAJEW Siergiej Dmitriewicz
Urodzony w 1938 roku. Z wykształcenia inżynier-technolog. Był skazany na siedem lat więzienia i trzy lata zesłania. Karę więzienia odbywał w obozach w Mordowii, natomiast zesłanie – w Komi ASRR. Po zwolnieniu zamieszkał w Ludze. Obecnie współprzewodniczący Sankt-Petersburskiego „Memoriału", przewodniczący komisji obrony praw człowieka. Mieszka w Petersburgu.

CURKOW Arkadij Samsonowicz
Urodzony w 1958 roku. Matematyk. Jeden z autorów nielegalnego studenckiego czasopisma „Perspektiwa". Aresztowany w 1978 roku, skazany na pięć lat obozu i dwuletnie zesłanie. Karę odbywał w permskich obozach, w 1981 roku przeniesiony do więzienia w Czystopolu. W roku 1986 wrócił do Leningradu. Od roku 1992 w Izraelu.

DOLININ Wiaczesław Emanuiłowicz
Urodzony w 1946 roku. Z wykształcenia ekonomista. Od lat 60. uczestniczył w zakładaniu i popularyzacji sieci niezależnych wydawnictw. W latach 1970–1980 współpracował m.in. z pismami „Posiew", „Summa", „Czasy". Przygotował antologię podziemnej poezji leningradzkiej, w latach 1980-1982 razem z R.B.Jewdokimowem wydawał „Biuletyn Informacyjny" SMOT. Aresztowany w 1982 roku, skazany z artykułu 70 (antyradziecka agitacja i propaganda). Karę odbywał w permskich obozach. W 1987 wrócił do Leningradu. Członek kierownictwa Sankt-Petersburskiego „Memoriału" i zespołu redakcyjnego pisma „Posiew". Pracuje w kotłowni.

JEWDOKIMOW Rościsław Borysowicz
Urodzony w 1950 roku. Drukował swoje artykuły w pismach „Posiew", „Grani", w latach 1980-1982 razem z W.E.Dolininem wydawał „Biuletyn Informacyjny" SMOT. Aresztowany w 1982, osądzony. Od 1999 roku redaktor sankt-petersburskiego czasopisma „Mansarda".

JERMAKOW Georgij Iwanowicz
Urodzony w 1931 roku. Inżynier-radiotelegrafista w marynarce wojennej. Pierwszy raz został aresztowany w 1974 roku, z artykułu 70, za antyradzieckie artykuły w gazetach centralnych i za przyśpiewki, skazany na cztery lata obozu. Powtórnie aresztowany za taką samą działalność w 1981 roku. Mieszka w Petersburgu.

LURIE Lew Jakowlewicz
Urodzony w 1950 roku. Historyk. W latach 1970-1980 brał udział w przygotowaniu do druku niezależnego historycznego zbioru „Pamiat". Mieszka w Petrsburgu, jest wykładowcą w gimnazjum klasycznym, uczy historii i krajoznawstwa, komentator-sprawozdawca gazety „Kommiersant" i rozgłośni radiowej „Echo Moskwy – Echo Petersburga".

ŁAWUT Aleksander Pawłowicz
Urodzony w 1929 roku. Matematyk, członek Grupy Inicjatywnej Obrony Praw Człowieka w ZSRR. Aresztowany w1980. Powtórnie osądzony w 1983 roku za antyradziecką agitację wśród więźniów, skazany na pięć lat zesłania. Mieszka w Moskwie.

MIEŃSZYKOW Władimir Borysowicz
Urodzony w 1933 roku. Historyk. Aresztowany w 1957 roku w sprawie „grupy Krasopiewcowa". Skazany na 10 lat, karę odbywał w obozach w Mordowii. Mieszka w Moskwie.

OBUSZENKOW Nikołaj Grigorjewicz
Urodzony w 1929 roku. Aresztowany w 1957 roku w sprawie „grupy Krasnopiewcowa". Skazany na sześć lat, karę odbywał w obozach w Mordowii. Historyk, mieszka w Moskwie.

POGORIŁYJ Walentin Pietrowicz
Urodzony w 1959 roku. Aresztowany w Leningradzie za utworzenie nielegalnej organizacji młodzieżowej. Skazany na sześć lat. Karę odbywał w permskich obozach. Uwolniony w 1987 roku. W końcu lat 80. utworzył niezależne wydawnictwo. Biznesmen, mieszka w Petersburgu.

PORESZ Władimir Jurjewicz
Urodzony w 1949 roku. Filolog romanista, pracował jako tłumacz i pracownik naukowy w Bibliotece AN ZSRR. W połowie lat 70. był jednym z organizatorów i kierowników seminarium religijno-filozoficznego, działającego w Moskwie, Smoleńsku, Leningradzie i innych miastach. Razem z Aleksandrem Ogorodnikowem redagował niezależne czasopismo „Obszczina" („Wspólnota"). Aresztowany w 1979 roku. Karę odbywał w permskich obozach i w więzieniu w Czystopolu. Po zwolnieniu w 1986 roku pracował w kotłowni. Na początku lat 90. utworzył Szkołę Religijno-Filozoficzną i stowarzyszenie „Jawne Chrześcijaństwo". Wykłada w Instytucie Filozofii i Słowa Bożego.

RONKIN Walerij Jefimowicz
Urodzony w 1936 roku. Z wykształcenia inżynier-technolog. W latach 1962-1964 wspólnie z S.D.Chachajewem napisał pracę *Od dyktatury biurokracji – do dyktatury proletariatu*, a w 1964 roku razem z grupą o wspólnych poglądach rozpoczął wydawanie społeczno-politycznego czasopisma „Kołokoł" („Dzwon"). Aresztowany w 1965 roku, skazany na siedem lat więzienia i trzy lata zesłania. Po zwolnieniu zamieszkał w Ludze. Pisze artykuły na tematy społeczne i polityczne.

SKOBOW Aleksander Walerjewicz
Urodzony w 1957 roku. W 1976 zorganizował młodzieżową komunę, której członkowie zajmowali się problemami filozoficznymi i politycznymi. Był jednym z redaktorów czasopisma „Perspektiwa". W 1978 roku został aresztowany i zamknięty w szpitalu psychiatrycznym, gdzie przebywał przez ponad dwa lata. Po uwolnieniu aktywnie włączył się w działalność SMOT. Powtórnie aresztowany w 1982 roku, ponownie został zamknięty w szpitalu psychiatrycznym do 1987 roku. Historyk, nauczyciel w szkole średniej.

SYTINSKI Władimir Igoriewicz
Urodzony w 1958 roku. Z wykształcenia biolog. Jako członek SMOT aresztowany w 1984 i umieszczony w szpitalu psychiatrycznym. Zwolniony w 1987. Mieszka w Petersburgu.

НОВАЯ ПОЛЬША 2001, nr 6

Wywiady przeprowadziła Tatiana Kosinowa.
Wybór Piotr Mitzner.
Uwagi redakcyjne przygotowała Natalia Gorbaniewska

Andriej Jermonski

A CZYTALIŚCIE GOMBROWICZA?

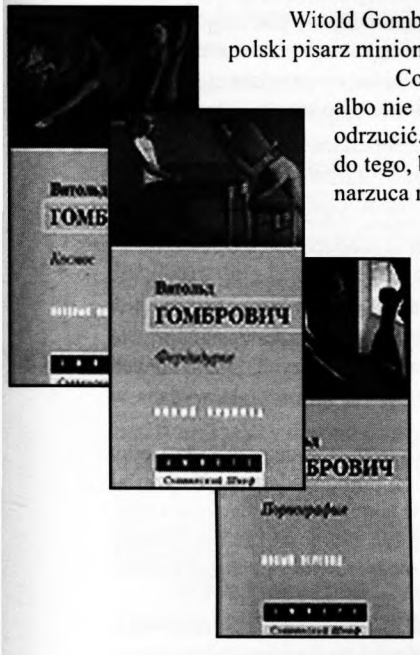

Witold Gombrowicz to z pewnością najbardziej zaskakujący, osobliwy i najbardziej paradoksalny polski pisarz minionego stulecia.

Co prawda nie jest on jednym z tych „sympatycznych" literatów, których można lubić albo nie lubić. Należy do tych, których trzeba albo bezwzględnie przyjmować, albo z miejsca odrzucić. Dlatego, że Gombrowicz nie cacka się z czytelnikiem, nie naśladuje go, nie tylko dąży do tego, by opowiedzieć mu całą prawdę o nim samym, ale wytrwale, nawet bezceremonialnie narzuca mu całą tę swoją prawdę – a ona w dużej mierze jawi się pisarzowi dość nieponętnie.

Gombrowicz umarł trzydzieści lat temu, lecz jego książki bynajmniej jeszcze nie stały się jedynie dorobkiem historii literatury. W dalszym ciągu wywołują dyskusje wśród krytyków i poruszają umysły czytelników. „Bez Gombrowicza – przyznawał się znakomity polski dramaturg Sławomir Mrożek – będę uboższy. Ale w porównaniu z nim trudno mi być samym sobą". I dodawał, że autor *Ferdydurke* ma na niego silny, aczkolwiek męczący wpływ, który jednak, „pobudza to tworzenia".

Po śmierci Gombrowicza mówi się o nim i pisze dużo więcej, niż się go czyta. Góra omówień, interpretacji, rewelacji i nowych ujęć tego, co stworzył, nadal rośnie. Chociaż pisanie o Gombrowiczu, moim zdaniem, jest rzeczą nie tylko niewdzięczną, ale i zupełnie beznadziejną. Już tylko to, że nie wpasowuje się on w prokrustowe łoże tak zwanej nauki o literaturze, wszystkich tych zasad, kanonów i zakazów, wymyślonych, jak sarkastycznie wyraził się sam pisarz, przez mnogie ciotki od kultury światowej z ich „coraz bardziej uśredniającą i odbierającą życiu całe życie" mentalnością.

Nie zamierzam dorzucać do tej góry gombrowiczologii ani kamyka. Powiem tylko o radości, jaką przyniósł mi „mój romans" z Gombrowiczem.

Dobrze pamiętam, jak w chłodny sierpień 1989 roku, w wełnianym swetrze, narzuciwszy jeszcze i palto (!) siedziałem na balkonie podmoskiewskiego pensjonatu, niemiłosiernie kurzyłem i okropnie rozkoszowałem się gombrowiczowskim sposobem wiązania słów. Mój zachwyt nim, mało tego – moje rozumienie jego prozy – zaczęło się wiele lat wcześniej właśnie od oszołomienia gombrowiczowskim językiem: „nerwowym", naruszającym, wydawać by się mogło, wszystkie normy i prawidła, lecz zadziwiająco swobodnym, precyzyjnym i nigdy nie odchodzącym od zasad i ducha mowy polskiej! Albowiem należy tylko wsłuchać się, wczuć się w prozę Gombrowicza, w ten gwałtowny, fantasmagoryczny potok słów i zdań, układających się w jakiś potwornie wyraźny, bezlitosny obraz świata duszy i ducha „bohaterów" autora *Ferdydurke*, by zacząć rozumieć, że Gombrowicz wcale nie jest prozaikiem, tylko poetą, obdarzonym do tego darem proroctwa. Dlatego jego proza jest tak piękna i liryczna nawet wtedy, kiedy mówi on o brzydocie, dlatego tak jątrzy ona duszę, dlatego jego prozy, jak prawdziwej poezji, nie można opowiedzieć „swoimi słowami".

Przypadło mi w udziale, kto wie czy nie „odkrycie" Gombrowicza dla rosyjskiego czytelnika: u schyłku pierestrojki, bez mała po sześćdziesięciu latach od ukazania się *Ferdydurke*, wydrukowano u nas jego najznakomitszą książkę – przekład pojawił się w pierwszym numerze czasopisma „Inostrannaja Litieratura" z 1991 roku, w ostatnim roku istnienia Związku Radzieckiego. Wtedy też w wydawnictwie Chudożestwiennaja Litieratura przygotowywano trzytomowe wydanie Gombrowicza.

Ale niestety, rozpad imperium komunistycznego wraz z wolnością słowa początkowo przyniósł również całkowite zerwanie więzów kulturowych w granicach tego, co wcześniej nazywane było „obozem socjalistycznym". Z pewnością było to nieuniknione nie tylko dlatego, że świadomość komercyjna zaczęła początkowo ostrzej „cenzurować" niż niegdyś agitatorzy KC. Rzecz jeszcze w tym, iż kulturalne więzy między „bratnimi krajami" były wypaczone przez bezwstydne i cyniczne politykierstwo, przez setki absurdalnych zakazów, zrodzonych ze strachu przed prawdziwym, świeżym słowem, niepospolitą myślą, po prostu przed aluzją do sumienia i moralności czy wolności w relacjach między ludźmi i między państwami, i wreszcie, nierzadko też były wypaczane z najzwyklejszego wyrachowania urzędników od kultury...

Ludziom przed trzydziestką trudno dziś uwierzyć, że polska literatura, kino, muzyka, malarstwo, periodyki, radio dla wielu w ZSRR były swego rodzaju „światłem w tunelu", furtką, przez którą w zatęchłą atmosferę przedzierało się czasem tchnienie świeżego powiewu. Od „Polaków" nierzadko dowiadywaliśmy się o nowościach zachodniego kina, muzyki, malarstwa, więcej niż z zagranicznych stacji radiowych. Przekłady polskiej prozy i poezji rozchodziły się oczywiście błyskawicznie. Zerkając w stronę „bratniej Warszawy", staraliśmy się utwierdzić w przekonaniu, że „nawet za socjalizmu", jeśli się troszeczkę uszlachetni jego oblicze, można żyć.

Nic dziwnego, że polskie książki (a ich, dzięki entuzjazmowi moich kolegów – krytyków, tłumaczy, redaktorów, takich na przykład jak niezapomniana Maja Iwanowna Koniewa, która ponad trzydzieści lat poświęciła „przepychaniu" ich do druku – wydano wiele: przy czym, w gruncie rzeczy, i dobrych, i różnych) znajdowały się pod ciągłą cenzurą władz. Istniały „czarne listy" twórców polskiej kultury, o których nazwiskach „nie mogło" być nawet wzmianki w druku. Niebagatelne boje toczone były o to, żeby tego lub innego literata wyciągnąć z tej listy – i nie zawsze były one bezskutecznie. Ale o Witolda Gombrowicza nawet walczyć przed czasami pierestrojki nie było sensu.

Dlaczego? Odpowiedź na to pytanie nie jest taka prosta, jakby się mogło wydawać.

Tak, wiadomo, Gombrowicz w przeddzień II wojny światowej wyjechał za granicę i nie wrócił z emigracji do Polski Ludowej, której stanowczo nie akceptował; tak, był jawnym i szyderczym przeciwnikiem komunizmu; tak, całkowicie szczerze wypowiadał się o Związku Radzieckim – wszystko to było więcej niż wystarczające, żeby objąć jego nazwisko i książki „wiecznym tabu" (w Polsce zaczęto je omijać już w 1957 roku, u nas – w latach osiemdziesiątych).

Tak to wszystko wygląda. Ale Gombrowicza w ogóle nie można nazwać dzieckiem szczęścia: całe życie obrywał od współczesnych – i z lewej, i z prawej, i z centrum! Zbyt szokował „smak społeczny", zbyt drażnił, zbyt szydził z zasad i tradycji dobrego tonu. A kiedy w 1937 roku w Polsce wyszła *Ferdydurke*, książka została prawie jednogłośnie odrzucona przez krytyków i czytelników. I ta, z pewnością jedna z najwspanialszych, przesyconych tragizmem i trwogą powieści XX stulecia wyruszyła na podbój świata dopiero w 1947, gdy została wydana w Argentynie po hiszpańsku.

U progu XX wieku Karol Irzykowski napisał powieść *Pałuba* (na rosyjski słowo to trudno się przekłada – niby kryty powóz, niby coś bezkształtnego, szpetna kobieta: babsko, pokraka, kloc), w której mimochodem wypowiedział całkiem dziwne jak na swój czas zdanie – człowiekowi wiecznie coś przeszkadza trafić w takt życia drugiego człowieka, a to dlatego, że niby nie należy brać pod uwagę zdania innych na swój temat, lecz należy żyć, biorąc pod uwagę, że takie zdanie na twój temat istnieje. Wydaje mi się, iż podobna myśl stała się generalną ideą, a może, również punktem wyjścia dla życia i twórczości Witolda Gombrowicza.

Ferdydurke na przykład łatwiej zrozumieć, jeśli się ją przeczyta jak książkę, opowiadającą o cierpieniu człowieka, zadawanym przez ramy, w które zapędza nas drugi człowiek, o cierpieniu wynikającym „z tego, że dusimy się i zachłystujemy w ciasnym, wąskim, surowym wyobrażeniu o nas drugiego człowieka". Gombrowicz jakby wykonuje doświadczenie: czy jego bohater jest zdolny uwolnić się od gwałtu i ciężaru cudzych uwag o nim, czy też jest skazany na to, by się poddać, pozwolić innym naciągnąć na siebie maskę według ich własnego gustu. Taką maskę autor *Ferdydurke* nazywa „gębą", która może na amen przylgnąć do twarzy, zastąpić ją. Bohater Gombrowicza doświadcza na sobie dyktatury średniaków, wrogiej osobowości, dążącej do przyprawienia mu gęby na obraz i podobieństwo swoje, i w dodatku do upupienia, albowiem w wyobrażeniu ludzi poważnych, absolutnie przytłaczającej większości („dorosłych", według określenia pisarza) czystość, bezpośredniość, wolność – należy wyplenić jak naiwność, niewinność, niedojrzałość.

Dopiero koszmary stalinizmu i hitleryzmu, a potem tragedia II wojny światowej sprawiły, że ten lament Gombrowicza nad człowiekiem i człowieczeństwem został usłyszany w Europie i Ameryce. *Ferdydurke* przeżyła drugie narodziny, a on sam swoimi książkami wywarł ogromy wpływ na kulturę światową. Bez nich nie tylko polska, lecz i cała literatura światowa dzisiaj byłaby uboższa i mniej sprawna – w obliczu wyzwań i zagrożeń, które zwalił na człowieka XX wiek i prawdopodobnie jeszcze zwali XXI...

Poza tym wpływem trwającym bez mała pól wieku pozostawała co najmniej jedna trzecia ludzkości – żyjąca w tak zwanym obozie socjalistycznym. Teraz nastał czas, by również ta jedna trzecia mogła wyciągać naukę z własnej przeszłości, w czym mogą pomóc i *Ferdydurke*, i wszystkie następne książki Witolda Gombrowicza. Żeby tylko były pieniądze na ich wydanie, a najważniejsze – żeby chciano je czytać...

НОВАЯ ПОЛЬША 2002, nr 7/8

Andriej Jermonski *(ur. 1936) – krytyk literacki i tłumacz literatury polskiej, stały współpracownik czasopisma „Inostrannaja Litieratura".*

Władimir Britaniszski

DLACZEGO HERBERT

Kiedy pytają mnie, kto jest moim ulubionym polskim poetą, odpowiadam, że w polskiej poezji, jak i w rosyjskiej, ulubionych poetów mam kilkudziesięciu. Niektórych polskich poetów nie tłumaczyłem, ale ich lubię. Niektórych tłumaczyłem dwa, trzy wiersze. Niektórych tłumaczyłem dużo: Staffa, Iwaszkiewcza, Przybosia, Miłosza, Wirpszę, Różewicza, Herberta... Wreszcie okazało się, że najwięcej tłumaczyłem Herberta, przełożyłem cztery tysiące jego wersów (dwa tysiące opublikowałem, a dwa tysiące leżą w szufladzie), w ciągu wielu dziesięcioleci wracałem do niego szczególnie często. Dlaczego?

Spróbuję sobie przypomnieć i zastanowić się nad tym. Fizycy dawno domyślili się, że charakterystyka obserwowanego zjawiska zależy od obserwatora oraz od jego instrumentu. W literaturze tradycyjnie pomijana jest osobowość i biografia tłumacza. Naruszę tę tradycję.

W 1963 roku z podróży do Polski przywieźliśmy z Natalią Astafjewą trzydzieści bądź czterdzieści tomików współczesnych polskich poetów – stały się one początkiem i zalążkiem naszej domowej biblioteki poezji polskiej. Wśród nich były dwie książki Zbigniewa Herberta – druga i trzecia: *Hermes, pies i gwiazda* (1957) i *Studium przedmiotu* (1961). Pierwszy zbiór wierszy – *Struna światła* znalazł się w moskiewskich bibliotekach, w których polska literatura na początku lat 60. była dobrze reprezentowana. Natomiast, jeśli chodzi o drugi zbiór Herberta, okazało się, że w Moskwie jesteśmy jedynymi jego posiadaczami. W moskiewskich bibliotekach państwowych książka ta do 1989 roku była ukryta w specjalnych zamkniętych działach: widocznie jakieś wiersze z tej książki nie spodobały się naszej cenzurze.

Być może nie spodobała im się *Pieśń o bębnie* – świadectwo tych powojennych lat, w których chciano nauczyć Polaków „iść w nogę". Herbert nie chciał „iść w nogę". Dlatego dopiero w 1956 roku mógł wydać swoją pierwszą książkę, a dopiero w drugiej książce, w 1957, kiedy cenzura w Polsce na krótki czas zelżała, mógł opublikować niektóre „trudne" wiersze. Wśród nich była *Pieśń o bębnie* – wiersz o tym, jak totalitaryzm niszczy wszelką muzykę, oprócz dźwięku werbla. W późniejszym wierszu *Potęga smaku* Herbert sprecyzował: „został" nie tylko bęben, pozostał „rytm bębnów i piszczałek". Herbert ma poczucie rytmu totalitaryzmu podobne do Szostakowicza. W jego *Siódmej symfonii* słyszymy mały bębenek i instrumenty dęte. „Jakby maszerowały nakręcane lalki" – pisał o tym fragmencie jakiś krytyk muzyczny. I właśnie ten marsz nakręcanych lalek słyszymy i widzimy w wierszu Herberta.

Do muzyki Herbert odwołuje się rzadko. Znacznie bliższe jest mu malarstwo i architektura. Herbert to poeta-malarz. Zdobył dyplom prawnika i ekonomisty, studiował filozofię, ale zdążył także postudiować w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych i całe życie nie przestawał rysować. Jego wiersze i eseje to wiersze i eseje malarza, historyka sztuki.

Początkowo Herbert ujął mnie właśnie jako poeta-malarz i jako poeta-historyk, jako znawca antyku i renesansu. Wychowałem się w rodzinie malarza. Mój ojciec, człowiek szerokich horyzontów, po ukończeniu Akademii Sztuk Pięknych w Piotrogradzie pracował i w Muzeum Rosyjskim, i w Ermitażu, i w pałacach-muzeach, położonych poza miastem, świetnie znał historię sztuki. Po raz pierwszy poszedłem do Ermitażu w listopadzie 1945 roku, będąc dwunastoletnim uczniem, i od tej pory bywałem tam ciągle. Przedwojenna biblioteka mojego ojca, zawierająca książki o sztuce zginęła w czasie wojny, ale i po wojnie takie książki były zawsze obecne w naszym domu. Zawsze u ojca na biurku leżał któryś tom wielotomowej antologii *Mistrzowie sztuki o sztuce*. Książkę Giorgio Vasariego (biografie włoskich malarzy, rzeźbiarzy i architektów), *Obrazy Włoch* Muratowa, *Podróż włoską* Goethego, książkę Mereż-kowskiego o Leonardo da Vinci, autobiografię Benvenuta Celliniego we wspaniałym rosyjskim przekładzie Michaiła Lozinskiego przeczytałem, gdy miałem dwanaście-trzynaście lat. Nie przez przypadek dziesięć lat później jeden z ważniejszych moich wierszy odwilżowych, wiersz z 1956 roku, nosił tytuł *Mistrzowie* (o mistrzach, którzy „upiększyli sklepienia i ściany / Florencji i Sieny").

Naturalnie więc, bliskie mi okazały się później takie wiersze Herberta, jak *Dawni mistrzowie* (lub *Obłoki nad Ferrarą*, przekład rosyjski został opublikowany w moskiewskim czasopiśmie, poświęconym poezji, „Arion" w 1995 roku) i jego szkice o włoskich malarzach w książce *Barbarzyńca w ogrodzie*. We włoskich salach Ermitażu zarówno mój ojciec (który chodził tam, jak mówił, „rozmawiać ze starymi", to znaczy obcować ze starymi mistrzami), jak i ja bywaliśmy najczęściej.

Jednak tym, co od razu uderzyło mnie w twórczości Herberta, było nie herbertowskie Odrodzenie, ale herbertowski antyk. Bywa u Herberta ideałem, „normą", od której odeszliśmy. Na przykład w wierszu *Dlaczego klasycy,* gdzie dostojnemu i uczciwemu dowódcy i historykowi Tucydydesowi przeciwstawieni są żałosni „generałowie ostatnich wojen", bądź też w wierszu *Jonasz*, w którym starotestamentowemu prorokowi przeciwstawieni są „współcześni Jonasze", którzy spieszą się, by uchylić się od trudnej i niebezpiecznej proroczej misji. Ale antyk bywa u Herberta również metaforą (lub metonimią) całej światowej historii i wtedy widzimy, że starożytność wcale nie była mniej straszna i okrutna niż następne epoki. W wierszu *U wrót doliny* biblijna dolina Jozafata przemienia się w miejsce selekcji ludzi, jak w XX wieku: w Oświęcimiu, czy podczas deportacji, albo w obozach filtracyjnych; lecz totalitarny koszmar XX wieku rzuca swoje światło również na czasy starotestamentowe, naświetla skłonności totalitaryzmu i ludobójstwa w świadomości ludzi z czasów biblijnych. W wierszu *Apollo i Marsjasz* bogiem śmierci i morderstwa okazuje się ten, którego zwykliśmy uważać za boga sztuki i światła.

Antyk otworzył się dla mnie, oczywiście tylko w ogólnych zarysach, bardzo wcześnie. Były w domu książki o sztuce (ojciec często przeglądał monografię o malarstwie Pompei) i własne prace ojca (chociaż jego Orfeusz, jego akwarele z porwaniem Europy, kolorowe litografie z Bachusem i nimfami pojawią się dopiero w latach sześćdziesiątych). Były antyczne sale Ermitażu (zresztą, stojące tam greckie posągi są przeważnie rzymskimi kopiami, w tym też Marsjasz, którego, oczywiście pamiętałem, tłumacząc poemat Herberta *Apollo i Marsjasz*). Ale pierwszym wprowadzeniem do antyku – dla mnie i jeszcze kilkunastu młodziutkich początkujących leningradzkich poetów – były od jesieni 1946 roku rozmowy przy okrągłym stole z Moisejem Siemionowiczem Altmanem: o greckich mitach, o *Iliadzie*, o *Odysei*. Altman był uczniem Wiaczesława Iwanowa, wybitnego rosyjskiego poety i wybitnego znawcy antyku. Rozmowy z Altmanem zapadły mi w duszę na całe życie. Okazało się, że były one nie tylko o antyku: były o ideałach. W swoim wierszu *Altman i antyk* wspominałem: „... to on ideał dobra oraz piękna, /znany ze szkoły, z wierszy Niekrasowa, / dopełnił prawdą..."

Antyk u Herberta to nie tyle estetyka, co etyka, to nie muzeum martwych marmurów, lecz życie ludzi, którzy błądzą, popełniają błędy, wątpią, pytają, szukają.

„Jeżeli tak często zwracam się w mojej pracy ku antycznym tematom i mitom, to czynię to nie z kokieterii...chciałbym opukać stare idee ludzkości, aby ustalić, czy i gdzie brzmią pustym dźwiękiem. Szukam też odpowiedzi na pytanie o to, jaki sens mają dla nas dziś jeszcze owe tak niegdyś szacowne pojęcia, jak wolność i godność ludzka. Wierzę, że ich wielka, zobowiązująca treść dotąd przetrwała".

Dla mnie oraz dla moich rówieśników, rosyjskich poetów „pokolenia odwilży", herbertowskie priorytety – „wolność i godność ludzka" – były naszymi priorytetami. I postawa mająca na celu „opukanie starych idei", ich rewizję, rewizję samej historii (światowej, ale przede wszystkim, rodzimej) w świetle sumienia – była naszą postawą.

I kiedy wiosną 1966 roku zacząłem tłumaczyć polskich poetów, Herbert był jednym z pierwszych. Już od kilku lat przeglądałem polskie czasopisma, już od dawna wzmagała się chęć opowiedzenia rosyjskim poetom i czytelnikom o polskiej poezji i pokazania jej. Dlatego jednocześnie zacząłem przekładać Polaków i pisać o nich artykuły i szkice. Już pierwszy mój szkic, przegląd współczesnej polskiej poezji, wiosną 1966 roku od razu został oddany do składania w redakcji „Woprosów Litieratury". Znalazły się w nim, oczywiście, również słowa o Herbercie i fragment z jego wiersza.

Gdy już zacząłem przekładać z języka polskiego, w ciągu pierwszych miesięcy przetłumaczyłem setki wersów z Herberta, początkowo, przede wszystkim, „antycznego" Herberta. Niektóre przekłady, na przykład *Powrót prokonsula* zostaną opublikowane trzydzieści lat później, ale i w pierwszej mojej dużej publikacji Herberta („Inostrannaja Litieratura" 1973, nr 2) znalazły się już i *Tamaryszek*, i *Tusculum*, i proza poetycka *Klasyk*.

Publikacja ta zawierała również *Monę Lizę* i *Tren Fortynbrasa*. *Tren Fortynbrasa* wywarł tak duże wrażenie na jednym z moich kolegów, geologu, że ten numer czasopisma wziął on ze sobą, – nie, nie na bezludną wyspę, lecz w dwuletnią podróż do Afryki; Herbert, dowiedziawszy się o tym ode mnie, bardzo się ucieszył.

Był tam wiersz z cyklu *O Troi*, w którym katastrofa Warszawy utożsamiana była z upadkiem Troi. Lecz był również wiersz *Prolog*, w którym tragedia Polski, historia najnowsza, pokazana została wprost, bez antycznych paraleli, porównań i metafor.

Ostatni werbel biły bomby
był prosty pogrzeb na podwórzu
dwie deski w krzyż i hełm dziurawy
w niebie pożarów wielka róża
(...)
I zgrzebny napis na tych deskach
imiona krótkie niby salwa
„Gryf", „Wilk" i „Pocisk" kto pamięta
spłowiała w deszczu ruda barwa

W tych wierszach poświęconych najnowszej historii poeta-historyk jest bardzo dokładny – w jednej z książek o polskim ruchu oporu zwróciłem uwagę na pseudonim „Gryf" żołnierza 27 dywizji Armii Krajowej, a w indeksie innej znalazło się pięć osób o pseudonimie „Wilk".

Wiele wierszy Herberta opowiadających o tragicznej historii Polski XX wieku napisanych jest czterostopowym jambem. W rosyjskiej poezji to metrum jest zbyt wyświechtane (już Puszkin narzekał: „Czterostopowy jamb już nudzi mnie, / piszą nim wszyscy...") natomiast w poezji polskiej pojawiło się ono, tak naprawdę, w XX wieku, nie jest rozpowszechnione, nie jest banalne, u Herberta brzmi z wielką siłą: *Prolog*, *Odpowiedź* (moje rosyjskie tłumaczenie – „IL", 2001, Nr 8), *Guziki* (wiersz o Katyniu, moje rosyjskie tłumaczenie w „IL", 1998, nr 8). Zresztą, z biegiem lat, Herbert pisze jambem (najczęściej bezrymowym, białym, z rzadka rymowanym) coraz rzadziej, dominuje u niego wiersz wolny, co prawda jest to wiersz wolny, w którym jakby ledwie migoce polski sylabiczny trzynastozgłoskowiec – „polski heksametr".

W latach siedemdziesiątych w czasopiśmie „Inostrannaja Litieratura" co roku pojawiały się wielkie cykle polskich poetów (w przekładzie moim, Astafjewej, Eppela), lecz moje przekłady Herberta, który popadł u nas w niełaskę, w tym czasopiśmie po raz drugi ukażą się dopiero w roku 1990. Przez wszystkie te lata Herbert miał swoje miejsce w mojej szufladzie. I w mojej świadomości, w kształtującej się stopniowo panoramie polskiej poezji XX wieku.

Od Herberta przeszedłem do Różewicza i Staffa. Staffa i Herberta dzieli ponad pół wieku, lecz są oni krajanami: obydwaj pochodzą ze Lwowa, obu tych znawców renesansu i Włoch uformował Stary Lwów, który budowany był przez Włochów. W 1964 roku miałem szczęście spędzić dwa miesiące w tym mieście. Dziesięć lat później we wstępie do tomiku Staffa wyraziłem swój zachwyt tym miastem. Posłałem tomik Herbertowi, napisawszy w dedykacji: „Zbigniewowi Herbertowi – rzecz o Staffie i o Lwowie", Herbert w swoim liście dziękował „za piękne przekłady Staffa, za wzruszającą dedykację". W wierszach o mieście rodzinnym (na przykład Pan Cogito myśli o powrocie do rodzinnego miasta) Herbert nie nazywał go, lecz jako miasto bez imienia Lwów był zawsze obecny w jego twórczości. I obraz Lwowa, zapisany w mojej pamięci, pomagał mi wczuwać się w Herberta.

W 1969 mój duży artykuł pt. *Filozofia historii we współczesnej poezji polskiej: Staff, Różewicz, Herbert* został zarżnięty przez jednego z literackich żandarmów. Niektóre odłamki tego tekstu wykorzystałem w czteroczęściowym szkicu o Różewiczu, Herbercie, Szymborskiej, Świrszczyńskiej w „Litieraturnom Obozrenii" w 1974. Wysłałem Herbertowi to czasopismo, odpowiedział listem. W rozdziale o Herbercie w centrum mojego omówienia były *Tusculum* i *Powrót prokonsula*, tematy władzy i odpowiedzialności obywatelskiej. W tym samym roku moskiewski Instytut Slawistyki zamówił u mnie, do pracy zbiorowej poświęconej polskim pisarzom, rozdział o Herbercie, który napisałem, lecz, zanim książka zdążyła pójść do druku, Herbert trafił na czarną listę, i jakiekolwiek publikacje jego lub o nim były odtąd zakazane na długi czas.

A właśnie w 1974 roku wyszła jego absolutnie nowa książka, którą od razu mi przysłał – *Pan Cogito*. Była to powieść wierszem, powieść składająca się z osobnych wierszy, o życiu, o problemach, o sytuacji intelektualisty drugiej połowy XX wieku, intelektualisty polskiego bądź szerzej – wschodnioeuropejskiego, bądź jeszcze szerzej – intelektualisty w dowolnym kraju Europy i obu Ameryk. Na początku lat siedemdziesiątych tłumaczyłem i publikowałem wiersze świetnego amerykańskiego poety Johna Berrymana. On również napisał wtedy (na krótko przed popełnieniem samobójstwa) podobną powieść wierszem, której bohaterem był amerykański intelektualista Mr. Bones, Henry Bones, albo po prostu: Henry – niekiedy profesor, jak sam Berryman, niekiedy poeta, jak sam Berryman. Lecz bohater książki Berrymana jest właśnie Amerykaninem. Natomiast bohaterem książki Herberta jest intelektualista Obu Półkul. Na taką książkę czekała literatura światowa. Amerykańscy wielbiciele Herberta zaczęli nawet wydawać czasopismo „Mr. Cogito". Smutna książka Herberta odpowiadała również mnie, tak jak i każdemu myślącemu człowiekowi. Dwudziesty wiek był

wiekiem, wydawałoby się, wielu zwycięstw intelektu, lecz również stuleciem klęski intelektualistów. Herbert pisze o tej klęsce, pisze o współczesnym intelektualiście-nieudaczniku (bo wszyscy intelektualiści okazali się nieudacznikami). Lecz jego bohater – i autor – przeciwstawiają się swojemu stuleciu i swojej nieudatności twardo i dzielnie.

Nauką twardości i odwagi był *Raport z oblężonego Miasta,* który początkowo czytałem w ledwie czytelnej książeczce warszawskiego samizdatu, a następnie Herbert przysłał mi z Paryża kserokopię paryskiego wydania książki.

Raport z oblężonego Miasta, ta najbardziej obywatelska z książek Herberta, była, nieco nieoczekiwanie, dedykowana żonie. I nawet nie Katarzynie, lecz Kasi, w zdrobniałej, domowej formie (pani Katarzyna, z domu Dzieduszycka, została żoną Herberta w 1968 roku). Zmiany w kierunku prywatności, intymności, szczerości (nawet gdy Herbert mówi w imieniu Pana Cogito) zachodzą już w tej książce. Kontynuacją będą następne książki.

Moje przekłady z *Cogito*, z *Raportu*, z ostatnich trzech, najbardziej szczerych i autobiograficznych książek Herberta *Elegia na odejście*, *Rovigo, Epilog burzy* mogły pojawić się u nas po 1990 roku. Biorąc pod uwagę wieloletni staż naszej zaocznej znajomości, naszej korespondencji, Herbert pozwolił mi opublikować w 1990 roku jego cykl w Moskwie, chociaż co do wydania w Polsce jeszcze miał wątpliwości. W następnych latach publikowano wiele moich przekładów Herberta – w „Inostrannoj Litieraturze" (1990,1998,2001), „Nowom Mirie" (1995), „Arionie" (1995), „Nowej Polszy" (1999, nr. 3, jeden z pierwszych numerów miesięcznika).

Około pięciuset-sześciuset wersów z Pana Cogito wydrukowano w czasopiśmie „Feniks-XX" (1993) – szkoda, że wychodziło w małym nakładzie, a potem upadło. Ale Herbert tę moją publikację przeczytał. Byliśmy z Natalią Astafjewą u Zbigniewa i Katarzyny Herbertów w lutym 1994, kiedy przyjechaliśmy odebrać nagrodę Polskiego PEN-Clubu. I spotkaliśmy się jeszcze raz, pod koniec tegoż roku. Potem Herbert przysłał mi dwie krótkie pocztówki, w 1996 i 1997. Na jednej, z widokiem Wenecji, pisał: „...Odejście Josifa Brodskiego odczułem boleśnie. Odwiedził mnie w Warszawie. Ogromnie go ceniłem: lubiłem go jako człowieka wielkiego serca i świetnego majstra". To było w post scriptum, a o sobie: „U mnie ze zdrowiem trochę lepiej... Walka z kostuchą trwa i zdaje się po raz pierwszy zdobyłem kilka punktów. (...) Zacząłem trochę pracować. (...) Tak. Widziałem przekłady Pana Włodzimierza i jego piękny wiersz. Dziękuję. (...) Często i serdecznie wspominamy nasze spotkanie w Warszawie. Kiedy zobaczymy się znowu?..."

Druga pocztówka, z bukietem kwiatów, stylizowana na rysunek ludowy z rodzimej dla Herberta Galicji, była jeszcze krótsza: „Odpowiadam z tak wielkim opóźnieniem... kłopoty ze zdrowiem, które się zgodnie z prawem natury pogarsza". A niżej, oddzielnie: „Jadę coraz szybciej saneczkami w dół". Te dwa wersy (wierszowane? choreiczne? folklorystyczne?) zapisane były prozą. Starożytni Słowianie (co wiadomo, między innymi i z badań przeprowadzonych przez etnografów w Galicji), odprowadzając starców na tamten świat, wywozili ich zimą saniami i spuszczali w głęboki jar.

Trzy ostatnie książki, nie tylko *Elegię na odejście,* Herbert poświęcił temu, co odeszło albo odchodzi, pisał o odchodzącym dwudziestym wieku. Odejście samego Herberta oznaczało koniec XX wieku w polskiej poezji.

Ale pojawiają się w druku jego nie publikowane wiersze i eseje. Wyszła książka *Labirynt nad morzem* (a jeszcze w liście z 26 VIII 1974 pisał mi o niej: „Kończę w wielkiej męce książkę o moich eksploracjach basenu Morza Śródziemnego"). Wychodzą książki o nim, wspomnienia, jego korespondencja. Katarzyna Herbert lub inni warszawianie przysyłają nam te książki.

W swoich ostatnich zbiorach wierszy Herbert jakby zszedł na ziemię i stał się „jak wszyscy", okazał się człowiekiem, który miał babkę, ojca i matkę, nauczyciela, przyjaciół, upodobania, dziwactwa... Ten „ostatni Herbert" był mi nie wiem czy nie bliższy niż poprzedni. Być może dlatego, że po latach znikła dziesięcioletnia różnica w wieku. Jakby nie patrzeć, poczucie bliskości, które nakazało mi wiele lat temu wziąć się za przekłady z Herberta, nie było złudne.

НОВАЯ ПОЛЬША 2004, nr 5

Władimir Britaniszski *(ur.1933) – rosyjski poeta, prozaik, eseista, tłumacz poezji polskiej i anglosaskiej, autor wielu szkiców o poezji polskiej, współautor – razem z Natalią Astafjewą – dwutomowej antologii „Poeci polscy XX wieku". W roku 2003 ukazał się w jego przekładzie z jego przedmową i komentarzem „Zniewolony umysł" Czesława Miłosza.*

Aleksander Lipatow

NIEZNANA POLSKA

Sąsiedztwo może zbliżać narody lub oddalać, przyciągać – ale i odpychać, dotyczy to zwłaszcza związków i stosunków kulturalno-historycznych. Przyczyny niejednoznacznych kontaktów między sąsiadującymi narodami tkwią w tym, że bardzo często ich wzajemne interesy, sposób życia, narodowe spojrzenie, byt, upodobania, a czasami sam wygląd zewnętrzny bardzo się różnią – stąd zróżnicowane przesłanki sympatii i antypatii. Również stąd narodowa akceptacja „innych" bynajmniej nie jest jednoznaczna (jednoznaczność – w jedną lub drugą stronę – jest narzucana i określana przez oficjalną propagandę władz, uzależniona od prowadzonej przez nich aktualnej polityki).

Wymazanie Rzeczypospolitej z politycznej mapy Europy w roku 1795 (po ostatnim rozbiorze, w którym Rosja uczestniczyła razem z Austrią i Prusami) doprowadziło – wbrew władzom, które dążyły do zatracenia przez Polaków swojej odrębności w wielonarodowościowym konglomeracie imperium – do zaostrzenia historycznych rosyjsko-polskich konfliktów, polskich powstań narodowych, za każdym razem dławionych z narastającym okrucieństwem oraz, wynikających z zaostrzających się konfliktów, coraz większych ograniczeń polskiej kultury. Koniecznym efektem zastosowania takiego właśnie rozwiązania „polskiego problemu" przez trzy imperia był ich rozpad i ogłoszenie przez Polskę w 1918 roku niepodległości. Cała dalsza rosyjsko-polska historia stała się przedłużeniem wcześniejszej: w specyficznych warunkach XX wieku (bolszewizm, narodowy socjalizm, II wojna światowa) kolejne próby siłowego rozwiązania problemu polskiego (radziecko-polska wojna lat 1919 -1920, pakt Ribbentrop – Mołotow, wtargnięcie Armii Czerwonej na terytorium Polski 17 września 1939 r., Katyń, masowe represje i deportacje Polaków w głąb ZSRR, porozumienia jałtańskie, przymusowe utworzenie PRL i czasy obozu socjalistycznego) doprowadzały znowu naród polski do sprzeciwu (klęska Armii Czerwonej w 1920 r., masowy ruch partyzancki podczas okupacji niemieckiej, „mała wojna domowa" z lat 1944-1948, poznańskie wydarzenia z roku 1956, studenckie demonstracje w marcu 1968 roku, wystąpienia robotników na Wybrzeżu w grudniu 1970, rozruchy robotnicze w Radomiu i innych miastach w 1976, powstanie „Solidarności" w 1980, a wcześniej niezależnych organizacji studentów i inteligencji, masowe wystąpienia i protesty czasu wojennego) – wszystko to doprowadziło do załamania się reżimu, który został Polakom narzucony siłą przez Związek Radziecki, i zakończyło się ogłoszeniem suwerenności kraju w 1989 roku.

Taka ciągłość geopolityczna i związane z tym funkcjonowanie stereotypów w tradycyjnym myśleniu i praktyce imperialnej elity władzy, rozniecającej kolejne państwowe i narodowe konflikty, na przestrzeni wieków coraz ciaśniej i ciaśniej zawiązywało rosyjsko-polski węzeł, co nie mogło nie odcisnąć śladu na wzajemnych stosunkach dwóch sąsiadujących ze sobą narodów. Klasa polityków, manipulujących świadomością zbiorową za pomocą ideologicznego preparowania faktów historycznych i współczesnych, nieuchronnie, wcześniej czy później, sama wpadała w zastawione przez siebie sidła. Ciasnota stereotypów, brak elementarnej informacji, nie mieszczącej się w oficjalnie zakreślonych ramach wyobrażeń, wywodzący się stąd standard propagandowego myślenia – to wszystko doprowadziło do intelektualnej bezsilności wobec radykalnie zmieniającej się sytuacji. Jednym z przykładów może być historia całkowitego rozpadu obozu socjalistycznego i błyskawiczne przeorientowanie się „bratnich krajów" od Układu Warszawskiego do NATO, od ZSRR do Unii Europejskiej. Rosyjska klasa polityczna zareagowała na to histerią porzuconej kobiety, nie była w stanie nie tylko przewidzieć, ale i zrozumieć naturalnej reakcji tych, którzy dążyli do oswobodzenia się od narzuconego „małżeństwa na siłę" i związanego z tym ograniczenia suwerenności własnego życia i poniżenia narodowej godności.

Dalsze, trwające do tej pory (i bardzo kosztowne) próby wypełnienia powstałej próżni ideowej poprzez reanimację koncepcji słowiańskiej jedności, to kolejne świadectwo niemocy myślenia kulturalno-historycznego rosyjskiej klasy politycznej, która nie będąc w stanie rozpoznać współczesnych realiów, aby samodzielnie wypracować odpowiadającą im perspektywę ideową, zwraca się ku mitowi, stworzonemu przez historyków i filologów jeszcze na początku XIX wieku – mitowi, który był obalony zarówno poprzez przeszłość (wieczyste międzysłowiańskie konflikty), jak i teraźniejszość (rozpad obozu socjalistycznego, samego ZSRR, krwawy rozpad Jugosławii, cywilizowany „rozwód" Czech i Słowacji).

Polska jest tą częścią Słowiańszczyzny, z którą Rosji do tej pory nie udawało się znaleźć wspólnego języka. Zaznaczające się obecnie powolne zmiany w stosunkach wzajemnych Rosji i Polski mogą przybrać realne formy nie w deklaracjach słownych (pamiętamy dobrze, czym skończyło się nawoływanie do „braterskiej i przyjaźni między narodami ZSRR i PRL"), lecz na płaszczyźnie wzajemnego zrozumienia i poszanowania. Można to osiągnąć, nadrabiając przemilczenia i przezwyciężając problemy, sztucznie stworzone przez naszą propagandę, cenzurę i podręczniki szkolne, a tworzące obraz Wielkiego Brata i braci mniejszych. W radzieckiej świadomości politycznej, przekładającej się na świadomość masowego odbiorcy, powstawał obraz brata mniejszego, protekcjonalnie poklepywanego po plecach, z przygadywaniem: "Myśmy Cię oswobodzili, i bez nas przepadniesz". A za plecami mawiano z ironicznym uśmieszkiem: „Kura nie ptak, Polska nie zagranica".

A wracając do oswobodzenia: Polacy, pozbawieni niepodległości w końcu XVIII wieku, uporczywie walczyli o jej odzyskanie aż do 1918 roku. Dawne tradycje własnej państwowości i narodowa mentalność, ukształtowane przez system demokracji szlacheckiej, uznającej swobody obywatelskie za wartość podstawową, indywidualne poczucie godności osobistej – zdeterminowały niepokorność zwyciężonego narodu. Polska im bardziej była uciskana, tym większy stawiała opór i sprzeciw. Szereg zrywów narodowo-wyzwoleńczych zakończył się odzyskaniem w pełni niepodległego państwa, dokonali tego sami Polacy w roku 1918. Rolę ZSRR w II wojnie światowej znamy stosunkowo dobrze, rolę sojuszników – znacznie słabiej, a losy i rolę Polski?

Polskie wojska zostały rozbite w okresie wrzesień – październik 1939 roku, pod naporem Niemiec z zachodu i ZSRR ze wschodu. Nie spowodowało to jednak upadku polskiej państwowości. Fenomenem historycznym było utworzenie Państwa Podziemnego, którego kierownictwo podlegało bezpośrednio rządowi Rzeczypospolitej na uchodźstwie utworzonemu w Londynie. Już na początku 1940 roku na terytorium Polski działał podziemny sejm, w którym zasiadali nie tylko reprezentanci wszystkich ważniejszych partii (socjalistyczna, narodowa i ludowa), ale i małych stronnictw politycznych. W systemie rządów Polski Podziemnej na terytoriach okupowanych, na wszystkich szczeblach – od najwyższych do najniższych – funkcjonowały struktury kierujące armią, policją, sądownictwem, działalnością gospodarczo-ekonomiczną, ochroną zdrowia, opieką społeczną, cywilną i wojskową oświatą na wszystkich poziomach (np. w tajnych szkołach średnich pod koniec okupacji uczyło się ponad 60 tys. osób, a na jednym tylko warszawskim uniwersytecie – ponad dwa tysiące). W podziemiu działały instytuty naukowo-badawcze, wydawnictwa i drukarnie (tylko na terytorium Generalnego Gubernatorstwa tych ostatnich było około 400). Wydawano gazety, czasopisma, książki. Sabotaż, opór zbrojny, wywiad, zorientowany na współpracę z zachodnimi sojusznikami, dzięki któremu dostarczono do Anglii tajną broń Hitlera – rakietę „V-1", pomoc powstańcom w warszawskim getcie, w końcu powstanie warszawskie – wszystko to było bezpośrednio związane z działalnością Państwa Podziemnego. Poza granicami kraju walczyła armia gen. Andersa na Bliskim Wschodzie, w Afryce Północnej i we Włoszech; dywizja pancerna gen. Maczka uczestniczyła w desancie w Normandii, wyzwalała Belgię i Holandię. Niebo nad Londynem bronione było przez dwa polskie dywizjony lotnicze. U boku Armii Czerwonej walczyły polskie oddziały pod dowództwem gen. Berlinga i gen. Świerczewskiego. Na przełomie lat 1943/1944 Polska Partia Robotnicza, wspomagana przez ZSRR, rozpoczęła działalność na terytoriach okupowanych, organizując tam komunistyczną konspi-

rację i oddziały partyzanckie Armii Ludowej.

Powołana przez Państwo Podziemne Armia Krajowa zgodnie z planem „Burza" współpracowała z nacierającymi oddziałami Armii Czerwonej w walce przeciw okupantom, jednak idące za frontem wojska NKWD przeprowadzały masowe aresztowania wśród członków polskiego ruchu oporu i miejscowych przedstawicieli Państwa Podziemnego. W marcu 1945 roku przedstawiciele centralnych władz Państwa Podziemnego zostali zaproszeni przez generała NKWD – Sierowa – na rozmowy. Wszystkich – 16 członków delegacji – aresztowano i osadzono na Łubiance. Działania władz radzieckich, wykorzystujących miejscowych komunistów, wywołały sprzeciw – podziemny partyzancki i legalny – obywatelski. Ustanowienie siłą „ludowej" władzy zmieniło się (jak kiedyś w Rosji opanowanej przez bolszewików) w terror, deportacje, fałszowanie wyborów, walkę z Kościołem, wymuszanie kolektywizacji, katastrofalne obniżenie poziomu życia.

To kolejne stłamszenie Polaków było złudne – pod powierzchnią pozornego spokoju i ładu w społeczeństwie coraz mocniej wrzało. Po krwawym stłumieniu wystąpień w Poznaniu władze zmuszone były pójść na ustępstwa. Jednak polska „odwilż", rozpoczęta wraz z dojściem do władzy Gomułki, nie trwała długo. Długo trwał za to sprzeciw – zarówno robotników, jak i inteligencji. Próby wprowadzania obcego polskim narodowym tradycjom totalitaryzmu zadecydowały, po kolejnych polskich zrywach narodowych, o zjednoczeniu społeczeństwa i wywołaniu ogólnonarodowego wystąpienia: „Solidarność" zjednoczyła wszystkie warstwy społeczne, włączając w to również wielu członków partii rządzącej. Wprowadzenie stanu wojennego wskrzesiło tradycje Państwa Podziemnego. Fenomenalna umiejętność organizowania się i jednoczenia w momentach krytycznych i nieugięty sprzeciw w, zdawałoby się, beznadziejnej, sytuacji – te osobliwości polskiego charakteru znowu ujawniły się w pełni. W narodowym ruchu uczestniczyły wszystkie warstwy społeczne i grupy wiekowe. Podziemne wydawnictwa (drukowane, pisane ręcznie, na taśmach magnetofonowych) pojawiały się w szkołach, fabrykach, wyższych uczelniach, wszędzie, gdzie tylko było to możliwe i niemożliwe. I naród wygrał tę wojnę, wywołaną przez reżim, który sam siedział pod butem Wielkiego Brata. Kolejny raz został rozwiany mit o niemożności posiadania przez Polaków własnego państwa. Kolejny raz Polacy udowodnili, że ich ojczyzna to nie kura, którą można łatwo i bezkarnie zdusić jedną ręką. Kolejny raz pokazali światu, że granice państwowe ich ojczyzny, tradycje, obyczaje i kultura narodowa są nie do ruszenia, że nie można bezkarnie wprowadzać na polskiej ziemi obce porządki i obce zwyczaje.

Taki naród godzien jest szacunku, a dzisiaj, żeby można było z nim współpracować, trzeba najpierw doskonale poznać jego historię, charakter, obyczaje i honor. Polaków można zwyciężyć, ale podbić ich kulturowo, zmusić do przyjęcia obcych ideałów i obcego stylu życia – jest niemożliwe.

Dawna rosyjska klasa polityczna, późniejsza radziecka i obecna, znowu rosyjska, mają skłonności do mianowania siebie głosem narodu, jedynym wyrazicielem jego marzeń i dążeń, powołując się przy tym na ten naród rosyjski i jego mądrość. W związku z tym wypadałoby nie tylko przypomnieć, ale i zrozumieć pradawną i mądrą rosyjską maksymę ludową, która jednak nigdy nie była maksymą dla rządzących tym narodem: „Ze swoimi prawami w cudzy dom nie leź".

Przekład autoryzowany

НОВАЯ ПОЛЬША 2004, nr 4

***Aleksander Lipatow** (ur.1937) – polonista, profesor RGGU (Rosyjskiego Państwowego Uniwersytetu Humanistycznego) w Moskwie, pracownik naukowy Instytutu Słowianoznawstwa Rosyjskiej Akademii Nauk.*

Jerzy Pomianowski

IRINA ALEKSIEJEWNA IŁOWAJSKA

(5 XII 1924 - 4 IV 2000)

Żal po Irinie Iłowajskiej da się wyrazić po prostu, nie musi stronić od utartych zwrotów. Tak, to strata niepowetowana. Istotnie, dusze tak szlachetne, czynne i niestrudzone spotyka się nadzwyczaj rzadko, podobnie, jak umysły i zdolności tak wszechstronne. Tak jest, umarła w chwili, w której była bardziej niż kiedykolwiek potrzebna — zarówno Rosjanom, jak Polakom. Tak, to chwila przesilenia, ważą się w niej możliwości naszego współżycia, niejasne są jego nowe warunki konieczne i nowe, a Iłowajska była nie tylko zapaloną rzeczniczką porozumienia Rosjan z Polakami, lecz nadto żywym dowodem możności naszego pojednania.

To wszystko prawda. Jednakże mowa tu o postaci, która wymyka się najbardziej nawet stosownym i szacownym formułom. Kto miał zaszczyt ją znać, zapamiętał osobę pełną energii, zdolną do błyskawicznych decyzji, ale w końcu stateczną i skłonną do refleksji. Tymczasem jej życiorys ma pozór powieści przygodowej.

Jej ojciec pochodził z Moskwy, matka z Kijowa, ale Irina Aleksiejewna urodziła się w Belgradzie; to w Królestwie Jugosławii znalazła przystań armia, którą zdołał razem z rodzinami wyprowadzić z Krymu baron Wrangel, najzdolniejszy z białych generałów. W Belgradzie też Iłowajska ukończyła wyśmienite rosyjskie gimnazjum (przetrwało nawet II wojnę) i poznała włoskiego dyplomatę, Edgarda Giorgi Alberti. Wojna rozdzieliła ich na 3 lata, jej koniec zastał Irinę Iłowajską w Austrii. Pobrali się w Rzymie i tu przeszła z prawosławia na katolicyzm. W 1946 znalazła się w Pradze czeskiej; męża posłano tam na placówkę. Po 4 latach pracy, komunistyczne władze uznają go za *persona non grata* — okazywał poparcie opozycji, już nielegalnej. Następnie parę lat w Wiedniu i Salzburgu, długi pobyt w Wenezueli, 3 lata w Atenach, 2 i pół roku w Bonn, wreszcie — Paryż. Tam Edgardo Alberti przechodzi zawał serca, wraca z rodziną do Włoch i umiera po długiej chorobie w 1975 roku. W trakcie włóczęgi dyplomatycznej Irina Aleksiejewna zdąży zdawać egzaminy i kończy studia wyższe w Rzymie, a potem w Cambridge. Opanowuje wiele języków — posługiwała się swobodnie nie tylko rosyjskim, włoskim i serbskim, lecz także francuskim, angielskim, hiszpańskim, niemieckim, czeskim i greckim. Służyły jej nie tyle do rozmów światowych, ile do bezustannych, intensywnych lektur. Ich owocem był spory stos literackich przekładów, czerpała z nich środki na utrzymanie chorego męża i trojga dzieci.

I oto w styczniu 1976 roku Irina Iłowajska podejmuje się pracy niezwykłej: zostaje sekretarką Sołżenicyna, naprzód w Zurichu, potem w amerykańskim ustroniu, w stanie Vermont. Przyczyniła się nadzwyczajnie do rozpowszechnienia jego dzieł na Zachodzie. To ona doprowadziła do spotkania Sołżenicyna z papieżem. Przyjaźni z tym pisarzem stulecia nie osłabiły wcale bliskie związki Iłowajskiej z Sacharowem i Jeleną Bonner, nie chciała być arbitrem w ich sporze o kierunek przemian w Rosji. Życzliwość, jaką okazała piszącemu te słowa, miała swoje źródło zapewne w tym, że wiedziała, kto był tłumaczeni *Archipelagu GUŁag* na polski.

W 1979 obejmuje po księżnej Szachowskiej redakcję tygodnika „Russkaja Mysl", wychodzącego w Paryżu od 1947. Iłowajska daje mu nowy wyraz i nowy rozpęd. Wciąga do współpracy pisarzy i uczonych z ZSSR, nie tylko tych, którzy przedarli się na Zachód, jak Natalia Gorbaniewska, lecz również tych, co posyłali jej tajnymi drogami swoje prace sygnowane pseudonimem. Dołączą do niech dysydenci ze wszystkich niemal krajów Obozu: jest w komitecie redakcyjnym Gustaw Herling-Grudziński, Stanisław i Ludmiła Grygiel. Publikują w tym piśmie swoje pierwodruki Alain Besançon, Michał Heller, Malcolm Pearson. Bliskie związki łączą tę redakcję z „Kulturą". Polsce poświęca się tu coraz więcej miejsca; materiały, które „Russkaja Mysl" ogłosiła w czasie stanu wojennego, złożyły się na osobną książkę, wydaną jej sumptem.

Polityczna przytomność kazała Iłowajskiej nie wspierać Gorbaczowa w jego próbach remontu komunistycznej ruiny, stawiała na dalsze skutki *głasnosti.* Z przekonaniem poparła Jelcyna i jego politykę rozwiązania ZSSR. Wykorzystała natychmiast przełom 91 roku dla wprowadzenia swego pisma na

rosyjski rynek krajowy. Wybrała trafnie drogę i adresata: przez sieć bibliotek, czytelni, a potem księgarń dotarła do chłonnej inteligencji, studenterii, kręgów uniwersyteckich. Szczególny autorytet, jakim „Russkaja Mysl" się w Rosji cieszy, bierze się z oczywistej niezależności politycznej. Dowodem brak wszelkich *kompromatów,* pecyn błota, jakimi obrzucają się politycy w raczkujących demokracjach. Zagrodziła im drogę na te łamy wielkoduszność Iriny Aleksiejewny; okazało się, że to popłaca. Skądinąd nie są to łamy neutralne: Iłowajska zdawała sobie sprawę, że pustą łuskę komunistycznego pocisku ładuje się w pośpiechu ideologicznym śmieciem, pretekstami do szowinizmu i odwetu. Dlatego „Russkaja Mysl" stała się istotnym podręcznikiem trzeźwości ideowej, polem walki wybitnych politologów i historyków z następstwami 70-letniej dezinformacji. Drukowali się w jej piśmie wszyscy czołowi reformatorzy nowej Rosji z Gajdarem i Starowojtową na czele, najbystrzejsi badacze opinii publicznej, jak Klamkin i Lewada. Tu Iłowajska ogłosiła swoją długą rozmowę z generałem Liebiediem, z której wynikało, że największym niebezpieczeństwem dla stronnictwa wielkodzierżawia i rekonkwisty mogą stać się narodowcy, odrzucający imperialną tradycję.

Iłowajska nie poprzestała na drukach. Jeszcze w Paryżu założyła rozgłośnię „Błagowiest". W Moskwie mówiła przez mikrofony Chrześcijańskiego Radia Kościelno-Społecznego i radiostacji Sofija, wszystko to było pełne dobrej wiedzy i werwy, wszystkie jej polemiki i szkice na tematy religijne tchnęły owym duchem ekumenicznym, którego tak brak na Wschodzie Europy. Była audytorką Synodu Biskupów Europy, powołana tam przez Jana Pawła II. Po jej nagłej i cichej śmierci nabożeństwa żałobne odprawiono więc w rzymskim kościele S. Luigi Gonzaga, w paryskim soborze św. Aleksandra Newskiego i moskiewskiej cerkwi p.w. świętych Kosmy i Damiana.

Rozgłośnie mieszczą się na czwartym piętrze starego gmachu uniwersytetu imienia Łomonosowa w Moskwie. Nie sposób zapomnieć jak ta sędziwa, otyła kobieta wspinała się bez tchu po stromych schodach zapuszczonego budynku, pozbawionego windy, aby siąść przed mikrofonem i mówić o „Nowej Polszy" z autorem tych słów. To Irina Aleksiejewna Iłowajska i jej „Russkaja Mysl" przetarły drogi, którymi nasz miesięcznik przebił się na rosyjski rynek prasowy i jest już od wielu miesięcy w rękach rosyjskich inteligentów. Dodajmy, że stałymi korespondentami „Russkiej Mysli" są Jan Strzałka i Grzegorz Przebinda, członek redakcji „Nowej Polszy". Tej redakcji czynnym członkiem jest z kolei poetka Natalia Gorbaniewska, podpora redakcji Iłowajskiej.

18 maja 1995 Irina Iłowajska wypowiedziała w trakcie wykładu na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim słowa, które w Polsce lubi się powtarzać z uznaniem: „Chcę, jako Rosjanka, poprosić moich polskich braci o przebaczenie za wszystkie cierpienia, których doznali ze strony Rosji i Rosjan". Sądzę, że nie powinna była tego mówić, nie ona niesie odpowiedzialność za jakiekolwiek takie winy. Ani nikt z Rosjan, jej podobny. Dlatego wypada dotknąć tu dwu kwestii, które przykład Iriny Aleksiejewny Iłowajskiej czynią wyraźniejszym może dla nas, niż to, co zrobiła bezpośrednio dla polskiej sprawy.

Mamy tu do czynienia z okazałym dowodem znaczenia inteligencji, jako środowiska i świadomego strażnika dorobku duchowego całego narodu. Iłowajska miała wysoce rozwinięty ów gruczoł humanistyczny, który reżym komunistyczny usiłował wyciąć świetnej i licznej rosyjskiej inteligencji, przekształcając ją w gromadę „wykształceńców", technicznych parobków bez wpływu na decyzje rządzących dyletantów. Właśnie ta próba — w dużej mierze udana — doprowadziła do zastoju w badaniach, produkcji i nawet w zbrojeniach ZSSR.

Ta lekcja nie byłaby tak wymowna, gdyby nie dowód przeciwny, jakiego dostarczyła Irina Iłowajska i inni, myślący podobnie.

Rola tej wspaniałej emigrantki w Rosji, w Europie, więcej — w świecie, rola tak widoczna, każe zastanawiać się na nowo nad znaczeniem wychodźstwa. Irina Iłowajska i jej podobni dokonali ważnego przewartościowania wątków kultury swojego narodu. Z dystansu i bez doraźnych nacisków stało się łatwiej wybrać najbardziej żywotne i zdatne do kontynuacji. Toż kultura jest w ogóle sztuką dziedziczenia. To, co znalazło dalszy ciąg na stronicach „Russkoj Mysli" i w audycjach Iłowajskiej, okazało się zadziwiająco współrzędne wobec kultury i myśli reszty kontynentu. Dzieło tej kobiety przyczynia się do obalenia przesądu o zasadniczej obcości kultur — rosyjskiej i łacińskiej, a także o niezdolności do współżycia Rosji z innymi narodami, nie tylko polskim.

KULTURA 2000, nr 5

НОВАЯ ПОЛЬША 2000, nr 5

Natalia Woroszylska

POŻEGNANIE ZINY SZATAŁOWEJ

(1922-2003)

Zina Szatałowa lubiła długie rozmowy telefoniczne. Bałam się troszkę tych telefonów, trudno było jej przerwać. Jednak zaniepokoiło mnie milczenie Ziny – zawsze odzywała się na Nowy Rok. Zadzwoniłam sama. Niestety spóźniłam się: dwa dni wcześniej był jej pogrzeb.

Sądziłam, że pisać pożegnanie powinien ktoś z jej przyjaciół, na przykład moi rodzice. Ale ich także już nie ma i to właśnie Zina ich żegnała. Ostatni list, który dostałam od niej dwa miesiące temu, zawierał wyrazy współczucia po śmierci mojej mamy, Janiny Woroszylskiej. Zaś po śmierci ojca, Wiktora Woroszylskiego, sześć lat temu, Zina przyjechała do Warszawy wspierać moją mamę, pomóc jej w pierwszych miesiącach samotności. A jednak, chociaż moich rodziców nie ma już wśród żywych, chcę żegnając Zinę, mówić także ich słowami. Od 1953 roku prawie do samej śmierci ojciec mój prowadził dziennik. Imię Ziny Szatałowej pojawia się od razu na pierwszej stronie: „Janka namówiła mnie, żebym nie wracał do Pieriedielkina po nocy, lecz przenocował u Ziny" (19.10.53).

Moi rodzice uczyli się w Moskwie na studiach doktoranckich. Pojechali tam jako żarliwi wyznawcy komunizmu. Życie w Moskwie kazało im spojrzeć krytycznie na socjalistyczny raj. Niemałą rolę odegrała w tym Zina. Były to czasy, kiedy ludzie bali się szczerych rozmów, żeby nie powiedzieć czegoś niepotrzebnego, bali się kontaktów, szczególnie z cudzoziemcami. Mieszkanie Ziny było nie tylko miejscem, gdzie można było w razie czego przenocować, ale też porozmawiać z nią, poznać jej bliskich i przyjaciół. Przed spotkaniem ze znajomym z Instytutu Literackiego ojciec mój zanotował: „Teraz chcę skorzystać z zaproszenia i pogadać z nim 'po duszam' o niektórych dręczących mnie kwestiach, szczególnie o tych, o których usłyszałem od Ziny. Nie chcę patrzeć na Związek Radziecki oczyma Ziny, a chwilami zmuszają mnie do tego wstrząsające rzeczy, które od niej słyszę" (26.11.53). Ponad trzydzieści lat później Zina jak dawniej wykazywała brak pokory, co wprawdzie nie było już tak niebezpieczne, jak w latach 50., ale ciągle przyczyniało jej niemało problemów: „Na zebraniu w Sojuzie Pisatielej przysłany lektor-historyk zreferował Katyń po staremu (Niemcy, prowokacja). Zabrała głos i opieprzyła go, powołując się na chruszczowowską próbę ujawnienia prawdy" (4.06.87).

Mnie także Zina pokazywała i odkrywała przede mną Moskwę – kiedy znalazłam się tam po raz pierwszy, jeszcze jako uczennica na wycieczce, i potem, w czasach radzieckich i w ostatnich latach, kiedy zatrzymałam się w Moskwie na cztery lata, pracując w Instytucie Polskim. Przez dom i serce Ziny przewinęło się wielu Polaków – ludzi kina (swój romans z Polską rozpoczęła jako tłumaczka synchroniczna polskich filmów), pisarzy i zwykłych ludzi – po prostu przyjaciół. I wszyscy mogli liczyć na jej pamięć i troskę: „Kilka dni temu (w kolejnym groźnym momencie) dzwoniła Zina z Moskwy, chyba chciała podtrzymać na duchu; wysyła przez Z. kawior, chciała w ogóle wysłać paczkę żywnościową – powiedziałem, że nie trzeba" (11.12.80).

Zinaida Szatałowa została odznaczona orderem Zasłużony dla Kultury Polskiej. Kilka lat temu przyjechała do Polski na zaproszenie Ministra Kultury wraz z grupą wybitnych tłumaczy literatury polskiej. Spotkanie tłumaczy połączone było z promocją pierwszego numeru „Nowej Polszy".

Dorobek Szatałowej jest bardzo bogaty. Tłumaczyła prozę, dramaturgię, scenariusze filmowe, książki z teorii i historii kina. Wśród jej autorów byli: Igor Newerly, Jerzy Stefan Stawiński, Kazimierz Brandys, Andrzej Braun, Sławomir Mrożek, Agnieszka Osiecka i inni.

„Nieoceniona Zina", jak nazwał ją mój ojciec, już nie przyjedzie, nie napisze i nie zadzwoni. Ale była z nami – i za to dziękujemy.

Andriej Bazilewski

PAMIĘCI WIKTORA RUTMINSKIEGO

Wiktor Siergiejewicz Rutminski (1926 - 2001) był przyjacielem, znawcą i tłumaczem polskiej poezji, doświadczonym mistrzem, który pracował dużo, szczerze i bezinteresownie. Jego los był potwierdzeniem nieomylnej prawdy: intensywność odbioru dóbr artystycznych innego narodu nie jest skrępowana więzami krwi i narodowości; bezpośredni kontakt duchowy ma miejsce poza nimi (i to go czyni cennym). Rutminski to pseudonim literacki.

W paszporcie miał napisane: Falejew. Rosyjski szlachcic, syn oficera-artylerzysty i nauczycielki, urodził się w centrum przemysłowego Uralu – Swierdłowsku, w którym żyło wielu potomków zesłanych Polaków. Polskiego nauczył się, jak sam mówił, ze "znalezionych na śmietniku" książek Orzeszkowej i Sienkiewicza. Pomogła mu babcia ze strony matki, śpiewaczka, swobodnie mówiąca w tym języku (bywała w Warszawie, z jej opowieści od dziecka znał miasto, w którym jednak nigdy nie udało mu się być). Później, na Uniwersytecie Uralskim, utrwalił wiedzę dzięki bliskim stosunkom ze studiującym na tym samym roku Polakiem i literackiemu współzawodnictwu z Jurijem Abyzowem (później zawodowym tłumaczem).

Na trzecim roku studiów został skazany za "kontrrewolucyjną agitację i propagandę" (pisał wiersze, jak sam to określał, "trochę mroczne", i ktoś na niego doniósł). Sześć lat w łagrach (koniec – na Kołymie)... Następnie kursy księgowości w Niżnim Tagilu. Po rehabilitacji eksternistycznie ukończył wydział filologiczny. Przez trzydzieści lat Rutminski wykładał księgowość; lecz jego właściwym życiem (do pewnego czasu potajemnym) była poezja. Nie utrzymywał kontaktów ze środowiskiem literackim. Pracował samotnie, w skupieniu. Zbierał materiały o poetach rosyjskich, uczył się języków, tłumaczył – z niemieckiego (Rilkego), rumuńskiego (Eminescu), czeskiego, fińskiego... Z polskiego, oprócz poezji – również prozę (opowiadania Stanisława Lema, Jerzego Stefana Stawińskiego). Drukować swoje przekłady zaczął pod koniec lat pięćdziesiątych, ale rzadko i przypadkowo.

Wśród niewielu redakcji, życzliwych Rutminskiemu było czasopismo "Pamir", w którym w 1969 zostały opublikowane jego tłumaczenia Norwida.

Paweł Bażow, patriarcha pisarzy uralskich, kiedyś mówił mu: "Głowę to ty masz mocną, Rutmiński, ale twój kark może nie wyjść z tego cało". A on tymczasem wyszedł cało, i nieźle mu się ułożyło. W ciągu ostatnich piętnastu lat udało mu się, wybawiwszy się od nielubianej pracy – skupić na ulubionym zajęciu, którego nie porzucił pomimo cierpienia (szereg zawałów, następnie prawie całkowita ślepota). Krzewiciel oświaty z powołania, Rutminski "agitował" za poezją i "propagował" kulturę. Mieszkańcy Swierdłowska-Jekatierinburga dobrze znali jego literackie monologi: autorskie audycje radiowe, wykłady-koncerty w bibliotekach, szkołach, muzeach, wykłady monograficzne na Uniwersytecie.

Ukazały się jego szkice o poezji rosyjskiej "srebrnego wieku" (50 portretów), napisał książkę *Na początku był złoty wiek* (o poetach od Dierżawina do Połońskiego). Pamięć o Rutminskim została naprawdę świetlana.

"Poetą nie jest ten, kto włada techniką wiersza. To niewyszukane rzemiosło stało się w naszej epoce zbyt powszechnie dostępne. Poeta to człowiek odczuwający harmonię świata, harmonię żywego życia, obdarzony darem widzenia go w określonym kluczu obrazów i urzeczywistnienia w najbardziej precyzyjnych słowach. (...) Jeśli wierszy można nie pisać, to nie należy ich pisać". Rutminski sam był poetą i mówił o poezji z punktu widzenia poety – swobodnie i precyzyjnie. Z trwogą odbierał informacyjną przestrzeń świata, wsłuchiwał się w natężony wielogłos. Przygnieciony kołem historii, przeszedłszy szkołę milczenia, umiał wczuwać się w ból (dlatego tłumaczył teksty Stanisława Wygodzkiego), ale też z całego serca śmiać się z tego, co warte było śmiechu – stąd miłość do polskich fraszek.

Norwid był mu bliski zranioną duszą wygnańca i wiarą doświadczoną przez czas. Tuwim był pobratymcem w rozumieniu rytmu i słowa.

***Andriej Bazilewski** (ur. 1957), tłumacz i wydawca literatury polskiej.*

Witalij Portnikow

DZIENNIK 2000–2002

(fragmenty)

Od trzech lat publikuję mój dziennik na łamach kijowskiego pisma „Dzerkało Nedeli". Pomysł, by zająć się tego typu pisarstwem, nawiedził mnie latem 2000 roku, gdy na brzegu jeziora Orchidzkiego starałem się przebrnąć przez dzienniki Witolda Gombrowicza. Ze smutkiem pomyślałem, że w ukraińskiej czy rosyjskiej publicystyce o wiele rzadziej niż w polskiej uprawiany jest ten gatunek, umożliwiający spojrzenie na świat przez pryzmat własnych poglądów, a zarazem przełożenie spostrzeżeń na język uniwersalny. Co prawda my też mamy dzienniki, są to jednak raczej dzienniki wąskich specjalistów, a nie takie, jakie pisali Gombrowicz czy Herling-Grudziński.

Czytelnika, który interesuje się Polską, mogą zaciekawić strony jej poświęcone. Zastrzegam się z góry, że zapewne nie jest to ta Polska, do której przyzwyczaił się Czytelnik. Mój odbiór Polski jest bardzo żydowski ze względu na moje pochodzenie i dogłębne odczuwanie długotrwałych związków obu narodów. Mój odbiór Polski jest też bardzo ukraiński ze względu na miejsce urodzenia i sposób pojmowania długotrwałych więzi mojego kraju z tamtą cywilizacją. Mój odbiór Polski jest również rosyjski – mieszkam w Moskwie od 15 lat i byłoby absurdem uważać, że polsko-rosyjskie powiązania mogłyby umknąć mojej uwadze. Mój odbiór Polski jest także polski: nigdy nie czułem się jak cudzoziemiec w tym kraju, w którym nie byli mi potrzebni tłumacze i przewodnicy, a niezbędni byli dobrzy przyjaciele, ulubione miasta i dobre książki. A wszystko to mam w mojej Polsce.

Giedroyc

Pomysł pierwszej notatki pojawił się od razu, gdy w „Gazecie Wyborczej" przeczytałem o śmierci Jerzego Giedroycia, redaktora paryskiej „Kultury". Szczerze mówiąc, jakoś nie uświadamiałem sobie, że ten człowiek jest nam współczesny; jego nazwisko spotykałem na kartach pamiętników polskich pisarzy z lat powojennych. Już wówczas wyglądał on na starego i mądrego człowieka i może właśnie dlatego nie pojmowałem, że redaktor „Kultury" nadal czyni cuda w swoim wydawnictwie na przedmieściu Paryża...

Pisarze, którymi dzisiaj chlubi się Polska, nazywali go wielkim bez obawy, że wpłynie to na ich reputację. Nie bał się on tworzenia swojej Polski nie pędzelkiem, lecz skalpelem, publikowania opinii, które chyba uwłaczały „patriotom"...

Stosunek do Ukrainy: można sobie wyobrazić, jak polska emigracja odnosiła się do Ukraińców po II wojnie światowej, po utracie Lwowa, po partyzanckim ruchu OUN... I jak odnosiła się emigracja ukraińska do Polaków po akcji „Wisła". A Giedroyc proponował rozmowę – nie o tamtych wydarzeniach, lecz o tym, jak będą się w przyszłości układały stosunki niepodległej Polski z niepodległą Ukrainą. Niezły temat na lata 40-50, nieprawdaż?

Jak bardzo trzeba być przenikliwym, ażeby rozpoczynać – przynajmniej w tych publikacjach pisarzy „rozstrzelanego Odrodzenia" – tworzenie europejskiego wizerunku Ukrainy wówczas, gdy ukraińska emigracja wyraźnie nie była zdolna wyzwolić się z prowincjonalizmu!

Co jeszcze pociągało mnie w światopoglądzie Giedroycia? To, że umiał nawet tam, we Francji, żyć wspomnieniem nawet nie o Polsce, ale o utraconym obszarze Rzeczypospolitej. Polski. Ukrainy. Białorusi. Litwy.

W dzieciństwie, kiedy odkrywałem dla siebie kraje bałtyckie, Estonia wydawała się ciekawa i obca, Łotwa – pociągająca i zrozumiała, a Litwa – prawie ojczysta. W Wilnie czułem się jak w Kijowie: z czasem tak samo będę się czuł w miastach polskich. Jestem pewien, że zachował się obszar kulturalny Rzeczypospolitej, a nie mam wątpliwości (to wynika po prostu z mojego życiowego doświadczenia), że Moskwa nie jest stolicą Ukrainy...

Nie zamierzam zajmować się tu jakimiś teoriami politycznymi. Po prostu, zawsze będziemy prowincjuszami w porównaniu z Rosjanami, którzy przez nieprowincjonalność rozumieją przede wszystkim imperialność, mocarstwowość, prawo silniejszego, wszelkie kompleksy wielkiego i ubogiego narodu. Na Zachód, trochę bardziej na Zachód od nas, tęskni się jednak do czego innego – nie do potęgi, lecz do tego, żeby żyć po ludzku.

Powierzchowna analiza wykazuje, że żyć po ludzku jest jednak łatwiej niż cieszyć się nieogarnionym terytorium i historią pełną zwycięstw, które mniejszym krajom są po prostu niedostępne. Mamy dziś niezreformowany kraj, niesamowystarczalną gospodarkę, społeczeństwo, które jeszcze nie rozumie własnej tożsamości – to wszystko prawda. Jednak nawet w chwilach głębokiej depresji pozostaję optymistą. Ponieważ nie chcę być powierzchowny i zawsze chcę być choć odrobinę Giedroyciem.

Stop! Nie zamierzam być żadnym Giedroyciem. Nie dlatego, że nie chcę, ale dlatego, że nie potrafię. Strasznie brak mi odpowiedzialności. Zawsze z zaciekawieniem obserwowałem reżyserów, ale sam nie zostanę reżyserem.

Giedroyc umarł. Czytając polskie gazety, uświadomiłem sobie, jak wiele straciliśmy, nie mając własnych Giedroyciów.

Zawsze w takich dniach jest mi przykro: teraz, gdy czas autorytetów moralnych praktycznie już minął, ciężko jest uświadamiać sobie, że w dobie moralnych autorytetów my byliśmy ich pozbawieni...

Najsilniejsze wrażenie podczas Forum Gospodarczego w Krynicy wywarło na mnie coś, na pozór zupełnie nie związane z dyskusjami politycznymi i ekonomicznymi: seminarium poświęcone paryskiej „Kulturze". Od śmierci Giedroycia i zaprzestania druku pisma upłynął rok, a nadal mówi się o nim i dyskutuje... Nawet prezydent Kwaśniewski, który – wydawałoby się – powinien uczestniczyć w jakichś kolejnych dyskusjach o integracji europejskiej czy reformach gospodarczych, przyszedł na to seminarium jako zwykły uczestnik i przysłuchiwał się wystąpieniom weteranów „Kultury". Zresztą nie ma się czemu dziwić. To właśnie wschodnioeuropejska koncepcja Giedroycia wpłynęła na polską politykę. To przecież Giedroyc przekonywał, jak ważny będzie przyszły rozwój stosunków Polski z jej sąsiadami, republikami Związku Radzieckiego, mało znaczącymi peryferiami imperium.

Miałem pewien estetyczny obraz tego seminarium: przy stole prezydialnym szacowni publicyści, prezydent Kwaśniewski w okularach, coś tam zapisuje w notesiku, były premier Polski Oleksy z satysfakcją kogoś oklaskuje, Dmytro Pawłyczko z natchnionym wyrazem zmęczonej twarzy. Dzień Giedroycia... Po głębszej analizie doszedłem jednak do wniosku, że jeśli to był dzień Giedroycia, to po 11 września zaczęły się dni bez Giedroycia. Dlatego, że redaktor „Kultury" traktował Europę Środkową i Wschodnią również jako miejsce ścierania się interesów wielkich państw, miejsce stałych pojedynków i dyskusji i to nie tylko rosyjsko-amerykańskich, lecz również rosyjsko-europejskich, amerykańsko-europejskich itp. Chciał zharmonizować stosunki między krajami i narodami regionu w taki sposób, aby w oczach sąsiadów, a także własnych nie wyglądały one na nieopatrznych barbarzyńców. Dla niego był to określony ośrodek, miejsce, ku któremu kieruje się uwaga świata. Pod tym względem Giedroyc rzeczywiście miał rację: z czasem stało się oczywiste, że Europy nie da się sztucznie przedzielić murem berlińskim. Również z czasem okaże się, że Europa nie może być odgrodzona granicami: polsko-ukraińską czy litewsko-białoruską. Ale kogo to dziś interesuje?

Po aktach terrorystycznych w Ameryce w polityce pozornie nic się nie zdarzyło. Nawet akcenty nie za bardzo się przesunęły. Po prostu ujawniła się określona szczerość, której tak bardzo brak w zwykłej polityce. W wyniku tej szczerości stało się oczywiste, że Środkowa i Wschodnia Europa, Europa Giedroycia, nikogo już nie obchodzi. Nie obchodzą nikogo nasze stanowiska, nie obchodzą nasze reakcje, po prostu nie obchodzi nasza cywilizacja. Uwaga tych, którzy podejmują decyzje lub wydaje im się, że je podejmują – widocznie zwróciła się na południe. Nami nie interesuje się Zachód, a Rosja, jeśli już, to raczej siłą inercji. Ciekawe, jak będziemy żyć w takim świecie, gdzie nikt z nami nie będzie się szczególnie kłócić ani szczególnie przyjaźnić. Ot, żyjcie sobie, jak chcecie, my mamy większe problemy. Ale czy żyć z dala od wielkiej polityki jest aż tak źle? Czy nie powstaje nowa nieoczekiwana granica: między światem aktywnym a światem obserwatorów?

Lem

W Poznaniu przeczytałem urywek nowej książki Stanisława Lema. Jest to właściwie niezwykły dla Lema, ale charakterystyczny dla polskiej publicystyki rodzaj wywiadu-rzeki. Rysuje się w nim obraz takiego wolnego intelektualisty, który zmuszony jest zyć w społeczeństwie totalitarnym... Mój polski przyjaciel twierdzi, że jeszcze kilka lat temu czytał inny wywiad z Lemem, w którym pisarz wcale nie był takim demokratą, ostro karcił „Solidarność". Nie wiem, czy tak było: kilka lat temu sama próba obiektywnej oceny „Solidarności" mogła się wydawać ostrą krytyką. Po prostu po raz kolejny się przekonałem, że w polskim spo-

łeczeństwie ustaliły się określone reguły, nawet nie gry, ale zachowania. Że społeczeństwo dzieli się nie na wygranych i przegranych, ale na tych, którzy już wówczas wszystko rozumieli, i tych, którzy w pewnych okolicznościach się mylili. W takiej sytuacji liberałem może być zarówno Lem, jak i Kwaśniewski. A społeczeństwo nie żywi niebezpiecznych iluzji, że dziś można iść w jedną stronę, a jutro w przeciwną. Po prostu ludzie umówili się, co jest dobre, a co złe. Toteż szczery wydaje się Lem, który mówi, że brzydzą go obrońcy „Polski Ludowej", ale jeszcze bardziej brzydzą go ci, którzy Oświęcim nazywają „żydowskim wymysłem", a polskie problemy tłumaczą tym, że „wszyscy są Żydami" – od Kwaśniewskiego po biskupów.

W ostatnich latach dla mnie istnieją jakby dwaj Lemowie. Pierwszy to autor powieści fantastycznych, którego znam od dzieciństwa – ironiczny, paradoksalny, jeden z niewielu mistrzów, którzy przekształcili młodzieżową (zważywszy na wiek podstawowej kategorii jego czytelników) fantastykę naukową w poważną literaturę, literaturę dla tych, którzy chcą myśleć w kategoriach przyszłości i odnajdywać ową przyszłość w świecie teraźniejszym. Drugi to publicysta: ostatnie książki Lema, niestety jeszcze u nas nie przetłumaczone, są właśnie publicystyką. W dodatku od czasu do czasu czytam jego komentarze w jednej z najbardziej inteligentnych gazet Europy Środkowej, w krakowskim „Tygodniku Powszechnym"... Lem-publicysta okazuje się nieco inny niż Lem-pisarz. Jest on znacznie bardziej ogarnięty niepokojem. I, co tu ukrywać, przed napaścią terrorystów na Stany nie mogłem do końca zrozumieć jego niepokoju. Kiedyś zdumiewało mnie, że Lem spogląda w przyszłość bez większego optymizmu, jakoś intuicyjnie wyczuwa, że przyszłość jest pełna zagrożeń, a osiągnięcia w sferze postępu naukowo-technicznego jedynie zaostrzają te zagrożenia. Mógłbym te przestrogi uznać za starcze gderanie, ale Lem w swoich książkach publicystycznych wcale nie wygląda na człowieka w wieku podeszłym. Przypominam sobie, że czytając jego *Świat nad przepaścią*, dopiero gdy odwróciłem ostatnia stronę tej gęstej od przemyśleń książki, uświadomiłem sobie, że mam do czynienia z wnioskami życiowymi 80-letniego pisarza. Podczas lektury traktowałem go raczej jak rówieśnika, ale rówieśnika mądrego i dociekliwego. I zdziwiło mnie, dlaczego ten wewnętrznie tak młody człowiek, przede wszystkim młody umysłem, nie uważa, że nasza cywilizacja z każdym rokiem staje się coraz bardziej nam przyjazna i podąża we właściwym kierunku.

Tragedia amerykańska stała się dla mnie w pewnym stopniu chwilą prawdy co do przestróg Lema. Lem zawsze starał się wytłumaczyć, że w XXI wieku nie będzie się żyło łatwiej niż w XX, co więcej – będzie nawet trudniej, a postęp nie odgrywa tu żadnej roli. Obecnie wiek XIX wspominamy z pewną nostalgią: to były spokojne czasy, gdy nie można było jeszcze oglądać telewizji i w parę godzin dolecieć do Ameryki, niemniej jednak nie można było też w kilka minut dokonać masowej zbrodni... Może się zdarzyć, że za kilka lat z taką samą nostalgią będziemy wspominać również wiek dwudziesty.

Wojaczek

Obejrzałem film Lecha Majewskiego *Wojaczek*, poświęcony kultowemu polskiemu poecie lat 70. Kasetę miałem od dawna, ale wciąż odkładałem jej obejrzenie. Oglądałem ją jak serial – na trzy razy: na raz było to zbyt trudne. Nie dlatego, żeby film był kiepski, lecz dlatego, że realia są mi zbyt dobrze znane. Nie bardzo dostrzegałem w tym filmie samego Rafała Wojaczka, ale to co się twórcy filmu udało, to był obraz socjalizmu. Może dzięki temu, że film jest czarno-biały, a może dlatego, że akcja toczy się jedynie w kilku miejscach, jak w spektaklu telewizyjnym: restauracja, dworzec, szpital, mieszkanie... Jest to życie nader ograniczone, beznadziejne, pogrążone w ciemności. Zdarzenia powtarzają się z dnia na dzień... Nuda. Wojaczek oczywiście umiera, a cóż innego ma począć człowiek utalentowany? Rzecz jasna, mądry człowiek w tej sytuacji znalazłby sobie zajęcie – obserwowałby brak wydarzeń, czytał książki, słuchał „Wolnej Europy". Młodemu człowiekowi jest jednak ciężko, chciałby w pogodnym nastroju dożyć do mądrości.

Jeżeli zdarzyło ci się urodzić w kraju socjalistycznym, możesz brać życie na trzy sposoby. Pierwszy – to traktować jego realia jako jedyne i najlepsze, z samozaparciem robić karierę, być najlepszym uczniem Smoka [aluzja do sztuki Jewgienija Szwarca *Smok* – przyp. red.], uwierzyć w to, że jest to najlepsza rzeczywistość, na zawsze. Drugi sposób zobaczyłem w *Wojaczku*: rzeczywistość traktuje się jako beznadziejną, człowiek sam staje się żywym protestem, dążąc do tego, by ją zmienić. Ale ona oczywiście pozostaje niezmienna. I ty umierasz, fizycznie – jak Wojaczek, albo moralnie, jak wielu jego rówieśników, którzy wybrali karierę komunistyczną. Jednak faktycznie w społeczeństwie socjalistycznym większość ludzi trwa nie w tych dwu rzeczywistościach, ale w trzeciej, wymyślonej. Wydaje mi się, że społe-

czeństwo, które się pojawiło w wyniku nieokiełznanej niechęci do życia w wymyślonym świecie, okazało się dla większości jeszcze okrutniejsze niż socjalizm. Bo ono nie pozostawia miejsca dla marzeń. Traktujesz rzeczywistość albo jako wspaniałą (co nie jest trudne w warunkach pomyślnej kariery, podróży na Zachód, jadania w drogich restauracjach i strojów od Versace dla żony), albo też jako beznadziejną, co nie jest trudne, jeśli się żyje zwykłym życiem pozbawionym strojów i podróży. Bronienie się iluzją pomiędzy jednym a drugim jest prawie niemożliwe, bowiem to inne życie, barwne i pociągające nie znajduje się za żelaznym ogrodzeniem, za morzem – oceanami. Jest niemal tuż obok, na sąsiednej ulicy. Czyż można marzyć o niedostępnej powszedniości? Na Zachodzie większość ludzi wie, jak osiągnąć co najmniej część tej niedostępnej codzienności. Gdy masz niezbyt wysoką pensję, nie kupujesz w śródmieściu – nic to, w wolne dni pojedziesz z żoną do supermarketu na przedmieściu. Pracujesz, więc nie masz czasu na zawiść i niezadowolenie z tego, że sąsiad ma sześć pokoi i głębszy basen, wszystko to jest rywalizacją wewnątrz klasy średniej, a nie konkurencją bogaczy z nędzarzami, jak u nas. Socjalizm, jak wiadomo, umarł. Po prostu dlatego, że nawet w tym celu, aby ludzie mogli żyć w atmosferze iluzji, trzeba ich było czymś nakarmić. Wodzowie tamtego społeczeństwa uważali swoich zastraszonych poddanych za spokojne i niegroźne bydło – i się przeliczyli. Właśnie dlatego dziwi mnie, skąd się bierze u dzisiejszych wodzów takie nieuzasadnione poczucie bezpieczeństwa?

Herling-Grudziński

W jednej z ostatnich książek zmarłego w ubiegłym roku Gustawa Herlinga-Grudzińskiego znalazłem nieoczekiwane dla mnie spostrzeżenie. Autor, który prawie 40 lat przeżył na emigracji w Neapolu, uskarża się na samotność w tym wielkim mieście. I to nie dlatego, żeby w Neapolu brak było intelektualistów, ale dlatego, że ludzie, którzy mogli stanowić towarzystwo dla polskiego pisarza, nie chcieli go znać. Neapol był miastem... komunistycznym, a Herling-Grudziński pisarzem, który wyemigrował z kraju komunistycznego. I dlatego aż do 1989 roku był obcy dla neapolitańskiej „elity". Był obcy dla niej, a ona była obca dla niego. Neapolitańskie życie Herlinga-Grudzińskiego potrafiłem sobie dobrze wyobrazić. W jego wspomnieniach zdumiewał mnie raczej sam paradoks istnienia. By nie żyć w społeczeństwie powszechnego poniżania, człowiek porzuca ojczyznę. W efekcie znajduje się w kraju wolnym, ale w mieście, w którym to społeczeństwo powszechnego poniżenia jest idealizowane i uznane za ideał istoty myślącej. Kilka godzin jazdy pociągiem i już jest się w całkiem innym świecie, w zupełnie innych miastach. Jednakże tu, w nowym ojczytym mieście, nie ma się odpowiedniego towarzystwa, ludzi, z którymi znalazłoby się wspólny język. Herling musiał tak żyć aż do 1989 roku: upadek komunizmu uczynił go człowiekiem popularnym, elita neapolitańska dziwiła się, jak też mogła dotychczas nie zauważać takiego interesującego rozmówcy...

Balcerowicz

Bardzo długo czytałem książkę Leszka Balcerowicza, poświęconą gospodarce wolnego rynku i jej budowaniu w świecie postsocjalistycznym. Jestem humanistą i czytanie książek ekonomicznych ciężko mi idzie. Ta książka była jednak dość prosta. Widocznie Balcerowicz liczył na takich jak ja. On w ogóle umie mówić prostym językiem: podczas jednego z warszawskich seminariów słuchałem go przez kilka godzin i ani razu nie poczułem, że znajduję się w towarzystwie człowieka, który operuje złożonymi kategoriami naukowymi.

Dla mnie książka ta była ciekawa przede wszystkim dlatego, że znowu doszedłem do następującego przekonania: by reformować gospodarkę, trzeba wiedzieć jak. Nie da się tak po prostu podejść do kwestii tylko z dobrymi intencjami. Trzeba mieć plan działania, odwagę w jego realizacji i poparcie społeczeństwa. Bez tego nie można nawet mieć nadziei na poprawę sytuacji...

Ostatnio wiele się u nas mówi o konieczności rokowań, dialogu władzy z opozycją. Celem takiego dialogu, jak ja to rozumiem, jest polityczna stabilizacja w społeczeństwie. No dobrze, można sobie nawet wyobrazić, że osiągamy ten cel. Nie mogę się jednak zgodzić z Balcerowiczem, który uważa, że „stabilność polityczna powiązana z niezrównoważoną polityką gospodarczą daje nam Koreę Północną, zaś w połączeniu z mądrą polityką gospodarczą – Koreę Południową". Moim zdaniem, zagadnienie należy przestawić z głowy na nogi: brak stabilności politycznej w naszym społeczeństwie wynika z długotrwałej mitręgi we wprowadzaniu reform gospodarczych. I jeżeli te reformy się nie rozpoczną, to w miarę upływu czasu sytuacja będzie się jedynie pogarszała. Nie pomogą tu żadne „okrągłe stoły", żadne porozumienia między wrogimi siłami politycznymi. Ponieważ wszystkie te procesy przebiegają z dala od interesów

zwykłych ludzi. Po co obywatelowi Ukrainy stabilność polityczna, skoro ma przed sobą tylko jedno zadanie: dojechać pociągiem podmiejskim do swojej działki, nakopać ziemniaków, żeby było jutro czym nakarmić dzieci... Oderwaliśmy naszych ludzi od polityki, a oni przestali zauważać nie tylko państwo ukraińskie, ale w ogóle państwo! Tymczasem my do dziś uważamy, że ich interesujemy i kokietujemy społeczeństwo.

Powstaje tu cały szereg pytań, na które po prostu nie chciałbym odpowiadać. Na przykład, co będzie, jeżeli jeszcze przez jakiś czas będzie się zwlekać z reformami? Przecież wciąż z nimi zwlekamy i nie należy się uspokajać, że rząd je wprowadza. Brak jest odpowiedniego wsparcia ustawodawczego, nie ma poparcia elity, brak możliwości nie tyle zatwierdzenia, ile stworzenia programu reform. Jest deklaracja, że są one niezbędne – to już dużo. Jednak za mało. Zwłoka trwa, co jest na rękę szarej strefie gospodarczej. Nasza szara strefa – w czym zapewne jesteśmy bardziej demokratyczni od Jugosławii z okresu Miloševicia i od Białorusi Łukaszenki – ma nie jednego, ale kilku panów. Toteż kraj powoli, lecz nieustannie dzieli się na swoiste księstwa feudalne. Szara strefa potrafi żywić jej władców, ale jest całkowicie niezdolna do utrzymania kraju.

Nie wiem, dlaczego tak długo sądziłem, że w razie utworzenia demokratycznego, otwartego społeczeństwa, automatycznie potrafi ono przeprowadzić reformy. Myliłem się. W ostatnich dziesięciu latach były różne okresy, jeśli chodzi o poziom demokracji, ale okresu reform gospodarczych nie było wcale. A teraz całą nadzieję pokładam w tym, że reformy umożliwią stworzenie otwartego społeczeństwa demokratycznego. Któż się jednak odważy na przeprowadzenie takich reform – od początku niepopularnych, groźnych i ryzykownych? Czas, gdy gospodarkę ukraińską mogli leczyć terapeuci, dawno minął. Teraz czekamy na chirurga.

Kaliningrad

Kilka rosyjskich redakcji jednocześnie poprosiło mnie, bym napisał o problemie kaliningradzkim. Na Ukrainie prawie nie zdajemy sobie sprawy z tego, że przyszłość obwodu kaliningradzkiego, który przekształca się w enklawę, ze wszystkich stron otoczoną przez obszar Unii Europejskiej – jest swoistym testem tolerancji, zarówno dla Zachodu, jak i Rosji. Jak będzie tu żyć ludność, która przywykła dość swobodnie podróżować do Polski i na Litwę? Jak Europejczycy będą przekraczali rosyjskie granice, tylko po to, żeby z jednego kraju Unii – Polski przedostać się do drugiego – Litwy i na odwrót? Masa kwestii – prawnych, dyplomatycznych, humanitarnych. Od dawna, około 10 lat, z różnych powodów zajmuję się Kaliningradem, jeździłem tam, co prawda, nie na długo; gdy tylko załatwiłem sprawę, pierwszym pociągiem bądź statkiem śpieszyłem do Gdańska. To niedaleko, a ja tak dobrze czuję się na gdańskich bulwarach, wśród staromiejskich uliczek, które zachowały cień Danziga; w Kaliningradzie z Königsbergu nic nie pozostało. Zawsze oszałamia mnie kontrast między pozostającym nadal sowieckim Kaliningradem i niemal europejskim Gdańskiem.

W tym roku nieoczekiwanie znów postanowiłem pojechać do Gdańska. I znów przez Kaliningrad. Przyleciałem. Pociągi już nie chodzą, statki jeszcze pływają. Biletów na autobus brak. Wybór prosty: albo zostać w Kaliningradzie, albo taksówką dojechać do punktu granicznego Mamonowo i tam spróbować przedostać się do Polski. Dojechałem. Już przy granicy zmieniam samochody: niejaki Jacek zgodził się mnie dowieźć do najbliższej polskiej stacji kolejowej Braniewo. Stąd już odchodzą pociągi, więc trzeba tylko zaczekać na sprawdzenie dokumentów.

Nigdy w życiu tak nie podróżowałem i, szczerze mówiąc, byłem oszołomiony tym, co zobaczyłem. Na granicy – kilometrowa kolejka: samochody czekają na przejazd po 20, 40, 60 godzin. Ale mój Jacek pokazuje służbie granicznej pusty biały świstek z jakimś podpisem i przepuszczają nas nad granicę rosyjską. „Dałem za to 20 dolarów" – martwi się Jacek. Ale on musi: przemyca z Rosji papierosy i wódkę. Jego stary fiat jest nafaszerowany towarem: siedzimy na wódce, papierosy schowane są w kołach. W ciągu jednej zmiany Jacek przewozi 30-60 butelek i kilkadziesiąt kartonów papierosów. Na każdej butelce, na każdym kartonie, zarabia około dwóch dolarów. Kolejka na granicy składa się z jego „kolegów" – przemytników – Polaków i Rosjan. Wszyscy tu się znają, można powiedzieć, że jest to kolektyw z własnymi plotkami, układami i przygodami. Tu zna się z twarzy każdego celnika. Co prawda, rosyjskich Jacek się nie obawia. Trzyma w garści pięciodolarówkę – i przejeżdżamy przez rosyjską straż bez gadania. „Muszą oddawać swojemu szefowi 600 dolarów za zmianę, a ten bierze rano do ręki walizeczkę z pieniędzmi – i do Kaliningradu" – opowiada mi Jacek. Zaczyna się niepokoić dopiero przy polskich celnikach. Polacy przepuszczają auta bardzo powoli, niechętnie. Czekamy około dwóch godzin. O swoich stosunkach z

polskimi celnikami Jacek nie chce za dużo mówić. Ale oto jest celnik. „Ten jest najgorszy", mówi przestraszony Jacek. „Ten najgorszy" zagląda do bagażnika jednym okiem i opuszczamy granicę. Stop! Jeszcze jedna kontrola, specjalny patrol graniczny. Ale i ci nic nie znajdują w bagażniku Jacka. Kilka metrów dalej Jacek zatrzymuje się za zakrętem i zmienia koło z papierosami na normalne. „A co będzie, kiedy pojawi się prawdziwa granica, z Schengen?" – pytam. „Mamonowo po prostu umrze, zresztą i u nas będzie kiepsko" – odpowiada Jacek. Poczekałby ze mną na pociąg, ale trzeba się śpieszyć: w domu czekają trzy córki, żona na czarno pracuje aż w Anglii. Dawniej Jacek wyrabiał meble i sprzedawał je w Kaliningradzie. Ale po kryzysie w Rosji i katastrofalnym spadku wartości rubla przerzucił się na wódkę i papierosy.

Oczywiście, poważne dyskusje o przyszłości Kaliningradu – to jedno, a całkiem co innego to ta długa kolejka ludzi na granicy. Długo by można było mówić, że ryba zaczyna psuć się od głowy. Ale ja widziałem ogon władzy, a ten jest całkiem zgniły. Z drugiej strony, jakże w inny sposób można wyżywić ludność po obu stronach granicy? A teraz proszę zobaczyć: rosyjsko-polska granica jest krótka, zaledwie kilka przejść. A ukraińsko-polska jest przeogromna, setki kilometrów, dziesiątki przejść. No i jak wam smakuje nasza ryba?

Schulz

Historią, która wywołała nieoczekiwane echo na Ukrainie, było wywiezienie fresków Brunona Schulza do jerozolimskiego muzeum Yad Vashem. Społeczeństwo Drohobycza, gdzie zachowały się (a właściwie niszczały) te freski, jest niesłychanie wzburzone utratą dobra narodowego. Gdyby nie ta dziwna historia nigdy bym sobie nie uświadomił, że Schulz z pochodzenia – przynajmniej terytorialnie – był ukraińskim pisarzem, a to zagadkowe miasto, po którego ulicach się przechadzał wraz ze swymi bohaterami, to Drohobycz. Czytałem Schulza po polsku, rosyjsku, ukraińsku, jednak dopiero teraz zaczynam pojmować, że Bruno Schulz w swoich książkach stworzył zwierciadlane odbicie tego miasta, podobnie jak Szalom Alejchem stworzył obraz Kijowa bądź Italo Calvino – Wenecji. W utworach artystów tej rangi zwyczajne miasta zmieniają się nie do poznania, zyskują nowe znaczenia i tylko w ten sposób stają się miastami figurującymi na mapie, nie tylko geograficznej, lecz również duchowej. Jednak wywiezienie fresków Schulza do Yad Vashem po prostu dało świadectwo temu, że dla Żydów, którzy od dawna nie mówią w języku, w którym pisał polski pisarz Bruno Schulz, jego twórczość nadal jest częścią świadomości narodowej. Również dla Polaków. A dla nas? Dla nas Bruno Schulz był po prostu jakimś Żydem, który malował coś niezrozumiałego, a w dodatku pisał po polsku.

W ten sposób Ukraina wyparła się jeszcze jednego swego wielkiego pisarza. Niezadowolenie z powodu wywiezienia fresków wydaje mi się zwykłym bluźnierstwem – za parę lat również i to „dobro narodowe" po prostu by zginęło, nieznane i zbędne. W końcu Yad Vashem nie jest muzeum malarstwa narodowego, lecz muzeum zagłady narodowej; jest ono ważne nie tylko dla Żydów. Bruno Schulz, zabity przez gestapowca na ulicy Drohobycza jedynie za to, że był Żydem, zasłużył sobie na ekspozycję w tym miejscu żałoby. Wywiezienie fresków ma jednak inny, moim zdaniem, nie mniej ważny, aspekt. Być może potrafimy uznać Ukrainę za państwo wielu kultur, za miejsce, w którym spotykały się narody i powstawały prawdziwe fenomeny współistnienia. Nie powinniśmy wpychać kultury do politycznych schematów: na Zachodzie i w Centrum kulturę tworzy się w języku ukraińskim, na Wschodzie można dodać troszkę rosyjskiego, na tematy żydowskie proszę bardzo, w jidisz, przetłumaczymy to w ramach rozwoju kultury mniejszości narodowych. Gdzie wobec tego zaliczyć Schulza? A dlaczego właściwie mamy zapominać o polskiej kulturze, która istniała na Ukrainie? O tym, że był Lwów ukraiński i Lwów polski, żydowski Berdyczów i polski Berdyczów. A Drohobycz był równocześnie ukraiński, polski, żydowski i właśnie w takim miejscu mógł tworzyć Bruno Schulz. Owszem, pisał po polsku, owszem, jego twórczość jest przepojona mistycyzmem żydowskim. Jednakże tworzył w ukraińskim Drohobyczu, mieście, w którym nie ma jego muzeum ani jego pomnika.

Sądzę, że taki lekceważący stosunek wobec tych, których zazwyczaj uważamy za obcokrajowców, jest wynikiem naszego totalnego nieposzanowania ukraińskiej kultury. Przywykliśmy uważać ją za drugorzędną, z przyzwyczajenia nie dziwimy się, że nie wydaje się książek, zaniedbane są muzea, tak zwane gwiazdy telewizyjne rozmawiają ze swoją nieliczną publicznością w poniżającym bełkocie lub w sztucznym martwym języku, którego się nauczyły tuż przed występem.

Ten, kto nie szanuje siebie, nie jest w stanie szanować innych. To oczywiście jest sentencja. Jednak być może po to, by szanować siebie, trzeba by zacząć od innych? Jak również – cóż za buntowniczy pomysł – uświadomić sobie, że oni to nie obcy, ale jednak swoi.

Kwaśniewski

Gdy ujrzałem, jak prezydent Polski Aleksander Kwaśniewski w imieniu swojego narodu przeprasza Żydów podczas uroczystości w Jedwabnem, po raz kolejny uświadomiłem sobie, jak daleko zaszła Polska, nawet nie w gospodarce, nie pod względem politycznym, ale właśnie pod względem moralnym. Co więcej, dostrzegłem, jak daleko jeszcze zajdzie. Bo jestem głęboko przekonany, że dziś większość Polaków nie rozumie postępowania swojego prezydenta. I że ten gest będzie ważny dla przyszłej Polski. I, o dziwo, właśnie ten gest zapewni Aleksandrowi Kwaśniewskiemu miejsce w polskiej historii.

Wcale nie jestem gorącym zwolennikiem Kwaśniewskiego. I w ogóle polskiej lewicy. Podczas pierwszego pobytu w Warszawie odwiedziłem siedzibę socjaldemokratów i przekonałem się, że ci ludzie zmienili się, a zarazem... pozostali tacy sami. Zawsze byli najlepszymi i najgrzeczniejszymi uczniami Smoka. Smok się umył, ogolił, dwie głowy spośród trzech podarował domowi dziecka, wsunął różę do butonierki i zamiast komunistą zaczął siebie nazywać socjaldemokratą. Czemu nie? I zaczęli dostawać najlepsze noty w nowej szkole. Kwaśniewski zawsze był wśród nich najlepiej wykształcony, najsympatyczniejszy i „najbardziej polski". A jednak swego czasu trudno było uwierzyć, że w Polsce, która przeżyła „Solidarność", prezydentem zostanie człowiek spośród „byłych". Podczas słynnego pojedynku Lecha Wałęsy z Aleksandrem Kwaśniewskim pojechałem nie do Warszawy, ale do Gdańska – jakoś mi się wydawało, że tu, w mieście, gdzie powstała „Solidarność", nawet mury sprzyjają.

Moja ostatnia noc w Polsce była też nocą przedwyborczą. Z Gdańska przeniosłem się do sąsiedniego Elbląga, w niedawno wyremontowanym hotelu wynająłem pokój z wielkim telewizorem. Wszystko wydawało się jasne: według wstępnych sondaży w większości obwodów zwyciężył Wałęsa. Uspokojony poszedłem do łazienki – można się było pakować. I raptem – komunikat Centralnej Komisji Wyborczej: Polacy wybrali Kwaśniewskiego! Poślizgnąłem się na mokrej podłodze, szczęściem niczego sobie nie złamałem.

Rano, w pociągu do Kaliningradu, usłyszałem radosne okrzyki sąsiadów z przedziału, zwolenników Kwaśniewskiego: no, wreszcie, wreszcie! „Dlaczego głosowaliście na niego?" – nie mogłem się powstrzymać. „Przecież to człowiek wykształcony, młody, nowoczesny, zna języki obce. Wy, Rosjanie, nigdy nie zrozumiecie polskiej duszy". „Nie jestem z Rosji – zakomunikowałem flegmatycznie. – Jestem z Ukrainy. A w ogóle to jestem Żydem". „Pan jest Żydem? – niemal obraził się mój rozmówca. – I pan jeszcze pyta? Sam pan powinien zrozumieć i jeszcze nam wytłumaczyć. Czyżby pan nie znał polskiej duszy?"

Nie warto oczywiście nawet tłumaczyć, że nie byłem zwolennikiem tej prezydentury. Ale Jedwabne? Dyskusja o zagładzie Żydów w tym miasteczku toczyła się przez kilka miesięcy. Wielu Polaków nie chciało i nie chce przyznać, że byli nie tylko wybawcami Żydów bądź bezradnymi świadkami ich zagłady, lecz również byli bezpośrednimi jej sprawcami. Co to, to nie; to nie pasuje do wizerunku Polski! I oto na tle tych zaciętych emocjonalnych dyskusji Kwaśniewski prosi o wybaczenie. Czyżby przestał być człowiekiem koniunktury? Oczywiście, nie. Jednak nigdy nie był drobiazgowy. A teraz ta jego cecha nabrała wagi historycznej. Prezydent Polski potrafił dostrzec, jakim staje się jego kraj, i poszedł naprzód.

Był to odważny gest. Nie tylko dlatego, że Kwaśniewski poprosił o wybaczenie, wyraził skruchę, lecz również dlatego, że okazał się człowiekiem, który potrafi myśleć nie wyłącznie kategoriami codziennej gazetowej popularności, lecz przede wszystkim kategoriami wizerunku Polski – wizerunku, którego nie potrafi dostrzec wielu jego współczesnych. Gdyby jednak polskie społeczeństwo przez lata nie rozwijało się z każdym miesiącem, dniem, godziną, to nie zmieniłby się i prezydent tego kraju. Po prostu nie byłoby potrzeby jechać do Jedwabnego, by wypowiedzieć te trudne słowa. Nie trzeba byłoby żadnego gestu. Silny polityk może oczywiście wyprzedzać swój czas, ale w bezwładnym społeczeństwie, które stoi w miejscu, po prostu nie ma czego wyprzedzać i oczywiście nie ma kto wyprzedzać.

Podczas pobytów w Polsce uważnie przygląda się człowiek miejscowym wydarzeniom i choćby dlatego lepiej rozumie, jaki jest system władzy, jak dzielą się funkcjami i gestiami prezydent z rządem,

rząd z parlamentem. Ale może właśnie dlatego, że obserwuję również wydarzenia ukraińskie, nieprzerwany ruch do przodu, ku republice parlamentarnej, pamiętam tylko polityczne psikusy. Na przykład, jak polska lewica na czele z niezmordowanym Aleksandrem Kwaśniewskim, mając większość w parlamencie, opracowała konstytucję, która mocno ograniczyła kompetencje prezydenta kraju, nieobliczalnego patriarchy „Solidarności" Lecha Wałęsy. A potem Kwaśniewski wygrał wybory prezydenckie, a lewica przegrała wybory do Sejmu – to ci los! Albo taki mołdawski temat – jak to mołdawscy politycy, którzy mieli dość zależności od jednego człowieka i do tego takiego kombinatora jak Piotr Łuczinski, opracowali sobie projekt republiki parlamentarnej. A tymczasem, jak na złość, wybory wygrali komuniści. I gdzie są teraz wszyscy ci działacze od republiki parlamentarnej? Są na wiecach pod parlamentem, a niektórzy nawet firm się wyzbyli, strach pomyśleć!

Ale może poważniej: czym jednak Polska różni się od Mołdawii? Nie tylko tym, że tu istniało – nawet w czasach socjalizmu – społeczeństwo polityczne. I dlatego także teraz, gdy lewica jest u władzy, prezydent Kwaśniewski trzyma się zakresu swoich kompetencji i nikt w Polsce nie chce, by było inaczej.

Krynica

Jeszcze jedna zagubiona cywilizacja – Łemkowie. Gdy w zeszłym roku byłem w Krynicy na Forum Gospodarczym, to w przewodnikach czytałem o łemkowskiej, rusińskiej, ukraińskiej historii tego regionu, leżącego na pograniczu Polski i Słowacji. A w tym roku wybrałem się na wycieczkę. Krótką, ale znamienną. Niemal w lasach, w małych miasteczkach stoją drewniane cerkiewki, starodawne, dobrze zharmonizowane z tym górskim krajobrazem. Większość z nich to od dawna kościoły katolickie, ale zachowały – myślę, że można tak powiedzieć – ducha świątyń ukraińskich. Istnieje cały szlak turystyczny – szlak cerkwi łemkowskich. Po upływie pół wieku od akcji „Wisła" te świątynie są odbudowane, niektóre nawet zwraca się parafiom greckokatolickim. W jednym z najbardziej malowniczych zakątków Krynicy zbudowano cerkiew prawosławną. Cerkiew ta jest niczym akwarela na tle karpackich wzgórz, lecz akwarela stworzona i sprawdzona nie przez wieki, ale namalowana przez współczesnych. Jest to ta ukraińskość, z której powinniśmy być dumni, której powinniśmy poszukiwać. Ludzie wypędzeni ze stron ojczystych, pozbawieni ojczyzny, całej tradycji swoich małych strojnych wsi i miasteczek, powrócili tu, aby odbudować swoją cywilizację. Żeby tu nie tylko żyć, lecz również tworzyć. Tworzyć takie świątynie, które przychodzą oglądać ludzie różnych wyznań, różnych narodowości. Przez kilka minut, które spędziłem w cerkwi prawosławnej w Krynicy, usłyszałem kilka różnych języków.

Wydawałoby się, że fakt odbudowania rusińskiej, łemkowskiej, ukraińskiej cywilizacji w małym polskim mieście powinien stać się częścią naszych trosk narodowych, państwowych. Jednakże program „Szlak cerkwi łemkowskich" został stworzony i jest popierany z funduszy Unii Europejskiej. Co tam pieniądze, ich zawsze brak, aczkolwiek, moim zdaniem, odbudowa starych cerkwi Łemkowszczyzny jest zadaniem narodowym nie mniej ważnym niż odbudowa świątyń Kijowa. Żeby się chociaż zainteresowano, zwrócono uwagę! A przecież Krynica nie jest jakimś tam zapomnianym przez Boga miejscem. Mało tego, że jest to popularne polskie uzdrowisko; już od przeszło 10 lat – dzięki forum gospodarczemu – przyjeżdżają tu wysokiej rangi urzędnicy ukraińscy. Na przykład premierzy. Chyba warto sobie uświadomić, że dla nas szlak cerkwi łemkowskich to nie jest trasa turystyczna, ale cywilizacyjna, że nie powinniśmy zapominać o tych malutkich świątyniach w lasach karpackich. Wszak i tu są nasze korzenie. Polacy starają się nie zapominać o najmniejszej nawet części swojej cywilizacji: wystarczy przejrzeć wydany w Polsce przewodnik po Ukrainie, aby zrozumieć: istnieje również i inna Ukraina, Ukraina polskiej kultury. Mam na myśli nie tylko Galicję, ale przede wszystkim regiony centralne – Kijów, Żytomierz, Berdyczów. Żadne zmiany polityczne, przesiedlenia, deportacje nie zmusiły Polaków, żeby zapomnieli o tej Ukrainie. Ale z drugiej strony istnieje też druga Polska, Polska ukraińskiej kultury. Krynica była niemal stolicą tej Polski. Żadne zmiany polityczne, przesiedlenia, deportacje nie powinny nas skłaniać do zapominania o tym. Tym bardziej że jesteśmy świadkami prób zachowania tej cywilizacji, przywrócenia tu atmosfery Łemkowszczyzny. W końcu prawdziwa Ukraina jest nie na mapie, ale w sercu.

Kraków

Od dawna chciałem odwiedzić redakcję „Tygodnika Powszechnego". Była to może dziwna zachcianka, ponieważ gazety należy czytać, a nie chodzić na wycieczki tam, gdzie się je robi. Byłem jednak bardzo ciekawy. Traktowałem tę redakcję raczej jako muzeum krakowskiej inteligencji, świadectwo tego, że nie wywieszała ona białych flag nawet za komunizmu. To oczywiste, że my nigdy nie mieliśmy takiego pisma, a teraz już na pewno nie będziemy mieli.

I oto „Tygodnik". Stara redakcja w starej kamienicy, wszędzie zszywki z poprzednich lat. Wszystko jest bardzo skromne. Redaktor naczelny, ksiądz Adam Boniecki – siwy, trochę zmęczony, nie na pokaz dobry. Chodzi nie o redakcję. Najważniejsze, żeby zobaczyć osobę, która umie myśleć o wiele szerzej i głębiej niż ty. Gdybym był polskim dziennikarzem, pracowałbym tu choćby tylko ze względu na ten klimat, na te spokojne, nie ostentacyjnie poważne rozmowy. Miałbym całkiem mały krąg czytelników, jednak w spokoju pisałbym o tym, co najbardziej nieodzowne, wychodziłbym na herbatkę do jednej z kawiarni staromiejskich: żyłbym pogodzony z samym sobą, bez tego ciągłego wrażenia, że czegoś nie doprowadziło się do końca, że samego siebie się zbudowało, a kraju się nie potrafiło. Pod pojęciem „kraj" rozumiem nawet nie wskaźniki wzrostu gospodarczego. Ponieważ po to, by się one pojawiły, trzeba najpierw zbudować kraj w każdej duszy, tak jak „Tygodnik" niegdyś budował Polskę.

Przyszedłem tu nie tak, jak zamierzałem, lecz z grupą rosyjskich dziennikarzy, zaproszonych przez Instytut Wschodni. Byli tu również koledzy z tygodnika „Moskowskije Nowosti" i z „Obszczej Gaziety", którzy zapewne nie mieli wątpliwości, że ich pisma pełnią mniej więcej taką samą misję w społeczeństwie i właśnie dlatego nie są dziś w centrum uwagi. Byłoby mi bardzo niezręcznie powiedzieć, że w rzeczywistości jest inaczej, bo przypomniałem sobie, jak gromadziliśmy się pod redakcją „Moskowskich Nowosti" w początkach pierestrojki, żeby sobie poczytać świeży numer, którego nie można było dostać w kiosku. Przemilczałem, ponieważ pomyślałem, że na określonym etapie prawda też może zastąpić zarówno wątek duchowy, jak i moralność – taka była właśnie misja prasy z okresu pierestrojki, kiedy już wolno było mówić prawdę. A tego, że duchowość zawsze jest i prawdą, i moralnością – tego na szczęście komuniści sobie nie uświadamiali i dlatego właśnie „Tygodnik" przetrwał wówczas, gdy na nic nie pozwalano.

Na spotkaniu byli również dziennikarze o profilu czysto ekonomicznym. Ci jednak nie mogli pojąć, po co istnieje gazeta, która nie pisze o giełdach i bankach. Pomyślałem, że należałoby im wytłumaczyć: w Rosji prasa gospodarcza symuluje ekonomię, a w Polsce analizuje rzeczywistość. I że bez gazety, która nie pisze o giełdach, i bez ludzi, którzy wierzą, że wolności nie mierzy się papierami wartościowymi, nie byłoby ani banków, ani giełd, ani Balcerowicza. I raptem zobaczyłem, że ci dziennikarze patrzą na księdza Adama z jakimś podziwem i że słuchają go uważnie, chociaż nie mówi o giełdach i akcjach. I że po prostu ujmuje ich jego osobowość. Kogoś takiego jak ksiądz Adam na pewno nie usłyszą w swoich redakcjach.

Warszawa

Pierwsze wrażenie po przyjeździe do Polski było zaskakujące, bo... białoruskie. Już w samolocie widzę na pierwszych stronach polskich gazet, zwłaszcza „Gazety Wyborczej", materiały poświęcone losom jednej z ostatnich niezależnych gazet białoruskich – grodzieńskiej „Pagoni", której grozi proces sądowy za obrazę prezydenta Łukaszenki. Dziennikarze „Pagoni" zwrócili się o pomoc do Adama Michnika. Zresztą sprawa nie ograniczyła się do „Gazety Wyborczej". W obronie „Pagoni" wystąpiła kancelaria prezydenta Polski, MSZ, wystąpił poeta – noblista Czesław Miłosz. Ciekawe pytanie: dlaczego dziennikarze z Grodna zwrócili się do Warszawy, a nie do Moskwy czy Kijowa? Tylko dlatego, że do Polski jest bliżej, czy jednak dlatego, że są świadomi obojętnego stosunku sąsiadów do obecnych problemów Białorusinów?

Można oczywiście powiedzieć, że Polakom o wiele lepiej niż nam znana jest cena wolności i znaczenie wolnej prasy dla normalnego rozwoju kraju i dlatego wzięli sobie do serca problemy gazety „Pagonia". Chodzi jednak nie tylko o to. Odpowiedź co do przyczyn zainteresowania – oficjalnego i społecznego – znalazłem w komentarzu Bronisława Wildsteina w „Rzeczpospolitej". Pisze on, że Polska powinna dla Białorusi stać się miejscem tworzenia niezależnej kultury i trzeba pomagać jej w tej sprawie. Pisze, iż ta pomoc stanie się kapitałem w stosunkach polsko-białoruskich wówczas, gdy Łukaszenki już nie będzie.

Tak właśnie, świadomie bądź nieświadomie, społeczeństwo polskie zapracowuje na swoje przyszłe dobre stosunki z sąsiednim krajem. My zaś przez swoją obojętność z każdym dniem i miesiącem tylko poszerzamy przyszłą przepaść. W tej sytuacji Rosja może się „samouspokajać" mitem o państwie związkowym. Jest ona winna wobec Białorusi tego, że – tylko w imię mitu i imperialnej nostalgii – popiera reakcyjny, ciemny i właściwie już martwy reżym Łukaszenki. Powinniśmy sobie to uświadomić już teraz, tym bardziej że Ukraina nie żywi żadnego mitu. Powinniśmy być zaniepokojeni losem Białorusi jak losem, może nie własnym, ale bliskich. Byłoby nieźle, gdybyśmy z naszych rozczarowań wychodzili wspólnie.

Pomianowski

Dyskusja z profesorem Jerzym Pomianowskim, założycielem i redaktorem naczelnym „Nowoj Polszy". Pomianowski jest jednym z weteranów giedroyciowskiej „Kultury" i tłumaczem *Archipelagu GUŁag*. Uważa on, że miesięcznik powinien być adresowany przede wszystkim do inteligentów. Pamiętam pismo „Polsza" z czasów sowieckich. Było kolorowe, masowe i bez treści. „Nowaja Polsza" jest czarno-biała, wykonana po mistrzowsku, nieco „wyniosła" i chyba nudna dla masowego czytelnika.

Jerzy Pomianiowski uważa, że „inteligencja" jest pojęciem przede wszystkim rosyjskim i polskim, a nie zachodnim i dlatego nie ma nic dziwnego w tym, że polska inteligencja dąży do obcowania z rosyjską. Nie zgadzam się z taką etymologią. Dla mnie pojęcie „inteligencja" jest pojęciem nie tyle rosyjskim czy polskim, ile społecznym: wymyślone przez zapomnianego dziś pisarza Bobrykina wyrażało różnicę pomiędzy wykształconymi, myślącymi ludźmi na Zachodzie i w Imperium Rosyjskim. Imperium to rozwijało się jako państwo, w którym wykształceniem i indywidualnym oglądem świata otwarcie pogardzali zarówno arystokraci, jak i lud. Tradycja przeszła do czasów bolszewickich, kiedy to ignorancja stała się najbardziej pozytywną cechą trzymających władzę, a głównym bohaterem mitologii nowego państwa stała się „jej wysokość klasa robotnicza". Inteligencji nie uważano za „warstwę", pozostała nią raczej z czasów carskich. Dlatego też tak niezbędne dla sowieckiej inteligencji stało się przekształcenie w swoistą kastę, która chciała się bronić tym poczuciem odrębności od władzy – z góry i od ubóstwianej „jej wysokości" – od dołu. Zaś po II wojnie światowej do sowieckiej inteligencji dołączyła również „polska, socjalistyczna".

Niedawno poeta Andriej Wozniesienski powiedział, że inteligentów ubywa, ale widzi wokół siebie „intelektualistów typu zachodniego". Być może jest to objaw poważnej choroby rosyjskiej – posowieckiej i posocjalistycznej – inteligencji, ale świadczy on o tym, że społeczeństwo zaczęło zdrowieć. Inteligencji – tej wspaniałej i tej potwornej, tej silnej i tej nieszczęsnej - wkrótce zabraknie. Pozostaną intelektualiści typu zachodniego po prostu dlatego, że w nowym społeczeństwie wykształcenie i umiejętność myślenia nie będą już oznaczały czegoś gorszego, natomiast staną się oznaką sukcesu, powodzenia w karierze administracyjnej, twórczej lub politycznej, umiejętności wpływania na świat.

НОВАЯ ПОЛЬША 2003, nr 5-6

Witalij Portnikow *(ur.1967), dziennikarz i publicysta. Od 1990 pracuje w Radio „Swoboda", publikuje w prasie rosyjskiej, ukraińskiej, białoruskiej i polskiej.*

Tatiana Woltskaja

NIEMOŻLIWE MOŻLIWE

Dostojewski
rys. Andrzeja Wajdy

Program spotkań wybitnego polskiego reżysera w Sankt Petersburgu był na tyle bogaty, że trudno nawet wymienić wszystkie związane z nim wydarzenia: otwarcie wystawy, spotkania z inteligencją twórczą, prezentacja książki, próby...

Co sprowadziło Andrzeja Wajdę do Petersburga? Każde wydarzenie poprzedza jakiś bodziec – w tym wypadku był to projekt, którego pomysłodawcą było Muzeum im. Fiodora Dostojewskiego. Zastępca dyrektora muzeum, autor projektu Wiera Biron, mówi, że idea zwabienia Wajdy do muzeum narodziła się sześć lat temu: „ Co prawda, myśleliśmy wtedy, że z jednej strony jest wielki Andrzej Wajda, z drugiej – nasze małe petersburskie muzeum, więc kim my jesteśmy, żeby porywać się na coś takiego? W końcu dwa lata temu napisaliśmy do Wajdy, dostaliśmy odpowiedź, sprawa nabrała tempa i wszystko stało się możliwe. Bardzo się cieszyliśmy, że przywiózł swoją wystawę, która zostanie u nas".

Wystawa fotografii Andrzeja Wajdy i Krystyny Zachwatowicz *Dostojewski. Teatr sumienia* – to przede wszystkim sceny ze spektakli krakowskiego Starego Teatru; część zdjęć poświęcona jest filmowi Wajdy *Nastazja*, wyreżyserowanemu w Japonii (przyjazd reżysera był poprzedzony pokazem tego filmu w Domu Aktora). Oprócz tego Wajda podarował muzeum Dostojewskiego swój autoportret.

Następnie odbyło się spotkanie z Lwem Dodinem i spektakl Małego Teatru Dramatycznego *Mewa*, potem spotkania ze studentami Akademii Teatralnej, z reżyserami, aktorami, krytykami, następnie w Związku Działaczy Teatralnych odbyła się prezentacja książki Andrzeja Wajdy *Dostojewski. Teatr sumienia,* wydanej przez Archiwum Wajdy*. W książce znajdują się opisy trzech inscenizacji według dzieł Dostojewskiego, wystawiane w krakowskim Starym Teatrze: *Biesów* (Albert Camus, Andrzej Wajda), *Nastazji Filipowny* (Andrzej Wajda, Maciej Karpiński), oraz *Zbrodni i kary* (Andrzej Wajda). Najważniejsze, że zapisy opatrzone są komentarzami reżysera.

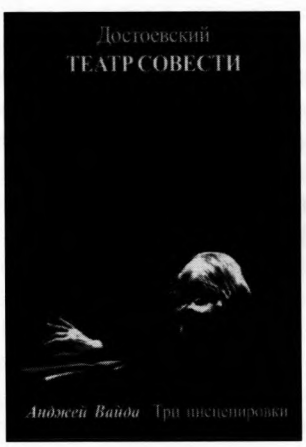

Wstrząsające jest opowiadanie o tym, jak wystawiane były *Biesy.* O niemych czarnych postaciach, które pojawiły się na scenie po powrocie Wajdy z podróży do Japonii, gdy w teatrze lalek bunraku zobaczył ubranych na czarno ludzi – Kroko, którzy pomagali głównemu aktorowi, bądź też kierowali lalkami, nie chowając się przy tym przed widzami. O tajemniczym zniknięciu aktora, grającego kapitana Lebiadkina: pojawił się ostatniego dnia tak samo nieoczekiwanie, jak zniknął; o śmierci jednego z aktorów w dniu premiery. I w końcu, ostatnie wersy tego zadziwiającego szkicu:

* Warto odnotować, że w pracy nad książką wzięło udział kilku stałych współpracowników „Nowej Polszy". Na język rosyjski przełożył ją Nikita Kuzniecow, zredagowana została przez Natalię Gorbaniewską, zaś łamanie i opracowanie graficzne są dziełem Dymitra Szewionkowa-Kismiełowa.

„Podczas antraktu Konrad Swiniarski wzburzony tym, co zobaczył zapytał: «Jak ty to osiągnąłeś, że kiedy oni grają, mają w oczach taki strach?» «Po prostu – odpowiedziałem – przez całe trzy miesiące prób wmawiałem im, że nie mają prawa grać Dostojewskiego na scenie!»"

Nie mniej godne uwagi jest opowiadanie o publicznych próbach i tajnych nocnych improwizacjach *Nastazji Filipowny*.

„Jestem przekonany, że teatr, poszukujący dziś nowych form, innych relacji między grającymi a widzami, powinien zadać sobie pytanie, czym są próby i czy nie mogą stać się one niezależnym widowiskiem. Czy to, co wstydliwie chowa się przed oczami widzów i co dla nas, ludzi teatru, jest niezapomnianym, głębokim przeżyciem, może być interesujące dla widzów? Jednym słowem, poczułem potrzebę upewnienia się, czy sam proces tworzenia przedstawienia nie jest dla mnie ważniejszy niż rezultat końcowy".

Widocznie problem ten nie przestał nurtować reżysera, i teraz, w Muzeum Dostojewskiego, odbyło się kilka otwartych prób z udziałem aktorów. Być może, to właśnie było najbardziej pasjonującym wydarzeniem w tym projekcie.

Oto próba jednej sceny z *Idioty* – tej, w której książę Myszkin zasnął wczesnym rankiem na ławce w Parku Pawłowskim i do niego, niewiadomo, we śnie czy na jawie, przychodzi Nastazja Filipowna, potem znika, a następnie pojawia się Agłaja, która śmieje się i budzi księcia.

Na ławce leży duży drewniany krzyż, widoczny dla jednych, a niewidoczny dla innych postaci. Andrzej Wajda myśli głośno: „Nastazja kilka razy powtarza, że oddaje księcia Agłai. Rozumie, że książę nie jest dla niej. Jej dusza należy do Rogożyna. Jego świat jest jej światem. Nie może zachować księcia dla siebie, nawet gdyby chciała. Rozum i serce Nastazji mówią, że nie powinna tak postępować z księciem. A Agłaja uważa, że serce księcia Myszkina należy tylko do niej. Musimy znaleźć sposób, w jaki moglibyśmy to pokazać"

Następnie reżyser zwraca się do aktorki, grającej Agłaję: „Myśli pani, że jeśli chwyci go pani za rękę, to się od razu obudzi? Nie. Musi być inaczej. Jak jest napisane u Dostojewskiego? Książe zdziwił się, widząc przed sobą Agłaję".

Czytany jest tekst Dostojewskiego, odtwarzane są kolejne warianty. Patrząc na aktorów, trudno uwierzyć, że ludzkie twarze mogą jednocześnie wyrażać taką uwagę i podniecenie. Andrzej Wajda rozważa dalej:

„Nie musimy od razu znaleźć odpowiedź, spotkaliśmy się, żeby sprawdzić różne warianty. Powinniśmy zobaczyć, jaką metodę należy wykorzystać, żeby wystawić *Idiotę* Dostojewskiego na scenie. Ważne jest, żeby droga zbliżenia do Dostojewskiego nie była ograniczona ideami reżysera i aktorów. Reżyser powinien zadawać pytania, dlatego że stoi po tej stronie sceny. A jedno z pytań oczywiście powinno brzmieć: czy widz rozumie to, co my robimy?

Witalij Portnikow
INNE *BIESY*

Kilka dni przed pójściem na premierę *Biesów* w reżyserii Andrzeja Wajdy w moskiewskim teatrze „Sowremiennik" przeczytałem zamieszczony w „Tygodniku Powszechnym" esej poświęcony temu przedstawieniu. Zainteresował mnie przede wszystkim dlatego, że więcej miejsca poświęcał współczesnej Rosji niż inscenizacji Wajdy. W ślad za polskim reżyserem, jego autor stawiał sobie pytanie: co z biesami w Rosji? Czy biegają jeszcze po moskiewskich ulicach? Wajda napisał nawet specjalny komentarz do spektaklu, który każdy chętny mógł przeczytać w programie teatralnym. „Dostojewski, o czym jestem głęboko przekonany, był wystawiany w różnych krajach i wszędzie był zrozumiały. Czy jednak jego słowa i przepowiednie zostały dostatecznie usłyszane i zrozumiane tu, w Rosji? Czy biesy już ją porzuciły?... I czy nastąpił już czas uzdrowienia, o którym marzył Dostojewski?" – pyta Wajda.

Dostojewski rzeczywiście jest zrozumiały wszędzie. I taki spektakl jak *Biesy* również jest wszędzie rozumiany. Jednak zastanówmy się, dlaczego tak się dzieje. Przecież *Biesy* Wajdy nie są *Biesami* Dostojewskiego. Jak każda wielka powieść są one tak wielowątkowe, że można z nich wydobyć za każdym razem to, co w danym momencie wydaje się reżyserowi najbardziej aktualne. Któż może obwiniać Wajdę za to, że trzydzieści lat temu najbardziej był zainteresowany aspektem politycznym powieści? Socjalizm trzymał się mocno, biesy nie tylko spacerowały ulicami, ale i zajmowały rządowe wille. Taki właśnie spektakl był zrozumiały po naszej stronie „żelaznej kurtyny" – jasne, że o jego wystawieniu w Moskwie nie można było nawet marzyć. Był również doskonale zrozumiały na Zachodzie, choćby dlate-

go, że społeczeństwa demokratyczne świetnie zdają sobie sprawę, jak niebezpieczny jest totalitaryzm – przecież nie tak dawno w niektórych państwach wolnego świata wyborcy głosowali na swoje biesy z NSDAP lub faszystowskiej partii Mussoliniego. To właśnie spektakl polityczny.

O tym, że w Rosji przepowiednie Dostojewskiego spełniły się, przypominać, jak sądzę, nikomu nie trzeba. Jednak rosyjskie biesy nie zostały zmiecione falą społecznego oburzenia – one wymyśliły „pieriestrojkę", która przeszła w „przeobrażenia" Jelcyna i „złudzenia" Putina. Wynikiem takich działań jest całkowita apolityczność współczesnego rosyjskiego społeczeństwa, przypominająca pod tym względem społeczeństwa „trzeciego świata". Niczego wyjątkowego w tym nie ma. W Rosji nie nastąpiła zamiana wartości totalitarnych na demokratyczne. Nastąpiła po prostu ich śmierć. A to nie to samo.

Dlatego dla większości przychodzących na spektakl widzów niezrozumiałe jest, że Wierchowieński musi nas przerażać nie tylko swoją gotowością do zabijania i niszczenia, ale przede wszystkim głęboką wiarą w swoje straszne idee. Nie rozumie tego także młody aktor, obsadzony w tej roli. Ale dlaczego niby powinno to być dla niego jasne? Przecież on sam polityką się nie interesuje i doskonale wie, że kiedy w telewizji słucha jakiegoś polityka mówiącego po raz kolejny o wielkiej Rosji lub krytykującego demokrację – to znaczy, że polityk otrzyma za to wypłatę, a więc jest to po prostu jego sposób zarobkowania.

Wierchowieński w spektaklu jest współczesny, a więc śmieszny. A przecież pierwowzór powieściowy był straszny. I taki byłby dla widzów jeszcze 30, 20 lat temu. Lecz dzisiaj widzowie w ogóle nie zwrócili uwagi na te fragmenty tekstu, które wypowiedziane dwa lub trzy dziesiątki lat temu, uważane byłyby za szczyt odwagi...

Spektakl Wajdy jest po prostu spóźniony. Zrozumiałe jednak jest, że zdążyć niestety nie mógł – nikt nie zezwoliłby na jego wystawienie. Przez to, że ludzie siedzący na widowni byli

I tak pytam: czy Nastazja w tej scenie pojawia się jako sen, czy rzeczywistość? To jeden problem. Drugi: czy przebudzenie księcia to przebudzenie ze snu? Te pytania przybliżają nas do tego, co napisał Dostojewski.

Widz już zrozumiał, że ma do czynienia z trójkątem. Chociaż dialogi rozpisane są na dwie osoby, to cała scena grana jest przez trzech aktorów.

W trakcie analizowania sceny doszliśmy do wniosku, że jedną i tę samą rękę śpiącego księcia trzyma najpierw Nastazja, która nie wypowiada w tej scenie ani jednego słowa, a potem Agłaja".

Aktorzy proponują swoje warianty, słuchają objaśnień Wajdy, znowu proponują, znowu słuchają. Wajda mówi o krzyżu: „Krzyż nam przeszkadza. Po to też wprowadzamy go do spektaklu, żeby nam ciągle przeszkadzał. Wtedy krzyż nabiera znaczenia – w spektaklu obecna jest jeszcze jedna postać. Krzyż nie ma tu jakby nic do rzeczy. Z zainteresowaniem patrzę, jak wy, aktorzy, dostosujecie się do niego. To dobrze, że on przeszkadza".

Wajda stara się objaśnić aktorom na przykładzie innego spektaklu, jak cienka jest granica, po której się poruszają:

„Był taki wielki niemiecki aktor na przełomie XIX i XX wieku – Alexandro Moissy, grał Hamleta w Krakowie. Świadkowie opowiadali, że cała trupa grała po polsku, zaś Moissy po niemiecku: spektakl był wystawiany dla niego. I oto scena z Ofelią. Ofelia stoi. Zbliżając się do niej, wygłasza monolog. Ona stoi. Scena w teatrze jest duża, a on idzie przez całą scenę i podchodząc coraz bliżej Ofelii wygłasza monolog. I w momencie, kiedy wszyscy myślą, że ją pocałuje, Moissy w ostatnim momencie zatrzymuje się. Ta aktorska scena bardzo dokładnie oddawała istotę roli. Jeśli Ofelia uczestniczyłaby aktywnie w tej scenie, nie byłoby takiego efektu. To wspaniałe teatralne odkrycie.

Tak samo jest z Myszkinem. On ma inne sceny. A ta napisana jest przede wszystkim z myślą o Agłai. Trzeba dać jej szansę. Agłaja mówi tak wiele, ponieważ musi ukryć przed nim to wszystko, co jej leży na sercu. Książę mówi mało, bo mówi prawdę".

Próby z aktorami trwały kilka dni. Petersburscy widzowie po raz pierwszy mieli zadziwiającą możliwość zobaczyć pracę wybitnego polskiego reżysera „od kuchni", stać się świadkami tajemnicy narodzin spektaklu. Zapewne aktorzy również nigdy nie zapomną szczęścia, które im wypadło, – pracować z Andrzejem Wajdą, wraz z nim po omacku dochodzić do słusznej decyzji, wraz z nim odczuwać radość odkrycia. Ale próby polegały nie tylko na poszukiwaniach scenicznych: uczestnicy usłyszeli zadziwiające monologi Wajdy, w których mówił, że trzeba odkryć w sobie głębokie filozoficzne i religijne zrozumienie Dostojewskiego. Andrzej Wajda twierdzi, że idealna inscenizacja *Idioty* jest niemożliwa, i mimo wszystko, aby zrealizować to niewykonalne zadanie, trzeba opowiedzieć o chorobie księcia Myszkina: „Już od pierwszych scen czujemy chorobę księcia i czujemy, jak zbliża się jej atak. Wzburzenie rośnie do momentu, kiedy ksią-

żę pada na podłogę w ostatniej scenie. Może to przypominać opowiadanie o proroku Mahomecie: od początku choroby do jej kulminacji zdoła przelecieć przez wszystkie światy. Aby to pokazać, potrzebne są małe, krótkie sceny, urywane dialogi. Nie wiem, jak to można wystawić, ale chciałbym to zobaczyć. Reżyser w tym wypadku, powinien zająć się obrazem choroby, w której biorą udział wszystkie postaci.

Nigdy nie starałem się zbliżyć do idei, że powieść to psychologiczny portret Chrystusa. Jak można to wyrazić? Z Ewangelii dowiadujemy się, że wygnał handlujących ze świątyni, co znaczy, że był człowiekiem z temperamentem. Nie bał się spotkać z rozwiązłą kobietą i publicznie z nią rozmawiać. Skąd bierze się taki pomysł? Chciałbym z wami porozmawiać na ten temat: jak pokazać widzowi, co mamy na myśli? Dostojewski obdarzył Myszkina chorobą, na którą sam cierpiał, chorobą ludzi genialnych.

Czy mamy szansę pokazać charakter takiego czystego człowieka, jakim był książę Myszkin? Otaczający go świat jest zupełnie inny. Porównując go z innymi postaciami, można powiedzieć, że książę jest święty. Tę świętość można podkreślić tylko przy pomocy genialnie dobranych relacji z rzeczywistością. Świętość przejawia się w rozmowie z kobietą, czystość – w zdziwieniu światem. Ja po prostu przedstawiam wszystkie pytania, jakie sobie zadawałem".

Na pewno najważniejsze jest po prostu przedstawiać pytania, które się rodzą.

Magia teatru to jedno, ale pobyt Andrzeja Wajdy w Petersburgu miał jeszcze jedno znaczenie, o którym nie należy zapominać. Opowiadając o swojej książce *Dostojewski. Teatr sumienia*, o inscenizacji *Zbrodni i kary*, zwraca uwagę na pogląd Raskolnikowa, że w imię szczęścia ludzkości może zabić nikomu nie potrzebną staruszkę: „Jak ja dobrze znam taką argumentację! Począwszy od hitlerowskich obozów śmierci a kończąc na ostatnich morderstwach politycznych. Za wszystkim tym stoi «zgoda na rozlew krwi», gdy tylko jest to potrzebne (nawet nie konieczne) dla ogólnoludzkiego postępu!"

Gdy spotkałam się z Andrzejem Wajdą w Muzeum im. Dostojewskiego, zapytałam, czy zdaje sobie sprawę, że przez długie ciężkie lata komunizmu był tu, w Rosji, symbolem wolności. I Wajda odpowiedział, że wie o tym, a za kulminację swojej sławy w ZSRR uważa moment, gdy Andriej Tarkowski zaproponował, że będzie jego asystentem (na co oczywiście nie wyrażono zgody). Myślę, że przyjazd do Petersburga człowieka, który na przekór wszystkim okolicznościom był i został wolnym, jest niesłychanie ważny.

НОВАЯ ПОЛЬША 2002, nr 5

przyzwyczajeni do tego, że im do wczoraj pozwalali, dzisiaj nie byli już zainteresowani. Sala pełna – i całkowicie obojętna w najważniejszych politycznych momentach. Widzowie dobrze reagowali tylko na rzadkie w „Sowremienniku" momenty udanej gry aktorskiej. W spektaklu w postać Marii Lebiadkinej wcieliła się wspaniała aktorka Jelena Jakowlewa. Jej gra skracała męczące oczekiwanie na koniec przedstawienia...

Czyżby Wajda chciał, żeby na jego spektakl ludzie chodzili jak na stary film, którego nigdy nie mieli okazji obejrzeć? Spektakl – kiedyś znakomity, wystawiony w wybitnym (niegdyś) teatrze – jakaż interesująca wycieczka do Muzeum im. Dostojewskiego.

A tak na marginesie, tu nie chodzi o Dostojewskiego. Pisał przecież nie o polityce, a o duszy, a dokładniej – o doskonałym jej braku u panów posiadających idee. Właśnie ta wewnętrzna pustka czyni ich współczesnymi dzisiejszych panów bez idei, pustych jak bębny. I przede wszystkim właśnie ta pustka, według mnie, stanowi najdoskonalsze wyjaśnienie nie tyle przeszłości Rosji, co teraźniejszości... O tym wszystkim można by wystawić całkiem inne *Biesy*...

НОВАЯ ПОЛЬША 2004, nr 5

Natalia Podolska

W OBRONIE PRAWDY

Przeczytałam, niestety z dużym opóźnieniem, dzieło redaktora naczelnego czasopisma „Nasz Sowremiennik" – Stanisława Kuniajewa pod tytułem *Szlachta i my* (nr 5, 2002) i poczułam się w obowiązku zareagować na nie, ponieważ autor bezpodstawnie atakuje i mnie, i redaktora „Nowej Polszy" pana Pomianowskiego, i ogólnie Polaków, fałszując całą historię Polski. Nie uważam się za specjalistkę w dziedzinie historii stosunków rosyjsko-polskich, nie podejmę się więc szczegółowej analizy dzieła Kuniajewa. Nie mogę jednak milczeć, skoro bezpośrednim przedmiotem jego insynuacji jest również moja publikacja w „Nowej Polszy" (nr 11, 2001) złożona z fragmentów wspomnień mojego Ojca z czasów pobytu w polskiej niewoli w latach 1919-21, które w roku 1931 ukazały się w czasopiśmie „Nowyj Mir" (nr 4 i 5). I ja, i pan Pomianowski zostaliśmy obwinieni ni mniej ni więcej tylko o „bezwstydne", a nawet „haniebne" „ideologiczne fałszerstwo" („Nasz Sowremiennik", cytowany numer, strony 119-126).

Zacznę od tego, że pan Pomianowski nie zamawiał u mnie bynajmniej żadnej „repliki" (moja publikacja była zatytułowana *Replika*, dotyczyła sprawy „anty-Katynia"). Nie dokonywał również w moim artykule żadnych poprawek ani żadnych skrótów. Fragmenty wybrałam osobiście, posłałam moją „replikę" całkowicie samodzielnie, kierując się impulsem; jak zwykły czytelnik, który pisze do gazety lub czasopisma o tym, z czym się zgadza lub nie. Nie zgadzałam się z treściami, zawartymi w artykułach, które pojawiały się w naszej prasie w związku z 60 rocznicą rozstrzelania polskich wojskowych w Katyniu w 1940 r., a które porównywały to straszne przestępstwo stalinowskiego reżimu z sytuacją czerwonoarmistów, będących w polskiej niewoli w początkach lat 20. pojawiły się w celu, można to tak określić, „zneutralizowania" zbrodni katyńskiej poprzez opisanie przejść naszych jeńców w „białej" Polsce.

Świadectwo mojego Ojca, który przebywał w takiej niewoli, pokazuje jednak, że los naszych jeńców (bez wątpienia niezbyt przyjemny!) mimo wszystko nie nadaje się do żadnego porównania z Katyniem – ani pod względem traktowania jeńców, ani dlatego, że nie było żadnych, nakazanych odgórnie działań, prowadzących do wyniszczenia jeńców, jak to miało miejsce w Katyniu, niemieckich obozach zagłady czy GUŁagu.

Jako dowód przytoczyłam we wspomnieniach Ojca przede wszystkim (podkreślam: przede wszystkim) przykłady dobrego, współczującego, a nawet czasami troskliwego (!) stosunku do Niego ze strony polskich wojskowych i zwykłych obywateli.

Oczywiście, były w polskiej niewoli przypadki okrucieństwa – i nikt, ani Ojciec, ani ja w moim materiale, nie przemilczeliśmy tego. I chamstwo („psiakrew, bolszewik!"). I przeszukiwanie kieszeni, zabieranie przez polskich żołnierzy odzieży – aż do zwykłego morderstwa. I zakłuci na śmierć „najwyraźniej nie broniący swojego życia" ludzie. Były wyzwiska, bicie po twarzy, kije, nawet „nakłuwanie bagnetami" w czasie robót tych całkiem nieruchawych, nie radzących sobie... Zabójstwa „przy próbie ucieczki"... Kradzieże środków przeznaczonych na utrzymanie jeńców, które i bez tego nie były wystarczające... Choroby... To wszystko czytelnik znajdzie na stronach 56–59 i 61 wspomnianego numeru „Nowej Polszy".

Nawet to, co Kuniajew traktuje jako celowe opuszczenia, czy to dokonane przeze mnie, czy też przez pana Pomianowskiego (na przykład uwaga Ojca, że „na każdego jeńca powracającego do Rosji, przypada dwóch pochowanych w Polsce" – „Nasz Sowremiennik" str. 121, por. „Nowaja Polsza" str. 59. Niedopatrzenie? Czy też Wasze, tow. Kuniajew, nieoczekiwane „fałszerstwo"?).

Były jednak i zupełnie inne rzeczy! I nie jest to jakieś tam przypadkowe lub celowe „fałszerstwo", to świadectwo naocznego świadka, który dodatkowo miał pewne uprzedzenia jako ideowy komunista. Była zwyczajna litość (polskiego kapitana służb medycznych, str. 57 „Nowej Polszy"). Nawiązywały się „całkiem serdeczne stosunki" z najbardziej wyrozumiałym i życzliwym dla jeńców kapralem (str. 58). Niedostatek le-

karstw wywoływał w stosunku do mojego chorego Ojca współczucie i ludzkie odruchy lekarki (str. 59). Szpital odwiedzali cywile – okoliczni mieszkańcy, którzy przynosili chorym książki (str. 60)... Podejmowano również różnego rodzaju działania, mające na celu polepszenie obozowego bytu jeńców (tamże). I w końcu Ojca, jeńca wojennego wypuszczają do miasta, gdzie uczył języka rosyjskiego córkę urzędnika państwowego (!)... I jej, więcej niż przyjazne, rozmowy z Nim – „bolszewickim, żydowskim komisarzem"; jej ostrzeżenia przed najgorszymi obozowymi funkcjonariuszami (tamże). I to ma być – polski „Katyń"?

Cała sprawa polega na tym, że Kuniajewowi nie to jest potrzebne. Nie obiektywność, którą mój Ojciec, podwójny „wróg" (no bo był przecież komunistą) zachował, nie skrywając prawdy (o co wystarczająco wyraźnie podejrzewa mnie Kuniajew), ale i nie oczerniając Polaków, czego sam poniósł konsekwencje. Nie zginął w polskiej niewoli, po to tylko, żeby po sześciu latach dostać od swoich rodaków kulę w tył głowy. Nie za tę obiektywność, ale w wyniku postawionych mu nieprawdopodobnych zarzutów – był wówczas odpowiedzialnym pracownikiem Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych. Oskarżono go m.in. o szpiegostwo na rzecz Polski. Owładniętemu ślepą polonofobią Kunjaiewowi potrzebne jest tylko to, co służy obrażaniu, zniesławianiu Polaków i – tu odsłania się jego prawdziwe oblicze nacjonalistycznego imperialisty – także polskich i rosyjskich Żydów.

Zażarta polonofobia bijąca z artykułu przeradza się u niego w nie mniej zaciekły, otwarty antysemityzm. Czytelnik nie jest w stanie pojąć, z kim i z czym przede wszystkim toczy on wojnę. Ze „specyficznym polskim rasizmem" (str. 86), to znaczy z odwieczną „szlachecką" rusofobią, zakodowaną jakoby w „genotypie" całego narodu, czy też z polskimi antysemitami lub naszymi „polonofilami" (czytaj znowu: Żydami). Ale we wszystkich tych przypadkach jest to walka w imię agresywnej i nieprzemijającej ostrej ksenofobii rosyjskiego imperializmu.

Dlatego też zaczyna on przekopywać się przez historię, szukając sposobów, żeby jak najboleśniej kopnąć, ośmieszyć, ugryźć „szlachtę" (Polaków). Okazuje się, że jeszcze w czasie „smuty", kiedy, jak wiadomo, Polacy chcieli odciachać pół Rosji, co się jednak nie udało, ci, którzy (posługując się językiem współczesnym) zostali „internowani" na północy – wszyscy jak jeden mąż oddali się pod rosyjskie zwierzchnictwo, żaląc się, jak im źle, chociaż żyli tam nie gorzej „niż nasi jeńcy wojenni w polskich obozach jenieckich... w latach 1919-1920" (str. 84). Znany jest i wielkopańsko-pyszałkowaty, nieludzki stosunek polskich panów do Białorusinów a „szczególnie do Ukraińców" (tamże). Tak było i „w XVII wieku i w końcu XX". Zwyczaje, choć troszeczkę „złagodniały", mimo wszystko były „podporządkowane genotypowi, który i w feudalizmie i w czasach Piłsudskiego i w czasach demokratyzacji nie ujawnia ich, ale w każdej chwili mogą one wyleźć spod cywilizacyjnego poloru...". A różne takie narodowe cnoty, do których autor zalicza również polski ruch oporu z czasów II wojny światowej – to tylko romantyczny „mit", iluzja, rozdmuchana przez poetów, reżyserów, prozaików w celu upiększenia siebie i swojej historii (str. 101–102).

Podgrzewając swoją pogardę, autor przyzywa na pomoc... kogo? Puszkina, którego wiersz *Oszczercom Rosji* wychwala nie tylko za „polski temat", ale też za biczowanie całej „satanistycznej Ententy wszystkich antyrosyjskich sił Europy" (str. 91). Powołuje się i na innych „najsławniejszych" twórców rosyjskiej kultury, którzy „byli wolni od polonofilstwa" (str. 90), wśród nich na Lwa Tołstoja. *Wojna i pokój* także ma służyć szyderczo-obraźliwej polonofobii Kuniajewa. Jednak, cytując scenę (str. 106), w której uwielbiający Napoleona polscy ułani rzucają się wpław przez Niemen, nie zauważa, że jest ona w gruncie rzeczy skierowana przeciwko Napoleonowi, obojętnemu na tę absolutnie bezsensowną lecz, mimo wszystko, pełną poświęcenia postawę. (Przy okazji, nieźle by było, gdyby tow. Kuniajew przeczytał opowiadanie Tołstoja *Za co?*, w którym ukazuje się w pełni jego prawdziwy stosunek do Polaków – ofiar carskiej katorgi i ich pełnych poświęcenia żon).

Kuniajew nie brzydzi się mieć za sojusznika nawet tak wstrętną postać, jaką jest „niepospolity człowiek" Bułgarin, który, choć sam polskiej krwi, nie miał litości dla szlachty (str. 95). Mało tego: ucieka się do powoływania jako „autorytetów" hitlerowców, w mściwym upojeniu cytuje wypowiedzi samego Hitlera, Himmlera i Goebbelsa o Polakach jako „niepełnowartościowym narodzie", o ich „niepełnej wartości rasowej" („widocznie doktor Goebbels posłuchał, jak Polacy, chcąc poniżyć Rosjan, nazywają ich Azjatami, barbarzyńcami, Tatarami, a Ukraińców – bydłem i zrozumiał ... jak z nimi należy rozmawiać" [str. 88]). „Dawno już Polacy powinni zamilknąć i nie opowiadać, że w 1939 roku przeprowadzony został czwarty rozbiór Polski" (str. 103), ponieważ był to swoisty „sprawiedliwy rewanż" (tamże), zasłużony „historyczny odwet" (str. 120) za ciągłe polskie pretensje do ziem rosyjskich...

A kim są sojusznicy tego odwiecznego wroga Rosji działający w naszym kraju, tzw. „piąta kolumna"? To dobrowolni i mimowolni „polonofile" (Kuniajew używa tego określenia głównie jako synonimu słowa Żyd). Stosując analogię do znanej „listy Schindlera" – wynajduje on jakąś listę Britaniszskiego (str.89 i nast.), na którą wpisuje nazwiska Słuckiego, Samojłowa, Rejna, Kusznera, Brodskiego, Eppela i innych literatów, tłumaczących z języka polskiego. To oni, razem z Britaniszskim, z „Aleksandrem Pinkasowiczem Mieżyrowem", z „Junną Pejsachowną Moric" i pozostałymi (str. 108-129) po kryjomu, „delikatnie kierują" naszymi „umysłami", sącząc w rosyjską świadomość karygodne polonofilskie sympatie. W swoim antysemickim zacietrzewieniu Kuniajew posuwa się do tego, że nawet zbrodnię katyńską przypisuje Żydom (niejakiemu Reichmanowi, str. 124).

Zresztą zakłamanie osiąga swój szczyt w związku ze sprawą Jedwabnego: Polacy – mieszkańcy miasteczka Jedwabne – wymordowali tamtejszych Żydów po wejściu Niemców w 1941 roku; z tym „polskim Holokaustem", w którym brała udział cała władza („Holokaust – z rozkazu serca", str. 110 i nast.). Nie zwracając uwagi na to, że Polacy sami odkryli zbrodnię i byli nią wstrząśnięci, Kuniajew daje tu upust swojej polono- i żydofobii (równocześnie, być może z przewagą tej ostatniej). W tym momencie dochodzimy do sedna klinicznie patologicznego połączenia: polonofobii i złośliwie przeplatającej się z nią nienawiści do polskich i rosyjskich „polonofilów" i rusofobów – wszystkich tych „poznerów, swanidze i kisieliowów". Przecież zgodnie z ich „planami" Rosjanie powinni być głównymi antysemitami!... A tu pech – Polacy poplątali karty (str. 111).

Nie da się wyliczyć wszystkich ohydnych wypowiedzi Kuniajewa dotyczących Katynia... słów skierowanych przeciw powstaniu warszawskiemu... Andersowi... Balcerowiczowi... a nawet przeciw Jelcynowi i Kwaśniewskiemu (patrz str. 116, 120); oddać jego szyderczy, obraźliwy ton. Nie mam na to ochoty. Chciałabym tylko zastanowić się nad pytaniem: czy nie wstyd samemu tow. Kuniajewowi narzucać za wszelka cenę czytelnikom swoją zwierzęcą wprost nienawiść, potęgując niezmiennie antypolskie, antysemickie nastroje, wciąż i wciąż rozdmuchując płomień wzajemnej podejrzliwości i wrogości między narodami? Skłócić Rosjan z Polakami i Żydami, Wschód z Zachodem, oczernić żywych i martwych, uczciwych i winnych?...

Jak można, ni z tego ni z owego, szargać dobre imię redaktora „Nowej Polszy", szanowanego człowieka, zasłużonego twórcę polskiej kultury?... Nie mówiąc już o mnie, która poświęciła ponad 50 lat na tłumaczenie i wydawanie literatury polskiej, od bajek do utworów Konopnickiej, Słowackiego, Sienkiewicza, Potockiego, Tetmajera, Orzeszkowej, Reymonta, Żeromskiego, Korczaka, Iwaszkiewicza, Filipowicza, Borowskiego, Broniewskiego, Andrzejewskiego i wielu, wielu innych.

Zresztą, czy cokolwiek jest w stanie zawstydzić człowieka, dla którego nic nie znaczą ludzkie losy i ludzkie życie, egzekucje, śmierć, zawał? Kto może z takim (udawanym?) lekceważeniem pisać choćby o kampanii przeciwko „kosmopolitom" w ZSRR? Radzieckie, osławione państwo policyjne – „no i co ono takiego zrobiło? Rozpędziło Komitet Antyfaszystowski, rozstrzelało 13 ludzi... było trochę szumu... kogoś tam uwolnili, ktoś tam nie zdał na wyższą uczelnię lub na wyższy stopień... Ktoś tam miał zawał, ktoś inny wylew..." (str.116). A zwyczajni „rosyjscy ludzie" „ani w czasach wojny i okupacji, ani w czasach powojennej stalinowskiej dyktatury, ani w okresie pozbawienia kraju władzy na przełomie lat 80. i 90... nie zhańbili się czymś takim, jak Polacy w Jedwabnem! Choć przecież mieli podstawy do zemsty, jeszcze z zamierzchłej przeszłości, nie mniejsze, a może nawet większe niż szlachta..." (tamże).

Oczywiście, jest tylko dobrą wolą „Nowej Polszy" zgłębianie tych tryskających nienawiścią wypowiedzi tow. Kuniajewa. Szkoda tylko, że nasi poloniści i nasze czasopisma, o ile się orientuję, pozostały na nie obojętne.

Andrzej Nowak

POKUSY GEOPOLITYKI

Co to jest geopolityka? Wizyta w moskiewskiej księgarni przyprawić może o zawrót głowy od definicji. Najczęściej wznawiane (o ile mi wiadomo było już przynajmniej cztery wydania) *Osnowy geopolitiki* Aleksandra Dugina odpowiadają na postawione pytanie serią metafor. Najbardziej do gustu przypada mi zawarta w przedmowie do III wydania fraza, iż geopolityka *eto puczok istoriczeskich intuicij, swiazannych priedwkuszenijem poznanija realnosti w kakom-to nowom, niebywałom aspiektie.* Kilka stron dalej Dugin precyzuje jednak twardo: *Geopolitika — eto nauka prawit.*[1]

W dobie postmodernizmu nauka, którą można określić jako „pęczek intuicji, związanych przedsmakiem poznania rzeczywistości", mogłaby sobie z pewnością utorować drogę do uniwersyteckich katedr najbardziej postępowych uczelni Ameryki i Europy Zachodniej (a nawet Środkowej). W Rosji tę drogę geopolityka już pokonała. Jest powszechnie akceptowanym i oficjalnie usankcjonowanym przedmiotem akademickiej nauki. Studenci mogą korzystać z bogatej już oferty podręczników nowej (odnowionej) dyscypliny. I tak na przykład podręcznik K.S.Gadżijewa rekomendowany jest przez Ministerstwo Edukacji FR dla studentów politologii, stosunków międzynarodowych, historii, socjologii i prawa; podręcznik N.A.Nartowa — dla studentów wszystkich specjalności ekonomicznych; J.W.Tichonrawowa — dla studentów szkół wyższych w ogóle.[2] Dla każdego coś miłego w geopolityce widać można znaleźć.

Niektórzy z wymienionych autorów — jak np. Gadżijew — próbują odciąć się od metaforyki Dugina i jej ideologicznych konsekwencji, broniąc geopolityki jako dyscypliny o określonym przedmiocie, metodzie badawczej, podporządkowanej powszechnie obowiązującym regułom logiki. Nikt jednak nie podważa ścisłego związku tak czy inaczej rozumianej geopolityki z drugą z przytoczonych powyżej definicji Dugina; jako nauki władzy i dla władzy *(własti i dla własti)*. Chodzi o *arcana imperii.* Chodzi o władzę w wymiarze globalnym. To właśnie czyni geopolitykę nauką tak — stosunkowo — popularną w Rosji po upadku Związku Sowieckiego.

Geopolityka jest pokusą mocarstw, które próbują utrwalić swoje imperium. Bywa także namiastką ideologii w tych mocarstwach, które straciły swoje imperia, a nie odnalazły jeszcze swojego miejsca w stosunkach międzynarodowych.

O tym, że geopolityka jest w Rosji popularna nie jako dyscyplina akademicka, ale przede wszystkim jako ideologia, nowa Wielka Nauka (*Wielikoje Uczenije*) — na miejsce zużytego komunizmu — świadczą liczne nawiązania do niej w programowych wystąpieniach polityków z pierwszych stron gazet.

Płynne przejście od jednej ideologii do drugiej najlepiej reprezentuje wódz rosyjskich komunistów, wciąż jeden z najpopularniejszych w Rosji polityków — Giennadij Ziuganow. Świadomie podjął on trud przekształcenia pęczka swoich geopolitycznych intuicji w nowe źródło ideologicznej energii dawnych wyznawców marksizmu-leninizmu w Rosji. Swoje koncepcje przedstawia w kolejnych tomach: *Geografija pobiedy. Osnowy rossijskoj geopolitiki* (Moskwa 1998), *Rossija — Rodina moja* (Moskwa 1998). Nie jest jednak jako myśliciel szczególnie oryginalny ani też specjalnie w swych zamysłach ambitny: snuje tylko marzenia o powrocie do roli Rosji jako jednego z supermocarstw. Po wzmocnieniu najnowocześniejszą techniką z Zachodu miałaby Rosja (imperium dawnego ZSRR) odzyskać — jak za czasów Stalina i Roosevelta —

[1] **A.Dugin,** *Osnowy geopolitiki*, Moskwa 1999, 3 wydanie, s. 4 i 14.

[2] Zob. **K.S.Gadżijew,** *Wwiedienije w geopolitiku*, Moskwa 2000, wyd. 2; **N. A. Nartow,** *Geopolitika. Uczebnik*, Moskwa 1999; **J.W.Tichonrawow,** *Geopolitika, Uczebnoje posobije*, Moskwa 2000.

status jednego ze „światowych policjantów", strzegących globu przed chaosem.[3]

Władimir Wolfowicz Żyrynowski — jeszcze nie tak dawno lider drugiej w Rosji, po komunistach, siły politycznej — także utrwalił swoją pozycję jako autor geopolitycznych rozważań. Głównym jego osiągnięciem w tym zakresie pozostaje wydany jeszcze w 1993 roku tom: *O sud'bach Rossii. Poslednij brosok na jug* (Moskwa 1993). Tu idzie Żyrinowski raczej śladami układu, jaki Adolf Hitler proponował Wiaczesławowi Mołotowowi podczas wizyty sowieckiego premiera w stolicy III Rzeszy, w listopadzie 1940 roku. Rosja, zreintegrowana w imperium, miałaby zająć większość obszarów Bliskiego i Środkowego Wschodu. Europa, skupiona wokół Niemiec — Afrykę; Stany Zjednoczone — Amerykę Łacińską; Chiny i Japonia — Daleki Wschód. Władimir Wolfowicz, inaczej niż wielu innych obrońców Rosji — światowego imperium, nie szuka porozumienia ze światem arabskim przeciw Zachodowi, ale widzi raczej w nim głównego wroga, który może połączyć Rosję z Zachodem w sojuszu „Północy" przeciwko zbuntowanemu, fundamentalistycznemu, islamskiemu Południu" (szczególnie nienawidzi Żyrynowski Turcji i jej współplemieńców w Azji Środkowej, traktując ich jako wyjątkowe zagrożenie dla geopolitycznej pozycji Rosji; z Iranem, a także z Irakiem i Libią, wódz rosyjskich „liberałów" gotów byłby jednak zawierać taktyczne sojusze).[4]

Miejsce Polski — dodajmy — w tak szeroko, z prawdziwie planetarnym rozmachem zakrojonych planach nie jest szczególnie ważne. Żyrynowski raz domagał się zwrotu Rosji jej historycznej własności — terenów dawnego Królestwa Polskiego (jednocześnie, na zasadzie takich samych „praw" historycznych żądał zwrócenia Rosji Finlandii, a nawet Alaski), to znów — w rozmowie z dziennikarzem warszawskiej „Polityki" — wracał do odwiecznego w rosyjskiej myśli tematu polskiej niewdzięczności. Polacy nie potrafią docenić roli Rosji jako tarczy słabego nadwiślańskiego plemienia przed zagrożeniami tak z Dalekiego Wschodu (Mongołowie w XIII wieku, Chińczycy w XXI) jak i przede wszystkim z Zachodu — przed Niemcami: „Żyć w rosyjskim imperium jest lepiej niż sprzedawać się Niemcom".[5]

Żyrynowski czy Ziuganow — choć nadają się do straszenia nie tylko dzieci — nie są jednak specjalnie poważanymi myślicielami i w kanonie rosyjskiej historii intelektualnej miejsca zapewne nie zagrzeją. Kwestionowane może być także ich miejsce w realnej polityce prowadzonej przez Rosyjską Federację, zwłaszcza na arenie międzynarodowej. Czy zatem geopolityka jest w Rosji tylko przelotną modą intelektualną, dziwactwem ideologicznym kilku mało w gruncie rzeczy szkodliwych politycznych błaznów?

Trudno odpowiedzieć na to pytanie, nie wracając znowu do Aleksandra Geljewicza Dugina. On zdaje się poważnie liczyć na trwałe miejsce w rosyjskiej myśli — i wielu obserwatorów życia umysłowego Moskwy lat ostatnich takie miejsce chętnie mu już przyznaje. Co więcej — Dugin zdaje się wierzyć, że wykładane przez niego geopolityczne „intuicje" staną się wkrótce oficjalną polityką państwową Rosji — wprowadzone do niej stalową ręką Władimira Władimirowicza Putina.

Czterdziestoletni dziś autor *Osnow geopolitiki*, kierownik Centrum Ekspertyz Geopolitycznych Rady Bezpieczeństwa Narodowego Dumy Państwowej Federacji Rosyjskiej i osobisty doradca przewodniczącego Dumy, Giennadija Sieliezniowa, szybko przeszedł długą drogę do tych stanowisk. Od kontaktów z nawiązującą do tradycji faszyzmu zachodnioeuropejską Nową Prawicą w początkach lat 80. (kontaktów trudnych wówczas do wyobrażenia bez błogosławieństwa KGB), poprzez zaangażowanie w Radzie Centralnej Narodowo-Patriotycznego Frontu Pamiat', w Partii Nacjonał-Bolszewickiej Ediczki Limonowa, aż po zainicjowany już przez samego Dugina wiosną 2001 roku ruch społeczno-polityczny Eurazja. Wspierany w swej działalności wydawniczej przez Ministerstwo Obrony FR i przedsiębiorstwo

[3] Poza wspomnianymi tytułami samego Ziuganowa, zob. omówienie jego koncepcji m.in. przez **J.Bratkiewicza**, (*Rosyjscy nacjonaliści w latach 1992-1996*, Warszawa 1998, s. 146-148, 197-207, 213-216), a także **A.Walickiego** (*Rosja w upadku — rozmowa*, „Arcana", nr 26: 2/1999, s. 37-39).

[4] Zob. **J.Bratkiewicz**, dz. cyt, s. 188—193; **A.Janow**, *Posle Jelcyna. „Weimarskaja" Rossija*, Moskwa 1995, s. 134-146; **W.Laquer**, *Czornaja sotnia. Proischożdienije russkogo faszyzma*, Moskwa 1994, s. 356—360.

[5] *Orzeł wielogłowy* — rozmowa z W. Żyrynowskim, „Polityka", 11 XI 1992 r.

„Rosyjskie Złoto", Dugin zdążył opublikować już nie tylko kilkanaście własnych książek łączących problematykę geopolityczną z metafizyką seksu, ale także uruchomić osobne wydawnictwo „Arctogaia" i ukazujące się od 1992 roku czasopismo „Elemienty".

Sam nie ma wątpliwości, że to on jest ojcem chrzestnym geopolitycznego renesansu w Rosji. W rozmowie z dziennikarzem polskiego kwartalnika „Fronda" z charakterystyczną dla siebie skromnością stwierdza po prostu: „Niemal cała elita politologiczna w Rosji jest intelektualnie przeze mnie zapłodniona. Takie słowa jak geopolityka, eurazjatyzm, mondializm, antyamerykanizm, geoekonomika, nowa prawica czy trzecia droga zostały wprowadzone do publicznego dyskursu właśnie przeze mnie. Sam język naszej elity, zarówno lewicowej, jak i prawicowej, powoli został przeniknięty moimi ideami."[6]

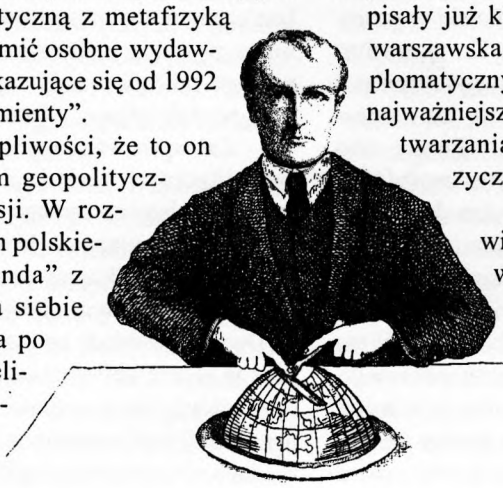

O słowa rzekomo wymyślone przez Dugina spierać się nie musimy. Lew Gumilow mógłby być co prawda zaskoczony faktem, że to Dugin, a nie on przypomniał teorie eurazjatów (*jewrazijcew*); redaktorzy „Le Monde", a właściwie wszyscy mówiący o polityce Francuzi, także byliby zdziwieni tym, że używając terminu „mondialisme", mówią językiem Dugina. Palący flagę amerykańską pod wszystkimi niemal szerokościami geograficznymi wrogowie dominacji waszyngtońskiego Wielkiego Brata też zapewne nie wiedzą, że antyamerykanizm „wprowadził do dyskursu publicznego" Aleksander Geljewicz. Od jałowego sporu o wyższość Łomonosowa nad Lavoisierem ciekawsze są idee przedstawiane istotnie przez samego autora *Osnow geopolitiki*. I Polacy także przyglądają im się z zainteresowaniem.

Dlaczego? Może dlatego, że lubimy horrory — czasem lubimy, kiedy nas straszą. A Dugin straszy nas otwarcie i bardziej przekonywająco niż np. Żyrynowski. O miejscu Polski w Duginowskiej wizji śmiertelnego konfliktu Morza („atlantystów" — z Ameryką na czele) i Lądu (Eurazji — oczywiście pod przewodnictwem Rosji) pisały już kilkakrotnie krakowskie „Arcana", warszawska „Fronda" i „Polski Przegląd Dyplomatyczny". Tu przypomnijmy więc tylko najważniejsze rysy owej wizji, rezygnując z odtwarzania całego jej ezoteryczno-metafizycznego sztafażu.

Głównym wrogiem są w owej wizji Stany Zjednoczone, a podstawowym celem — przełamanie ich światowej dominacji. Rosja musi w tym celu odbudować swą imperialną tożsamość jako mocarstwo eurazjatyckie. „Atlantycki" wróg jest jednak zbyt potężny, aby Rosja mogła sobie poradzić z nim sama. Kluczem do zwycięstwa jest więc pozyskanie innych partnerów na obszarze Eurazji do współpracy przeciw Ameryce. Takimi partnerami są w Azji Środkowej — Iran (wspólnie z nim Rosja mogłaby kontrolować niespokojny, a strategicznie ważny Kaukaz, do którego sięgają już przecież macki USA...), na Dalekim Wschodzie — Japonia (wyrwana spod wpływów amerykańskich osłabiłaby decydująco „atlantyzm" na Dalekim Wschodzie, a zarazem pozwoliłaby Rosji balansować zagrożenie związane z ekspansją demograficzną i ekonomiczną Chin na Syberii Wschodniej). Najważniejszym partnerem będzie jednak Europa. Bez oparcia na zachodnim brzegu Eurazji, amerykański „atlantyzm" będzie skazany na porażkę. Dugin liczy więc na pogłębioną integrację Unii Europejskiej, której konsekwencją będzie rozluźnienie więzów z Waszyngtonem, a dalej — narastanie realnego konfliktu (zrazu ekonomicznego, a wkrótce strategicznego) między mocarstwami dwóch brzegów Atlantyku. Nowym hegemonem Europy będą oczywiście Niemcy — i z nimi powinna porozumieć się Rosja. To właśnie na odnowionej osi Moskwa—Berlin mają się rozstrzygnąć losy Europy Środkowo-Wschodniej. Małe kraje, ustawione już przez traktat wersalski jako „kordon sanitarny" odgradzający Rosję od Europy, a w szczególności Rosję od Niemiec, miały ponownie pełnić — zdaniem Dugina — tę funkcję w projektach strategów amerykańskich końca XX wieku. Ta przegroda musi być zburzona. (Nie wiem, czy Dugin jest świado-

[6] *Czy Putin jest awatarem?* — rozmowa z Aleksandrem Duginem, „Fronda", nr 23/24 (2001), s. 163.

Paulina Zielona

my, że niemal dokładnie w tych słowach formułował przed nim program polityki wobec Europy Środkowo-Wschodniej w ogóle, a Polski w szczególności Józef Stalin: jeszcze jako Komisarz Ludowy ds. Narodowości, przygotowujący propagandowo agresję sowiecką nad Wisłę już na progu roku 1919. Stalin określił wtedy Polskę jako „przepierzenie" (*sriedostienije*), które Armia Czerwona musi wyeliminować na drodze do wspólnego europejskiego domu z Niemcami. Pisano też wtedy o Polsce jako „chińskim murze" bądź „murze kontrrewolucji", który „imperialiści" wznieśli, by odgrodzić proletariat Rosji i Niemiec. Wiem tylko, że Dugin byłby z takiej akurat genealogii swoich metafor i idei w odniesieniu do Europy Środkowo-Wschodniej na pewno dumny.[7])

Dugin życzy więc Polsce przede wszystkim osłabienia jej tradycyjnej, religijno-kulturowej tożsamości, która nie pozwala jej pogodzić się ani z dominacją prawosławnej Rosji, ani rozpuścić do końca w zdominowanej przez Niemcy Europie. Przed perspektywą rozbiorów Polska próbowała się ratować, poszerzając swą przestrzeń cywilizacyjną na Wschód — przez unię z Litwą. To Dugina irytuje najmocniej. Zaleca podsycanie wszelkich konfliktów na linii Warszawa—Wilno, w obu zaś krajach chciałby podciąć przede wszystkim ich katolickie korzenie (szuka w tym celu sojuszników „wewnętrznych" w tych krajach: od zwolenników laickiej socjaldemokracji, poprzez wszelkie mniejszości narodowe i religijne, aż po środowiska neopogańskie). Polska będzie musiała ostatecznie wybrać: z Rosją, albo z Niemcami (Europą). Wybierze zapewne Europę — co dla Dugina nie jest jednak powodem do zmartwienia. Nie tylko dlatego, że Europa ma być przecież antyatlantyckim partnerem Rosji. Wchłonięcie Polski — i jej południowych sąsiadów — przez Unię Europejską, postawi jednocześnie nową, solidną granicę na wschodzie Unii. Za tą granicą znajdą się Białoruś i Ukraina: dla nich alternatywy już nie będzie. Pozostanie im wyłącznie szybka reintegracja z Rosją. To zaś Dugin uznaje za klucz do odnowy imperialnej potęgi Rosji. Jedność za wszelką cenę! (*Jedinstwo luboj cenoj!*) — oto hasło, którym Dugin chce rozwiązać problem stosunków między Rosją a Ukrainą. Realna integracja postsowieckiej przestrzeni jest bowiem koniecznym warunkiem odegrania przez Rosję roli lidera w walce z amerykańską dominacją, lidera nowego porządku w Eurazji i na świecie. To nie jest „pęczek intuicji". To są *arcana imperii*.[8]

Zainspirowani myślą mistrza, zwolennicy geopolitycznych spekulacji dopisują niekiedy brakujące w pismach samego Dugina szczegóły ostatecznego rozwiązania kwestii polskiej. Niejaki W.Gornyj, publikujący w internetowym przeglądzie geopolitycznym „Polarnaja Zwiezda", w ślad za Duginem zakłada na przykład, iż Polska nie będzie w stanie zintegrować się z Europą wskutek swej tradycyjnej nieufności wobec Niemiec i realnego konfliktu interesów z zachodnimi sąsiadami. Zakłada równocześnie, że Polska nie wyrzeknie się sama swego tradycyjnego *drang nach Osten* — prób budowania swojej strefy wpływów politycznych i cywilizacyjnych (opartych na katolicyzmie) na Białorusi i na Ukrainie. To stworzy oczywiście płaszczyznę porozumienia dla Rosji i Niemiec. Rozwiązaniem będzie nowy rozbiór — przeprowadzony poprzez utworzenie i następnie usamodzielnienie „eurolandów": utrata ziem zachodnich na rzecz Niemiec powinna być połączona z powstaniem nowych landów także na wschodnich ziemiach Polski. Można by je utworzyć w oparciu o mniejszości narodowe białoruskie i ukraińskie w pasie od Białegostoku przez Chełmszczyznę, aż po tereny łemkowsko-ukraińskiego Podkarpacia. Co ciekawe, autor owych spekulacji zakłada, że wyodrębnienie takich landów mogłoby nastąpić również na terenach zachodnich obwodów Białorusi i Ukrainy. To pozwoliłoby Rosji uwolnić się od proble-

[7] Zob. szerzej na ten temat: **A. Nowak**, *Polska i trzy Rosje*, Kraków 2001, s. 84-103.

[8] Poglądy Dugina relacjonuję za następującymi tekstami: *Osnowy gieopolitiki* (wyd. 3, Moskwa 1999); *Nasz put'. Strategiczeskije perspiektiwy razwitija Rossii w XXI wiekie* (Moskwa 1999), *Czekam na Iwana Groźnego — rozmowa z A.Duginem* („Fronda", nr 11/12 z 1998 r. (s. 140-146). Obszerniejsze analizy tych poglądów przedstawiali już w Polsce m.in. **S.Dębski** (*Geopolityczna przyszłość Rosji*, „Arcana", nr 19: 1/1998, s. 86-101), **I.Massaka** (*Projekt Nowego Imperium Kontynentalnego Aleksandra Dugina*, „Arcana", nr 38: 2/2001, s. 158—171), **D.Kostjanowska** (*Polska w tekstach Aleksandra Dugina i jego zwolenników*, „Polski Przegląd Dyplomatyczny", t. l, nr 4/2001, s. 159-170), **R.Paradowski** (*Eurazjatycki projekt dla Rosji*, „Polityka Wschodnia", nr 2/1999), **Estera Lobkowicz** (*Rasputin Putina*, „Fronda", nr 23/24 z 2001 r., s. 140-157).

mów z niechętnymi integracji z nią elementami w bratnich, słowiańskich republikach, a zarazem — poprzez oddanie tych terenów (razem z pozostałym nad Wisłą państewkiem polskim) pod faktyczny protektorat niemiecki i odnowienie idei Mitteleuropy tym bardziej wciągnąć partnera z Berlina do antyatlantyckiej współpracy.[9]

Czy można sobie wyobrazić Władimira Władimirowicza Putina w roli egzekutora tego pięknego planu? Czy podobne rojenia mogą stać się podstawą realnej polityki rosyjskiej w XXI wieku? Te pytania stawiamy serio. I to bardzo denerwuje naszych rosyjskich przyjaciół, którzy z Duginem nic wspólnego mieć nie chcą. Przedstawiciele liberalnych elit politycznych Rosji odpowiadają zwykle na pytania o Dugina, Żyrynowskiego czy Limonowa wzruszeniem ramion: to margines, to nie ma żadnego znaczenia, to co najwyżej izolowane egzemplarze tradycyjnej rosyjskiej błazenady politycznej. Zapewne mają rację. Ale nie całą. W kręgu twórców realnej polityki Rosyjskiej Federacji nie ma zapewne zbyt wielu wyznawców „konserwatywnej rewolucji", którą głosi Dugin, nie ma wyznawców jego „Mietafiziki Błagoj Wiesti", rosyjskim MSZ nie kierują wymarzeni przez Aleksandra Geljewicza „templariusze (*tampliery*) proletariatu". Nie wszyscy też wzdychają do wielkiej konfrontacji z Ameryką. Niektórzy wolą się z nią porozumiewać. A jednak jest obszar, na którym Dugin spotyka się ze znaczną częścią przynajmniej, a może nawet z przytłaczającą większością intelektualnego „zaplecza" realnej polityki rosyjskiej. To właśnie obszar nas najbardziej interesujący: Europa Wschodnia, Europa Środkowo-Wschodnia, Europa w końcu.

Gdy weźmiemy do ręki np. wydawany za amerykańskie przecież pieniądze (Fundusz Carnegie), prestiżowy kwartalnik moskiewskich liberałów-państwowców „Pro et Contra", czy publikowany z kolei przez Fundusz Gorbaczowa, nie mniej prestiżowy dwumiesięcznik „Polis", to znajdziemy w nich rozważania jakże bliskie w swych konsekwencjach w odniesieniu do „bliźniego zarubieżja" koncepcjom Dugina i jego zwolenników. Konstantin Pleszakow, jeden z pierwszych głosicieli odrodzenia „poważnej" geopolityki w Rosji, dostrzega np. na łamach „Pro et Contra" — podobnie jak wspomniany wyżej W.Gornyj — możliwość odseparowania od Rosji nie tylko Pribałtiki, ale także „Galicji". Ta, wskutek swojej „rusofobii", przeszkadza reszcie Ukrainy pogodzić się ze statusem rosyjskiej „półkolonii". Odnowione rosyjskie imperium byłoby w wersji Pleszakowa zorientowane nie przeciwko Zachodowi, ale raczej miałoby stać się pomostem dla zachodniej cywilizacji do Azji (i takich również krajów jak Białoruś czy Ukraina). To na pewno różni Pleszakowa od Dugina. Ale jak wielka wynika stąd różnica dla tych np. Ukraińców czy Białorusinów, którzy jednak nie chcieliby dla swoich krajów statusu rosyjskiej półkolonii (*połukołonii*)? Nawet półkolonii oświeconej Rosji. Zaraz obok, w tym samym numerze „Pro et Contra", inny znany publicysta, Alieksiej Miller, zwraca uwagę na konieczność stworzenia takiego układu politycznego na Ukrainie, który na trwale uniemożliwiłby jej samodzielny zwrot ku Zachodowi. Na scenie politycznej Ukrainy powinny — przy pomocy Rosji — dominować wyłącznie partie opowiadające się za jak najściślejszym związkiem Kijowa z Moskwą.[10]

Na łamach „Polis" z kolei Konstantin Sorokin zajmuje się przyszłością krajów dawnego bloku sowieckiego w Europie. I on podkreśla, nie bez charakterystycznej Schadenfreude, rychłe kłopoty krajów tego regionu w zaakceptowaniu nowego, europejskiego (niemieckiego) hegemona. Ich integrację z Unią Europejską uznaje za w gruncie rzeczy korzystną dla Rosji. Unia nie jest dla Rosji wrogiem, wrogiem jest tylko NATO. Realną groźbą dla Rosji byłoby jedynie trwałe wprowadzenie na teren Polski czy jej południowych sąsiadów wojsk amerykańskich. Jak Polska nie była pewnym sojusznikiem dla ZSRR, tak nie będzie nim również dla NATO. W wydawanym przez INION RAN kwartalniku „Aktualnyje Probliemy Jewropy", znakomity analityk, D. A. Daniłow, zwrócił ostatnio uwagę na pozytywną tendencję — którą przewidywał i pochwala teraz zapewne Du-

[9] Omówienie koncepcji W. Gornyja (http://www.zvezda.netway.ru: 8080/1999/12/23/) przytaczam za D.Kostianowską.

[10] Zob. **K. Pleszakow**, *Skwoz' zarosli mifow*, „Pro et Contra", t. 2, No 2/1997, s. 59-70; **A. Miller**, *Ukraina kak nacionalizirujuszczejesia gosudarstwo*, tamże, s. 71-84.

gin. Wydarzenia lat 1999-2000 (a na pewno wzmocniłyby jeszcze to wrażenie wydarzenia po 11 września 2001 roku) uwidoczniły coraz bardziej oczywistą erozję NATO jako paktu militarnego i zarazem dążenia do nadania Unii Europejskiej tożsamości nie tylko ekonomicznej, ale nawet militarnej. Drogi Ameryki i Europy zdają się wreszcie (po tak długim oczekiwaniu Moskwy) rozchodzić. Wejście Polski czy całej Europy Środkowo-Wschodniej do UE przestaje być z punktu widzenia Rosji jakimkolwiek strategicznym problemem. Unia Europejska będzie zaś musiała radzić sobie z ekonomiczną nieefektywnością swoich wschodnich klientów, będzie musiała faktycznie utrzymywać owe, jak je Sorokin z angielska nazywa, „failed nations" (*prowaliwszijesia nacji*). Dodajmy, że przytłaczająca większość liberalnych politologów rosyjskich z lubością cytuje te wszystkie zdobycze anglosaskiej socjologii narodów, które wskazują na sztuczny charakter wspólnot narodowych, na realizowanie pod ich hasłem interesów wąskich, marginalnych grup inteligencji. Nigdy nie myślą przy tym o Rosji, ale o narodach, które od Rosji próbują się oderwać. W tle wszystkich tych cytatów z B.Andersena, A.Smitha, E.Gellnera i E.Hobsbawma przebija wyraźnie sugestia: lepiej było w imperium, lepiej do tego raju utraconego powrócić.[11]

Jak trafnie zauważył redaktor naczelny „Polis" Borys Mieżujew, w rosyjskiej elicie politycznej nie jest w ogóle istotny podział na „liberałów" i „dierżawników" — i jedni, i drudzy zgodzą się ostatecznie, gdy chodzi o obronę wielkości Rosji — liczy się natomiast tylko podział na „*jewrazijcew*" (zwolenników walki z Zachodem, z Ameryką, w oparciu o sojusze z mocarstwami Azji lub „cywilizacyjnym proletariatem" Trzeciego Świata) i „*atlantistow*" (gotowych restaurować potęgę Rosji raczej we współpracy z Zachodem i w oparciu o jego wzory cywilizacyjne). Te dwie orientacje geopolityczne się wykluczają.[12]

Tak jest na pewno — z perspektywy samych Rosjan. Czy z perspektywy wschodnioeuropejskich „failed nations", z perspektywy Kijowa czy Mińska (a może i Warszawy?), jest aż tak ważne, czy brzemię odpowiedzialności za ich przyszłość weźmie Moskwa „atlantycka" czy „eurazjatycka"? Zapewne i dla nas ta różnica ma znaczenie. Jeszcze większe znaczenie miałoby jednak uwolnienie wyobraźni rosyjskich elit politycznych od brzemienia geopolityki, od władzy przestrzeni nad ich myśleniem. Dobrze byłoby, gdyby „liberał" i „*dierżawnik*" to byli w Rosji dwaj różni ludzie — przynajmniej dopóki słowo „dierżawa" znaczy w języku rosyjskim konieczność dominacji nad innymi narodami. A geopolityka — wszystko jedno, „atlantycka" czy „jewrazijska" — pozostanie władzą pustki nad człowiekiem. Bo taka jest jej natura — odziedziczona po jej matce: Uranii.

Nikt nie nazwał tego bardziej precyzyjnie od wielkiego rosyjskiego poety, Josifa Brodskiego w słowach jego hymnu *Do Uranii*:

„(...) Pustka rozsuwa się jak portiera. Bo w gruncie rzeczy – otwarta przestrzeń czyż nie jest jedynie nieobecnością ciała w każdym punkcie?
To dlatego Urania jest starsza od Klio."

(Przekład Stanisław Barańczak)

Nie dzięki geografii, nie dzięki geopolityce Rosja jest w Europie, ale dzięki ludziom twórcom takim jak Brodski, jak jego mistrzyni Achmatowa, jak Mandelsztam, jak patron ich wszystkich Puszkin. „Pęczek" geopolitycznych „intuicji" kusił czasem także ich, ale nie dzięki owym intuicjom, tylko właśnie pomimo nich Rosja ma coś istotnego do zaoferowania światu — nie podzielonemu wedle sztucznych geopolitycznych wzorów. Światu ludzi, nie pustych przestrzeni.

[11] Zob. np. **K.E.Sorokin**, *Geopolitika Rossii w „bliźniem" i„sriedniem" zarubieżje*, „Polis", nr 3/1995, s. 23-39; tenże, *Geopolitika sowriemiennosti i geostrategija Rossii*, Moskwa 1996, s. 60-73; **D.A.Daniłow**, *Stroitielstwo wtoroj opory Jewropiejskogo sojuza*, „Aktualnyje Problemy Jewropy", nr 3/2000, s. 43-50; **S.Czeszko**, *Raspad Sowieltskogo Sojuza. Etnopoliticzeskij analiz*, Moskwa 1996; **A.Miller** (red.), *Nacja i nacjonalizm.*, Moskwa 1999.

[12] **B.Mieżujew**, *Pismo w riedakciju*, „Pro et Contra", t. 2/1997, s. 109-111.

Wiktoria i René Śliwowscy

WŁADZA SOŁOWIECKA I POLACY

Tekst ten pragniemy poświęcić pamięci ludzi nietuzinkowych, których mieliśmy szczęście spotkać na swej drodze życiowej. Powiemy więcej – uważamy wręcz za swój obowiązek przypomnieć nazwiska trojga wspaniałych Polaków: Aleksandra Aleksandrowicza, Heleny Owsiany i Walentego Woronowicza, które na trwale zapisały się w dziejach polskiej obecności na Dalekiej Północy Związku Radzieckiego.

Cóż właściwie zbliża tych tak niepodobnych do siebie ludzi, których, niestety, nie ma już wśród nas? Aleksander Aleksandrowicz zmarł w Zgorzelcu w roku 1997. Helena Owsiany, Helenka, jak zwracali się do niej przyjaciele – a miała ich zaiste bez liku – i pan Walenty odeszli niemal jednocześnie w roku 2002 w Warszawie.

Cóż ich łączyło, dlaczego wyodrębniamy ich spośród masy obywateli polskich, którzy – jak Aleksandrowicz i Woronowicz – wbrew swej woli znaleźli się na tych obcych im i nieprzyjaznych obszarach sowieckiego imperium, lub – jak Helena Owsiany – poświęcili polskim losom pod władzą sołowiecką wszystkie swoje siły i serce?

Tym, co ich łączyło, była przede wszystkim bezprzykładna dobroć, wrażliwość na cudze nieszczęścia, ludzkie odruchy w nieludzkich warunkach, brak jakiegokolwiek śladu ksenofobii, uprzedzeń narodowych czy rasowych, pamięć o tych wszystkich, którzy kiedykolwiek przyszli im z pomocą.

Wspomnienia Walentego Woronowicza (1915-2002) opublikowane zostały w 1994 roku przez Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk[1], dokąd trafił rękopis, z miejsca zwracając na siebie uwagę: decyzja Dyrekcji o przygotowanie go do druku i ubieganie się o dofinansowanie w Komitecie Badań Naukowych była natychmiastowa. Kiedy opracowywałyśmy z Małgorzatą Giżejewską tekst dla wydawnictwa, odniosłyśmy wrażenie, że autor pisał go na podstawie dawnych notatek, tak bardzo nasycony był faktami, nazwiskami, wydarzeniami, tyle w nim było plastycznych charakterystyk. Okazało się jednak, że wszystko to przechowało się nie na skrawkach papieru, lecz w pamięci pana Walentego, który latami powtarzał wszystko to w nieskończoność, by niczego ważnego nie uronić, święcie wierząc, że nadejdzie czas, kiedy będzie mógł zapamiętane przelać na papier. I marzenie to ziściło się. Podkreślić należy z całą mocą, że wielką zaletą jego wspomnień jest to, iż niezmiennie oddziela wydarzenia, których był naocznym świadkiem, od tego wszystkiego, co usłyszał był od innych lub przeczytał. Tym wiarygodniejsza jest wartość dokumentalna jego relacji.

Wyłaniają się z niej wyraziste portrety ludzi, z którymi wypadło mu się zetknąć i zarazem – kreślony w sposób bardziej lub mniej świadomy – własny autoportret, cechy charakteru, zachowanie w warunkach obozowej codzienności i okolicznościach skrajnych. Trudno wręcz niekiedy uwierzyć w to, co pisze, na przykład, jak udało mu się zmusić kryminalistów, by w jego obecności nie przeklinali, nie obrzucali się "matem" itp. Mieliśmy wszelako szczęście porównać ów wyłaniający się z pamiętnika "autoportret" z jego oryginałem, toteż wątpliwości wnet się rozwiały: porównanie wypadło zdecydowanie na korzyść autora. To był ten sam człowiek, który wyłaniał się z kart wspomnień – na Sołowkach i na Kołymie. Ten sam, tyle że o wiele starszy... Poza tym różnica była nieznaczna. Średniego wzrostu starszy pan, gładziutko ogolony, raczej szczupły, zrównoważony i uśmiechnięty (po tylu upiornych przejściach!), z iskierką – zaprawionego lekką goryczą – humoru w oczach. Zachował, owszem, w sercu nienawiść do systemu, lecz nie do ludzi, którzy, chcąc nie chcąc, musieli w nim egzystować. Porażała w nim podówczas – i potem, kiedy gościł u nas w podwarszawskim Zalesiu – jak

[1] W. Woronowicz, *Przypadki XX wieku. 20 lat na Wyspach Sołowieckich i Kołymie 1935-1955*, do druku przygotowały, wstępem i przypisami opatrzyły W.Śliwowska i M.Giżejewska, Warszawa 1994, Instytut Historii PAN i Warszawska Oficyna Wydawnicza "Gryf", stron 236.

zapewne porażała jego współtowarzyszy obozowych – skromność połączona z przemożnym poczuciem własnej godności, wrodzona delikatność i życzliwość. I zachowana do końca życia ciekawość świata, zwłaszcza zainteresowanie dla osiągnięć nauki, które zaszczepił mu, młodemu więźniowi, doświadczony sołowczanin, fizyk z zawodu, rodem z Ukrainy; miał on krewnych w Anglii, u których mieszkał w czasie swoich dość częstych służbowych wyjazdów, co, jak przypuszcza Woronowicz, mogło być przyczyną znalezienia się za kratkami.

"Wdzięczny mu jestem – pisze po latach – bo nauczył mnie żyć w obozie i interesować się nie tylko codziennymi wydarzeniami, lecz również literaturą piękną, nauką i sztuką, nauczył żyć w tym innym świecie i dla niego odrywać się od brudnej i strasznej rzeczywistości, aby nie zgnuśnieć w niej. Często później, wśród rozgardiaszu barakowego, bezsensownych sprzeczek i banalnych rozmów, chętnie rozmyślałem na uboczu o zupełnie innych sprawach. Odpoczywałem duchowo od codziennej obozowej rzeczywistości, nawet zapominając o półgłodzie i zmęczeniu.

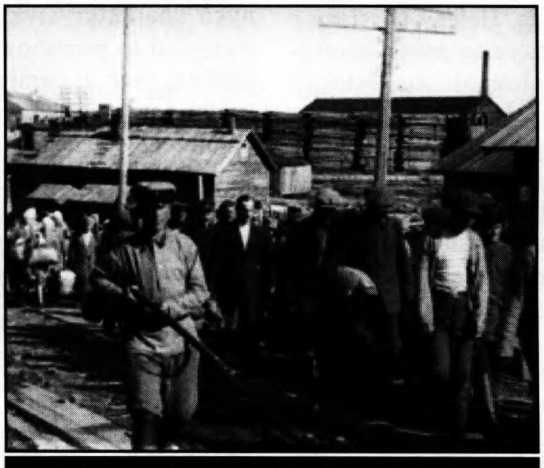

Kadr z filmu dokumentalnego o Sołowkach

Zwracano na to uwagę, pytano mnie, dlaczego tak chętnie przebywam na uboczu i dlaczego ciągle o czymś myślę. Wmawiano mi, że to niedobrze, że od takiego ciągłego myślenia można postradać zmysły. Nie postradałem zmysłów i po uwolnieniu bez trudu włączyłem się w nowe otoczenie, niczym odeń nie różniąc się, bo byłem przygotowany do tych zmian, w obozie nie otępiałem, nie zwyrodniałem i ujemne obozowe nawyki nie przylgnęły do mnie. Przez cały czas pobytu za kratami kształciłem się, a wiedza i ciągłe jej powiększenie uszlachetniają człowieka. Dwa lata kształtował mnie z dobrym wynikiem"[2].

Kiedy tak sobie siedzieliśmy w malutkim mieszkanku na warszawskiej Woli i podziwialiśmy obfitość wypielęgnowanych kwiatków w doniczkach, dotarła do nas prawdziwość tych słów. Wszystko w pokoju i kuchence lśniło. I od razu uświadomiło nam to, ile wysiłku musiał włożyć, by zachować choćby pozory czystości w tamtych strasznych warunkach obozowych! Na półkach ustawione były książki z najróżnorodniejszych dziedzin wiedzy, przede wszystkim z fizyki, w języku polskim i rosyjskim. Mieszkanie człowieka samotnego, który – co tu dużo mówić – nie zdążył już założyć rodziny (nie te lata!), natomiast znalazł prawdziwych przyjaciół troszczących się o swym koledze, wtedy już na emeryturze, dumnych z jego dopiero co opublikowanych wspomnień.

W roku 1996 udało się opublikować krótkie wspomnienia Aleksandra Aleksandrowicza (1900-1997)[3], solidnego gospodarza na dwunastu hektarach w województwie nowogrodzkim (według ówczesnej sowieckiej klasyfikacji typowego "kułaka"), którego wraz z żoną i dziećmi deportowano w 1939 roku do wsi Rosochy w rejonie szenkurskim obwodu archangielskiego. Relacji Polaków wysłanych w latach 1939/1940 do dawnej guberni archangielskiej, miejsca zesłań wielu uczestników spisków i powstań w XIX stuleciu, zachowało się w naszych archiwach i działach rękopisów wcale niemało. Zawierają one mnóstwo faktów i nazwisk nader cennych dla historyka. Łatwo do nich dotrzeć poprzez sporządzane indeksy w Archiwum Wschodnim, Komisji Historycznej Związku Sybiraków, kartoteki w poszczególnych oddziałach tego stowarzyszenia. A jednak śmiemy twierdzić, że opowieść Aleksandra Aleksandrowicza, z którym nawiązaliśmy arcyciekawą korespondencję, trwającą aż do jego śmierci w sierpniu 1997 roku, jest niezwykła, jak

[2] Tamże, s. 61.

[3] A.Aleksandrowicz, *Pamiętnik,* "Niepodległość i Pamięć", 1996, nr 6, s. 160-174.

niezwykłym człowiekiem był sam autor, w sposób ostry i nader krytyczny odnoszący się zarówno do swej młodości, kiedy brał udział w walce o odzyskanie niepodległości, jak i – rzecz oczywista – do systemu radzieckiego. Nie miał też sentymentu do władzy ludowej PRL-u, dostrzegał wszystkie jej absurdy. I z lubością o tym pisał, najczęściej w formie wierszowanej. Na szczęście swój pamiętnik napisał prozą. W jego opisie pobytu w obwodzie archangielskim nie znajdziemy jakichś nie znanych dotąd zupełnie faktów, tak charakterystycznych dla wielu tego rodzaju martyrologicznych zwierzeń. Autor jest zarazem nader konkretny w warstwach opisowych i przy tym niepozbawiony swoistego poczucia humoru. Oto, na przykład, historia, jak to Polkom wypadło zastąpić mężczyzn zmobilizowanych na front:

"A wozakami były kobiety z naszych ludzi. Poprzednio byli wozakami mężczyźni i to Rosjanie. Ale jak wezwano do wojska, zastąpiły ich kobiety. Naładujesz wóz [drzewem], kobieta bierze lejce i – wio! – mówi. No a koń stoi, nie rusza z miejsca, bo przyzwyczajony do męskiego głosu. To brygadzista, który dozoruje, powiada: *Diewuszka, porugajsia na niego,* to jest na konia. Pyta kobieta: *Jak się ruga na konia? – No, wio, job twoju mat'!* Jak kobieta wymówiła te słowa, koń ruszył"[4].

Jego opisy pełne są swoistego uroku i prostoty, wychodzą spod pióra człowieka nawykłego do ciężkiej pracy, lecz pracy przynoszącej konkretne rezultaty, chłopa, którego co krok wprawia w osłupienie konieczność jej symulowania, chałturzenia, by w końcu wieść życie w niespotykanej dotąd nędzy. A jednocześnie potrafiącego bez większego trudu dostosować się do nowych warunków bytowania, znaleźć sposób, by nie tylko wyżywić siebie i całą rodzinę, lecz jeszcze przyjść innym z pomocą. Nic przeto dziwnego, że jest lubiany i ceniony, że ludzie garną się do niego. Warto przytoczyć następujący fragment wspomnień i wynikającą zeń konkluzję, jak to się stało, że jego i żonę Rosjanie, u których zamieszkali, jęli darzyć szacunkiem:

"Ten gospodarz miał całego majątku dwie kury i dwadzieścia ary ziemi przy domu. Nadchodzi wiosna, trzeba tę ziemię obsiać. Zdobył gdzieś trochę jęczmienia. Stała beczka w sieniach i wsypał do tej beczki, bo jeszcze wcześnie do siewu. Beczka była głęboka, a kury chodziły po sieni. Jedna podfrunęła na beczkę, zobaczyła na dnie ziarnka i wskoczyła do beczki. Najadła się jęczmienia i nie mogła wydostać. I kura zginęła. Jeden dzień nie ma, drugi nie ma. Polaki zjedli kurę. Ale nam nie mówią, tylko sąsiadom opowiadają. Ale, jak to bywa, plotka się nie utrzyma. Dowiedzieliśmy się tego i mówimy: *Choziain, wy goworitie, że my waszą kuricu zjedli. To jest nieprawda. Surowej nikt jeść nie będzie, a gotować, to byście widzieli: w jednym piecu gotujemy. Szukajcie, może gdzie wlazła i nie może się wydostać.* I niechybnie by w beczce zdechła, ale na czwarty dzień zajrzał gospodarz do beczki. Kura siedzi. Wydostał, ale głowa już sina. Mówi do swej żony: *Uljana, atrubaju toporom gołowu, budiet rosoł.* A Uljana płacze, bo jedna kureczka pozostanie. Moja żona słucha tego narzekania i mówi: *Choziain, ja zrobię kurze operację. Jak wyżyje, to dobrze, a jak by chciała zdychać, to wtedy odrąbiecie głowę.* Gospodarz pomyślał. Mówi: *Diełaj operacyju.* Żona wzięła kurę i rozcięła skórę tu, gdzie się znajduje wole, dostała ten worek, rozcięła trochę, wysypał się jęczmień, zaszyła ten worek, włożyła do środka, zaszyła skórę i powiedziała: *Teraz nie dawajcie kurze gęstego jedzenia, tylko picie, posadźcie kurę pod piec, niech przebywa w cieple.* I kura wyżyła. Jaka była radość z tego! Wtedy przekonali się wszyscy, że my jesteśmy dobrymi i pożytecznymi ludźmi. Już zaczynali każdy zapraszać do siebie".[5]

Ta ujmująco zabawna historyjka oderwanego od ojczyzny i ojcowizny polskiego chłopa, pomysłowego, wyzbytego jakichkolwiek uprzedzeń narodowych, roztropnego, kierującego się pełnym praktycyzmu zdrowym rozsądkiem, umiejącemu pracować, nieulegającego przeciwnościom losu, o których zesłańcom XIX stulecia nawet się nie śniło, każe nam sięgnąć myślą do tamtych czasów. Aleksandrowicz w sposób instynktowny żywi głębokie przekonanie, że trzeba po sobie pozostawić dobre wspomnienie. Nie zdając sobie sprawy, kontynuuje tradycje swych poprzedników, o których zapewne nigdy nie słyszał.

Helena Owsiany (1936-2002) wojnę przeżyła w Polsce jako dziecko, pod niemiecka okupacją. Po uzyskaniu matury przez pięć lat pracowała jako nauczycielka, następnie ukończyła polonistykę w Studium Nauczycielskim w Rzeszowie, skąd przeniosła się na filologię rosyjską do Wyższego

[4] Tamże, s. 167.

[5] Tamże, s. 170.

Instytutu Pedagogicznego; została tam asystentką, zaś po obronie rozprawy doktorskiej poświęconej życiu i twórczości Aleksandra Małyszkina (autora m.in. opowieści osnutych na kanwie walk bolszewików o Krym (1919-1921), jak *Upadek Dairu* i in.), już jako adiunkt znalazła zatrudnienie w Instytucie Słowianoznawstwa PAN w Warszawie. Zajmowała się – zgodnie z tendencją tamtych lat – głównie polsko-rosyjskimi związkami literackim, wszelako w latach osiemdziesiątych, przebywając na stażu w Moskwie, zainteresowała się wspomnieniami dotyczącymi losów Polaków w XX stuleciu na niezmierzonych obszarach Kraju Rad. Odtąd stało się to pasją jej życia. *Pierestrojka* otwierała możliwość zajęcia się nową problematyką, dotychczas stanowiąca przedmiot tabu, stwarzała nowe możliwości badawcze. Helena Owsiany wykorzystała je w pełni. Znalazła przyjaciół w stowarzyszeniu "Memoriał", zaś wspomnienia Ingusza Sozerko Malsagowa[6] o jego życiu i ucieczce z Wysp Sołowieckich wraz z Rosjaninem Jurijem Biessonowem i Polakiem Edwardem Malbrodskim (który, niestety wspomnień swych nie spisał) do końca życia związały ją z dziejami zesłania na rosyjskiej Dalekiej Północy.

Wielokrotnie jeździła na Sołowki i na Kaukaz, odnalazła krewnych Malsagowa, wyjaśniła wszystkie fakty związane z jego biografią i losem jego rodziny. "Helenka" był całą duszą oddana zadaniu, jakie sobie postawiła: uczcić pamięć pomordowanych, tych bezimiennych, czyje kości spoczywają na Sołowkach i innych miejscach rosyjskiej Północy. W drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych współpracowała z W. Karwatem przy produkcji dwóch filmów: *Akademia zbrodni*, wskrzeszająca dzieje sołowieckich łagrów (udało jej się namówić do wzięcia w nim udziału Walentego Woronowicza) oraz *Basrach albo sen o wolnym kamieniu* traktujący o losach represjonowanych rodzin kaukaskich; ten ostatni wyświetlany był poza Polską w telewizji rosyjskiej, francuskiej, angielskiej i niemieckiej.

Można bez przesady powiedzieć, że gromadzenie dokumentów o Polakach przybyłych pod przymusem na te tereny w XX stuleciu stało się celem jej życia. Dwukrotnie przyznany grant wykorzystała w sposób absolutnie bezinteresowny, ciesząc się, że może dzięki niemu pomóc wszystkim swoim współpracownikom z "Memoriału". To oni ułatwili jej dostęp do przebogatych akt Delegatury Polskiego Czerwonego Krzyża związanej ściśle z Katarzyną Pieszkową, które znajdują się obecnie w zasobach Państwowego Archiwum Federacji Rosyjskiej (skrót rosyjski: GARF); kwerendy prowadziły w Moskwie Irina Osipowa i Ida Zaikina. Helena Owsiany natrafiła też na ślady działalności tejże Delegatury kierowanej w Warszawie przez Stefanię Sempołowską, wiele pracy poświęciła poszukiwaniom w Archiwum Akt Nowych, gdzie przejrzała raporty polskich ambasad i konsulatów w różnych krajach, odnośne dokumenty Ministerstw Spraw Wewnętrznych i Zagranicznych i wiele innych zespołów. Ten kolosalny materiał spożytkowała w swych publikacjach, zwłaszcza w książce o Polakach w łagrach rosyjskiej Północy[7], a także w pracy *Paradoksy łagrów sowieckich*, nad którą wiele lat pracowała.

Helena Owsiany nie była zawodowym historykiem, nie pretendowała zresztą do tego, by jej studia omawiały w sposób wyczerpujący polską martyrologię na tych obszarach ZSRR. Znała świetnie literaturę przedmiotu, znakomicie orientowała się w ocalałej memuarystyce oraz zasobach epistolarnych, a także dostępnej urzędowej dokumentacji. Jednakowoż, kiedy przelewała te wszystkie fakty na papier, pozostawała w cieniu, oddając głos przede wszystkim autorom pamiętników i listów oraz wymowie samych dokumentów.

Stąd też niekiedy wrażenie swoistego chaosu, które rekompensuje bez reszty bogactwo i różnorodność zgromadzonych świadectw. Zapewne dlatego użytkownicy jej książek i publikacji sięgać będą do nich częściej niźli do wielu uporządkowanych uczonych monografii. Pisane były bowiem z całym żarem serca, niezwykłym poczuciem obowiązku i – podkreślmy to raz jeszcze – całkowicie bezinteresownie. Toteż nie tracimy nadziei, że przełożone przez "Helenkę" na język polski wspomnienia Sozerko Malsagowa ujrzą światło dzienne. Oboje na to zasłużyli.

[6] S.Malsagow, *Ostrow krowi i smierti (kniga oczerkow o Sołowkach)*, Ryga 1926 i *Adskije ostrowa. Sowietskaja tiur'ma na Dalniem Siewierie*, Londyn 1926; to samo po angielsku: S. A. Malsagoff, *An Island Hell*, Londyn 1926.

[7] H.Owsiany, *Polacy w łagrach rosyjskiej Północy w świetle relacji, listów i dokumentów*, Warszawa 2000, stron 374.

Jerzy Timoszewicz

WARSZAWSKI „DOMEK W KOŁOMNIE"

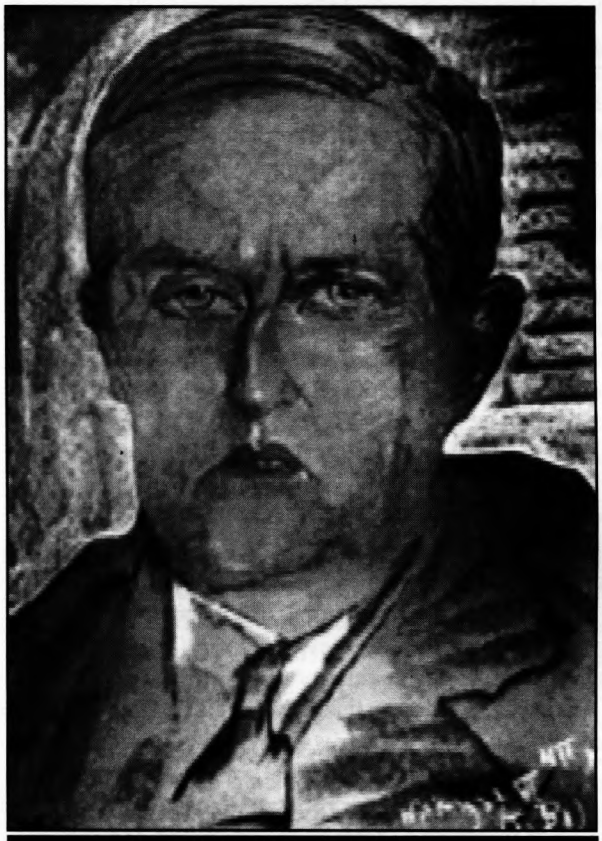

Dmitrij Władimirowicz Fiłosofow
Portret pędzla Witkacego

Dmitrij Władimirowicz Fiłosofow (1872-1940) należy do wybitnych postaci rosyjskiego Srebrnego Wieku. Redaktor „Mira Iskusstwa" przyjaciel Zinaidy Gippius i Dymitra Mereżkowskiego, kuzyn Siergieja Diagilewa ogłaszał eseje, recenzje literackie i teatralne, artykuły z dziedziny filozofii religii. Po rewolucji październikowej wyemigrował do Polski, w 1920 r. przyjechał do Warszawy, gdzie mieszkał do śmierci. Brał czynny udział w życiu emigracji rosyjskiej licznie osiadłej w stolicy Polski. Początkowo zajmowały go sprawy polityczne. Wspólnie z Borysem Sawinkowem stworzył antybolszewicki Rosyjski Komitet Polityczny. Po wyjeździe Sawinkowa do Rosji Sowieckiej Fiłosofow odszedł od czynnej działalności politycznej (decyzja Sawinkowa wywołała wstrząs) i poświęcił się tylko publicystyce i krytyce oraz redagowaniu czasopism. Wspólnie z Eugenią Weber-Chirjakową wydawał dziennik „Za Swobodu" (1920-1932) i tygodnik „Miecz", który redagował w latach 1934-1935 (ukazywał się do wybuchu wojny w 1939 r.) Ogłaszał tam liczne artykuły, felietony i recenzje na tematy polityczne, literackie i teatralne dotyczące Europy, Rosji i Polski. Fiłosofow bywał u marszałka Józefa Piłsudskiego, który go traktował jako znawcę spraw rosyjskich i swego informatora.

Odwiedzali go przewijający się przez Warszawę Rosjanie. To na poetyckim sympozjonie u Fiłosofowa Aleksander Wertyński skomponował znaną *Madame Iréne.* Przyjaciel Fiłosofowa, Józef Czapski wspominał, jak w „malutkim pokoju, na starej wysiedziałej kanapie, pod wiszącą u sufitu żarówką, po całym dniu ciężkiej pracy w redakcji" Dimka – tak go zwali bliscy mu ludzie – wzruszony czytał wiersz Mandelsztama *Petropol*, świeżo z Rosji przemycony.

Fiłosofow żywo interesował się sprawami polskimi, pisał o nich w swoich czasopismach, publikował też w prasie polskiej. Burzliwą dyskusję wywołał jego artykuł *Mickiewicz w Odessie i na Krymie*, w którym zarzucił polskim historykom literatury niedostateczną znajomość spraw rosyjskich, co wpływało na niewłaściwe ukazywanie pobytu Adama Mickiewicza w Rosji.

Jarosław Iwaszkiewicz pisał, te Fiłosofow należał do „towarzystwa warszawskiego", spotykało się go w salonach literackich, na koncertach i w teatrach, był dla elit intelektualnych postacią atrakcyjną: „wykształcony, oczytany, znający całą literaturę światową, a przy tym bardzo wytworny w swojej staroświeckiej manierze, wzbudzał podziw i szacunek. Miał też wyraźny wpływ na niektórych polskich pisarzy i artystów". Chodzi zapewne o Marię Dąbrowską, która pisząc swe główne dzieło, powieść *Noce i dnie,* czytała Fiłosofowowi rozdział po rozdziale, licząc się z jego opinią.

W 1934 roku Fiłosofow wraz z Weber–Chirjakową, krytykiem i publicystką, oraz z Leonem Gomolickim, młodym poetą rosyjskim, po wojnie polskim powieściopisarzem, stworzyli prywatny klub literacki, za nazwę biorąc tytuł Puszkinowskiego poematu *Domek w Kołomnie.* Przyłączyli się przyjaciele Fiłosofowa: Józef Czapski, Jerzy Stempowski oraz krytyk i rusycysta Rafał Blüth. Spotkania odbywały się „przy samowarze" w mieszkaniu Fiłosofowa przy ul. Chełmskiej, gdzie mieściła się redakcja czasopisma „Miecz". Zapraszano na nie niewielkie grono osób (około 15) zainteresowanych tematem zebrania. Przewodniczył gospodarz, którego zwano „starszyną". Fiłosofow – jak wspominał Gomolicki – „w wypowiedziach był lakoniczny i dosadny w polemice. Miał takie pszczele żądło. Nie złośliwe jak osa, lecz jak pszczoła, która umierając żądli leczniczo". Jerzy Stempowski podkreślał „humor i inwencję" przewodniczącego oraz to, że dyskusje w „Domku" „pozbawione były przykrych cech właściwych zebraniom uczonych specjalistów", gdyż „większość zebranych składa się z miłośników alias dyletantów, czytających, jak niegdyś Montaigne, dla samej tylko przyjemności". Pierwsze spotkania „poświęcone były zagadnieniom o charakterze ogólnym, jak problemom postawy czynnej i kontemplacyjnej w literaturze, zjawiska literackie powstające w środowiskach emigracyjnych różnych krajów i czasów, zagadnienia kryteriów artystycznych". Później mówiono m.in. o Lermontowie, Dostojewskim i Rozanowie, o młodej polskiej poezji, o powieści Dąbrowskiej, o Szekspirze, Conradzie i Malraux. Dmitrij Fiłosofow zagajał dyskusje *Balzac i Proust, Klasycyzm i romantyzm* oraz polemizował z odczytem Jerzego Stempowskiego *Raskolnikow ibo Napoleon* w wystąpieniu zatytułowanym *Apostoł Pawieł ibo Napoleon.* Referaty wygłaszano po rosyjsku lub po polsku, dyskusje toczyły się w obu językach. W „Domku" Fiłosofowa bywało wielu ludzi z elity literackiej i artystycznej Warszawy. Między innymi Julian Tuwim, Maria Dąbrowska, Władysław Tatarkiewicz, Bolesław Miciński, Kazimierz Zawodziński, Józef Czechowicz. Włodzimierz Słobodnik, poeta i tłumacz, na jednym z zebrań odczytał swój przekład Puszkinowskiego *Domku w Kołomnie* i jednej z „małych tragedii" (*Mozart i Salieri*). W tych latach Maria Dąbrowska zanotowała w dzienniku, że „Domek" to „jedyne miejsce w Warszawie, gdzie panuje dobry smak". Wkrótce jednak choroba Fiłosofowa przerwała te spotkania. Nie doszło też niestety do zamierzonego przez Stempowskich (Stanisława i Jerzego) wydania wyboru pism Fiłosofowa w polskim przekładzie. W 1939 roku wybuchła wojna.

Nie we wszystkich słownikach literatury rosyjskiej znaleźć dziś można nazwisko Dmitrija Władimirowicza Fiłosofowa. Polska jednak o nim pamięta. Jest nie tylko obecny w popularnym słowniku Floriana Nieuważnego, ale jego działalności w Polsce poświęcono obszerną, źródłową książkę (I.Obłąkowska-Galanciak, *Gorzkie gody,* Olsztyn 2001), a „Gazeta Wyborcza" ogłosiła duży artykuł (M.Piasecki *Pszczele żądło,* 2/3 XII 2000). Pisały też o nim „Twórczość" i paryska „Kultura", a liczne wzmianki o Fiłosofowie w ogłaszanych ostatnio dziennikach pisarek Zofii Nałkowskiej i Marii Dąbrowskiej zostały obszernie i dokładnie skomentowane.

Fiłosofow zmarł 5 sierpnia 1940 roku w podwarszawskim sanatorium, gdzie spędził ostatnie lata życia. Pogrzeb odbył się na Cmentarzu Prawosławnym w Warszawie. Ziemną mogiłę zlikwidowano, gdy zajęto tę część cmentarza dla zmarłych sowieckich budowniczych daru Józefa Stalina, Pałacu Kultury i Nauki, który w latach 1952–55 powstawał w centrum polskiej stolicy. Parę lat temu znany rusycysta, Ziemowit Fedecki, doprowadził do powstania symbolicznej mogiły Dmitrija Fiłosofowa nieopodal miejsca jego rzeczywistego spoczynku.

DLACZEGO STALIN WYTĘPIŁ SWOICH GENERAŁÓW.

ROZMOWA Z PAWŁEM WIECZORKIEWICZEM O WIELKIEJ CZYSTCE I JEJ NASTĘPSTWACH W ARMII CZERWONEJ

Paweł Wieczorkiewicz – znany historyk i sowietolog, profesor Instytutu Historii Uniwersytetu Warszawskiego. Specjalizuje się w historii wojskowości oraz historii Rosji i ZSRR. Autor 20 książek, wśród których ważne miejsce zajmują «Stalin a sowiecka generalicja w latach 1937–1941» i «Sprawa Tuchaczewskiego». Cieszy się popularnością również jako autor zbiorów esejów historycznych i uczestnik popularnonaukowych audycji i programów telewizyjnych i radiowych. Przez ponad trzydzieści lat prowadził badania nad ustaleniem przyczyn i skutków jednego z najbardziej tajemniczych i tragicznych epizodów w sowieckiej historii – represji w latach trzydziestych ubiegłego wieku. Wydana w 2002 roku w Wydawnictwie Rytm książka «Łańcuch śmierci» ukazuje genezę, przebieg i skutki czystki przeprowadzonej w Armii Czerwonej w latach 1937–1939.

– Skąd wzięło się pańskie zainteresowanie tym, tak długo zakazanym, tematem?

– Wszystko ma swój początek w Kole Naukowym Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego. Była jesień 1967 roku. W Polsce akurat pojawiła się sensacyjna na owe czasy książka Aleksandra Niekricza *1941.22 czerwca*. Były w niej opisane, jak na owe czasy w rewelacyjnie demaskatorski sposób przygotowania Stalina do wojny. Przyszli historycy podzielili się tematami. Ja otrzymałem „sprawę Tuchaczewskiego", która była owiana głęboką tajemnicą. Na temat stalinowskich represji wówczas nawet w Związku Sowieckim prawie się nie mówiło, a u nas w Polsce – tym bardziej. Mam gdzieś mój na ten temat referat. Liczył bodaj 7 stron. Temat okazał się tak ciekawy, że postanowiłem zdobyć dostępne materiały na ten temat, chociaż szybko zdałem sobie sprawę, że cenzury nie przeskoczę. Pierwsza wersja książki była gotowa w połowie lat 80. i liczyła około 400 stron. Od wahań, co z tym zrobić uratowała mnie *głasnost'*, którą proklamował, nie wiedząc co czyni, Gorbaczow. Pojawił się strumyk, rzeczka, a potem już istna Niagra materiałów.

– Jak więc pan je zdobywał ?

– Wielokrotnie próbowałem dostać się do sowieckich, a później i do rosyjskich archiwów. Nie uzyskałem na to zezwolenia, aż do końca *pieriestrojki*. Na każde pytanie o losy interesujących mnie generałów z lat trzydziestych otrzymywałem odpowiedź, że materiały takie zostaną mi udostępnione, jeżeli wykażę swoje z nimi pokrewieństwo. Niestety, w rodzinie nie miałem żadnego członka sowieckiego korpusu generalskiego (z armii II RP i owszem, nawet dwóch). Dopiero w połowie lat 90. sytuacja zmieniła się. Udostępniono mi materiały znajdujące się w miejscu dla historyka najświętszym – w Rosyjskim Państwowym Archiwum Wojskowym (Rossijskij Gosudarstwiennyj Wojennyj Archiw). Tam można przesiedzieć lata, a i tak wszystkiego się nie zbada – setki tysięcy ludzkich losów, a każdy z nich ciekawy i najczęściej tragiczny. Gotowe scenariusze, jak do *Spalonych słońcem* Michałkowa.

– W jaki sposób dotarł pan do materiałów istotnych dla tej pracy?

– Pomogła mi intuicja. Pewnego dnia natknąłem się na teczki, do których nikt przede mną nie zaglądał i jeszcze przez kilka lat nie zajrzy. W Rosji, tak samo jak i w Polsce, obowiązuje idiotyczny zapis o ochronie danych osobowych. Stosowany literalnie w archiwach, z karencją 70 lat lub dłuższą, jest dla historii najnowszej wręcz zabójczy. Swoją drogą w sejmie RP, który go uchwalił, siedziało kilku kolegów po fachu; widać w czasie debaty bardziej interesowa-

ły ich obiadki w restauracji... Wracając jednak do mojej archiwalnej przygody: owe teczki, nie bardzo najwyraźniej wiedząc co się w nich znajduje, jednak mi wydano. Były to imponujące czerwone tomy ze złotymi napisami. Wewnątrz znajdowały się ociekające krwią raporty NKWD adresowane do ludowego komisarza obrony. Zawierały wnioski, a właściwie polecenia, bo tak wyglądała w tych czasach istotna hierarchia, o zwolnienie z armii oficerów, podejrzewanych o wszelkiego rodzaju polityczne przestępstwa. Były tam zawarte również streszczenia przebiegu wstępnego śledztw: jakie zarzuty ciążą na podejrzanym, kto donosił, jakie były opinie współtowarzyszy z armii itd. Jednym słowem, bezcenne materiały dla badacza.

– Ale nie poprzestał pan na tym? Bibliografia pańskiej książki obejmuje około trzech tysięcy pozycji.

– Im dalej i głębiej wnikałem w to, co nieznane, tym bardziej byłem zaabsorbowany tematem. Przez moje ręce przeszło chyba niemal wszystko, co na ten temat zostało w Rosji napisane. Mało tego, czasem wpadały mi w ręce takie publikacje, o których istnieniu nie ma pojęcia wielu historyków rosyjskich. Wyciągałem materiały z Irkucka, Chabarowska, z całej Rosji. Bardzo dużo informacji znalazłem na Ukrainie i Białorusi. Jechałem wszędzie, gdy tylko dowiadywałem się, że jest jeszcze coś, o czym nie wiem. Bardzo pomocna była życzliwość Stowarzyszenia „Memoriał". W jego dokumentacji były wykazy ponad 600 represjonowanych wyższych oficerów, od pułkowników poczynając. Równolegle prowadziłem poszukiwania w archiwach polskich i francuskich. Udało mi się zebrać dane o 1600 oficerach powyżej pułkownika, a więc w sumie więcej niż „Memoriał". Nie jest to jednak temat wyczerpany już i zamknięty. Lista będzie powiększać się w miarę odkrywania i badania nowych dokumentów. Moja książka przypomina więc wstępne rozpoznanie bojem niezmierzonego tematu.

Jeżowe rękawice
rysunek w «Prawdzie», lipiec 1937

– Tym niemniej, ten ogromny, liczący ponad półtora tysiąca stron tom, już teraz został uznany za pierwszą w świecie naukową monografię, poświęconą czystkom w Armii Czerwonej i ich konsekwencjom.

– To mimo wszystko określenie na wyrost. Prędzej zgodziłbym się z twierdzeniem, które usłyszałem w wydawnictwie, że od 20 lat jest to najobszerniejsza książka historyczna napisana przez jednego autora. Poza tym, stosunkowo niedawno pojawiła się na ten temat inna praca, bardzo szanowanego przez mnie historyka Olega Suwienirowa. Faktem jest, że podszedł on do tematu inaczej – opierał się na dokumentach rehabilitujących skazanych, natomiast ja korzystałem z dokumentów NKWD.

– Jaki cel przyświecał panu, kiedy przystępował pan do pracy nad „Łańcuchem śmierci"?

– Chciałem udowodnić bez żadnej wątpliwości, że bezpośrednią przyczyną klęsk Armii Czerwonej w pierwszych latach wojny były krwawe represje wobec korpusu oficerskiego. Szybko zrozumiałem, że bez przedstawienia i przeanalizowania mechanizmu czystek nie sposób zrozumieć polityki Stalina w przededniu II wojny światowej. Rozprawiając się z korpusem generalskim dawał do zrozumienia, że nie chce brać udziału w pierwszym etapie konfliktu, natomiast nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli wybuchnie. Czystka stała się więc oczywistą zachętą dla Hitlera do rozpętania wojny, pierwszym krokiem do paktu Ribbentrop-Mołotow.

– Nie zastanawiał się pan, na czym opierała się „filtracja" ofiar przez Stalina?

– Rzeczywiście, sprawa wygląda ciekawie, ale rozszyfrowanie jej jest całkowicie banalne. Mnie również intrygowało, czym kierował się Stalin, kiedy w dawanych mu do zatwierdzenia spisach aresztowanych kogoś wykreślał i nakazywał pozostawić go w spokoju. Otóż chronił ślepo posłusznych i oddanych, jak na przykład Woroszyłowa czy Budionnego, względnie profesjonalistów pozbawionych woli i charakteru, takich jak szef Sztabu Generalnego późniejszy marszałek Szaposznikow. Jasne jest, że trudno było wykazywać charakter przy Stalinie, ale byli ludzie w rodzaju Tuchaczewskiego, którzy potrafili wyrazić w jego obecności swoje zdanie i bronić go.

– W swojej książce, wydanej wcześniej, wykazał pan, że właśnie ta sprawa dała początek bezprecedensowej czystce w Armii Czerwonej. Czy pańskie dowody różnią się od zebranych przez innych badaczy?

– W ogóle sprawa Tuchaczewskiego to wielka prowokacja. Stalin, chcąc się go za wszelką cenę pozbyć, dał znać przez swojego człowieka Niemcom, że jest zainteresowany w skompromitowaniu marszałka. Odpowiednie fałszywki zostały przygotowane w Berlinie i następnie poprzez Pragę, za pośrednictwem prezydenta Benesza, który potem miał drogo zapłacić za swą usłużność, dotarły do Moskwy. Sądzę, że potrafiłem przekonywująco udowodnić, że Tuchaczewski został skazany w wyniku działań Stalina, a nie Hitlera, który był w tej sprawie tylko narzędziem, co prawda świadomym swej roli, sowieckich służb specjalnych. Stalin osobiście wydał na Tuchaczewskiego wyrok. Z jakiego powodu? Dużą rolę odegrała tu mściwość *genseka* i ich dawne konflikty. Dwóch gwiazd w Armii Czerwonej być nie mogło, a Tuchaczewski bez wątpienia taką gwiazdą był. Lecz mnie bardzo interesowała rekonstrukcja samej sprawy. Na przykład podczas badań prowadzonych w archiwach francuskich ujawniłem wiele ciekawych faktów, które obalały hipotezę o udziale Tuchaczewskiego w jakimkolwiek spisku przeciw Stalinowi. Co prawda, w roku 1936 domagał się odsunięcia Woroszyłowa, oskarżając ludowego komisarza obrony o niekompetencję i opóźnianie podejmowania decyzji w kluczowych dla armii sprawach, ale czynił to w obecności i jego i Stalina. Co prawda, znając sposób rozumowania Stalina, takie wystąpienie mógł potraktować jako spisek, a nawet bunt.

– Czy w świetle pańskich badań można powiedzieć, jakim człowiekiem był Tuchaczewski?

– Obecnie w Rosji jest wiele prób zrobienia z niego krwawego karierowicza, nieledwie bandyty. Główne oskarżenia – Tuchaczewski zdusił bunt marynarzy w Kronsztadzie i chłopskie powstanie Antonowa w guberni tambowskiej. Jednak oskarzyciele, którzy niejako stają w ten sposób po stronie ukochanych (do czasu) przez Lenina marynarzy z Kronsztadtu zapominają, że był to najbardziej zdziczały element czasów wojny domowej, bydło i kanalia. To oni najokrutniej mordowali swoich oficerów i wycinali im pagony na ciele. A koncepcja Rosji chłopskiej z tradycjami Razina i Pugaczowa, pamiętając np. jak realizowała się na polskich kresach, także słabo przemawia mi do przekonania. Tym niemniej Tuchaczewski uratował wtedy skórę Leninowi. Tyle, że wobec bolszewików nie było już żadnej rozsądnej, demokratycznej alternatywy... Dodam, że Tuchaczewski był pragmatykiem i w swoim rozumieniu – rosyjskim patriotą. To, że Armia Czerwona wygrała Wielką Wojnę Ojczyźnianą – jest w wielkim stopniu jego zasługą: zdążył zaszczepić w niej współczesną doktrynę wojenną i podnieść stopień niskiego dotąd przygotowania korpusu oficerskiego.

– A jak wyglądała sprawa ich osobistego konfliktu w roku 1920?

– Stalin, będący członkiem Rady Wojennej Frontu Południowo-Zachodniego, stał pod Lwowem i nie chciał ruszać na Warszawę. Powód był bardzo prosty. Jeżeli już mówimy o osobistych ambicjach, to pragnął on zwycięstwa na swoim froncie, którym dowodził Aleksandr Jegorow. Dlatego ignorował rozkazy marszu na kierunek warszawski, a także przeszkadzał kierować się tam konarmii Budionnego. Stalin chciał zdobyć Lwów, zatryumfować, a następnie przenieść uderzenie na Słowację, Czechy i Węgry, a nie na Warszawę i Berlin. I w efekcie Tuchaczewski ruszył na Warszawę z odkrytym skrzydłem. Ich kierunki natarcia coraz bardziej oddalały się i w tą lukę, nota bene świetnie o niej wiedząc, uderzył Piłsudski. W tej sytuacji atak musiał zakończyć się klęską. Tuchaczewski osobiście przyznawał, że zebrał zbyt małe siły, za bardzo liczył na entuzjazm wojska, nie zapewnił odpowiedniego wyposażenia i uzbrojenia... Ale równocześnie głośno mówił, że głównym autorem klęski w 1920 roku był Stalin.

– Czy podczas pracy nad książką było coś, co pana zaskoczyło, zaszokowało?

– Pewnego razu natknąłem się na stos dokumentów w sprawie jednego z wyższych oficerów, Josifa Apanasienki, późniejszego generała armii, który czystkę przeżył na swoim służbowym, wysokim stanowisku. Przeżył, choć jego los, jak i innych, wydawał się przesądzony. Już za nim chodzili, już składali donosy i zeznania... Zadawałem sobie pytanie – dlaczego przeżył. Odpowiedź znalazła się właśnie w owym zespole archiwalnym. Pod groźbą aresztu przez dwa lata pisał na wszystkich dookoła rzeczy nieprawdopodobne i obrzydliwe. System doprowadził zatem do tego, że aby przeżyć samemu, trzeba było stać się wspólnikiem zbrodni. Niewielu było takich, którzy mimo wiszącego nad nimi widma represji potrafili zachować godność i przyzwoitość. Nie mówię już o tych, z których dosłownie wyduszono zeznania w NKWD. Wplecenie w łańcuch zbrodni nieuchronnie doprowadziło do zachwiania zasad moralnych. Ich brak i pamięć własnego współudziału w zbrodni przetrąciły kręgosłup moralny kolejnym pokoleniem. Myślę, że trwało to aż do lat 60, a ślady widoczne były jeszcze w latach *pierestrojki*. Rosja mogła zacząć się odradzać, dopiero gdy na scenie pojawiło się pokolenie urodzone po roku 1956.

– Czy w literaturze zmienia się stosunek do czystek lat 30.?

– Jak już mówiłem, ten temat nie był w ogóle poruszany. Tylko w czasach Chruszczowa mówiono o tym przez krótki okres. Ale w kategoriach biały–czarny: niewinnie straceni bohaterowie i ich oprawcy. A przecież wielu z tych, którzy byli aresztowani w 1938 roku, przyczyniało się rok wcześniej do aresztowania i śmierci swoich przyjaciół i kolegów, przełożonych i podwładnych. Dialektyka kata i ofiary, kiedy obydwie strony są współwinne. Oczywiście, wcześniej o tym nie mówiono. W latach 80. temat powrócił, ale najczęściej znowu w wersji hagiograficznej. Jeśli ponownie Stalin okazał się zły, to dobrym musiał być Bucharin, a nawet Trocki. Problem jednak w tym, że może dobry był Mikołaj II i Stołypin, ewentualnie gen. Korniłow i Denikin, a nie bolszewicy, bez względu na to, który z nich którego potem zabił. Ale muszę upomnieć się o moich bohaterów. Bardzo wielu represjonowanych oficerów, wywodzących się jeszcze z przedrewolucyjnej armii, skoro pozostali w Rosji starali się jak najlepiej służyć swojej ojczyźnie; to trochę tak jak z inteligencją polską w PRLu. Nie było ani ich winą, ani ich wyborem to, że miało to miejsce w Związku Sowieckim za rządów Stalina.

– Lecz Wiktor Suworow w swojej książce „Oczyszczenie" uważa inaczej.

– Niestety, nie on jeden spogląda na te tragiczne wydarzenia wręcz przez stalinowskie okulary. Nie do pojęcia jest dla mnie, że można naprawdę wierzyć w szczerość przyznania się do winy uzyskanego w lochach NKWD, mało tego, przekonywać, że zeznawano tam prawdę i tylko prawdę. I to pisze Suworow, który ma przecież wiedzę o metodach przesłuchań, które od tamtych czasów znacznie udoskonalono! Jego *Oczyszczenie* to zatem nikczemna książka, świadcząca albo o złej woli autora, albo o jego całkowitej ignorancji. Idąc dalej; czy Suworow, mieniący się historykiem, podobno ongiś gwiazda GRU, może choćby przypuszczać, że stalinowska rzeź generałów była potrzebna i służyła interesom państwa? Przecież te tragiczne wydarzenia mogły i omal nie zakończyły się jego upadkiem. Była to przerażająca zbrodnia i pisanie o niej w tonie afirmacyjnym jest po prostu niemoralne. Dodam jeszcze, że jeśli w idei bolszewickiej były jakieś pozytywne elementy, które powodowały, że w latach 20. potrafili się nią fascynować wcale niegłupi ludzie, to wypalono je rozpalonym żelazem właśnie w okresie wielkiej czystki, którą Suworow uważa za „oczyszczenie".

– Jak pan myśli, czy oddawanie czci Stalinowi, demonstracje z jego portretami i skandowanie jego imienia w Rosji, zniknie wraz z odejściem starszego pokolenia?

– Myślę, że z latami Stalin może być w Rosji coraz bardziej popularny. Żeby to nie nastąpiło, należy przeprowadzić głęboką dekomunizację. Stalin stał się Stalinem dzięki politycznej doktrynie – komunizmowi w bolszewickim wydaniu. Bez zrozumienia tego faktu trudno będzie osądzić Stalina; wszystko, co robił, było logiczną kontynuacją leninowskiego kierunku, a nie „błędami i wypaczeniami". Jeżeli to nie zostanie szybko i gruntownie przeprowadzone na poziomie elementarnej edukacji, to Stalin będzie kojarzony ze zwycięstwem w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej, utworzeniem supermocarstwa – i może być to proces nieodwracalny. Proszę zwrócić uwagę, choć to zupełnie inna skala – w Polsce wśród młodego pokolenia Piłsudski jawi się jako wielka osobowość, działa na wyobraźnię. A przed wojną Piłsudski miał tyle samo zwolenników, co zagorzałych przeciwników. Dzisiaj zaś każdy Polak jest w pewnym sensie piłsudczykiem.

Po kilku dziesiątkach lat, jeżeli historycy, nie tylko rosyjscy, nie będą wszechstronnie i dogłębnie badać tego tematu, przedstawiać prawdy jak najszerzej, Stalin stanie się symbolem wielkości Rosji jak Piotr Wielki albo Stołypin. W konsekwencji zajmie jedno z ważniejszych w jej historii miejsc. Myślę jednak, że Rosja zapłaciła za jego rządy zbyt okrutną cenę, by było to sprawiedliwe. Dla Stalina zbrodnia była metodą uprawiania polityki, a zbrodnie jakie popełnił stworzyły jego system sprawowania władzy. O tym należy przypominać Rosjanom bez przerwy.

Rozmawiał Walerij Mastierow,
korespondent gazety „Moskowskije Nowosti"
w Warszawie

НОВАЯ ПОЛЬША 2002, nr 12

Polemika z tekstem i odpowiedź Pawła Wieczorkiewicza zob: *Z listów do redakcji* w tym numerze, str. 105-106.

Wiktor Kulerski

CO BYŁO W LEŚNICZÓWCE, CO W SZUWARACH...

Na inwentarz niewielkiego węzełka, z którym mój ojciec wrócił z więzienia, składały się: aluminiowa miska na więzienną zupę i takaż łyżka; spękana kostka ze stwardniałego na kamień, ugniecionego razowca, wypolerowana od codziennej gry o jedną z racji chleba, jako że kromki przynoszone do kilkuosobowej celi nie miały równej wielkości; osiem igieł wyszlifowanych z co twardszych zapałek; zwitek nici kunsztownie splecionych z włókien niewiadomego pochodzenia; maleńkie szydło z jednocentymetrowym ostrzem chronionym przez nasadkę z trójgraniastej ości dorsza oprawne również w stwardniały razowiec; trzyipółcentymetrowej długości brzeszczot z kawałątka blaszki znalezionej na spacerniaku; oraz rzecz największa i najcenniejsza – osiemsetpięćdziesięcio-stronicowy tom w cienkim, brązowym płótnie z biało tłoczonym tytułem *Izbrannoje*, i złotym – Konstantin Paustowskij, wydawnictwa Sowietskij Pisatiel', Moskwa 1953.

Mój ojciec przed aresztowaniem w 1948 r. nie znał rosyjskiego, jednak po ukończeniu trzyletniego śledztwa został osadzony w jednej celi z Tadeuszem Szturm de Sztremem, gdzie „po jakimś czasie zaczęli się nawzajem uczyć języków: Kulerski uczył Szturm de Sztrema angielskiego, a ten z kolei był nauczycielem rosyjskiego" (Artur Leinwand, *Tadeusz Szturm de Sztrem*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1987, str. 160). Po wyroku skazującym na 12 lat więzienia, utratę majątku i praw obywatelskich za rzekome szpiegostwo na rzecz wywiadów amerykańskiego i brytyjskiego, ojciec został przeniesiony z więzienia mokotowskiego w Warszawie do Centralnego Więzienia Karnego we Wronkach pod Poznaniem. Polskie władze więzienne nie ośmieliły się odpowiedzieć odmownie na zaskakujące podanie o zezwolenie na zakup, sprowadzenie i posiadanie w celi książki sowieckiego pisarza wydanej w Moskwie. I tak, zamiast główki cebuli lub racji smalcu, które od czasu do czasu więzień mógł zakupić za drobne sumy wpłacane przez rodzinę, został zakupiony ów tom Paustowskiego. Przenoszony razem z miską i łyżką oraz starannie ukrywanymi pozostałymi drobiazgami podczas kolejnych przenosin z celi do celi, doczekał amnestii w 1956, by w końcu trafić do szmacianego węzełka, opuścić więzienie i razem z właścicielem powrócić do domu. W domu ojciec nadal jadał aluminiową łyżką z aluminiowej miski, którą później starannie wycierał skórką od chleba, własnoręcznie mył i odstawiał na półkę. Po posiłku zatapiał się w czytaniu Paustowskiego. Dopiero kiedy znalazł się w szpitalu, mama wyrzuciła na śmietnik więzienną miskę i łyżkę. Paustowski był razem z ojcem w szpitalu. Po powrocie w domu zaczęło przybywać rosyjskich książek – *Moja strana* Michaiła Priszwina, podręczniki gramatyki; słownik ortograficzny i wiele innych.

Podczas pobytu ojca w więzieniu uczęszczałem do Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych. Tam szkolna bibliotekarka była rozliczana z liczby wypożyczeń książek autorów sowieckich, a my z liczby tychże książek, które wypożyczaliśmy. W ten sposób literatura sowiecka była najczęściej wypożyczana, ale bynajmniej nie czytana. Książki były zwracane po paru dniach leżenia na jakiejś domowej półce. Dopiero nieco później pierwszym sowieckim bestsellerem stały się *Rasskazy o Leninie* Michaiła Zoszczenki, ale tylko dlatego, że znaleźliśmy tam otwartą kpinę z tego wszystkiego, co musieliśmy traktować ze śmiertelną powagą, pod groźbą wyrzucenia ze szkoły, czego zresztą sam doświadczyłem zaraz po pamiętnym 5 marca 1953 roku, krótko przed maturą. Przymus uczenia się języka rosyjskiego i czytania książek sowieckich autorów znosiliśmy z najwyższą niechęcią i wrogością nawet. Jednak nie zrażało to naszej bibliotekarki, starszej, dystyngowanej pani, która z niezmienną starannością wybierała dla nas niechciane książki, przeglądała przed wypożyczeniem, nieraz zmieniała decyzję co do autora. To zastanawiało, najpierw śmieszyło, później intrygowało. Z ciekawości zacząłem przeglądać i w końcu czytać – Maksym Gorki, Aleksander Bek, Wiktor Niekrasow, Wiaczesław Szyszkow, Michaił Priszwin i wreszcie Konstantin Paustowski. To było największe odkrycie. Nie miałem najmniejszego pojęcia, że w tym samym czasie stało się ono udziałem również mojego ojca w więzieniu. I nie wiedziałem także, że właśnie tam on z własnej, nieprzymuszonej woli czytał Paustowskiego w oryginale, że dobrowolnie uczył się tego samego języka, który ja odrzucałem z własnej, choć poniekąd także i zbiorowej głupoty. Obaj nie wiedząc o sobie wzajem, wędrowaliśmy tedy przez Mieszczorski Kraj, zatokę Kara-Bugaz, błotniste lasy Kolchidy, Wyspy Alandzkie, Piotrogród i Leningrad, i tam właśnie po raz pierwszy dostrzegłem wyraźnie ten nieuchwytny, a przecież tak dobrze wyczuwalny cień zalegający między wierszami, który przenikał książki także wielu innych sowieckich pisarzy, jakich odkrywałem już po opuszczeniu szkoły. Niestety już nie pamiętam ani imienia, ani nazwiska tej cichej, skromnej i nader wyrozumiałej starszej pani, szarookiej bibliotekarki, której tak wiele zawdzięczam i której wówczas nie doceniałem. To dzięki niej nie zdołały mi obrzydzić literatury sowieckiej ani szkolne lektury obowiązkowe o Pawce Korczaginie, ani – później – okładki do „produkcyjniaków", jak *Ajsołtan z krainy białego złota* o przodującej kołchoźnicy-zbieraczce bawełny, i socrealistyczne ilustracje do *Opowieści o prawdziwym człowieku*, którymi to próbowałem zarobkować. Dwie księgi o Hodży Nasreddinie Leonida Sołowjowa, które towarzyszyły mi podczas wielomie-

sięcznych terenowych badań entomologicznych, kiedy pracowałem jako rysownik i preparator w Instytucie Zoologii PAN, zostały sfatygowane tak dalece, że oddałem je do oprawy, dzięki czemu przetrwały do dziś. Stopniowo, przez kolejne lata następowały coraz to nowe, fascynujące spotkania – Izaak Babel, Andriej Płatonow, Jurij Tynianow, Władimir Sołouchin, Jurij Bondariew, Jurij Nagibin, Wasilij Szukszyn, Gawriił Trojepolski, Wasilij Biełow, Jurij Trifonow, Walentin Rasputin, Wasilij Bykow, Siergiej Załygin, Władimir Tiendriakow, Natan Ejdelman, Bułat Okudżawa, Effendi Kapijew, Fazil Iskander, Czyngiz Ajtmatow... Którzy z nich pozostawili największe wrażenie, którzy pozostali w sercu? Płatonow? Trifonow? Tynianow? Ajtmatow?... Trudny byłby wybór. Dotarcie do tych książek wbrew pozorom nie było łatwe, z wyjątkiem takich sensacji i bestsellerów, jakimi były pierwsze opowiadania Aleksandra Sołżenicyna, wydane w 1963 r. i Borysa Pasternaka w dziesięć lat później, *Biała gwardia* i *Mistrz i Małgorzata* Michaiła Bułhakowa, by nie mówić o przemycanych z Zachodu *Doktorze Żywago*, *Oddziale chorych na raka*, *Archipelagu GUŁag*... Nieufność wyniesiona z doby socrealizmu oraz zalew pośledniej, propagandowej literatury i oficjalnych recenzji nie ułatwiały wyboru. Wiarygodnymi czasopismami, które niekiedy zwracały uwagę na tłumaczenia najwartościowszych autorów sowieckich, były periodyki katolickie – „Tygodnik Powszechny" oraz miesięczniki „Znak" i „Więź". Trzeba było zatem zaglądać do księgarni często, kartkować nowości i polegać na własnym rozeznaniu. Nowo odkryty pisarz sowiecki był polecany wtedy przyjaciołom i znajomym. W jednej z książek zachowała się kartka od najserdeczniejszego przyjaciela z lat szkolnych – „Kula! Wiesz już co jest w leśniczówce, to przeczytaj co jest w szuwarach. Bolek. 17 XII 1970." *W leśniczówce* i *W szuwarach*, to były tytuły nowo wydanych zbiorków opowiadań Nagibina. Jego właśnie „odkrywaliśmy" wówczas. Dziesięć lat później ogłoszono stan wojenny w 1981 roku, Bolek stracił nadzieję. Był przekonany, że wszystko znowu poszło na marne, że czekają nas dalsze długie lata tego samego, co wydawało się, że pozostaje za nami! Nie mógł tego znieść. Odszedł samotnie, z własnej woli i na zawsze. W tamtych czasach, zanim dotarły do Polski dzieła Sołżenicyna przemycane z Instytutu Literackiego Jerzego Giedroycia w Paryżu, i zanim nastąpił rozkwit wydawnictw podziemnych – „Nowa", „Krąg" – wtedy właśnie pisarze sowieccy, którym udało się zmylić czujność rodzimych cenzorów, a zatem i nie śmieli ich kwestionować cenzorzy polscy, byli dla nas „światłem w ciemności", które – rzecz paradoksalna – zaczęło przezierać z samego jądra sowieckiego imperium. Pisali „językiem ezopowym" – to prawda, ale przecież ten język był jednakowo dobrze czytelny i zrozumiały we wszystkich barakach obozu. I właśnie tutaj, w Polsce, literatura ta spełniała rolę chyba jeszcze ważniejszą niż w samym ZSRR, budziła bowiem poczucie wspólnoty, przygaszała nienawiść do narodu, który był przecież jeszcze bardziej i dłużej ciemiężony aniżeli my. Czerwona, pięcioramienna gwiazda widniała na wszystkich okładkach wielkiej serii literatury sowieckiej, wydawanej przez Państwowy Instytut Wydawniczy w Warszawie, ale to dzięki tym książkom spadała z twarzy Rosjan maska „człowieka sowieckiego", bolszewika, enkawudzisty, komisarza i wzorowego komsomolca. Okazywało się, że tam, w Sowietach, żyli ludzie tacy sami jak my i w podobnej matni znajdujący się. Byli takimi samymi bezimiennymi, bezbronnymi i bezradnymi świadkami i ofiarami jak my. Ta literatura pomagała nam wówczas w uzyskaniu właściwej perspektywy: objaśniała świat, w którym przyszło nam żyć; przywracała człowieka człowiekowi.

Rzeczą, która uchodzi uwagi jest także i to, jak wiele zawdzięczamy tym spośród nas, którzy zamiast pójść drogą najłatwiejszą i najbardziej popłatną, zechcieli i potrafili odszukać wartości prawdziwe w niezmierzonym śmietnisku „produkcyjniaków" i służalczej hagiografii. Im to właśnie, polskim tłumaczom sowieckiej literatury, takim jak Irena Bajkowska, Aleksander Bogdański, Witold Dąbrowski, Andrzej Drawicz, Ziemowit Fedecki, Jerzy Jędrzejewicz, Irena Lewandowska, Marta Podhorska-Okołów, Seweryn Pollak, Jerzy Pomianowski, René Śliwowski, Wiktor Woroszylski i wielu innym należy się nasza wdzięczność nie tylko za to, że odsłonili przed nami lądy nowe, choć dobrze znane zarazem, ale również i za to, że przyczynili się do powściągnięcia naszych uraz, zapobiegli wielu uprzedzeniom, a zapewne w niejednym przypadku i przygasili ślepą nienawiść. I jeśli cokolwiek z epoki, która odeszła w niesławie w przeszłość bezpowrotną, nie powinno przeminąć razem z nią, to przede wszystkim literatura, ta prawdziwa literatura świetlista ludzkim bólem, zastygłym w bursztynie słowa.

Przypisy biograficzne

Szturm de Sztrem Tadeusz (1892-1968), statystyk, działacz Polskiej Partii Socjalistycznej od 1912 r., żołnierz Legionów Polskich podczas I wojny światowej, więziony w latach 1946-52.

Kulerski Witold (1914-1997), wydawca, działacz Polskiego Stronnictwa Ludowego, członek Rady Narodowej Rzeczypospolitej Polskiej w Londynie podczas II wojny światowej, więziony w latach 1948-56.

Wiktor Woroszylski

MOI MOSKALE

Fragmenty nie wydanej książki

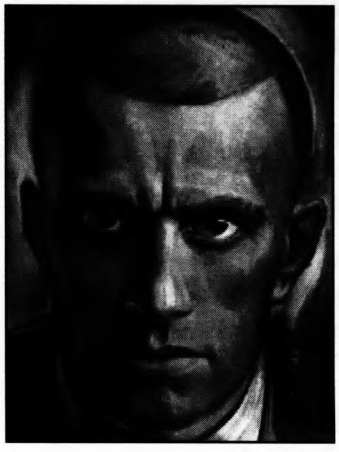

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI (1893-1930) był idolem mojej wczesnej młodości: naśladowałem go we własnych wierszach i chciałem jak on czuć się "rewolucjonistą" w życiu i poezji – trochę później zaś, nie przestając podziwiać jego wyobraźni i karkołomnej maestrii jego języka poetyckiego, zdałem sobie sprawę, że swoją "rewolucyjność" co najwyżej wymarzył i usiłował wmówić sobie i innym, naprawdę zaś był skłóconym z życiem romantykiem, łaknącym miłości i cierpiącym z powodu kamiennej obojętności świata. Cała egzystencja Majakowskiego była dramatem nieuchronnie zmierzającym do samobójczego finału – i kiedy ujrzałem ją w tym świetle, uświadomiłem sobie również, że wśród tysiąca biografii poety, opublikowanych w jego ojczyźnie, ani jedna nie jest biografią p r a w d z i w ą. Taką – postanowiłem sam napisać, a nawet nie tyle napisać, co – jak to ująłem we wstępie do *Życia Majakowskiego* (PIW 1966, Czytelnik 1984) – zgromadzić "akta sprawy" i "ułożyć je w pewien ciąg zgodnie ze swoim rozumieniem wagi i związku wydarzeń". Próbując określić gatunek, do jakiego należy ta książka, stwierdzałem, że jest ona najbliższa "filmowi dokumentalnemu, zmontowanemu ze starych zdjęć i zapisów dźwięku". Śmiem uważać, że w filmie tym nie ma fałszu, jakkolwiek są niewątpliwie luki.

Praca nad biografią mojego bohatera była o tyle utrudniona, że pozbawiono mnie w owych latach możliwości wyjazdu do Moskwy, korzystania z tamtejszych archiwów i bibliotek, rozmawiania ze świadkami epoki. Mimo wszystko – podjąłem próbę zmierzenia się z tematem. Wiele dała mi korespondencja z ukochaną poety Lilą Brik i z jego dawnym przyjacielem, Dawidem Burlukiem, ale najwięcej zawdzięczam wielkiemu znawcy awangardy rosyjskiej, Gennadijowi Ajgiemu, który włożył szczególny wysiłek w odszukiwanie i potajemne przesyłanie do Warszawy nieocenionych wprost materiałów. Podówczas, żeby go nie dekonspirować, nie mogłem Ajgiemu nawet powiedzieć "dziękuję" we wstępie do książki...

Wszystkie wiersze (jak też wspomnienia i inne dokumenty) przytoczyłem w *Życiu Majakowskiego* we własnym tłumaczeniu – tak powstała największa część mojego zestawu przekładów z tego autora, chociaż istnieją również wcześniejsze oraz późniejsze. Lwia część zamieszczonych tu tekstów – do *Fleta kręgosłupa* włącznie – pochodzi sprzed rewolucji bolszewickiej 1917 roku. Bohaterką *Obłoku w spodniach* była początkowo Maria Denisowa z Odessy – w trakcie pisania poematu Majakowski poznał Lilę Brik i adres liryczny uległ zmianie: odtąd Lili poświęcone będą prawie wszystkie wiersze miłosne poety, w tym pełne czułości fragmenty poematu *Dobrze* (1927), który pisany był w intencji uczczenia dziesięciolecia rewolucji, ale zawiera – w przełożonych rozdziałach – wątki tyleż osobiste i ludzkie, co z nieoczekiwanym realizmem odzwierciedlające sowiecką rzeczywistość lat dwudziestych. Strofy *Z ostatniego notatnika*, znalezione po śmierci poety, prawdopodobnie miały wejść do poematu, który był zamierzył, jednakże nie wyszedł poza te pierwsze notatki. Tamże znalazł się w mniejszym jeszcze stopniu dopracowany zapis:

jakiemu psu
pod ogon
na swój cały wyrośnięty ogrom
znaleźć mam
nie był
sam
sam pomiędzy ziemią a niebem
straszliwszej nie znam zniewagi

Jedna ze strof w notatniku (poczynając od "Jak się to mówi, historia sknocona") powtórzona została również w przedśmiertnym liście poety *Do wszystkich*.

Włodzimierz Majakowski

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI. TRAGEDIA

(fragmenty aktu pierwszego i drugiego)

Dymitr Kismiełow

Starzec z kotami

Daj spokój!
Na cóż mędrcom grzechotek pociecha?
Jam – tysiącletni grzyb.
I widzę – w tobie do krzyża ze śmiechu
przybity udręki krzyk.
.....
Toć miękkość księżyców nie włada już nami –
blask latarń jaskrawiej i groźniej kaleczy.
W ziemi miast
ogłosiły siebie panami
i zetrzeć nas pełzną bezduszne rzeczy.
A z nieba na wycie człowieczej hordy
oszalały spogląda Bóg.
I gmerają w łachmanach Bogowej brody
ręce kurzem przeżartych dróg.
To Bóg,
a już nie prawi o łasce,
duszyczkom strwożonym przyrzeka męczarnie.
Porzućcie go!
Idźcie lepiej i głaszczcie –
głaszczcie kotki suche i czarne!
.....
My słońca wetkniemy kochankom swym w łaszki,
my z gwiazd wykujemy srebrzyste błyskotki.
Porzućcie mieszkania!
Idźcie i głaszczcie –
głaszczcie suche i czarne kotki!

Człowiek bez ucha

To – prawda!
Nad miastem,
gdzie chorągiewki z drewna –
kobieta –
czarnych pieczar powieki –
miota się,
spluwa na jezdnię, gniewna,
a z plwocin wyrastają ogromne kaleki.
.....
Panowie!
Zatrzymajcie się!

Tak nie można!

Już zaułki do bitki zakasały rękawy.
A tęsknota ma rośnie,
niepojęta i trwożna,
jak łza na pysku suki kaprawej.

Starzec z kotami

Trzeba rzeczy porąbać.
Pojęliście to choć?
Nie darmom przewidział, że pieszczotą zaduszą!

Człowiek z rozciągniętą twarzą

A może trzeba rzeczy pokochać?
Może z inną są, ale także z duszą?

Człowiek bez ucha

Wiele rzeczy zszyto opacznie.
Serce
gniewu nie słucha podszeptów.

Człowiek z rozciągniętą twarzą

I gdzie człowiek usta wycięte ma – patrzcie –
wielu rzeczom ucha przebiega szew tu.

Człowiek z dwoma pocałunkami

Dużemu i brudnemu człowiekowi
pocałunki dwa podarowano.
Niezaradny był człowiek,
nie wiedział,
co z nami począć,
gdzie podziać.
Miasto,
całe w święcie,
w kościołach huczało hosanną.
Wychodzili ludzie w coś ładnego ciała przyodziać.
A człowiekowi było zimno
i miał podeszwy dziurawe.
Wybrał pocałunek, ten większy,
i jak kalosz włożył na nogę.
Ale mróz chodził zły,
gryzł go w palce
nogi lewej i prawej.
"E –
rozzłościł się człowiek –
wyrzucę te niepotrzebne pocałunki na drogę!"
Wyrzucił.
I wtem
pocałunkowi wyrosły uszki,
zaczął się wiercić i załkał,
głosikiem cienkim zapiszczał:

"Ja chcę do mamy!"
Przeraził się człowiek.
Duszy swej łachmanami drżące owinął ciałko,
do domu zaniósł,
żeby wstawić do bardzo błękitnej ramy.
Długo grzebał się w kurzu waliz
(ramy szukał).
Obejrzał się –
pocałunek leży na tapczanie,
wielki,
opasły,
wyrósł,
zmężniał,
cieszy się!
Zapłakał człowiek:
"Panie!
Nigdy nie myślałem, że tak się zmęczę.
Teraz powieszę się!"
I póki wisiał,
lichy,
plugawiutki –
w swych buduarach kobiety –
fabryki, którym zbędny i dym i warkot –
milionami wyrabiały pocałunki –
rozmaite,
duże,
malutkie –
mięsistymi dźwigniami cmokających warg.

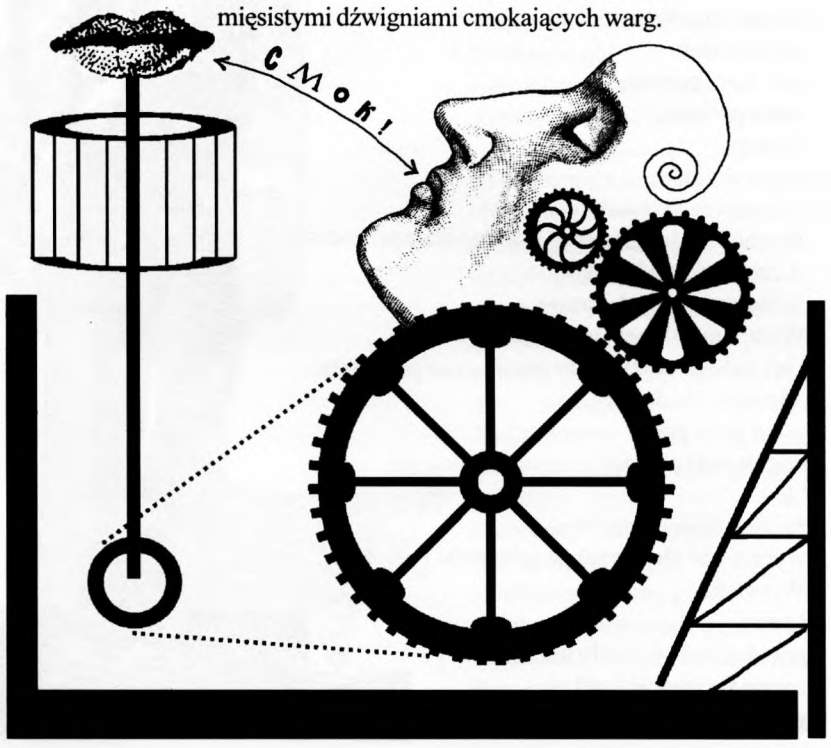

Dymitr Kismiełow

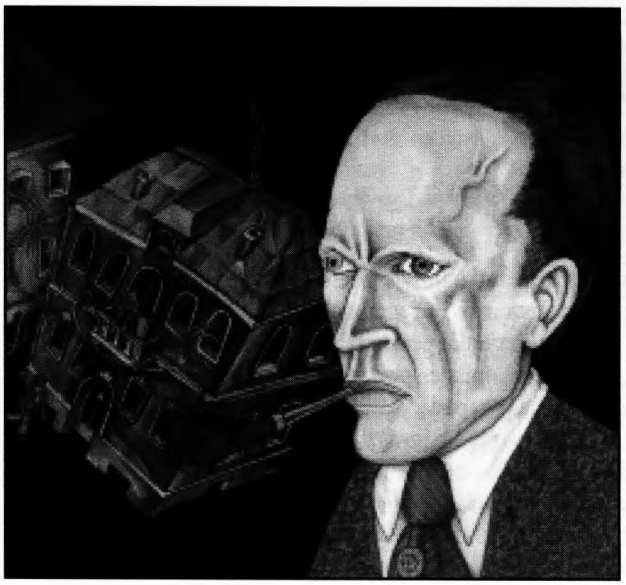

DANIEL CHARMS (1905-1942) nazywał się naprawdę Juwaczow, a pseudonimów miał więcej (ten przylgnął do niego trwalej od pozostałych), niż udało mu się za życia opublikować "dorosłych" wierszy (było ich dokładnie trzy). Należał do czołowych przedstawicieli grupy artystycznej OBERIU (Objedinienije Riealnogo Iskusstwa – Zrzeszenie Sztuki Realnej), działającej w Leningradzie w drugiej połowie lat dwudziestych. Inni wybitni oberiuci to: Konstanty Waginow, Mikołaj Olejnikow, Aleksander Wwiedienski, Mikołaj Zabołocki. Wszyscy ci młodzi wówczas twórcy pod "sztuką realną" rozumieli coś zgoła innego niż oficjalnie lansowany "realizm": ich utwory – i zachowania publiczne! – były jedną wielką zabawą i kpiną z otaczającej rzeczywistości, rozmyślną prowokacją wobec jej praw i obyczajów, demaskacją jej języka i sposobu myślenia. Po latach – i w perspektywie losu, jaki spotkać miał Charmsa oraz jego przyjaciół (on sam, a także Wwiedienski i Olejnikow zginęli w czeluściach Gułagu, jedynie Zabołocki wydostał się w końcu z obozu i zesłania) – dostrzec można w uprawianych przez nich ostentacyjnych alogizmach, grotesce i językowej żonglerce, poza wątkiem zabawowym, także przeczucie własnej zagłady. Zanim nastąpiła, pozwalano oberiutom, nie dopuszczając ich do udziału w "poważnym" życiu literackim, współpracować z redagowanymi przez Samuela Marszaka pisemkami dla dzieci; publikowane tam utwory iskrzące się wszystkimi blaskami humoru, pomysłowości, posłużyły następnie za pretekst do oskarżenia autora o "dywersję ideologiczną w literaturze dziecięcej"... Po raz pierwszy aresztowano Charmsa – na krótko – w sylwestra 1931 roku, ponownie – w sierpniu 1941, kilka miesięcy później (prawdopodobnie w lutym 1942) zmarł w więzieniu lub więziennym szpitalu psychiatrycznym.

Imiona zamordowanych poetów oficjalnie skazano na nieistnienie – i egzekwowano ten wyrok tak skutecznie, że na przykład ja w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych nie zetknąłem się w moskiewskim środowisku literackim z napomknieniem o żadnym z nich ani z nazwą całej tej prekursorskiej grupy. Dopiero kilka lat później dane mi było odkryć oberiutów, co zawdzięczam – jak i inne tego typu olśnienia – niezmordowanemu Gennadijowi Ajgiemu. Od niego też Ziemowit Fedecki i ja otrzymaliśmy ocalały maszynopis wstrząsającej sztuki Charmsa *Elżbieta Bam*, której światowa premiera (w naszym tłumaczeniu) nastąpiła w roku 1966 na łamach "Dialogu" (nr 12). Potem tłumaczyłem i również drukowałem w "Dialogu" (nr 4 – 1978, jako "Katarzyna Wojtkowska") drobniejsze quasi-sceniczne utwory Charmsa, które nazwałem jego "zielonymi gęsiami", a także – w "Płomyczku" i gdzie indziej – szereg wierszy dla dzieci. Te, wraz z opowiadaniami w tłumaczeniu mojej córki Natalii, doczekały się w roku 1991 wydania książkowego pt. *Tygrys na ulicy* (Wydawnictwo Verba w Chotomowie).

Nie wyobrażam sobie *Moich Moskali* bez Charmsa, który przez minione lata zajął tak ważne miejsce w moim widzeniu kultury rosyjskiej XX wieku. Ale teksty sceniczne, prozatorskie i przeznaczone dla dzieci nie mieszczą się w tej książce. Żeby więc przynajmniej jakoś zaznaczyć tu obecność tego bliskiego mi twórcy, specjalnie przełożyłem kilka charakterystycznych jego utworów poetyckich.

Dymitr Kismiełow

Daniel Charms

WIERSZE

* * *

Jedno dziewczątko powiedziało: "gwy".
Drugie dziewczątko powiedziało: "chwia".
Trzecie dziewczątko powiedziało: "mbru".
A Jermakow kapustę spod płota chrupał, chrupał i chrupał.
Widać wieczór zapadał.
Mot'ka nacieszył się igraszkami z gównem i poszedł spać.
Mżył deszczyk.
Świnie żarły groch.
Ragozin podglądał damską łaźnię.
Sieńka dosiadł Mańki.
Mańka zdrzemnęła się.
Pociemniało niebo. Zabłysły gwiazdy.
Pod podłogą szczury zagryzły myszkę.
Śpij mój maleńki, nie bój się głupich snów.
Głupie sny są od żołądka.

* * *

Dymitr Kismiełow

Prowadźcie mnie z zawiązanymi oczami.
Nie pójdę z zawiązanymi oczami.
Rozwiążcie mi oczy i pójdę sam.
Nie trzymajcie mnie za ręce,
chcę mieć wolne ręce.
Rozstąpcie się, głupi widzowie,
zaraz będę wierzgać nogami.
Przejdę po jednej desce i nie zachwieję się.
Przebiegnę po gzymsie i nie runę.
Nie sprzeciwiajcie mi się. Bo pożałujecie.
Wasze tchórzliwe oczy niemiłe są bogom.
Wasze usta otwierają się nie w porę.
Wasze nosy nie znają wibrujących woni.
Jedzcie zupę – to wasze zajęcie.
Zamiatajcie swoje pokoje – macie to nakazane od wieków.
Ale zdejmijcie ze mnie bandaże i gorsety,
ja żywię się solą, a wy cukrem.
Swoje sady mam i swoje ogrody.
W moim ogrodzie pasie się moja koza.
W moim kufrze leży czapka futrzana.
Nie sprzeciwiajcie mi się, jestem sam dla siebie, a wy to ćwierć dymu dla mnie i tyle.

GENNADIJ AJGI, urodzony w roku 1934 w czuwaskiej wsi Szajmurzino, przyjęty został jesienią 1953 roku do moskiewskiego Instytutu Literackiego; wiele lat później (1988) podczas pierwszego legalnego wieczoru autorskiego w życiu nie najmłodszego już poety, jego kolega ze studiów, Eugeniusz Jewtuszenko, opowie, że nie było na uczelni drugiego takiego c z y t e l n i k a : "To był człowiek niesłychanie zajęty – zajęty pochłanianiem kultury światowej i wypromieniowywaniem tej kultury z siebie..."

Znałem go również, ale nie była to znajomość zażyła i nie przeczuwałem, że Ajgi zostanie kiedyś bohaterem jednej z ciągnących się latami przygód mojego życia; początkiem jej miał się stać moment, kiedy w roku 1962 przysłał mi przez okazję do Warszawy maszynopis w zielonej kartonowej okładce; wiersze te urzekły mnie i podnieciły i natychmiast kilka z nich przełożyłem. Działo się to niedługo po przełomowej w biografii twórcy decyzji zmiany języka, w którym pisał – z ojczystego na rosyjski. 8 września 1962 roku przetłumaczony przeze mnie *Śnieg* ukazał się na łamach "Polityki", a w ślad za nim – dwa inne wiersze Ajgiego (w przekładzie moim i Witolda Wirpszy, ze wstępem Alicji Lisieckiej) na czołówce "Sztandaru Młodych". Były to pierwsze utwory tego poety ogłoszone za granicą (w czasie, kiedy ani w Moskwie, ani w Czeboksarach w ogóle go nie drukowano) – i z tego to skromnego polskiego przyczółka poezja Ajgiego wyruszyła na podbój świata. Dziś, kiedy autor *Śniegu* tłumaczony jest na wszystkie języki, kiedy w samych Niemczech i Francji ma dziesiątki wydań książkowych, kiedy otrzymał liczne nagrody w różnych krajach i wysuwa się go do Nagrody Nobla, czuję się (co tu ukrywać), choć daleki od wyolbrzymiania swojej roli, szczęśliwy i dumny, że ten jakże zasłużony pochód do sławy zaczął się od paru przełożonych przeze mnie młodzieńczych wierszy. Przygoda, która się wtedy zaczęła, trwa po dziś dzień, głównym zaś jej urokiem przez cały czas było zbratanie z intensywną, oryginalną, bogatą osobowością heroicznego artysty i niepospolitego człowieka.

Istniała i paradoksalna jej strona: zaprzyjaźniliśmy się przez ten czas blisko i serdecznie, ani jednak ja nie mogłem pojechać do Moskwy, ani on opuścić granic Związku Radzieckiego; korespondowaliśmy ze sobą, wysyłaliśmy sobie (korzystając z pośrednictwa życzliwych podróżników) wiersze, książki, a nawet obrazy, ale pomiędzy naszym pożegnaniem w Moskwie w roku 1956 a następnym spotkaniem "na żywo" upłynęło piętnaście lat, do jeszcze następnego miało upłynąć kolejnych lat dziewiętnaście. A jednak było to prawdziwe obcowanie, współpraca i pomoc. Wspominałem już, że Ajgiemu zawdzięczam trudno dostępne materiały do książek o Majakowskim i Jesieninie, zapoznanie z twórczością oberiutów i niejedno jeszcze poprowadzenie przez ukryte zarośnięte tropy dwudziestowiecznej sztuki rosyjskiej. Ja ze swej strony starałem się wykonać różne jego "zamówienia", kiedy przygotowywał czuwaską antologię poezji polskiej (od Biernata z Lublina do Haliny Poświatowskiej); wyszła w Czeboksarach w roku 1987, a rok później jakby aneks do niej – miniantologia naszej poezji współczesnej – od Miłosza do Barańczaka. To były konkrety naszej współpracy, ale dla mnie przynajmniej jeszcze ważniejszy był ów prąd, owa "gorąca linia" refleksji o poezji i realnym życiu, momentów załamania, lęków, nawet rozpaczy i trwogi (jak po zamordowaniu przez "nieznanych sprawców" przyjaciela Ajgiego, Konstantego Bogatyriowa), ale także nadziei, solidarności, otuchy (jak wówczas, gdy po moim internowaniu Gennadij Ajgi wysłał do mojej żony z Centralnego Telegrafu Moskiewskigo depeszę z wyrazami serdecznej bliskości).

Po raz pierwszy "legalny", a zarazem świąteczny i triumfalny charakter nosiło nasze spotkanie w styczniu 1990 roku w Warszawie, gdzie Ajgi odbierał nagrodę Polskiego PEN-Clubu: aż trudno było uwierzyć, że niczego się już nie musimy bać, przed nikim ukrywać! Odtąd widywaliśmy się wielokrotnie – w Warszawie, w Moskwie, a także w Berlinie i Paryżu, wreszcie we wsi Denisowa Gorka, w guberni Twerskiej, gdzie 21 sierpnia 1994 roku świętowaliśmy sześćdziesięciolecie poety...

W roku 1973 ukazał się nakładem PIW-u zredagowany przeze mnie wspólnie z Józefem Waczkówem jednoarkuszowy wybór wierszy Ajgiego (w różnych tłumaczeniach) pt. *Noc pierwszego śniegu*. Siedem lat później – w drugoobiegowej poznańskiej Witrynce Literatów i Krytyków – zbiorek moich przekładów pt. *pole-śnieg-sen*. W styczniu 1995 roku – obszerny wybór Ajgiego pt. *pola-sobowtóry* – nakładem niezawodnego Wydawnictwa a5 Krystyny i Ryszarda Krynickich. Wczesną jesienią tegoż roku – z inicjatywy wydawnictwa "Pogranicze" w Sejnach – tom pt. *Tutaj*, obejmujący wszystkie moje powstałe przez lata tłumaczenia wierszy Ajgiego oraz cztery jego programowe eseje.

Po tych wydaniach przyjaciel mój nie musi już być szczególnie obficie reprezentowany w tej oto książce; umieszczam więc w niej jedynie kilka przekładów wiążących się z najbardziej dla mnie znaczącymi chwilami nie mającej końca przygody.

Paulina Zielona

Gennadij Ajgi

ŚNIEG

Obok śnieg –
więc dziwniejsze kwiaty na parapecie.

Uśmiechnij się do mnie chociażby za to,
że nie mówię słów,
których nie rozumiem.
Wszystko, co mogę:

krzesło, rzęsy, lampa, śnieg.

I ręce moje
są dalekie i zwykłe,

i ramy okien
jakby wycięte z białego papieru,

a tam, za nimi,
wokół latarń
strzępi się śnieg

od samego dzieciństwa.

I będzie, póki na ziemi
ktoś pamięta o tobie, ktoś rozmawia z tobą.

I to białe niegdyś
zobaczyłem na jawie,

i zamknąłem oczy, i nie mogę otworzyć,
i jest białe migotanie,

i zatrzymać go
też nie mogę.

Paulina Zielona

NIETRUDNO BYĆ PROROKIEM

Z Wisławą Szymborską rozmawia Jan Strzałka

JAN STRZAŁKA: Na wieść o przyznaniu pani Nagrody Nobla, Czesław Miłosz napisał: „Poezja polska wyróżnia się pewnymi cechami na tle poezji światowej". Czym, pani zdaniem, charakteryzuje się współczesna polska szkoła poetycka?

WISŁAWA SZYMBORSKA: Nie czuję się krytykiem literackim. Miłosz to co innego: to nie tylko znakomity poeta, ale i literaturoznawca oraz wnikliwy krytyk, ma więc prawo wypowiadać się o poezji polskiej, ja natomiast tego nie potrafię. Jeśli „szkoła polska" rzeczywiście istnieje, myślę, że wyraża się ona w szacunku dla faktów i rzeczywistości powszechnie przeżywanej.

— Myślę, że podobny szacunek widać w poezji Achmatowej, szczególnie w „Requiem" i „Poemacie bez bohatera". Podobno będąc w Petersburgu, poznała pani Achmatową osobiście?

— Było to dawno temu, gdzieś z początku lat 60. Stanowiliśmy, jak się to wtedy mówiło, „delegację" — Władysław Broniewski, Stanisław Grochowiak, Artur Międzyrzecki i ja. Wożono nas wszędzie samochodami, towarzyszyli nam nieustannie opiekunowie, nie mieliśmy więc okazji ujrzeć zbyt wiele prawdziwego, codziennego życia w ZSRR. Czas zatarł wspomnienia, ale w pamięci pozostało mi spotkanie właśnie z Anną Achmatową. Pojechaliśmy do jej daczy w Komarowie. Znałam trochę jej twórczość, ale wyłącznie z przekładów, bo niestety nie mówię ani nie czytam po rosyjsku. Toteż mogłam być tylko obserwatorką podczas tej wizyty. Powitała nas stara, ale wciąż piękna kobieta, w jakiejś długiej, staromodnej sukni i z przepiękną antyczną broszą pod szyją. Wiedzieliśmy, że w młodości pozowała Modiglianiemu w dość wyzywającej pozie. W pewnej chwili udała się na górę do któregoś pokoju i powróciła z fotografią tego obrazu. Obrazu tego w oryginale Achmatowa nie miała, sama zaś fotografia była podniszczona od częstego oglądania. Spotkanie z Achmatową zapamiętałam i z tej racji, iż towarzyszył mu wymowny zgrzyt. Zaprowadził nas do poetki Władysław Broniewski, który znał ją z dawnych czasów, może nawet była między nimi przyjaźń, nie wiem, pewna jestem natomiast, że on darzył ją wielkim szacunkiem. Nasze nadzieje na ciekawą rozmowę spełzły na niczym, albowiem ledwo przekroczyliśmy próg, pojawiły się jakieś obce typy i rozsiadły dookoła. Zauważyłam wtedy grymas na twarzy Achmatowej. Kim oni byli? Pewnie jacyś miejscowi sekretarze, jakiś kierownik kołchozu... Strzygli czujnie uszami, skutkiem czego rozmowa się nie kleiła, a tak naprawdę, to jej wcale nie było. Tak, pamiętam doskonale królewskie i wzgardliwe spojrzenie, jakim Achmatowa obrzuciła intruzów...

— Czy to spotkanie nastąpiło po tym, jak Achmatowa przełożyła jeden z pani liryków ?

— Chyba później, choć dokładnie sobie nie przypominam. Achmatowa nie znała polskiego, więc tłumacząc, posługiwała się przekładem filologicznym. Przełożyła wiersz *Przy winie*, a właściwie napisała własny, oryginalny liryk miłosny, o co nie żywię do niej pretensji, jedynie zdumienie i wdzięczność, że w ogóle zechciała się zainteresować moim wierszykiem.

Do moich przelotnych znajomych muszę też zaliczyć Josifa Brodskiego. Bywał w Polsce kilkakrotnie, między innymi w Krakowie, gdzie na przyjęciu na jego cześć ktoś nas sobie przedstawił. Oczywiście otaczały go tłumy wielbicieli i fotografów, co rozmowy nie ułatwiało. Wkrótce potem ujrzałam w amerykańskiej prasie przekład Brodskiego mojego wiersza *Jacyś ludzie*. Przekład znakomity.

Jeśli jest tu mowa o tłumaczach rosyjskich, muszę z wdzięcznością wspomnieć kilka jeszcze nazwisk — na przykład leningradzkiego poetę Borysa Słuckiego, który pierwszy przełożył kilka moich wierszy na rosyjski. Słucki był ciekawym poetą, a przy tym skrupulatnym tłumaczem, ale jego własna poetyka wydawała mi się odrobinę zbyt masywna wobec mojej. Później zabrał się do moich wierszy Asar Eppel. Eppel należał do osób niezbyt mile widzianych w literackich kołach Moskwy, mógł zajmować się tylko przekładami, ale nawet z ich

publikacją miewał poważne kłopoty. Udało mu się jednak opublikować kilkanaście przekładów moich wierszy. Kiedy mi je czytał, miałam wrażenie, że rozumiem wszystko, zdanie po zdaniu. To brzmiało jak drugi oryginał. Dzisiaj Eppel jest autorem kilku tomów opowiadań i powieści, i znajduje się w ścisłej czołówce rosyjskich prozaików. Nie może poświęcać się już przekładom, trochę mi żal, ale doskonale to rozumiem. Obecnie moją tłumaczką jest poetka Natalia Astafjewa, która wraz z Władimirem Britaniszskim wydała w ubiegłym roku antologię dwudziestowiecznej poezji polskiej, a w niej zamieściła spory wybór moich utworów. Tak się złożyło, że w Rosji nie ukazał się jak dotąd osobny wybór moich wierszy, być może z tej przyczyny, że poetów zagranicznych zazwyczaj przedstawia się tam w antologiach, niejako „kolektywnie". Natomiast moje samodzielne tomiki wydano w krajach poradzieckich, na przykład na Ukrainie, Litwie, Łotwie.

— W jednej z poświęconych pani książek znalazło się zdjęcie przedstawiające polskich poetów w Suchumi. Artur Międzyrzecki, Władysław Broniewski, Stanisław Grochowiak oraz pani w ogrodzie zoologicznym przed klatką z małpami. A małpy to jedne z ulubionych pani stworzeń, często goszczące w pani poezji...

— Wymogłam na kolegach, żebyśmy na kilka godzin wybrali się do Suchumi, bo tam, jak mi mówiono, małpy żyją na swobodzie! Panował upał, słońce wściekle prażyło, no ale wreszcie koledzy dali się ubłagać i pojechali ze mną. Na miejscu okazało się, że to wszystko propaganda. Małpy siedziały uwięzione w klatkach, w dodatku niektóre z rurkami w głowie, w bandażach, bo przeprowadzano na nich jakieś doświadczenia. Nie zobaczyłam ani jednej małpy hasającej na wolności, a koledzy z pretensjami: gdzieś ty nas zaprowadziła? Do obozu?! Wtedy poznałam także Jewgienija Jewtuszenkę. Było to w Tbilisi, przy okazji jubileuszu gruzińskiego poety Rustawelego. Na tę uroczystość zaproszono wielu wybitnych poetów z zagranicy, ale gwiazdą pierwszej wielkości okazał się właśnie Jewtuszenko. Czytał swoje wiersze z emfazą, mimiką, szerokim gestem, czym publiczność była zachwycona. Prawdziwy showman. Niektórzy przyjezdni starali się naśladować jego styl, co mnie niezmiernie śmieszyło, bo wypadało bardzo komicznie i karkołomnie w wykonaniu poetów zachodnioeuropejskich. Ja oparłam się pokusie imitowania Jewtuszenki, bo moja poezja nie nadaje się do recytowania w trybie rozkazującym. A Jewtuszenko umiał to robić. Ciekawa jestem, co z nim się teraz dzieje...

— Ma się nadal świetnie. Widziałem go czas jakiś temu w Moskwie, elegancki, pewny siebie, właśnie po powrocie ze Stanów, gdzie zdaje się bawił jako profesor od poezji i wydał angielską antologię poezji rosyjskiej. Ale wróćmy do wspomnianego przed chwilą Brodskiego. Czym urzekła panią jego poezja?

— Niebywałą swadą, ogromnym rozmachem wyobraźni. Nie należałam jednak do entuzjastów jego stylu czytania poezji. Czytał wiersze starą rosyjską manierą, która przekształca poezję w utwór półmuzyczny, w melorecytację. Jej śpiewność wybija się na pierwszy plan, ze szkodą dla sensu i obrotu myśli. Te same wiersze czytane w domu objawiają doskonałość poetyckiej roboty, ścisłość metafor — proszą się więc raczej o wnikliwe czytanie, a nie słuchanie. Niedawno miałam kontakt z cieniem Brodskiego, będąc z przyjaciółmi w Wenecji. Udaliśmy się tam na jego grób na cmentarnej wyspie San Michele. Brodski nie spoczywa w kwaterze prawosławnej czy żydowskiej, ale w protestanckiej — nie wiadomo dlaczego, może tak sobie zażyczył. Na tym pięknym, wzruszającym grobie jest zawsze mnóstwo świeżych kwiatów, i co najważniejsze, zawsze ktoś się przy nim zatrzymuje. Niedaleko obok spoczywa także Siergiej Diagilew. Na jego grobie ktoś powiesił śliczne, różowe baletki dziecinne. Na grobie Brodskiego leży natomiast zeszycik oprawiony w sztuczną skórkę, a w środku zapisane karteczki. Każdy tam może wetknąć list do poety, albo własny wiersz napisany na Jego cześć.

—Brodski, o czym świadczą wydane w Polsce rozmowy z nim przeprowadzone przez Solomona Wołkowa, spośród rosyjskich poetów cenił najwyżej Marinę Cwietajewą...

— I słusznie, bo to wielka poetka. Niedawno zmarła moja przyjaciółka Joanna Salamon, interesująca poetka i tłumaczka. Tłumaczyła między innymi Marinę Cwietajewą. Przedtem znałam inne przekłady tej poezji — ale zazwyczaj zajmowali się nimi mężczyźni, co w tym przypadku nie było najszczęśliwszym rozwiązaniem. Czułam, że pod piórem Joanny Cwietajewa naprawdę żyje — że rosyjska poetka i jej tłumaczka były psychicznymi krewniaczkami. Tak to czasem bywa, że jeden tłumacz chwyta czytelnika za rękę i wiedzie go do świata poety, a inny, chociaż wierny, tego nie potrafi.

— Wyznała pani kiedyś, że czytała Dostojewskiego już jako czternastolatka.

— To prawda. Byłam bardzo młoda, kiedy wpadły mi w ręce powieści Dostojewskiego, które były w bibliotece rodziców. Czytałam je z wypiekami na twarzy, wstrząśnięta przede wszystkim sensacyjną fabułą i demonicznymi postaciami. Z pewnością nie mogłam wówczas zrozumieć głębszego przesłania tych książek. To już sprawa późniejsza.

— Ale woli pani Dickensa od Dostojewskiego, jak napisała pani w wierszu "Możliwości"?

— Wolę. To moja skala wartości, nikomu jej nie narzucam. Wymienię tylko jeden z powodów. Dostojewski był mistrzem w tworzeniu postaci szubrawców, błaznów i ludzi zdeprawowanych ponurymi życiowymi komplikacjami. Natomiast ludzie kierujący się najlepszą wolą i wrodzoną dobrocią udają mu się dużo mniej. Wydają mi się, proszę wybaczyć to słowo, jacyś nieapetyczni. Dickensowi takie postacie udawały się świetnie. Mówiąc w obrazowym skrócie: byłabym bardzo rada, gdyby tu obok na fotelu siedział razem z nami na przykład pan Pickwick, natomiast za Boga Ojca nie chciałabym tu widzieć księcia Myszkina.

— A samego Dostojewskiego ?

— Nie. Ale niewielu pisarzy chciałabym poznać osobiście.

— Odbierając Nagrodę Nobla, przeczytała pani trzy wiersze: „Psalm", wiersz o uchodźcach i ofiarach wojen pt. „Jacyś ludzie" oraz „Wersję wydarzeń", swego rodzaju spojrzenie z kosmicznej perspektywy na świat i człowieka. Dlaczego te a nie inne ?

— Prawdopodobnie te właśnie miałam pod ręką. Mogłam równie dobrze wybrać inne, dzięki gotowym przekładom mojego szwedzkiego tłumacza Andersa Bodegårda.

— Po wrześniowej tragedii w Nowym Jorku opublikowała pani wiersz „Fotografia"...

— O zjawisku terroryzmu napisałam wiersz chyba pierwsza w Polsce — „Terrorysta, on patrzy". Wiedziałam, że PRL żywiła sympatię do terrorystów różnych maści, nawet ich wspierała i szkoliła, co było tajemnicą poliszynela. Cenzura nie mogła mi jednak tego wiersza zakwestionować, żeby nie sprawiać wrażenia, że system akceptuje terrorystów. Dosyć wcześnie napisałam też o torturach. Te tematy pozostają niestety nadal aktualne. Poezję czyta ten, kto jest gotowy przyjąć jej przesłanie, ale ci, do których jest ona naprawdę adresowana — terroryści i oprawcy — nigdy jej nie czytają. To tragedia literatury.

Osama bin Laden nie przeczyta *Fotografii*, ale z pewnością przeczytał ten wiersz niejeden z bliskich ofiar w World Trade Center, więc z jednej strony literatura jest bezsilna, ale z drugiej — jej obecność wspomaga człowieka.

— A propos, czy śledziła pani w telewizji relację z Nowego Jorku?

— Owszem, ale nieco później obejrzałam też w gazetach fotografie ludzi wyskakujących z okien płonącego budynku. O nich jest ten wiersz.

— Przed laty w „Lekturach nadobowiązkowych", felietonach publikowanych na lamach najpopularniejszych czasopism polskich, prorokowała pani, że nic nie powstrzyma terrorystów, że coraz częściej ich ofiarami będą ludzie przypadkowi i niewinni: klienci supermarketów, pasażerowie na dworcu, a pewnego dnia — pisała pani — terroryści zaatakują jakiś drapacz chmur.

— Na tym świecie nietrudno być prorokiem. Coraz łatwiej przepowiadać najrozmaitsze katastrofy. Ale nie przypominam sobie, żebym w „Lekturach" takie wydarzenia prorokowała. Wiersz o terroryście też nie był proroctwem, opisywał przecież istniejącą już rzeczywistość. Pozwalam sobie czasem na proroctwa przy tematach nieporównanie lżejszych. Kiedyś napisałam felietonik o kalendarzu. Zastanawiałam się, co by było, gdyby przez niedopatrzenie korektorów pojawiły się w nim na przykład dwie środy w jednym tygodniu? I oto dziś mam kalendarz na rok 2002 z dwiema środami pod rząd, czwartek nie istnieje, bo od razu po podwójnej środzie następuje piątek. Wykrakałam.

НОВАЯ ПОЛЬША 2002, nr 6

Jerzy Fedorowicz

CHULIGANI GRAJĄ SZEKSPIRA

W 1949 roku rozpoczęto budowę kombinatu metalurgicznego na najżyźniejszych terenach rolniczych w okolicy Krakowa, miasta, któremu najtrudniej w Polsce było wmówić komunistyczne "wartości". Postanowiono więc zintegrować konserwatywną inteligencję jednego z najwspanialszych miast Europy (w którym uniwersytet istnieje od 1364 roku), z nową klasą robotniczą, napływającą do budowy kombinatu i pracy w nim. Huta im. Lenina była "prezentem" ZSRR dla Polski. Powstawało nowe miasto na wzór radzieckiego Komsomolska czy Nowosybirska. Zakładano, że ludzie tu mieszkający staną się podporą partii. Pomylono się, i to bardzo. To właśnie w Nowej Hucie nastąpiły pierwsze starcia robotników z komunistyczną władzą w walce o kościół. To tu wreszcie powstała druga co do znaczenia po Stoczni Gdańskiej robotnicza "Solidarność". Tu w latach osiemdziesiątych od czasu wprowadzenia stanu wojennego toczyły się walki między robotnikami a milicją. Brała w nich udział również młodzież. Aż nadszedł czerwiec 1989 roku i koniec komunistycznego systemu.

W takich historycznych i społecznych uwarunkowaniach, 1 września 1989 roku objąłem dyrekcję Teatru Ludowego w Nowej Hucie. Był to teatr sławny. Pierwsze dziesięć lat jego istnienia (1955—65) to pasmo sukcesów. Młodzi reżyserzy i scenografowie. Młody zespół. Otwarcie, po odwilży październikowej, na dramat i teatr zachodni. Nowa treść. Nowa forma. Teatr stał się modny. Przyjeżdżała krakowska inteligencja a za nią cała Polska. To było naprawdę coś!

Później bywało różnie. Raz lepiej, raz gorzej. Ale i tak zaczynałem wszystko od nowa. Odmłodziłem zespół. Pozyskałem do współpracy wybitnego aktora i pedagoga Jerzego Stuhra. Miał u nas debiutować jako reżyser. Najtrudniej było zacząć. Postanowiliśmy złożyć hołd ludziom Nowej Huty. Pomysł dał Andrzej Wajda. Joanna Olczak—Ronikierowa napisała, a Krzysztof Orzechowski wyreżyserował. Człowiek z marmuru — początek i koniec, rzecz o ludziach kombinatu i budowy. Los człowieka. Rozpoczęliśmy próby we wrześniu 1989 roku. Już była wolność. Najpierw burzono symbole. Ci sami młodzi ludzie, którzy walczyli z milicją, teraz postanowili zburzyć pomnik Lenina. Trwały rozruchy. Przyjeżdżały ekipy telewizyjne z całego świata, obserwowali zajścia w Alei Róż, przy okazji wstępowali do teatru. Fotografowali próby. Pytali się. Byli dociekliwi. Premiera odbyła się 8 grudnia. Zbiegła się ze zdjęciem Lenina z cokołu. To był wielki dzień. Nowa Huta była inna. Naprawdę wolna. A teatr odniósł sukces. Który trwał. Iwona, księżniczka Burgunda, Opera żebracza, Poskromienie złośnicy, Brel, Sorokin.

Aż nagle wszystko zaczęło się sypać. Gangi młodzieżowe, nie mając politycznego przeciwnika, zaczęły tłuc się między sobą.

Objechałem pół świata. Byłem w ZSRR, poznałem go od Bugu do Nachodki (pracowałem na radzieckim statku na Pacyfiku). Ale nigdzie nie spotkałem teatru między dwoma boiskami szkolnymi. Wyobraźcie sobie. Szkoła podstawowa — boisko — teatr — szkoła średnia — boisko. Więc wieczorem ciemno. Krzaki. Żadnej kulturalnej infrastruktury, zły dojazd, a w teatrze co wieczór 370 osób. I nagle strach. Autobusy obrzucane kamieniami, zaczepki. W młodzieżowym slangu w Polsce mówiło się wtedy: "Meksyk". Widownia pustoszała. Rodzice bali się o swoje dzieci. Nie wiedziałem, co robić. Prosić policję o pomoc? To mogło tylko pogorszyć sprawę. Zbyt krótki minął czas od "komuny". Mogli mnie uznać za "kapusia". Zaprosiłem więc skinheadów do teatru. Na spotkanie.

Tu muszę wyjaśnić, dlaczego właśnie ich. Otóż wszystkie młodzieżowe "zadymy" przypisywano wtedy skinom. Tylko specjaliści rozróżniali dobrze subkultury. Ja sam byłem w młodości chuliganem, ale moja wiedza kończyła się na hipisach i gitowcach. Zaprosiłem więc przez media skinów. O dziwo, przyszli! Prawdopodobnie z ciekawości. Czego ten facet chce? Policja schowała się pod sceną. Obiecali, że ujawnią się w momencie zagrożenia, np. jakiejś demolki. Pojawili się dziennikarze i TV. Był listopad 1991 roku. Na scenie próbowaliśmy musical o św. Franciszku z Asyżu, a na widowni czarno od kurtek typu "flejers" i jasno ogolonych głów. Próba ich specjalnie nie interesowała. Zaczęli mówić. Usłyszałem rzeczy wstrętne: "Polska dla Polaków", "Bić Żyda, Niemca, Rumuna" i temu podobne głupstwa. Powiedziałem, że mnie to nie interesuje, że brzydzę się tym i że w

sztuce nie ma miejsca na nienawiść i tego typu podziały. Mówiłem, że są sterowani przez strasznych głupców. Poprosiłem ich o dwa miesiące spokoju. Taki pakt o nieagresji. Że potem im coś zaproponuję. Przyrzekli. Publicznie, bo pokazała to TV w Ekspresie Reporterów. I dotrzymali słowa. Pod teatrem był spokój. Tylko ja miałem problem. Co im zaproponować?

W tym samym czasie przygotowywaliśmy premierę *Romea i Julii* Szekspira. Do roli Julii ogłosiliśmy nabór wśród piętnastoletnich dziewcząt z Krakowa i okolic. Zjawiło się ich w teatrze 500. Przesłuchania trwały trzy dni. Dziewczynka, która zajęła II miejsce, powiedziała, że jeżeli nie zagra, to popełni samobójstwo. Wystraszyłem się. I powiedziałem, że zagra.

Życie poddało pomysł. Wiedziałem też więcej o subkulturach. Że skini i punki to wrogowie. Zaprosiłem więc do teatru jednych i drugich 13 stycznia 1992 r. Zapytałem, czy chcą grać *Romea i Julię* i czy akceptują tę dziewczynę. Punki powiedziały, że tak, więc skinom nie wypadało. Byliby przegrani. Obiecałem też, że będą grać w swoich subkulturowych strojach, które staną się ich własnością. To przeważyło, rozpoczęliśmy próby. Punki — Monteki, skini — Kapuleti. Wskazywałem palcem, kto co będzie grał. Nie pomyliłem się na szczęście. Romeo — Wiesław Zagól, ksywa "Agrawa" był liderem punkowego zespołu PGR. Jego koledzy: "Roko", "Dratwa", "Młody", "Książę", "Słoń", "Niusiek", "Szprycha", "Małolata", "Viola" to główne role Monteki. "Ozzi", "Gruby", "Żyleta", "Trumna", "Trucizna" to skini — Kapuleti. Próbowaliśmy trzy razy w tygodniu przez trzy miesiące, a tuż przed premierą codziennie. Jak w prawdziwym teatrze.

Między 13 stycznia a 3 maja powstało przedstawienie składające się z 11 scen (skróconych) z *Romea i Julii*, ułożonych w zamkniętą całość z muzyką wybraną przez jednych i drugich. Tylko dwie sceny biegły w całości. Balkonowa i Poranek — rozstanie. Reszta była poważnie skrócona i bardzo dynamiczna. Wszystkie walki uliczne były niezwykle efektowne, bo "aktorzy" nie pozorowali uderzeń, tylko bili się naprawdę. To im wcale nie przeszkadzało. Za to robiło niezwykłe wrażenie na widzach. Widziałem ludzi wbitych ze strachu w krzesła lub inwalidzkie fotele. Nim zdążyli odetchnąć, spektakl się kończył, trwał 50 — 55 minut. Zauważyłem w czasie prób, że kiedy *Romeo i Julia* mówili o miłości, zapadała głęboka cisza. Zapomniałem powiedzieć, że wszystkie próby były otwarte. Przychodziło na nie od 50 do 100 "kibiców". Próbowaliśmy na scenie eksperymentalnej, w budynku administracji i techniki teatru, scenie NURT. Przychodzili ludzie z różnych subkultur, palili w toaletach marihuanę, gasili pety w fotelach, pluli na podłogę, często byli brudni i bili się między sobą, ale 10 metrów od teatru. To już był postęp. Każdego dnia było lepiej, choć nadal bardzo ciężko. Często myślałem, że nie dam rady. Wtedy wyrzucałem ich i prowadziłem próby zamknięte z *Romeo i Julią*. Potem wracali inni. I tak przez cztery miesiące. Z nieustannym towarzyszeniem dziennikarzy TV z całego świata.

Jeszcze w trakcie prób zostałem zaproszony do Niemiec. W granicznym mieście Schwedt nad Odrą odbywała się międzynarodowa konferencja dotycząca sposobów zwalczania przemocy, ksenofobii itp. Głównie chodziło o problemy polsko—niemieckie. Po zburzeniu muru berlińskiego co chwila wybuchały konflikty. Przeważnie wśród młodzieży. Nasz teatr stawał się wzorcem pracy z trudną młodzieżą. Mówiono, że niemożliwe stało się faktem.

I rzeczywiście. Premiera 3 maja 1992 roku była niezwykłym sukcesem i wielka ulgą. Musieliśmy zagrać dwa razy, bo zebrały się takie tłumy trudnej młodzieży, że aby nie doprowadzić do konfliktu, obiecałem dwa spektakle. I tak dziesięć razy w maju. Na dużej scenie poetycki spektakl klasycznego teatru, na małej — ta sama szekspirowska tragedia w wykonaniu punków i skinów. Ta praca nas złączyła. Zaczęli się szanować. Zrozumieli, czym jest zespół ludzi zmierzających do wspólnego celu. Większość z nich to młodzi, głęboko samotni ludzie. Swoje frustracje wyładowywali w agresji na ulicy. Na meczach czy dyskotekach, których nota bene było wtedy bardzo mało. W teatrze znaleźli przyjaciół i w wielu przypadkach miłość. Spotkało się sześć par. Pokochali się, mają dzieci.

Tymczasem spektakl zyskiwał sławę. Pojawiały się artykuły we wszystkich europejskich gazetach. Pisano o nas nawet w Japonii i Brazylii. Dawałem je aktorom. I wreszcie przyszło pierwsze zaproszenie za granicę. Spodziewałem się tego i wcześniej sygnalizowałem im taką możliwość. I oto stało się. Jedziemy do Berlina. Październik 1992 roku. Wyjazd w sobotę, od poniedziałku trwają próby wznowieniowe. Chcemy wypaść jak najlepiej. W środę wieczorem rozpuszczam zespół (około 25 osób). Zostają tylko Romeo i Julia, by dopracować ich sceny. Rano zjawiam się w teatrze o 9.00. W gabinecie czekają policjanci w cywilu. Zadają pytania. Kiedy wyszli "aktorzy"? Mówię, że o 20. Czy wiem, gdzie mogli pójść? Mówię, że nie wiem. Ja pytam, co się stało? Okazało się, że o 20.30 dziesięciu (prawdopodobnie) skinów napadło na dwóch niemieckich kierowców TIR—ów i tak ich pobili, że jeden z nich zmarł z upływu krwi. Miał to być podobno rewanż za ataki na Polaków w niemieckiej strefie przygranicznej. Serce mi stanęło. Ale natychmiast powiedziałem, że nie wierzę, że wśród

tych bandytów mogą być moi ludzie. W dwadzieścia godzin później ujęto sprawców. Nie było wśród nich "aktorów" z *Romea i Julii*. Ulga w tak strasznej chwili, bo gdyby się okazało, że tam byli, podważyłoby to sens mojej pracy. Czy warto się nimi zajmować? Najgroźniejsi są przecież w gromadzie. Tymczasem rozpoczęła się dyskusja medialna i dyplomatyczna na temat sensu wyjazdu do Niemiec. Bardzo pomógł nam konsul generalny Niemiec. Znał mój projekt i był zwolennikiem takich działań. Wystąpiliśmy razem w Dzienniku TV. Między Bonn a Warszawą wymieniano noty dyplomatyczne. Powstała obawa (bezsensowna pod koniec XX wieku), że gdzieś w lasach między granicą a Berlinem będą na nasz autobus czekać hordy żądnych rewanżu i krwi skinów, hardcorowców, punków, nazi—metalowców niemieckich. Doszło do tego, że dwie matki naprawdę ostrych łobuzów nie zgodziły się na ich wyjazd. Mieliśmy też problem ze znalezieniem kierowcy i autobusu. Wreszcie znalazł się jakiś stary autobus i kierowca — były bokser.

Jedziemy. Obserwowałem moją grupę. Im bliżej granicy, tym byli bardziej wyciszeni i co tu gadać, wystraszeni. Mnie też udzieliło się ich napięcie. Ale, by przełamać lęk, punki postanowili zrobić najlepsze możliwe irokezy. Postawili włosy wzorcowo. Spryskali je farbą. Wyglądali jak najcudowniejsza, kolorowa grupa punkowa w Europie. Skini byli za to czyści i niezwykle grzeczni. Wyobraźcie sobie szok niemieckich emerytów, którzy na parkingu w środku Niemiec zobaczyli idących grzecznie obok siebie skinów i punków. To lękliwe zdziwienie towarzyszyło nam przez trzy lata, bo tak często później jeździliśmy do Niemiec.

Przyjeżdżamy do Berlina. Śpimy na wojskowych pryczach w starym domu kultury. Gramy w dawnym browarze zaadaptowanym na scenę wielofunkcyjną z zapleczem biurowym i restauracyjnym. Znakomity system. Stare, opuszczone fabryki przekształcone na miejsca sztuki, teatr, galerie, dyskoteki itp. Kulturfabrik. Pełno ich jest w Niemczech. Zapomniałem dodać, że towarzyszy nam ekipa polskiej telewizji. Wcześniej byłem na tyle przytomny, że rejestrowałem próby i spektakle. Z tych materiałów powstał film telewizyjny Zadyma.

Tym razem telewizja, wietrząc sensację, wysłała własną ekipę. To dodawało nam prestiżu. Pojawili się niemieccy reporterzy i dziennikarze. Na widowni byli specjaliści i trudna młodzież berlińska, wśród nich grupa zaprzyjaźnionych z nami niemieckich "metali" z Lipska. Spektakl zakończył się owacją i wspólnym odtańczeniem pogo. Na drugi dzień wszystkie poważne gazety zamieściły entuzjastyczne recenzje. W ten sposób rozpoczęły się nasze trzyletnie tournée po miastach niemieckich. Graliśmy w Hamburgu, Bremie, Essen, Freiburgu, Norymberdze, Frankfurcie nad Menem i we francuskim Ramboullet.

Ładnie to dosyć wygląda. Ale nie zawsze było różowo. Konflikty zdarzały się prawie codziennie. Pięć osób z trzydziestoosobowej grupy potrafiło "roznieść" w podróży autobus. Byliśmy też poddawani różnym manipulacjom. Nie wierzono, że możliwe jest porozumienie między skinami a punkami. Zarzucano mi mistyfikacje. Często było to bardzo bolesne. Nie wpuszczono nas na przykład na festiwal polskiej kultury do Halle, gdyż oskarżono mnie, że prowadzę teatr skinów, czyli narodowców. Później byłem przepraszany. Przejmowałem się tym bardzo. To była niezła lekcja. Czas dopiero pozwolił mi zrozumieć, że tak na świecie bywa. Krok do przodu, a często dwa w tył. Polubiliśmy się bardzo i mam wśród nich dorosłych już przyjaciół. Kilku nie udało się uratować. Zgubił ich alkohol i narkotyki. Żal!

Zmieniło się też moje życie. Byłem zapraszany na poważne międzynarodowe konferencje dotyczące problemów współczesnej młodzieży. Pokazywałem filmy z naszej pracy w Niemczech, USA, Francji, Austrii, na Białorusi. Ciągle musiałem odpowiadać na pytanie, dlaczego mi się udało?

Sądzę, że znaleźli we mnie szorstkiego i surowego tatę. Jestem ojcem dwóch synów. Byli wtedy w ich wieku. Jestem aktorem, więc potrafiłem mówić ich językiem. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, że młodzi chłopcy mogą zniszczyć moją miłość — teatr i nigdy ich nie okłamałem.

Oto krótka opowieść o dziwnym zdarzeniu, które trwało cztery lata. Byłem zmęczony. Próbowałem odpocząć od pracy "pedagogicznej". Jednak coś zostało zasiane i zacząłem w 1996 roku pracę z leczącymi się z uzależnienia narkomanami. Spędziłem z nimi dwa lata. Stworzyliśmy dwa przedstawienia, otrzymałem tytuł "Wolontariusza 1996 roku". Miałem wśród pacjentów "aktorów" również ludzi z Kijowa, Moskwy, Bratysławy i Petersburga. Wielu z nich już nie żyje. Wszedłem w problem bólu XXI wieku. Narkomania. Tym, którzy chcieli zwyciężyć nałóg, teatr bardzo pomógł, lecz płakaliśmy po tych, którzy odeszli. Było ich ponad 80%. Straszne. Nigdy nie zapomnę oczu matki, której syn został neofitą (wyszedł z uzależnienia). Mówiła, że czuje się tak jak wtedy, kiedy podali jej go do piersi w chwilę po urodzeniu. I właśnie dla takich chwil warto pracować.

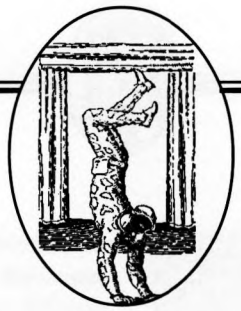

STARALIŚMY SIĘ POSŁUGIWAĆ *(RÓWNIEŻ)* ROZUMEM

Rozmowa z Erwinem Axerem

— Leon Schiller był uczniem Craiga i admiratorem Reinhardta, czerpał dużo z Piscatora, łącząc to wszystko ze spadkiem po Mickiewiczu, Krasińskim i Wyspiańskim.

— Do tego trzeba by dodać Appię i całe dziedzictwo reformatorskie. Także Meyerholda, a zwłaszcza Wachtangowa. Trudno powiedzieć tak po prostu, że Schiller był uczniem Craiga. Niewątpliwie do końca życia czcił go. Był to sentyment młodości. Za największego reżysera pierwszej połowy XX wieku uważał Reinhardta. Tak nam przynajmniej mówił w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej.

— Pan był uczniem Leona Schillera, postrzeganym jako buntownik wobec Mistrza. W takim razie z jakich pan czerpał tradycji?

— Czerpałem z Schillera. W pierwszych pracach zarzucano mi jego wpływ. To normalne. Uczeń bez trudu naśladuje mistrza i miewa niezasłużone sukcesy. Do dzisiaj na przykład potrafiłbym robić bez trudu sceny zbiorowe w stylu Schillera. Własne robię gorzej i z większym trudem. Później na mój sposób widzenia teatru i uprawiania teatru wpływ miała wojna. Przez sześć lat zdobyłem różne doświadczenia, przez zetknięcie z ludźmi i zdarzeniami, ze szczęściem i nieszczęściem, z katastrofami, mechanizmem historii, wszystko przeżywane "z pierwszej ręki" niejako. To kazało mi uprawiać teatr na inny sposób niż Schiller, mniej estetyczny może. Po wojnie zrobiłem dwa albo trzy przedstawienia, których realizm, zwłaszcza traktowanie mowy ludzkiej, dla mnie samego były niespodzianką. Kiedy zobaczyłem niektóre filmy amerykańskie z ostatnich dwóch albo trzech lat wojny i z pierwszych dwóch, trzech lat po wojnie, a zwłaszcza filmy włoskich neorealistów, zobaczyłem, że mój sposób odczuwania rzeczywistości współdźwięczy z nimi. Mam na myśli na przykład adaptację *Starej cegielni* Iwaszkiewicza.

— Przez trzydzieści lat był pan dyrektorem Teatru Współczesnego w Warszawie.

— Trzydzieści pięć, bo teatr zmienił nazwę. Założony był w roku 1945 w Łodzi przez Michała Melinę. Ja nastałem w roku 1946, a w roku 1949 przeniesiony został do Warszawy. Ponieważ w Warszawie był już teatr nazwany, tak jak nasz, Kameralnym, więc nadaliśmy mu inną nazwę – Współczesny. Ale przenieśliśmy zespół aktorski, kierownictwo, nawet niektórych członków ekipy technicznej. Zrazu pracowali w Warszawie ci sami scenografowie: Daszewski, Kosiński, Otto Axer.

Później znaczny wpływ na moje inscenizacje, począwszy od *Kariery Arturo Ui*, do samego końca, wywarła Ewa Starowieyska, wówczas wychowana w estetyce teatralnej Konrada Swinarskiego. W ciągu lat współpracy połączyła styl wywodzący się z antyestetyzmu lat 50. z nowymi doświadczeniami. Inaczej niż w swoich inscenizacjach, dokonywanych poza mną, na przykład w spektaklach operowych, "przydeptywała gardło swojej muzie", koncentrując się na dekoracjach i inscenizacjach ekonomicznych, ograniczonych do kompozycji elementów realistycznych lub oszczędnie malarskich, które pozostawiały szerokie pole dominacji aktora w skomponowanym dla niego kostiumie.

— Pisał pan, że "każdy zespół teatralny to osobny instrument, który można odróżnić po brzmieniu". Tak było, nim film i zwłaszcza teatr telewizyjny spowodowały "urawniłowkę". Jakie brzmienie chciał pan nadać zespołowi Teatru Współczesnego?

— Brzmienie powstaje samo, wynika ze współpracy aktorów, reżysera i autorów, których się grywa. Ze współdziałania aktorów z reżyserem, gdy mowa o autorach nieżyjących. Nasuwa się metafora: instrumentaliści, dyrygent, kompozytor. Wracając do teatru, nie można tu mówić tylko o mnie. Jerzy Kreczmar, z zawodu filozof i dramaturg, później także reżyser. On to w dużej mierze, na równi z eseistą Jerzym Stempowskim oraz dyrektorem teatru i dramaturgiem, także poetą i pisarzem Wilamem Horzycą i jak już powiedziano, Schil-

lerem, wpłynęli na moją formację umysłowo-teatralną. Kreczmar był osobą wyjątkowej oryginalności umysłu i zrobił też kilka wybitnych przedstawień teatralnych. Wprowadził do teatru polskiego Becketta wybitnym przedstawieniem *Czekając na Godota*, nadał nowy kierunek interpretacji Fredry, był autorem zaledwie odnotowanej, a jedynej w swoim rodzaju próby interpretacji I, II i IV części *Dziadów* Mickiewicza.

W późniejszych latach pewien wpływ wywarł na mnie mój student, a później przyjaciel, uczeń Brechta, Konrad Swinarski. Odzywała się w nim formacja Schillera. Był zafascynowany Mickiewiczem, Słowackim, Krasińskim, Wyspiańskim. Swinarski był moim asystentem w Teatrze Współczesnym, również współautorem koncepcji plastycznej *Arturo Ui*. W pewnym okresie umożliwiłem mu dłuższy pobyt u Brechta. Później sam, z jego doświadczeń tam nabytych i sposobu myślenia, korzystałem we własnym myśleniu o teatrze. Byli jeszcze inni, na przykład Michał Melina, aktor i dyrektor teatru, także reżyser. Formował mnie jako dyrektora w pierwszym dziesięcioleciu działalności. Także czołowi aktorzy, wśród nich na pewno: Łomnicki, Fijewski, Mikołajska i wielu innych jeszcze, przez samą współpracę niewątpliwie wpływali na mój sposób myślenia o teatrze.

— Pana teatr określany był jako "kameralny, intelektualny i literacki"...

— Kameralny był niewątpliwie. Z konieczności. Dysponowałem, przynajmniej w Polsce, małą sceną i widownią, na której można było umrzeć z gorąca i duchoty. Za granicą miałem do dyspozycji sceny duże albo przynajmniej średnich wymiarów, także klimatyzowane sale. Na dużej scenie, wbrew pozorom, łatwiej inscenizować. Mała scena wymaga stosunkowo dużych umiejętności "manualnych". Ale teatr, który uprawiałem, zarówno na dużej scenie wiedeńskiego Burgu albo Teatru im. Gorkiego czy też Residenztheater, zawsze był teatrem kameralnym w tym sensie, że chciałem świat i autorów pokazywać poprzez aktora przede wszystkim. Jeśli chodzi o miano "intelektualny", uważam to określenie za głupawe. Współczesny nie był teatrem "intelektualnym", siebie też nie uważam za intelektualistę. Brak mi na to kwalifikacji. Po prostu staraliśmy się posługiwać (również) rozumem. Literacki – znaczy to zapewne, że zajmowaliśmy się głównie tekstami, które zostały napisane dla teatru. Staraliśmy się unikać grafomanii na marginesie sztuk, tak chętnie, nie tylko dzisiaj, uprawianej przez reżyserów-grafomanów. Nigdy nie wystawialiśmy sztuk z tej wyłącznie przyczyny, że są wybitne. Unikaliśmy tym sposobem przedstawień martwych, w miarę możności przynajmniej. Robiliśmy to, co nas obchodziło, mam na myśli siebie i Jerzego Kreczmara, i zakładaliśmy, czasami trafnie, że będzie to również obchodziło innych. Proszę pamiętać, że był to czas cenzury, czasem twardej, częściej miękkiej (w stosunku do cenzury w ZSRR — zawsze miękkiej). Wszystko polegało na rodzaju niepisanej umowy pomiędzy władzą a tymi, którzy po części z nią kolaborowali, po części się jej sprzeciwiali. Rozsądek polegał na tym, żeby kolaborować w sprawach mało ważnych, a sprzeciwiać się w sprawach istotnych. Nacisk społeczeństwa był dość silny i władza do roku 1948 włącznie, a potem po śmierci Stalina, bywała ustępliwa.

Niewidoczna ręka ZSRR nie wszędzie działała. Po śmierci Stalina rozpoczął się, generalnie rzecz biorąc, proces oddawania mniej ważnych pozycji polskiemu społeczeństwu. Teatr, w przeciwieństwie do filmu, ze względu na mniejszy zakres oddziaływania, nie był poddany szczególnie ostrej cenzurze. Działając na kameralnej scenie, źle wyposażonej, Teatr Współczesny przeze mnie prowadzony, miał znacznie większą swobodę działania niż teatry reprezentacyjne, za które w Warszawie uważano Teatr Polski i Narodowy. To między innymi było przyczyną, dla której w pewnym momencie zrzekłem się Teatru Narodowego, który przez cztery lata prowadziłem w symbiozie ze Współczesnym.

— Twierdził pan, że nie tyle tekst jest ważny, że o wszystkim decyduje sposób realizacji.

— To prawda. Dokonywaliśmy też wcale niebagatelnych skrótów, a nawet wtrętów, gdy uważaliśmy, że mamy do czynienia z utworem, który tego wymaga. Zakładaliśmy jednak, że istnieją pewne zasady traktowania utworów i że nie podcinamy konarów drzewa, na którym siedzimy. Niemniej powiedziałem już i myślę, że się tego w zasadzie trzymaliśmy, że nie wybierano we Współczesnym utworów, które nas, decydujących o teatrze, nie obchodziły.

Wszystko, co mówię, może się wydawać, w zestawieniu z tym, co jest w Polsce nośne w obecnej chwili, albo przestarzałe, albo wybiegające naprzód. W istocie teatr dramatyczny, w przeciwieństwie do innych sztuk, nie tak bardzo się zmienia. Przestrzeń manewru jest ograniczona do dwóch instrumentów: aktora z jego anatomią i do słowa. Bo rozmawiamy przecież o teatrze dramatycznym, nie o balecie ani o teatrze operowym; o głównym nurcie teatru dramatycznego, a nie o niezliczonych odnogach tego nurtu. Nawiasem mówiąc, istnieje też coś takiego jak *couleur locale*.

— Pana sposób realizacji w latach 60. bardzo różnił się od tego panującego w czasach PRL.

— Tak mi się wydawało i dotąd wydaje. W latach 60. i późnych 50. chyba my właśnie nadawaliśmy ton. Później kilka teatrów nas naśladowało, przejmując po części nasz repertuar i styl gry. Ale tak może się wydawać z mojej perspektywy. Kto wie, może inni myślą inaczej. Zresztą dzisiaj te sprawy się zatarły i młodszym nie wydają się ważne.

— Preferował pan reżyserię "ukrytą".

— Ten styl pracy uważałem za naturalny. Starałem się tak działać, abym to nie ja chodził po scenie, a kreowane przeze mnie postacie. Starałem się, żeby inscenizacja nie stanowiła treści utworu, ale żeby treści służyła. Ubranie świadczy o człowieku, ale nie jest człowiekiem. Inscenizacja to sposób przystosowania utworu do warunków sceny, a nie temat wieczoru. Tematem wieczoru staje się, kiedy — jak w przypadku przedstawień Schillera czy Swinarskiego u nas, Strehlera, wczesnego Steina albo Brooka w Europie — pokazuje w nowym świetle utwór, ożywia ukryte w nim aktualne treści. Zresztą i wtedy utwór, a nie sama inscenizacja, staje się wydarzeniem wieczoru. Co do reżyserii "ukrytej", to dotyczy ona, jeżeli dobrze rozumiem dziennikarzy, którzy ten termin ukuli, w wyższej mierze np. *Trzech sióstr* Czechowa czy też *Wujaszka Wani*, w mniejszej *Kariery Arturo Ui* czy *Ifigenii w Taurydzie*. Łomnicki, którego eksponowałem w kilku ważnych dla niego rolach i ważnych dla Współczesnego inscenizacjach, niewątpliwie nie był instrumentem "reżyserii ukrytej".

— Spotkałam się z taką opinią, choć wiem, że pan nie bardzo przykłada wagę do opinii dziennikarskich, że Teatr Współczesny chciał mówić o tajemnicy bytu doczesnego.

— To żart. Może trafny.

— W 1962 roku odbyła się premiera jednej z pana najwybitniejszych inscenizacji, wspomnianej już w naszej rozmowie, **Kariery Arturo Ui** ***Bertolta Brechta. Jan Kott pisał w swojej recenzji o postaci kreowanej przez Tadeusza Łomnickiego; że był to podrygujący pajac, który w miarę podrygiwania zauważa, że staje się kimś, kto rządzi, a rządzi, bo podrygiwanie jest fascynujące. Czy Teatr Współczesny pracował zgodnie z maksymą, że współczesna sztuka przede wszystkim ma demistyfikować?***

— Kott był mistrzem słowa. Nie chce mi się wchodzić w tajemnicę jego przenośni. Demistyfikował Brecht, a nie Teatr Współczesny. Zresztą zobaczyłem *Karierę Arturo Ui* w Berlinie już po śmierci Brechta. Przedstawienie umocniło mnie w chęci zrobienia inscenizacji. Brecht (dbał o swoją sławę w różnych krajach) namawiał mnie kilkakrotnie w dawniejszych czasach do zrobienia inscenizacji *Matki Courage* w Warszawie. Uważałem słusznie, że nie mam szans na rywalizację artystyczną z jego przedstawieniem. Miał ode mnie większy talent i większe środki.

Arturo Ui prowokował do polemiki. Przedstawienie Berliner Ensemble było niezgodne z myślą autora, konformistyczne w stosunku do ideologii rządzącej w NRD partii. Miało charakter pamfletu na hitleryzm i wyłącznie na hitleryzm. Dysponując większą swobodą polityczną, zrobiłem spektakl, jak chciał zresztą Brecht *quasi*—szekspirowski o znacznie szerszej wymowie. To się komponowało z naszym doświadczeniem stalinizmu.

Kiedy robiłem *Karierę Arturo Ui* w Leningradzie u Towstonogowa, a były to już lata 60., przyszedł ktoś i powiedział: "My dobrze wiemy, kto dziatki na ręku piastował". Każdy dyktator bierze niemowlaka na ręce i każda dyktatura różne niemowlaki, więc nasza inscenizacja w Rosji dobrze wkomponowała się w klimat zmarłego Stalina i z wolna sztywniejącego Chruszczowa.

Towstonogow z początku miał kłopoty z moim przedstawieniem. Na próbę generalną przyszedł nawet członek Biura Politycznego i zapytał mnie: "Poczemu etot Hitler dierżyt ruki na rodnych czastiach?", na co powiedziałem: "Potomu czto Hitler tak i dierżał ruki", na co otrzymałem odpowiedź: "Nasz narod k etomu nie priwyk" – potem już groźnie – "I prywykat' nie nużen". Myślałem, że nam zdejmą przedstawienie, ale Towstonogow machnął ręka i powiedział, że on tak musi. I rzeczywiście, przedstawienie szło z powodzeniem przez lata całe. Kiedy po dziesięciu latach ujrzałem fragment, sam go już nie poznałem. Tylko dekoracje, kostiumy i muzyka zostały te same. No i główną rolę grał nadal Żenia Liebiediew.

W Polsce inscenizowanie sowieckich sztuk było dość trudne, ponieważ jedyną rzeczą, której się polskie władze śmiertelnie bały, to było podpaść sowieckiej władzy. Nigdy nie można było przewidzieć, co się nie spodoba ambasadzie. Robiłem swego czasu *Irkucką historię*, komediowo, z wybitnym aktorem farsowym Mieczysławem Czechowiczem jako protagonistą, z Martą Lipińską jako protagonistką i o mało nie było awantury na skalę ogólnopolską. Wezwali mnie do KC i powiedzieli, że kpimy z świętości. Program skonfiskowali z powodu kombajnu, który narysował Starowieyski. Na szczęście przyjechał autor i powiedział, że całe życie marzył o tym, żeby to zagrać farsowo, tylko mu w ojczyźnie nie dali. To zdecydowało. Na naszą korzyść.

— Czy rosyjski MChAT miał wpływ na styl pana pracy w teatrze?

— Myślę, że nie. W pewnym momencie nazywano nas "MChAT-em spod kościoła", bo nasz teatr był obok kościoła Zbawiciela, ale to aktorzy i dyrekcja Teatru Polskiego tak nas nazwali. Teatr Polski był wtedy bardzo tradycyjny, deklamacyjny, a nasze intonacje uchodziły za nowoczesne. W rzeczywistości, jak mi się wydawało i jak o tym już wspomniałem, współbrzmieliśmy raczej z włoskimi filmami. Uważam to zresztą za przyczynę, dla której reżyserzy filmowi tak chętnie wówczas obsadzali aktorów z naszego zespołu. Nie ukrywam, że MChAT, który oglądałem po raz pierwszy w roku 1949 zrobił na mnie duże wrażenie, ale raczej jako zmumifikowana historia teatru, żywa tylko w intonacjach kilku wielkich aktorów. W pewnej inscenizacji współczesnej sztuki, to była *Zwykła sprawa* Tarna, z niejakim powodzeniem wypróbowałem metodę działań fizycznych, formułowaną przez Stanisławskiego pod koniec jego działalności, a reklamowaną przez Kiedrowa. To ograniczona metoda, niemniej dla sztuki Tarna, napisanej w technice filmowej, wcale niezła.

— Od 1962 roku zaczął pan regularnie reżyserować poza granicami kraju: w Niemczech Zachodnich, Austrii, Szwajcarii, Holandii i ZSRR. Z jakimi rosyjskimi teatrami i twórcami pan współpracował?

— W Leningradzie z Wielkim Teatrem Dramatycznym im. Gorkiego i dyrektorem Gieorgijem Towstonogowem. Pojechałem do Stanów Zjednoczonych, a on akurat w tym czasie przyjechał do Polski i obejrzał *Karierę Arturo Ui*. Ta inscenizacja była dość efektowna. Rosjanie lubią gwałtowne efekty, ostro zarysowane role, zaskakujące pointy. Przedstawienie spodobało się Georgijowi Aleksandrowiczowi, było na czasie. To, że zaprosili mnie do Nowego Jorku Amerykanie, wzmocniło nasze walory dla ZSRR i pomogło Towstonogowowi uzasadnić moją kandydaturę.

Pojechaliśmy z Ewą Starowieyską, która robiła scenografię. Zbigniew Turski napisał muzykę, opartą na trawestacji Wagnera. Towstonogow dał nam bardzo mocną obsadę. Przedstawienie miało sukces. Zaprzyjaźniliśmy się z Towstonogowem i teatrem. To był najlepszy zespół, z jakim kiedykolwiek miałem do czynienia jako reżyser. Byli u szczytu formy. Dorównywali najlepszym w tym czasie zespołom angielskim.

Mój przyjaciel i współpracownik Jerzy Kreczmar mawiał, że dobry teatr ma być jak wojsko: w pracy ma być hierarchia, niezależna od przyjaźni "po służbie". Współpraca, ale i dyktatura. Rosjanie mieli to dane w wysokim stopniu, osiągali świetne wyniki artystyczne. Paradoksalnie zawdzięczali (moim zdaniem) idealny, choć rozrzutny, system teatralny brutalnemu ustrojowi społecznemu.

Akceptowałem w teatrze to, czego nie akceptuję w społeczeństwie i nadal życzyłbym sobie tego w teatrze. Sam, w latach 60. utrzymywałem taką sytuację w Teatrze Współczesnym dzięki doskonałej dyscyplinie aktorów, ich kulturze i wychowaniu wywodzącym się jeszcze z czasów przedwojennych. Nasz system wymagał jednak nieporównanie większych zachodów dyplomatycznych i większej ofiary z własnego czasu aniżeli system rosyjski. Dzięki temu mogłem, wbrew pozorom, narzucić własne wymagania, nawet niezależnym skądinąd artystom, takim jak Mikołajska, Łomnicki, Łapicki, Czechowicz, Wołłejko, Michnikowski, Śląska, Fijewski czy Borowski. Z tym, że w Rosji zależność aktora od kierownictwa artystycznego i reżysera, zgodnie z feudalnymi tradycjami, była jawna, w Polsce – skryta w dyskrecji wewnątrzteatralnej.

U Towstonogowa robiłem jeszcze dwie sztuki, ale żadna nie była aż tak dostosowana do upodobań publiczności i aktorów jak *Arturo Ui*. Zabawny incydent miał miejsce przy realizacji *Naszego miasta* Wildera. W pewnym momencie padają tam słowa skierowane do publiczności: "Czy państwo pamiętają jeszcze, co to była religia chrześcijańska?". Obecni na jednej z ostatnich prób, widzowie zaszumieli, a Towstonogow złapał się za głowę i powiedział, że będą kłopoty. Wcześniej oglądał sztukę w Nowym Jorku, ale ta kwestia mu uciekła. Na szczęście wszystko działo się podczas spotkania przywódców ZSRR i USA w Wiedniu — stąd amerykańska sztuka na scenie rosyjskiej i stąd pewna pobłażliwość władz.

Sama sztuka, jak mi się wydaje, nie była przyjęta z pełnym zrozumieniem. Jest tam mowa o życiu i śmierci. Też o tęsknocie za życiem dawniejszym: unormowanym, uporządkowanym, z perspektywy – w miarę – szczęśliwym. W Polsce *Nasze miasto* miało wielkie powodzenie, gdyż była jeszcze pamięć normalnego życia sprzed roku 1939. W ZSRR, tak mi się przynajmniej wydawało, nie bardzo już było do czego się odwołać. Chyba do bajki.

— Po sukcesie *Kariery Arturo Ui* Towstonogow zaproponował panu wystawienie polskiej klasyki.

— Zaproponowałem *Kordiana* Słowackiego. Kiedy Towstonogow przeczytał tekst, powiedział, że w żaden sposób nie możemy tego zagrać. Myślałem, że poemat jest zbyt "nacjonalistyczny", narodowy, a

on mówi: "Nie, tylko że cara atakują, Mikołaja I. Dla naszej młodzieży car to świętość, rozniosą mi teatr!" Dla mnie to była niemała niespodzianka. Chyba mnie pani rozumie. No więc zaproponowałem *Wesele* Wyspiańskiego. Znaleźliśmy niezwykłego tłumacza. W pokoju zawalonym po sufit książkami powitał nas atletyczny pan niskiego wzrostu i zaprosił do stołu. Żona o kilkadziesiąt lat młodsza, biegała po drabinie, podając książki i równocześnie szykowała smakołyki. Okazało się, że ten pan tłumaczy z szesnastu języków. Bardzo dobre przekłady. Kiedy spytałem, skąd taka znajomość języków, powiedział, że wszystko zawdzięcza Stalinowi. Był szlachcicem. Stalin zesłał go na Syberię na lat szesnaście, zdaje się. Wolno go było od czasu do czasu odwiedzać. Żona przywoziła mu książki (poprzednia żona). Pięć czy sześć języków znał z domu, reszty wyuczył się na zesłaniu z tych książek. Był zadowolony z życia i lubił, jak pamiętam, jeść.

Ale kiedy Towstonogow przeczytał przekład *Wesela*, oświadczył, że i tej sztuki nie możemy zagrać, bo wynika z niej czarno na białym, że krajem powinna rządzić inteligencja, a "chłop potęgą jest i basta", ale do rządów się nie nadaje. W dzisiejszej Rosji, mówił Towstonogow, inteligent jest bez szans. Może zostać co najwyżej krytykiem teatralnym, ot i wszystko.

***— To ciekawe, że Rosjanie natychmiast zauważyli ten problem w* Weselu.**

— Nie Rosjanie, a Towstonogow. W Polsce niektórzy widzą ten problem w *Weselu*, ale się tym nie przechwalają. Chłopów jest u nas dużo, inteligentów niewielu.

— Towstonogow lubił używać określenia "pribałtijskij awangard". Może pan to wytłumaczyć?

— Myślę, że chodziło o tęsknoty formalne reżyserów łotewskich i estońskich w głównej mierze. Teatry tamtejsze, dalekie od centrali, cieszyły się nieco większą wolnością artystyczną niż sceny moskiewskie czy leningradzkie. Reżyserzy mieli oparcie nie tylko w dorobku teatrów rosyjskich. Nieobce im były tradycje niemieckiego ekspresjonizmu, europejskiej myśli teatralnej. Istniejące, mimo wszystko, znaczne ograniczenia ideowe sprawiały, że nierzadko dochodziło do wybujałych, czasem dziwacznych pomysłów formalnych. Jakby ci reżyserzy chcieli powiedzieć: Dajcie nam tylko wolność, a pokażemy wam rzeczy, od których oko zbieleje.

— No i...

— I rzeczywiście zbielało. Nie raz jeden.

— A jak to było w Polsce?

— Polskę uratował względny liberalizm, pewna swoboda działania, którą cieszyły się nasze teatry. Mogliśmy sobie na dużo pozwolić i po zmianie ustroju nie musieliśmy zdawać wstępnych egzaminów do Europy.

— Wprowadził pan na polskie sceny najwybitniejszych dramaturgów amerykańskich i zachodnioeuropejskich. A co pan wystawiał z dramaturgii rosyjskiej?

— Robiłem cztery razy Czechowa w Warszawie, Wiedniu, Monachium, Düsseldorfie: *Trzy siostry, Wujaszka Wanię, Mewę, Na dnie* Gorkiego w Berlinie, *Potęgę ciemności* Lwa Tołstoja w Warszawie. W Warszawie także *Irkucką historię* w swoim czasie i to bez przykrości, jak już mówiłem. Najbliższy mi z rosyjskiej literatury dramatycznej był zawsze i jest Czechow, ale interesuje mnie odkrywanie jego prawdziwych, rzeczywistych partytur. Partytury Czechowa, może poza *Wujaszkiem Wanią*, są na pozór luźne i reżyserzy wyzyskują tę okoliczność dla brutalnej, często prymitywnej ingerencji. W rzeczywistości to finezyjnie rozpisane konstrukcje teatralne.

Ze swoich przedstawień lubię warszawskie *Trzy siostry* i monachijskiego *Wujaszka Wanię*. Innych zresztą też się nie wstydzę. Wydaje mi się, że berlińskie przedstawienie *Na dnie* było przyzwoite. Dramaturdzy teatru, z typowym dla Niemców powierzchownym koniunkturalizmem, usiłowali reklamować sztukę jako argument przeciwko rzekomej nędzy mieszkaniowej w Berlinie. Co do mnie, tekst Gorkiego odczuwam jako w gruncie rzeczy pochwałę wolności. Ani to skarga na nędzę, ani apoteoza pracy, a sytuacja mieszkaniowa w Berlinie Zachodnim wydawała mi się wówczas luksusowa, nawet w wymiarze zachodnioeuropejskim. Wolny Berlin żył z subsydiów.

— A czym mógłby pan wytłumaczyć tak olbrzymią fascynację rosyjską literaturą i dramaturgią współczesnych polskich dramatopisarzy, takich jak Mrożek, Głowacki, Wojtyszko, Słobodzianek?

— Wielcy rosyjscy pisarze wpływali oczywiście na Polaków od XIX wieku począwszy, aż po Iwaszkiewicza i Miłosza w wieku XX. Wymienionych przez panią dramatopisarzy interesowała raczej polemika. Fascynacji nie dostrzegam. Mrożek oczywiście zna Czechowa, ale nie wiem, czy go sobie stawia za wzór.

***— Napisał* Miłość na Krymie...**

— Tę sztukę trudno określić jako produkt fascynacji. To produkt satyryka raczej. Stara i nowa Rosja w optyce kabaretu.

Rosjanie mają kilku pisarzy największego formatu. Żadna kultura europejska nie pozostała wobec nich obojętna: Tołstoj, Puszkin, Dostojewski, Czechow, Gorki, Turgieniew.

Jak wielu reżyserów, czytam niestety niewiele, ale zawsze wracam do *Wojny i pokoju,* do opowiadań Czechowa, czasem do *Biesów*, do *Zbrodni i kary*, do *Dzienników* Tołstoja i Dostojewskiego.

Dostojewskiego, co prawda, nie bardzo lubię. Jest mi obcy. Trochę mnie brzydzi, trochę drażni jego sposób widzenia ludzi wydziedziczonych i żądania wysuwane z tego powodu wobec Boga. Te pretensje do Pana Boga to chyba rodzaj pychy. Także wielkoruska misja w stosunku do reszty świata jest mi głęboko obca. Ale jak powiedziałem, jestem niezbyt oczytanym dyletantem i być może źle rozumiem pisarza.

— Jest pan przecież wybitnym reżyserem...

— Oczywiście podzielam pani opinię, ale może się mylimy oboje. Teatr nie jest sztuką "czystą", wymaga związku z publicznością, a z wiekiem te związki się rozluźniają. Niedawno zrobiłem przedstawienie *Wielkanocy* Strindberga. Miało publiczne próby generalne przyjęte entuzjastycznie i jeszcze ze trzy do pięciu spektakli dobrze albo bardzo dobrze przyjętych. W sumie nawet nie dwa tysiące osób. A potem już nie stało publiczności, a co najmniej publiczności we właściwym tego słowa znaczeniu.

— Cały czas pan pisze...

— Coś jednak muszę robić.

— Pana felietony, eseje czy wspomnienia spotykają się z dużym uznaniem czytelników. Porównywane są nawet do prozy Czechowa. Większość wydana została w książkach: **Listy ze sceny, Sprawy teatralne** ***i*** **Ćwiczenia pamięci.** ***Czy planuje pan w najbliższym czasie wydanie kolejnej?***

— Na przełomie września i października powinien wyjść czwarty tom *Ćwiczeń pamięci*, ale to nie są wspomnienia, tylko w rozmaity sposób konstruowane krótkie opowiadania.

— Koniecznie musimy wspomnieć o jednym z najważniejszych autorów, z którymi pan współpracował. Chodzi o Sławomira Mrożka. Pana inscenizacja **Tanga** ***z 1965 roku do dzisiaj uchodzi za najlepszą. Jak pan sądzi, dlaczego nikt nie próbuje napisać współczesnego*** **Tanga?**

— Pytanie z gatunku tych, na które chyba nie ma odpowiedzi. Archetypem dla dwudziestego stulecia jest w Polsce *Wesele* Wyspiańskiego. Kolejni polscy autorzy, wybitni lub ambitni, piszą swoje własne *Wesele*. Odpowiedzią na *Wesele* jest *Ślub* Gombrowicza, *Popiół i diament* Andrzejewskiego, próbą odpowiedzi jest *Rzecz listopadowa* Brylla. Kiedy brałem się za *Tango*, widziałem w tej sztuce i widzę dotychczas współczesną "mrożkową" wersję *Hamleta*. Robiłem też, co nie wszyscy spostrzegli, przedstawienie wbrew pozorom nierealistyczne, rozbudowane symetrycznie według klasycznych wzorów, przebite groteską. Z drugiej strony i tam widziałem i widzę współczesną replikę *Wesela*. Nie na darmo *Tango* kończy się tangiem. Chocholim tańcem. Ktoś niewątpliwie napisze nowe *Wesele*, nową wersję archetypu albo nowy archetyp.

— Od pewnego czasu scenami światowymi zawładnęli tak zwani brutaliści. Co pan sądzi o takim sposobie demistyfikacji rzeczywistości?

— Od czasu do czasu oglądam coś w Polsce lub za granicą, ale zbyt mało, bym mógł się mądrzyć na ten temat.

— A co pan sądzi o współczesnej publiczności teatralnej?

— W Polsce, obawiam się, nie ma publiczności teatralnej *sensu stricto*. Publiczność się rozproszyła. To funkcja układów społecznych, ale i teatrów, z których niewiele ma własne oblicze. Jest trochę publiczności młodej, ale nie wiem, czy to publiczność ściśle teatralna, czy raczej cząstka wrażliwa na to, co w przedstawieniach jest odbiciem kultury masowej. Ta publiczność reaguje na obecność na scenie swoich rówieśników, słabo nieraz rozróżniając pomiędzy obecnością artystyczną a biologiczną tylko.

W Polsce, zarówno w głowach publiczności, jak i na scenie, silnie obecny jest mit nowego i dawnego czasu. W czasach przemiany to się chyba zawsze zaznacza. Wielu jest powołanych, często tylko we własnym mniemaniu, do sprostania nowym czasom. To słuszne. W rzeczywistości jednak czasy z a w s z e są nowe, a zarazem n i g d y nie są nowe.

Rozmawiała
Sylwia Frołow

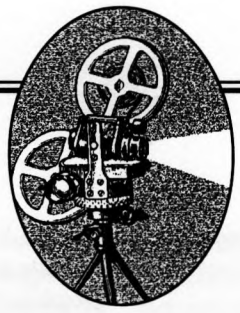

Janina Kumaniecka

POWRÓT KINA ROSYJSKIEGO

Wenecki Złoty Lew dla debiutanckiego filmu *Powrót* Andrieja Zwiagincewa to wielki osobisty triumf rosyjskiego autora. Ale nie tylko. Prasa rosyjska potraktowała ten akt jako zwycięstwo rosyjskiego kina i „przełamanie panującego w Rosji stereotypu głoszącego, że Rosjanie przegrywają festiwale z powodu powszechnego niezrozumienia ich kultury."

Niezależnie od tego, jaka jest przyczyna zjawiska, film rosyjski rzeczywiście rzadko gości na światowych ekranach, a chyba jeszcze rzadziej na polskich. Przyczyn można wymieniać wiele, choć brak zrozumienia dla rosyjskiej duszy będzie akurat powodem ostatnim. Komercjalizacja może tłumaczyć jego nieobecność w kinach, ale nie zawsze w telewizji. Można powoływać się na przesyt z poprzedniej epoki, kiedy film dobry to był film radziecki. Teraz z kolei przyjdzie nam chyba przełamywać odwrotne stereotypy i uznać, że niejeden film rosyjski jest wart o wiele więcej niż amerykańskie „łubudu", jak to malowniczo określa „Gazeta Wyborcza". Nigdy nie sądziłam, że z sentymentem będę wspominać Dni Filmu Rosyjskiego...

Na ekranach kinowych w Polsce ostatnim rosyjskim filmem była *Rosyjska arka* Aleksandra Sokurowa, która zresztą bardzo szybko spadła z repertuaru. Teraz wchodzi *Dom wariatów* Andrieja Konczałowskiego. Więcej nic w zapowiedziach nie widzę.

Niewiele lepiej przedstawia się sytuacja w telewizji. Czasami pojawiają się jakieś gangsterskie opowieści z podziemnego życia Petersburga, kryminalne seriale oparte na powieściach Joanny Chmielewskiej (pewnie ten polski akcent sprawił, że znalazły się w naszej TV). Czasami trafia do rozmaitych „okienek" rosyjska i radziecka klasyka. Bodajże jedynym współczesnym filmem rosyjskim w polskiej telewizji był ostatnio *Brat* Aleksieja Bałabanowa z największym chyba gwiazdorem filmowym dzisiejszej młodej Rosji, Siergiejem Bodrowem w roli głównej. Był jeszcze *Muzułmanin* Władimira Chotinienko z 1995 roku na kanale „Europa, Europa", a TVP zaprezentowała w bardzo późnych godzinach nocnych kilka filmów „pieriestrojkowych" Kiry Muratowej. No i, zaraz po zejściu z ekranów, *Cyrulika syberyjskiego* Nikity Michałkowa. Ten niedostatek filmów rosyjskich jest tym bardziej zaskakujący, że wcale nie oznacza braku zainteresowania dla rosyjskiego tematu. Dokumenty i reportaże zza wschodniej granicy cieszą się ogromną uwagą, chociaż może nie osiągają rekordów oglądalności. Wymieńmy tutaj chociażby znakomity polski cykl *Szerokie tory*, czy inne, brytyjskie przede wszystkim filmy dokumentalne.

Tymczasem uznani za największe indywidualności z żyjących rosyjskich reżyserów bracia Konczałowscy, tworzą głównie za granicą filmy komercyjne. Dopiero najnowszy film (z roku 2002) starszego z braci, Andrieja Konczałowskiego, *Dom wariatów* to poruszająca opowieść z wojną czeczeńską w tle, którą jedni uznali za „metaforę upadku komunizmu", inni jednak dojrzeli w tym filmie „przejmującą opowieść o całym okrucieństwie świata" a także „film, który uwodzi siłą czarnego humoru, patosu, poetyckości." *Dom wariatów* zrywa z hollywoodzką stylistyką, a autor zarzeka się, że nigdy już do niej nie powróci, bo w Hollywood trudno zachować duszę...

Młodszy z braci, Nikita Michałkow, we freskach historycznych o wielkiej sile oddziaływania w odczuciu jego rodaków coraz częściej sprzedaje obraz rosyjskiej duszy takiej, jaką chcieliby widzieć i byliby skłonni przyjąć zachodni widzowie. Już budzący tak wielki zachwyt także w Polsce, wyróżniony Oscarem dla filmu nieanglojęzycznego obraz *Spaleni słońcem* z 1994 roku, w ojczyźnie realizatora budził duże opory. Przedstawione w tym filmie życie prześwietlone Czechowowską poświatą niczym dymną zasłoną, w które dopiero w późnych latach trzydziestych wdziera się brutalnie radziecka rzeczywistość, uznane zostało za obraz mało realistyczny, by nie powiedzieć zakłamany. Zaś *Cyrulik syberyjski*, z jego apoteozą zdrowego rosyjskiego ludu i silnej władzy oświeconego caratu wzbudził zachwyt zawsze skorych do podziwu dla rosyjskich mocy Francuzów, ale już mniej spodobał się w Polsce, a o wiele mniej w samej Rosji,

mimo odradzających się tam wielkomocarstwowych i wielkorosyjskich tendencji. Może po prostu na takie filmy chodzi inna publiczność...

U boku mistrzów wyrosło i dojrzało sporo nowych talentów, a jednym z największych zdaje się być Andriej Zwiagincew, autor nagrodzonego w Wenecji *Powrotu*. Był to jeden z rzadkich ostatnio festiwalowych werdyktów, który nie wywołał niczyjego sprzeciwu, chociaż gospodarze, Włosi mieli też swojego znakomitego kandydata do tej nagrody. Był nim film Marka Bellocchio *Dzień dobry, nocy*, ascetyczna opowieść o porwaniu przez grupę terrorystów i śmierci Aldo Moro, wieloletniego premiera kraju, zrealizowana na podstawie pamiętnika spisanego przez jedną z terrorystek.

Andriej Zwiagincew urodził się w 1964 roku w Nowosybirsku. Skończył wydział aktorski moskiewskiej Państwowej Szkoły Teatralnej i jako aktor brał udział w rozmaitych niezależnych produkcjach dla kin i telewizji. W roku 2000 zadebiutował jako reżyser trzyodcinkowym serialem telewizyjnym *Czarny pokój*. *Powrót* to jego pierwszy kinowy długometrażowy film fabularny. To także pierwszy taki film wyprodukowany w REN FILMIE, niezależnym zespole produkcyjnym, do tej pory specjalizującym się w realizacji rozmaitych materiałów filmowych dla telewizji. W roku 2001 szef studia, Dmitrij Leśniewski, otrzymał nagrodę rosyjskiego Stowarzyszenia Dziennikarzy jako „najlepszy producent TV". Ambicją studia jest umożliwienie debiutów młodym i nieznanym talentom, których filmy mogą zainteresować współczesna widownię.

Nim jeszcze film Zwiagincewa trafił na festiwal do Wenecji, walczyły o niego inne prestiżowe imprezy filmowe. Poprzedziła go fama, mówiąca o tym, że w Rosji powstało dzieło wybitne. Producent długo się zastanawiał, ale w końcu wybrał Wenecję, uznając, że nagroda na tym festiwalu zapewni filmowi najlepszy start do światowej czołówki. Może zresztą zaważyła także i tradycja. Tutaj rozpoczęła się światowa kariera przyjaciela braci Konczałowskich, a duchowego mistrza Zwiagincewa, Andrieja Tarkowskiego, który nagrodzony został weneckim Złotym Lwem za swój debiutancki film *Dzieciństwo Iwana*.

„Realizując ten film nie myślałem o stworzeniu realistycznego obrazu codzienności życia, nie interesował mnie także kontekst społeczny. W zamierzeniu *Powrót* jest zmitologizowanym spojrzeniem na ludzkie życie. Chciałbym, żeby widz miał tę świadomość, nim wejdzie do sali kinowej" – takie oświadczenie reżysera znalazło się w materiałach, dostarczonych prasie przed projekcją *Powrotu*. Później Andriej Zwiagincew wzbraniał się już przed tłumaczeniem czegokolwiek.

„Obiecałem sobie – stwierdził na konferencji prasowej – że nigdy nie będę tłumaczył, co chciałem przez ten film powiedzieć. Gotowe dzieło należy do widza, i tylko on może osądzić, o czym jest w nim mowa."

O czym więc mówi ten film? Rzecz dzieje się w małym miasteczku, osadzie niemal, gdzieś na północy Rosji, nad wielkim, pięknym jeziorem. Po dwunastu latach nieobecności wraca do domu młody mężczyzna. Poznajemy go, gdy leży rozwalony w małżeńskim łożu i odsypia męczącą zapewne podróż. Razem z widzem poznaje go jego dwóch synów, przyglądających się przez okno śpiącemu ojcu.

Chłopcy biegną na strych starego domu, by odnaleźć pieczołowicie przechowywane wśród biblijnych ilustracji jedyne zdjęcie ojca, jakie zachowali. Tak, to on! – stwierdzają. Szesnastoletni Andriej pamięta jeszcze jak przez mgłę, że był ktoś taki w jego życiu. Dla młodszego o dwa lata Iwana ów „odzyskany" ojciec jest po prostu intruzem, który nie wiadomo jakim prawem wtargnął teraz w niepozbawiony konfliktów, ale zrozumiały świat jego dojrzewania.

Ojciec postanawia zabrać chłopców na wycieczkę. Chcemy początkowo wierzyć, że ma to być jakaś próba nawiązania kontaktu po latach, może zdobycia serc dorastających synów. Tak zdają się uważać także zbuntowany Iwan i bardziej spolegliwy Andriej. Zaraz jednak po wyruszeniu rozklekotaną ładą zaczyna się między ojcem a synami toczyć przedziwna, niebezpieczna gra. Ojciec okazuje się człowiekiem bezwzględnym, który, jak się wydaje, postanowił urządzić swoim synom jakąś makabryczną szkołę przetrwania. Traktuje ich przedmiotowo, maltretuje fizycznie i psychicznie. Starszy, Andriej, próbuje wszystko jakoś załagodzić, może nawet zrozumieć. Od początku zbuntowany Iwan podejmuje otwartą walkę. Staje w obronie uderzonego brata, zamierza się z nożem na ojca i wreszcie, głęboko upokorzony, rzuca się do ucieczki. Przerażony i niespokojny o chłopca ojciec rusza za nim w pogoń. I gdy już się wydaje, że obudziły się w nim jakieś bardziej ludzkie odruchy, i wszystko może skończy się dobrze (taka irracjonalna nadzieja tkwi zawsze w każdym z nas), dochodzi do tragedii.

Fabuła filmu jest więc niesłychanie prosta. Zwiagincew obudowuje akcję mnóstwem szczegółów, które tworzą dramaturgię filmu, ale z klasyczną dramaturgią nie mają nic wspólnego. Pokazuje, referuje, ale nigdy niczego nie tłumaczy, nie stara się niczego wyjaśnić. Tak więc nie wiemy, dlaczego ów marnotrawny ojciec zniknął kiedyś z życia rodziny. Podobnie jak nie wiemy, czemu wrócił. Nie znamy motywów, którymi się kieruje, tak a nie inaczej traktując synów. Po co zabiera ich na wycieczkę na bezludną wyspę i co kiedyś na niej przeżył? Podaje fakty – ważne i mniej ważne. Ich interpretację pozostawia widzowi. Zdecydowanie zarysowane są tylko charaktery obydwóch chłopców, a dwaj młodzi aktorzy znakomicie potrafili je przekazać. Dramatyczną pointą stała się informacja, że starszy z chłopców już po zakończeniu zdjęć utonął w jeziorze, nad którym przebywała ekipa.

Co innego decyduje o tym, że jest to film wybitny. Nic w nim nie jest zupełnie proste i nie poddaje się jednoznacznej interpretacji Nie jest to na pewno zwykła rodzinna historia i nie jest to po prostu apokaliptyczna opowieść o odwiecznym konflikcie pokoleń. Tak jak nie jest to chyba film o przemianach w Rosji, chociaż prawdopodobnie tylko w Rosji mógł powstać w takim kształcie. W Rosji, w której skrajny indywidualizm jednostek połączony z szaleńczą odwagą od wieków toczył walkę z paraliżującą biernością szarej masy. W Rosji rozdzieranej między rozpaczą a nadzieją, w której przeważnie wiara była ważniejsza od myśli. Wiara w cara, w Lenina, może trochę także w prawosławną cerkiew, ale przede wszystkim w dziejowe posłannictwo własnego narodu. I wreszcie w Rosji, której wielkie przestrzenie, nieprzebyte lasy i nie dające się ogarnąć wzrokiem jeziora budzą jakiś pierwotny lęk istnienia. Wydaje się, że o tym właśnie jest ten film. O życiu w dzikim, nieokiełznanym świecie mężczyzn, który w żadnym aspekcie nie został złagodzony cywilizacyjnymi działaniami człowieka. W świecie, w którym człowiek musi być człowiekowi wilkiem po to, żeby przeżyć, a w którym miłość i czułość pozostają w sferze bardzo młodzieńczych marzeń, może w sferze zarezerwowanej dla kobiet. Ten świat nie poznał dobrodziejstw tolerancji i demokracji w życiu społecznym i politycznym, zna tylko kilka najbardziej prymitywnych mechanizmów obronnych sprowadzających się zresztą do sfery czysto fizycznej, i musi z tym trwać. Nie jest mu jednak obcy także pierwotny odruch miłości. Do dziś brzmi mi w uszach rozpaczliwy krzyk małego Iwana, gdy fale pochłaniają łódkę, w której bracia złożyli ciało martwego ojca, utraconego już w ten sposób naprawdę bezpowrotnie. To jest nadzieja.

Obserwując powściągliwość Zwiagincewa, wręcz obawę przed jakimikolwiek publicznymi deklaracjami, można odnieść wrażenie, że autor sam zaniepokoił się tym wszystkim, co w tym filmie powiedział, lub tym, co z jego obrazu można wyczytać. W czasie ceremonii rozdania nagród powiedział tylko wzruszony: „Jesteśmy pierwsi. Ale myślę, że wkrótce obudzi się filmowa Rosja."

Ta Rosja, do której należą niezwykłe wizje Aleksandra Sokurowa. I w której mieszczą się wstrząsające obrazy Kiry Muratowej, uznanej za największą indywidualność kina „pieriestrojki". Jest mało prawdopodobne, by ktokolwiek poza Rosją pojął skrajnie pesymistyczne przesłanie zawarte w jej filmach. Ale może uznanie dla filmu Zwiagincewa otworzy drogę na światowe ekrany dla filmów dotychczas w kinach świata trochę niepojętych...

Po nagrodzie dla *Powrotu* prasa rosyjska pisała: „Trudno nawet zdać sobie sprawę z tego, jak bardzo się od zwycięstw odzwyczailiśmy". Zwiagincew ma 40 lat, Sokurow - 53, Kira Muratowa już jest emerytką. Niedługo zapewne usłyszymy o ich następcach.

Jan Strękowski

POLSKI LĄD

POLSKI LĄD

Przed kilku laty wpadła mi w ręce dziwna gazeta. „Rosyjski Kurier Warszawy". Pisana cyrylicą, na nie najlepszym papierze, pełna reklam gabinetów lekarskich, tanich hoteli i restauracji. Przynosiła wieści z lądu, który dla przeciętnego Polaka był lądem nieznanym. A jeśli znanym to jako wierzchołek góry lodowej w postaci handlarzy z największego bazaru Europy, warszawskiego Stadionu Dziesięciolecia czy szukających pracy ludzi z nieoficjalnej giełdy pracy dla cudzoziemców w podwarszawskim Piasecznie. „Rosyjski Kurier Warszawy" był też znakiem, że społeczność przybywających nie jest tylko przypadkową masą przyjezdnych, ale szuka sobie miejsca w Polsce, nie tylko na dziś, lecz na jutro, a także na stałe. Był instytucją.

Chyba pierwszym emigrantem politycznym, który trafił do Polski z Rosji (a raczej z Moskwy), był książę Andriej Kurbski. Jeden z bliskich współpracowników cara Iwana IV Groźnego walczył także z Polakami, zanim w 1564 roku na wieść o represjach Groźnego przeszedł na polską stronę, gdzie go przyjęto z otwartymi ramionami. Został nawet jednym z dowódców wojsk polskich walczących z moskiewskim carem pod Połockiem i Wielkimi Łukami. Zasłynął jednak nie tylko jako pierwszy znany emigrant polityczny ze Wschodu, któremu Polska udzieliła gościny. Był też pierwszym, który na wygnaniu kontynuował swoją walkę również słowem, publikując między innymi pamflet na okrutnego cara „Istorija o wielikom kniazie Moskowskom".

Nakreślenie panoramy diaspory rosyjskiej w Polsce to nie lada problem. Mamy tu bowiem do czynienia zarówno z historyczną mniejszością rosyjską wywodzącą się z czasów zaborów i okresu międzywojennego, jak i mniejszością raczej religijną niż narodowościową w przypadku staroobrzędowców, musimy uwzględnić tych Rosjan, którzy osiedlili się na stałe w Polsce w czasach ZSRR i często od dawna są polskimi obywatelami, wreszcie przyjrzeć się tym, którzy wielką falą napłynęli do Polski po upadku Związku Radzieckiego. Ta grupa także jest różnorodna, jedni są ciągle przybyszami na wizach pobytowych lub nawet turystycznych, inni zapuścili lub zapuszczają w Polsce korzenie, często mając do wyboru różne miejsca w Europie, wybrali nasz kraj.

YETI

Staroobrzędowcy zaczęli osiedlać się na terenach I Rzeczypospolitej po wprowadzonej w 1667 roku przez patriarchę Nikona reformie prawosławia. Na ziemiach Rzeczypospolitej znajdowali życzliwe przyjęcie i tolerancję religijną. Przed pierwszym rozbiorem Polski na terenach Rzeczypospolitej żyło ich około stu tysięcy. Przed II wojną światową ich społeczność liczyła 50-80 tysięcy osób, mieli nawet posła w polskim Sejmie. Dziś zostały zwarte skupiska w okolicach Augustowa i Suwałk oraz w samym Augustowie i Suwałkach. Niewielka grupa staroobrzędowców żyje także na Mazurach. W 1928 roku wyznanie zostało zarejestrowane. Istniało jako Wschodni Kościół Staroobrzędowy Nie Posiadający Hierarchii Duchownej. W 1993 zmieniło nazwę na Staroprawosławną Pomorską Cerkiew w RP. Kościołem kieruje Naczelna Rada, a jej siedziba mieści się w Suwałkach. Od roku istnieje Stowarzyszenie Staroobrzędowców w Polsce. Szacuje się, że w Polsce żyje ich ponad 2500.

Dla niektórych Rosjan mieszkających w Polsce pytanie o staroobrzędowców w naszym kraju było jak pytanie o Yeti.

Katarzyna Sokołow jest sołtysem zamieszkanej w większości przez staroobrzędowców wsi Bór i przewodniczącą Stowarzyszenia Staroobrzędowców w Polsce. Na pytanie, czy staroobrzędowcy są mniejszością narodową, odpowiada, że bez wątpienia są mniejszością religijną. Odrębność językowa zanika. Starsze pokolenie mówi jeszcze rosyjską gwarą, młodzież często tylko po polsku. Sąsiedzi Polacy— katolicy postrzegają ich natomiast jako „Ruskich". Na to wskazują choćby ich nazwiska.

Podczas ubiegłorocznego spisu powszechnego młodzież najczęściej wpisywała w rubryce narodowość: „Polacy". Ona sama została wychowana i żyje w rodzinie staroobrzędowców. Ma wiele kontaktów z ludźmi ze Wschodu, w jakimś stopniu rozumie mentalność Rosjan, jednak trudno mówić o poczuciu związków z pań-

stwem rosyjskim. Dopiero niedawno dowiedziała się, jak wygląda rosyjska flaga. Gdyby miała wybierać, to czuje związki przede wszystkim z Polską, przecież w szkole uczyli się: „Kto ty jesteś? Polak mały..."

Iryda Grek-Pabisowa, badaczka ich języka i historii, napisała, że u staroobrzędowców zachowała się gwara pskowska z naleciałościami polskimi, natomiast u żyjących na Mazurach — niemieckimi. Katarzyna Sokołow nie do końca z tym się zgadza. Staroobrzędowcy wędrowali, trudno więc mówić w ich przypadku o jednej gwarze rosyjskiej. W jej domu na kartofle mówiło się „bulba" jak u Białorusinów, a sąsiedzi mówią „kartoszka". W każdym domu trochę inaczej. Ze współczesnym rosyjskim widzi mały związek. „Gdy mówimy gwarą, Rosjanie nas nie rozumieją". Z kolei im gwara nawet przeszkadza w nauce rosyjskiego.

Religia pomogła staroobrzędowcom zachować rodzinną mowę i obyczaje. Do dziś, na sobotnie mycie w „bani" przyjeżdżają na wieś z miasta nie tylko rodziny, ale i znajomi. Trudniej utrzymać inne, jak zakaz palenia tytoniu, picia alkoholu czy herbaty. Czasem trzeba dokonywać prawdziwej ekwilibrystyki, by być w zgodzie z religią i nauką. Jak mówił młody „nastawnik" (duchowny) w jednym z telewizyjnych reportaży, religia mówi, że ziemia jest płaska, ale dzieci w szkole dowiedzą się, że okrągła...

W ostatnich latach ogromnej poprawie uległa sytuacja prawna i materialna wyznania. Wpłynęła na to między innymi działalność Naczelnej Rady, do której weszli także młodzi i wykształceni ludzie, jak i powstanie Fundacji im. Rodziny Pimonowów, założonej przez prof. Leonida Pimonowa z Francji. Dzięki niemu w Suwałkach i Gabowych Grądach powstały nowoczesne domy parafialne, udało się wyremontować molelnię (świątynię) w Wojnowie na Mazurach, a także wydać dwa podręczniki. Odżyło życie religijne, następuje katechizacja dzieci (w gwarze). Po powstaniu Fundacji i Naczelnej Rady następuje wzrost prestiżu staroobrzędowców w Polsce. Przyczynia się do tego także działalność Stowarzyszenia Staroobrzędowców, które skupia się głównie na wyrównywaniu szans cywilizacyjnych dzieci staroobrzędowców.

UTRACONA ŚWIETNOŚĆ

Przed I wojną światową, na ziemiach polskich zaboru rosyjskiego, przebywało 100 tysięcy rosyjskich żołnierzy i oficerów. Liczną grupą byli urzędnicy oraz ci, którzy w Polsce prowadzili handel lub pracowali. W Warszawie w 1905 roku było 10% Rosjan (rosyjskojęzycznych). Nie zapisali się zbyt dobrze w pamięci Polaków, poza nielicznymi, jak prezydent Warszawy Sokrat Starynkiewicz czy Siergiej Muchanow, prezes dyrekcji Warszawskich Teatrów Rządowych. Po odzyskaniu niepodległości w 1918 ci, którzy pozostali, wraz z grupą staroobrzędowców należeli do liczącej 100-140 tysiące osób mniejszości rosyjskiej w Polsce. Mieli posłów i senatorów, organizacje polityczne, jak założone przez posła Nikołaja Sieriebriennikowa Rosyjskie Zjednoczenie Ludowe, wydawali prasę, jak dziennik „Nasze Wriemia". Szacowaną na ponad 50 tysięcy osób grupą byli w Polsce międzywojennej biali emigranci i uciekinierzy z porewolucyjnej Rosji. Były wśród nich znaczące postacie jak Borys Sawinkow czy gen. Stanisław Bułak-Bałachowicz, znani pisarze i intelektualiści, jak Dmitrij Fiłosofow czy Nikołaj Arcybaszew, uznający się za prawnuka Tadeusza Kościuszki. Rosjanie w II Rzeczypospolitej mieli szeroko rozbudowane czasopiśmiennictwo: od dzienników, np. „Za Swobodu", przez tygodniki polityczne jak „Miecz", po pisma dla kobiet jak „Oczag" czy dla dzieci jak „Rodnoje Słowo". Istniały liczne organizacje, w tym Rosyjskie Towarzystwo Dobroczynności, wspierające działalność kulturalną i szkolnictwo. W 1936 było w Polsce 10 rosyjskich szkół (podstawowe, gimnazja i licea). Swoje organizacje i instytucje mieli twórcy kultury (Związek Rosyjskich Literatów i Dziennikarzy czy Rosyjskie Studio Dramatyczne). Po 1945 wielu Rosjan uciekło na Zachód przed wkraczającymi na teren Polski wojskami radzieckimi. Dziś mniejszość rosyjska żyje głównie w dużych miastach: w Warszawie, Łodzi i Białymstoku. Są potomkami Rosjan osiadłych tu od czasów zaborów i emigracji porewolucyjnej. Ich liczbę, wraz ze staroobrzędowcami, szacuje się na 10-15 tysięcy osób. W latach 1956-75 mieli swoją organizację: Rosyjskie Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe z siedzibą w Łodzi oraz oddziałami m.in. w Gdańsku, Wrocławiu i Białymstoku. Wydawało miesięcznik „Russkij Gołos".

Rosyjskie Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe z siedzibą w Białymstoku liczy 80 członków, a jego przewodniczącą jest Halina Romańczuk. RSKO kontynuuje tradycje istniejącej w PRL organizacji mniejszości rosyjskiej. Ale uważa się też za spadkobiercę organizacji mniejszości rosyjskiej z czasów II Rzeczypospolitej. Sekretarz RSKO, Andrzej Romańczuk, syn pani Haliny, podkreśla, że jest to najstarsza organizacja pozarządowa „historycznej mniejszości rosyjskiej w III RP". Istnieje od 12 lat (1991-93 pod nazwą Stowarzyszenie

„Międzynarodowy Rosyjski Klub"). Później nastąpił podział na RSKO, zrzeszające wyłącznie Rosjan, i Stowarzyszenie „Ruś", które zrzesza przede wszystkim Białorusinów i Ukraińców, łącząc wszystkie nacje związane z historyczną nazwą Ruś.

Stowarzyszenie prowadzi między innymi recytatorsko-muzyczny zespół dziecięco-młodzieżowy „Słowianie". Organizuje wystawy i odczyty dotyczące kultury i historii Rosji, wycieczki, obozy dla młodzieży, coroczne Dni Kultury Rosyjskiej w Białymstoku i Warszawie, konkursy recytatorskie poezji rosyjskiej i konkursy wiedzy o Rosji.

Kto należy do RSKO? Z jednej strony część staroobrzędowców, z drugiej — przedstawiciele najnowszej emigracji, które związały się z Polską na dłużej niż rok, dwa, jak aktorka Jelena Rutkowska, która w Polsce jest od kilku lat. Przeważają jednak przedstawiciele historycznej mniejszości.

Stowarzyszenie nie ma siedziby. Mieści się w małym mieszkaniu pani Romańczuk, zagraconym do granic możliwości. Przedtem udostępniał im lokal w swoim biurze poselskim Wojciech Arkuszewski. Ale przestał być posłem. W tej chwili materiały stowarzyszenia trzymają w trzech mieszkaniach członków RSKO. W przedpokoju stroje zespołu „Słowianie". Przy kaloryferze zbiór muzyki cerkiewnej i rosyjskiej. Kiedy kaloryfer zacznie grzać, trzeba je będzie przenieść.

Halina Romańczuk pochodzi z rodziny uciekinierów z porewolucyjnej Rosji. Narzeka na władze miasta. Chcieliby dostać budynek, który kiedyś wybudował rosyjski generał-major. Jak Polacy za granicą czują się Polakami, Polska to docenia, a jak oni tutaj — Rosjanami, to się patrzy źle. Raz są biali, raz czerwoni — zależy dla jakiej partii. A oni czują się obywatelami Polski, tyle że narodowości rosyjskiej. Jest jej przykro, kiedy ktoś w Rosji mówi źle o Polsce, a w Polsce o Rosji.

Opowiada o działalności RTKO, rozwiązanego w 1975 roku. W Białymstoku mieli pomieszczenie. Wyremontowali je, zbudowali scenę, robili bale kotylionowe na 120 osób, mieli bibliotekę. Dlaczego zostali rozwiązani? Bo nazywano ich skupiskiem „białych". Kazano im pójść do TPPR. Nie poszli, ale majątek na ich rzecz stracili. Skarżą się, że Stowarzyszenie Współpracy „Polska — Wschód", spadkobiercy TPPR, nie informuje o imprezach. Nie mówiąc o zwrocie majątku. Ale lista pretensji jest dłuższa. Dotyczy na przykład programu telewizyjnego poświęconego mniejszościom. Siedmiominutowy program jest nadawany tylko raz w miesiącu w telewizji o zasięgu regionalnym, a przecież 2/3 mniejszości rosyjskiej żyje poza Podlasiem.

PRL — KOCHAJMY SIĘ

W czasach PRL napłynęło do Polski nieco ludności rosyjskiej. Są to głównie żony (czasem mężowie) Polaków, posiadający prawo stałego pobytu w naszym kraju, niekiedy polskie obywatelstwo. Do 1989 roku nie mieli organizacji, która reprezentowałaby ich interesy. Miejscem ich integracji był działający na ul.Foksal w Warszawie Radziecki Ośrodek Nauki i Kultury. Tam właśnie, jeszcze za „życia" ZSRR, w 1989 roku zawiązało się Stowarzyszenie Obywateli ZSRR na Stałe Mieszkających w Polsce, które dziś nazywa się Wspólnotą Rosyjską. Miała ona przez pewien czas oddziały w innych miastach (Wrocław, Łódź, Kraków). Do 1995 korzystała z lokalu na Foksal. Wtedy to RONiK stracił budynek i urzęduje kątem w rosyjskim przedstawicielstwie handlowym, a imprezy organizuje gdzie się da. Tak jak i Wspólnota, która najczęściej korzysta z gościny Stowarzyszenia Współpracy „Polska-Wschód" oraz stworzonego przez Polaka Jana Zabrodzkiego Centrum Kultury Słowiańskiej. Wspólnota liczy dziś około 70 osób. Średnia wieku — 60 lat. Do Wspólnoty mogą wstępować osoby rosyjskojęzyczne, mające stały pobyt, członkiem wspierającym może być także osoba czasowo przebywająca w Polsce.

Walentyna Wójcik, od kilku miesięcy szefowa Wspólnoty Rosyjskiej, umawia się ze mną w kawiarni na warszawskiej Pradze. Widząc, że zwróciłem uwagę na jej krótko przystrzyżone włosy, informuje, że to dla dobra sprawy. Chce namówić Rosjan, prowadzących biznes, do współpracy i ogłaszania się na stronach internetowych Wspólnoty. Chodzi o to, by rodacy, którzy nie znają polskiego lub znają, ale chcą załatwić coś po rosyjsku, wiedzieli, gdzie mogą pójść. Dlatego wybrała się do „naszego" fryzjera. Choć strzygła się niedawno. A fryzjer — artysta...

Jest ekonomistką. Plan działania Wspólnoty rozpisany ma szczegółowo. Choć sama widzi, że nic nie jest proste. Ludzie odzwyczaili się od pracy społecznej, nie mają czasu, nie wywiązują się z obietnic. Są kłopoty ze znalezieniem sponsorów. Planowane kursy języka rosyjskiego dla Polaków i polskiego dla świeżo przybyłych Rosjan trzeba było odłożyć. A cele Wspólnoty to między innymi integracja i ułatwianie kontaktów pomiędzy

Rosjanami i przedstawicielami innych narodowości mieszkających w Polsce, działalność kulturalna, podtrzymywanie rosyjskiej tradycji oraz rozwijanie związków kulturalnych z Rosją, działalność oświatowa i wspomaganie członków organizacji, np. chorych lub pozostających bez pracy. Do Wspólnoty należą przede wszystkim żony Polaków, niektóre już byłe. Te także potrzebują wsparcia. Stworzona jesienią 2003 roku przez zaprzyjaźnioną dziennikarkę i tłumaczkę Tamarę Maciejak strona internetowa zawiera przydatne informacje o Wspólnocie, imprezach, nie tylko organizowanych przez nią, ale też inne organizacje polskie i rosyjskie. Jak mówi pani Wójcik, powstanie strony rodzi nadzieję, że skupią się wokół Wspólnoty młodzi, energiczni rodacy — przecież tacy najczęściej obyci są z Internetem.

Dobrze układa się współpraca Wspólnoty z „Rosyjskim Kurierem Warszawy". Nowa przewodnicząca stara się podtrzymywać istniejące już wcześniej kontakty Wspólnoty z Cerkwią i domem starców w Pomiechówku, we współpracy ze Stowarzyszeniem „Polska-Wschód" organizuje comiesięczne koncerty i spektakle (trzeba również wspierać „naszych" artystów). Kameralne przedstawienie Leny Gorzelak o życiu Anny Achmatowej zgromadziło nawet sporą publiczność, tak jak i koncert romansów rosyjskich w wykonaniu Polki z Kaukazu Ludmiły Piechowskiej.

Przeważają zamierzenia. Jednym z ważniejszych jest poprawienie relacji z ambasadą Federacji Rosyjskiej i działającym przy niej Rosyjskim Ośrodkiem Nauki i Kultury. Walentyna Wójcik uważa, że Wspólnota i żyjący w Polsce emigranci rosyjscy w zbyt małym stopniu są dostrzegani przez przedstawicielstwo Rosji. Choć widzi postęp po przyjęciu przez władze rosyjskie ustawy o rodakach żyjących za granicą. Była przewodnicząca Wspólnoty, działająca w niej od samego początku, Galina Szczygieł, która jest zastępcą kierownika redakcji rosyjskiej Radia Polonia, a niedawno od polskiego ministra kultury otrzymała odznakę „Zasłużony Działacz Kultury", uważa, że część problemów we współpracy z ambasadą wynika z przyczyn obiektywnych. Z braku środków i braku pomieszczeń. Obecna przewodnicząca widzi to także. Ale chciałaby, żeby na organizowane przez ambasadę czy konsulat uroczystości zapraszano nie tylko władze organizacji, ale też zwykłych członków Stowarzyszenia.

PRZEWODNIK PO NIEZNANYM LĄDZIE

Szacunkowe dane mówią, że w latach 1990-93 przyjechało do Polski ze Wschodu 37 milionów osób, większość stanowili przybysze z byłego ZSSR. Przede wszystkim w celach zarobkowych. Na początku lat 90. trudnili się głównie handlem, wykonywali prace dorywcze. Tacy nie chcą pozostać na stałe w Polsce, ale jest to zjawisko „trwałej tymczasowości". Rośnie także liczba obywateli Federacji Rosyjskiej przyjeżdżających do Polski do legalnej pracy. A także osiedlających się w naszym kraju, na pobyt czasowy bądź stały. Wielu w celu prowadzenia interesów. Według danych MSWiA w latach 1998-2002 wizy z prawem do pracy otrzymało ponad 1000 Rosjan, wizy na czas określony otrzymało ponad 6000, natomiast o zgodę na osiedlenie ubiegało się 533 osoby (otrzymały 342) i była to trzecia tak liczna grupa, po Ukraińcach i Wietnamczykach. W 2002 roku przyjechało do Polski 6 milionów Ukraińców, 4 — Białorusinów i 2 — Rosjan.

Ilu Rosjan przebywa w Polsce nielegalnie — nie wie nikt.

W związku z migracją do Polski rodaków (i byłych rodaków z byłego ZSRR) pojawił się „Rosyjski Kurier Warszawy", miesięcznik, który nie tylko pomógł znaleźć się w obcym świecie rosyjskojęzycznym przybyszom, którzy Polskę widzieli jako handlowy raj, ale towarzyszył także tym, którzy zapragnęli tu zostać dłużej, pracować, założyć firmę, zamieszkać.

Na rozmowę z naczelnym „RKW" umawiamy się w holu hotelowym. A dlaczego nie w redakcji? Pismo redaguje u siebie w prywatnym mieszkaniu, teksty zamawia i otrzymuje przez Internet. Wszystko robią sami, bez wsparcia z zewnątrz, bez dotacji od władz rosyjskich czy polskich. Władimir Kirjanow jest w Polsce od 1988 roku. Był wiceprezesem polsko-rosyjskiej spółki wydawniczej „Orbita". Pracował w „Rossijskich Wiestiach", pisze korespondencje dla „Nowoje Wriemia".

„RKW" założył w grudniu 1991, gdy dla około 10 milionów obywateli Ukrainy, Rosji, Białorusi, odwiedzających co roku Polskę, nie wydawano żadnego pisma.

„Kurier", jak napisał na dziesięciolecie pisma Kirjanow, „zawierał podstawowe informacje dla błądzących w polskiej wczesnokapitalistycznej rzeczywistości obywateli krajów, właśnie wyzwalających się z socjalizmu". Kirjanow podkreśla, że turyści ze Wschodu różnili się bardzo od zachodnich, bo „prawie wszyscy odbiorcy jedynej rosyjskojęzycznej gazety przyjeżdżali do Polski... aby handlować". Byli przy tym spragnieni wrażeń, dlatego ryzykuje nazwanie ich jednak turystami.

W tamtym okresie — wspomina Kirjanow — wschodni turyści nie mieli się do kogo zwrócić o najprostszą informację. Co drugi płacił mandat w tramwaju, bo przedziurkował bilet ze złej strony albo nie opłacił bagażu. Publikowali więc spis przydatnych telefonów, adresy aptek, szpitali, nocnych sklepów, informacje celne, informacje o warszawskich targowiskach, porady, jak otrzymać zaproszenie do Polski, jak dostać wizę. Nawet wydrukowali mapę Polski z zaznaczonymi połączeniami drogowymi i kolejowymi i nazwami wszystkich miast wojewódzkich, zapisanymi cyrylicą.

Dziś wiele się zmieniło. Znakiem czasu jest pojawienie się nowej tematyki. Piszą o prowadzeniu inwestycji zagranicznych w Polsce, o historii Polski, filmach, wydarzeniach kulturalnych, reklamują hotele, restauracje, nocne lokale i agencje towarzyskie. Chcą być pismem dla wszystkich, a także dla mniejszości rosyjskiej. Kirjanowa oburza stwierdzenie przedstawicieli RSKO, że ich pismo reprezentuje handlarzy, pogardliwie zwanych „czełnoki".

„RKW" jest ogólnopolską gazetą, rozprowadzaną w kioskach, empikach, księgarniach i w prenumeracie. Dostępny w miejscach odwiedzanych przez biznesmenów: hotelach, restauracjach, salonach sprzedaży, autobusach i pociągach międzynarodowych, w biurach i m.in. w samolotach Aeorflotu, w ambasadzie i konsulatach Rosji, na przejściach granicznych. Czytają go Rosjanie i Polacy, którzy stanowią znaczącą część prenumeratorów pisma, biznesmeni, dyplomaci nie tylko z Rosji, ale i z Ukrainy, Białorusi, Armenii, studenci ze Wschodu, rosyjskojęzyczni pracownicy polskich firm.

Przetrwali najdłużej. Kirjanow podkreśla, że inne próby wydawania rosyjskojęzycznych pism kończą się zwykle po kilku numerach. Czy będzie prorokiem? Pytanie to zadaję Irinie Kornilicewej, przed którą leży trzeci już numer pisma o znaczącym tytule „Jewropa.Ru".

Obie gazety różnią się zdecydowanie charakterem, kierowane są do innego czytelnika. „RKW" interesują ludzie, którzy trafili do naszego kraju kierowani głównie przymusem życiowym. W przypadku „Jewropy.Ru" czytelnikami są osoby raczej dobrze sytuowane. Też niekoniecznie zamierzające spędzić w Polsce całe życie, ale nie dlatego, że nie mają wyboru. Są turystami (raczej z pełnymi portfelami), ale przede wszystkim biznesmenami, którzy z miejscem Polski w Unii Europejskiej wiążą swe życiowe nadzieje. To ludzie przedsiębiorczy, znający świat i interesujący się nim na równi z tym, co dzieje się w ich ojczyźnie, często żyjący jedną nogą tam, mający prawo czasowego pobytu, czasem od niedawna, jak założycielka pisma Irina Kornilicewa, prowadząca wraz z mężem firmę meblową i agencję promocyjno-reklamową. Nomen omen — w Pałacu Kultury, tak nielubianym przez warszawian darze Stalina. Ale w sąsiedztwie angielskiej herbaciarni.

Jej pismo wydawane jest na dobrym papierze, w kolorze, a kosztuje kilkakrotnie więcej niż „RKW". Po to, żeby bogaty rosyjskojęzyczny pasażer, który pójdzie na lotnisku do kiosku, nie wstydził się go kupić. Pismo dostępne jest już w empikach, było reklamowane po rosyjsku w programie regionalnym TVP. W „Jewropie.Ru" znajdziemy kursy walut. Możemy przeczytać tekst o kupnie angielskiego klubu piłkarskiego przez rosyjskiego milionera, porównać poziom życia w różnych krajach świata, poznamy turystyczne atrakcje Polski. Kornilicewa mówi, że są w Polsce hotele, gdzie do 80% gości to Rosjanie.

Rosjanie nowej generacji. Ci, co przyjechali 20 lat temu, uciekali z biednego kraju. Irina Kornilicewa wybrała Polskę. Siergiej Stankiewicz, były doradca Jelcyna, powiedział reporterce „Rzeczpospolitej" Mai Narbutt, że mógłby mieszkać wszędzie, ale wybrał Polskę nie tylko ze względu na polskie korzenie: „Dobry kraj, w tak dobrym momencie, jakiego nie miał w swej historii od dawna."

NOSTALGICZNE SPOTKANIA W SAUNIE

Niewiele jest miejsc w Polsce, gdzie można odetchnąć atmosferą prawdziwej Rosji. Brak jest rosyjskich klubów, dyskotek, restauracji, kawiarni, a te, które nazywają się rosyjskimi, nie są prowadzone przez Rosjan i, poza jedzeniem, nie mają z Rosją wiele wspólnego. Z konieczności pozostają restauracje mołdawskie, gruzińskie. Podobnie jest z życiem kulturalnym. Wypożyczalnia książek rosyjskich na warszawskim Stadionie Dziesięciolecia, imprezy w Centrum Kultury Słowiańskiej, gdzie można także kupić lub przeczytać książki i gazety rosyjskie, księgarnia „Książka Rosyjska", imprezy organizowane przez RONiK, Stowarzyszenie Współpracy Polska-Wschód, RSKO czy Wspólnotę Rosyjską to kropla w morzu. Jeszcze gorzej jest w mniejszych miastach. Pozostaje rosyjska telewizja na kablówce, ale i z dostępem do niej bywają problemy.

Tu każdy może przyjść. Rosjanin, Żyd, Polak, Ukrainiec, Ormianin, mówi Igor Błagoobrazow, lekarz z Petersburga, od sześciu lat mieszkający i pracujący w Polsce. Dwa lata temu, wraz z przyjacielem, Francuzem zakochanym w Rosji, powołali w Warszawie nieformalny „Klub 12 Krzeseł". Początkowo spotkania miały charakter bardziej kulturalny (koncerty, muzyka) niż towarzyski. Teraz przeważa chęć spotkania się, porozmawiania po rosyjsku, pośpiewania, posłuchania rosyjskiej muzyki, potańczenia. Są też występy. Kiedy tam byłem, śpiewał muzyk country, Michaił Fiodorow. W Klubie odbywał się pokaz mody. Czasem ktoś czyta wiersze. Niektórzy Rosjanie jednak odżegnują się od wizyt w Klubie, sugerując, że czyta się tam to, co, jak mówi anegdota, ponoć czytał Czapajew. Są tańce. Są poczęstunki. Każdy przynosi, co może. Dobrze, gdy jest to jedzenie przypominające ojczyznę. Poczęstowano mnie kiszonymi pomidorami. Z nostalgią wspominał takie pomidory jeden z Ukraińców.

Przychodzi ponad sto osób. Polacy, Amerykanie, Białorusini, Ukraińcy, Ormianie, Gruzini, Rosjanie, nawet Czeczeni. Pracownicy ambasady rosyjskiej. Jest ktoś z Kazachstanu, z Azerbejdżanu. Są tacy, którzy mieszkają w Polsce na stałe, i ci, którzy wpadli przejazdem.

Błagoobrazow mówi, że spotkania w Klubie wspierają duchowo tych, którzy tęsknią do swoich ojczyzn, rodzin. Są też okazją do zabawy, oderwania się od pracy, problemów życia emigranta czy tułacza. Pomagają im w inny sposób niż Wspólnota Rosyjska. Spotkania klubu odbywają się zawsze w pierwszy piątek miesiąca w niewielkim hotelu „Twardowski" na warszawskiej Pradze. Jego właściciel jest mecenasem nie tylko Klubu, ale także wielu z tych, którzy tu przychodzą, malarzy, których obrazy wiszą na ścianach, muzyków — finansuje wydanie płyty Fiodorowa.

Igor Błagoobrazow dług wdzięczności ma także wobec Władimira Kirjanowa, bo dzięki relacjom „RKW", inicjatywa ma naśladowców. Został zaproszony na spotkanie podobnego klubu do Rzeszowa (tworzą go głównie pracownicy i studenci rzeszowskiej rusycystyki). Ale powstają też inne, np. we Wrocławiu. Członkowie niewielkiego Klubu w Bydgoszczy spotykają się w... saunie. Nie wszędzie jednak udaje się zachęcić ludzi do działania. W jednym z numerów „RKW" wydrukowano dramatyczny list z Grudziądza. Zilia Tomaszewska próbowała założyć klub w swoim mieście. Na przeszkodzie stanęły problemy życiowe, bytowe, trudności w porozumieniu się niewielkiego środowiska rosyjskiego.

Gdzie indziej jednak coś się dzieje. Podobno w Zielonej Górze zarejestrowało się stowarzyszenie „Rosjanie", powstają kolejne. Błagoobrazow myśli o powołaniu Klubu Herbacianego — może u siebie w pracy, ma duży gabinet. Galina Szczygieł uważa, że sytuacja jest sprzyjająca nowym inicjatywom. Rosjanie przestają się wstydzić swej narodowości, kultury. Inni wskazują na wzrost zainteresowania językiem i kulturą rosyjską wśród Polaków. Marzy jej się zorganizowanie ogólnopolskiego kongresu diaspory rosyjskiej. Na wzór Polonii. O Wspólnocie Rosyjskiej, w której działała wiele lat, mówi jako o organizacji trochę nie na czasie. A to dlatego, że nie mogą do niej należeć ludzie mający prawo czasowego pobytu, najbardziej przedsiębiorczy, aktywni, z pomysłami. Jak Kornilicewa. Także z jej udziałem powstaje zakładane przez część członków Wspólnoty Stowarzyszenie „Rosyjski Dom". Kornilicewej marzy się Klub Rosyjskich Żon, klub przyjaciół gazety „Jewropa.Ru". Rosyjskie bale...

◆◆◆

Pisząc o życiu organizacyjnym Rosjan w Polsce, trafiłem na czas ożywienia, rodzenia się nowych pomysłów i inicjatyw. Niektóre nie mają jeszcze nazwy, inne mają, ale nie wiadomo, czy się zrealizują. Są spory, czasem trudno zrozumieć źródło nieporozumień, czasami rozbieżność interesów widać jak na dłoni. Wiele inicjatyw powstaje więc jakby na przekór, choćby tym, którzy należą do innej historycznie grupy, wielu z tych, którzy starają się coś stworzyć, nie wie nic o próbach podejmowanych przez innych. Niektórzy ze sobą współpracują, inni nie chcą. Sytuacja na emigracji normalna. Polacy żyjący poza granicami kraju też jej doświadczają. Choć niektórzy z Rosjan zazdroszczą naszym rodakom, że potrafią tworzyć organizacje jednoczące różne grupy. Czasem dodają, że chcieliby, aby Federacja Rosyjska, w podobny sposób jak państwo polskie wspierała swoich rodaków na obczyźnie.

Strony, na których można znaleźć informacje o rosyjskich inicjatywach w Polsce:
http://wspolnota-rosyjska.webpark.pl
www.megaone.com.rkw
www.rkw.3w.pl

НОВАЯ ПОЛЬША 2004, nr 1

Z LISTÓW DO REDAKCJI

[2000]

Drodzy Przyjaciele,

Gratuluję Wam tak doskonałego czasopisma, jakim jest „Nowaja Polsza". To bez wątpienia najlepsze pismo tego rodzaju, jakie udało mi się znaleźć w Rosji. Artykuły tu zamieszczane zmuszają do refleksji, poruszają ważkie problemy i są doskonale napisane. W piśmie zawarty jest szeroki wachlarz tematów i gatunków literackich, ponadto jest ono jasno skonstruowane i doskonale zredagowane. Pokazuje bardzo ciekawy obraz intelektualnego życia w Polsce. Jest interesujące ze względu na zróżnicowane punkty widzenia. Jednak istotą pisma jest jego estetyka, odwaga i temperament. Dla nowego czasopisma są to rzeczy niezwykle istotne, stanowiące o jego powodzeniu.

Jednocześnie jest to wspaniały prezent dla myślących Rosjan. Mam nadzieję, że spotka się z takim odzewem, na jaki zasługuje.

Odnosi się jednak wrażenie, że macie problemy z dystrybucją pisma. Na pierwszy wrześniowy numer natknęłam się zupełnie przypadkowo w maleńkiej moskiewskiej księgarence. Później, kiedy go przeczytałam i zorientowałam się, że jest to świetna publikacja, chciałam kupić więcej egzemplarzy dla swoich przyjaciół. Jednak już nigdzie nie znalazłam ani jednego, w żadnej z wielu księgarni, w których pytałam o niego. I nie wiem również, czy były wydawane dalsze numery.

Pomóżcie mi, proszę, i napiszcie, jak mogłabym otrzymywać określoną liczbę egzemplarzy teraz i w przyszłości. Czy w Moskwie jest księgarnia lub jakaś organizacja, która zajmuje się jego stałą dystrybucją? A może istnieje możliwość prenumeraty?

Jeszcze raz gratuluję sukcesu.

Eva Adler,
Profesor Uniwersytetu w Middlebury (USA)

Od redakcji

Szanowna Pani,

z wielką radością przeczytaliśmy Pani list. Dołożymy wszelkich starań, aby nasze pismo w pełni spełniało te wszystkie wymagania, które tak uprzejmie już przedstawiła nam Pani w swoim liście. Postaramy się również usprawnić i polepszyć system dystrybucji. Od drugiego numeru „Nowej Polszy" na drugiej stronie okładki publikowane są warunki prenumeraty. W przyszłym roku chcemy zwiększyć nakład pisma. Nie ukrywamy jednak, że bardzo nas cieszy fakt, iż wszystkie egzemplarze „Nowej Polszy" dostarczone przez naszego moskiewskiego przedstawiciela – wydawnictwo „MIK" do księgarń, rozeszły się tak błyskawicznie.

Moskwa, 10 marca 2000 r.

Szanowny Panie Pomianowski!

Prawdopodobnie nie wszyscy o tym wiedzą, jednak Pan przede wszystkim wiedzieć o tym powinien – a więc, osobiście i poufnie, informuję Pana jako pierwszego: pismo „Nowaja Polsza" odniosło sukces! Przyczyna jest bardzo prosta: jest to pismo, robione przez inteligentów dla inteligentów. Wydawcy i autorzy doskonale zdają sobie sprawę z tego, że Czytelników interesuje to samo, co jest interesujące dla nich. To, co dzieje się dziś i co działo się rok wcześniej, pięć, dwadzieścia lub sto pięćdziesiąt lat temu. Wspólna historia, wspólne korzenie – i już mamy podstawę do porównań.

Jak nazywa się kurtyna, która rozdzielała nas przez ostatnie lata, nie wiem. Może „papierowa", ale nie jak „tygrys". A jeżeli „aksamitna", to również nie jak „rewolucja". Ale oto pojawia się Wasze pismo – i już mamy okno w tej zasłonie. A patrzeć przez okno nigdy się nie przykrzy: i wtedy, gdy na ulicy jest jasno, i wtedy, gdy za oknem ciemnieje... Co się u nich dzieje i jak oni sami to widzą? Co z inflacją, jakim fordem jeździ chłop i kim obecnie jest Balcerowicz – oskarżonym czy gwiazdą lub też tylko osobistością z przeszłości?

W piśmie jest też stały temat – zanurzony w polityce i jednocześnie ponadpolityczny. Polityka jest obrzydliwa, ale żyć bez niej nie można. Politykę szarpie się tam i tu – co z niej się uszarpie, tak wygląda. Możemy się kłócić i na poważnie, i dla żartu, ale zawsze godzić się trzeba, a co ważniejsze – chce się tego. Jesteśmy sąsiadami, i sąsiadami być nie przestaniemy. A co się tyczy „okienka" – nie ma wątpliwości – przetarliście już szkła, a my przyzwyczajamy się do patrzenia. „Co dziś u nich na obiad?" – temat wieczny, bądźcie tego pewni. I nie tylko dla inteligentów...

Z wyrazami szacunku

Georgij Chałturin.

„Nowaja Polsza" jest dla nas bardzo ważna i bardzo potrzebna. Cieszy nas możliwość zaznajomienia się z życiem kulturalnym i społecznym w kraju, jak również spotykania się na stronicach tego wspaniałego pisma z wieloma wybitnymi polskimi autorami.

Olga Podborska
Przewodnicząca Zarządu Regionalnego
Stowarzyszenia "Sibir"
Krasnojarsk [2000]

Kirgistan, Osz, 2.08.2000

Od niedawna jestem czytelnikiem Waszego pisma; w dużej mierze zawdzięczam to moim nowym polskim przyjaciołom – Michalinie Połubińskiej i Wiktorowi Kulerskiemu.

Istnienie tak znakomitego czasopisma było dla mnie wielkim odkryciem... Jeszcze większym zaskoczeniem było to, że ukazuje się ono po rosyjsku.

Bardzo jestem rad, że udało mi się zdobyć ostatnie 6 numerów Waszego pisma. Niektóre materiały z ostatnich numerów opublikowaliśmy na łamach naszej gazety. Szczególnie spodobał mi się artykuł Josifa Brodskiego *Polska*, ponieważ pozwolił obalić niektóre stereotypy, całymi latami wmawiane nam przez władze. Bardzo zaskakujący był również artykuł Leszka Balcerowicza *O polskiej gospodarce*. Muszę się przyznać, że żadnego z materiałów opublikowanych w piśmie nie mogłem przeczytać obojętnie.

Almaz Ismanow
Redaktor naczelny gazety „Osz Press – Wiesti"

Czasami udaje mi się przeczytać poszczególne numery pisma „Nowaja Polsza". Czytam je z dużym zainteresowaniem, ponieważ z Polską jestem bardzo związany od czasów frontowych. Walczyłem w składzie 59 armii I Frontu Ukraińskiego (pod dowództwem Korownikowa), byłem świadkiem wyzwalania wielu polskich miast, m.in. Krakowa, Katowic, Gliwic i innych, byłem w wyzwolonej Częstochowie. Miałem wiele przyjaznych spotkań, sympatycznych doświadczeń.

Po wojnie my, dziennikarze gazety frontowej, wracaliśmy w połowie lipca przez Kraków. Odbywały się tam wielkie uroczystości i oddziały naszej armii brały udział w defiladzie wojskowej, a potem złożyły wieńce pod Barbakanem. Nasza dziennikarska grupa poszła na Wawel, gdzie złożyliśmy wieniec na grobie Adama Mickiewicza.

Dlaczego Wasze pismo jest tak ciekawe?

Przede wszystkim zawdzięcza to materiałom poświęconym życiu kulturalnemu współczesnej Polski, jej literaturze, historii stosunków polsko-rosyjskich, publikacjom znanych twórców jak np. *Polscy poeci w rosyjskich przekładach* Czesława Miłosza (Nr 5), *Polacy w historii Syberii* (tamże), wierszom Jana Twardowskiego w numerze 4. Można długo wyliczać materiały, których treść jest bliska sercom rosyjskich czytelników. Dzięki Wam za to, że umacniacie mosty między naszymi krajami i naszymi kulturami. To szlachetna misja, jako że Polska jest nam bardzo bliska, wiele jest związków między nami. Szkoda, że nie zawsze można zdobyć Wasze czasopismo.

Z poważaniem

Dmitrij Dażin, ur. w 1916 r.
weteran wojny, dziennikarz wojskowy

Moskwa [2001]

15.07.01.

Byłem dosłownie oszołomiony, kiedy wyjąłem ze swojej skrzynki pocztowej pismo „Nowaja Polsza". Po chwili z listu mojego stryjecznego brata mieszkającego w Kaliszu dowiedziałem się, że to on właśnie sprawił mi taką niespodziankę. W konsekwencji stałem się posiadaczem, oprócz wspomnianego numeru 3, jeszcze numerów 4, 5 i 6.

Już pobieżne zapoznanie się z pismem pozwoliło mi stwierdzić, że jego treść jest bardzo mądrze ułożona i daje informacje o gospodarce, kulturze i polityce, o wzajemnym przenikaniu się kultur Polski i Rosji.

W naszych środkach masowego przekazu praktycznie nie ma informacji o Polsce. Swego czasu słuchałem audycji „Radia Warszawa" nadawanych w języku rosyjskim, ale ostatnio pojawiły się ciągłe, nie dające się usunąć zakłócenia, tak że niczego nie można zrozumieć. A chciałoby się wiedzieć więcej, jako że cała rodzina ojca mieszka w Polsce; ja również nieraz dłuższy czas przebywałem w Kaliszu i Jędrzejowie.

Teraz konkretnie o tym, co mnie najbardziej interesuje w Waszym piśmie (chociaż czytam je od deski do deski):

- bardzo urozmaicona i mądrze ułożona *Kronika (niektórych) wydarzeń bieżących* i *Kronika kulturalna*,
- historyczne wiadomości o działalności Polaków na Syberii były mi szczególnie bliskie, ponieważ po ukończeniu instytutu kilka lat pracowałem w Nowosybirsku (bywałem w Omsku i Irkucku) i miałem bliskie kontakty z potomkami Polaków,
- informacje o polskiej literaturze wydawanej w Rosji pozwoliły mi zapoznać się z przepięknymi utworami polskich pisarzy w czasopiśmie „Inostrannaja Litieratura", a z poezją i poetami – w antologii *Poezja polska XX wieku*,
- moje pokolenie było pozbawione możliwości czytania literatury mówiącej o roli inteligencji w społeczeństwie. Pismo pozwoliło mi zapełnić tę lukę,
- swoisty i ciekawy punkt widzenia pani Niny Andrycz na rolę kobiety w społeczeństwie (teatrze, rodzinie), a także materiały o powszechnie lubianej w naszym kraju piosenkarce Annie German,
- ciekawa forma i treść publikowanych wierszy, tym bardziej że już od kilku lat sam próbuję tłumaczenia na rosyjski niektórych polskich poetów,
- jako specjalista od sportu nie mógłbym nie zauważyć solidnego artykułu o znanym sportowcu – Adamie Małyszu.

Poza tym, kiedy czasopismo jest już dokładnie przeczytane przeze mnie i przez moją żonę, oddajemy je do jednej z bibliotek, gdzie może być czytane przez wiele innych osób.

Z całego serca dziękuję Wam, Redakcji, autorom i tłumaczom za stworzenie bardzo ciekawego, urozmaiconego w treści pisma. Na każdy numer czekam z dużą niecierpliwością.

Borys M. Gzowski

Jestem starym czytelnikiem (a także miłośnikiem) Waszego czasopisma. Czytam je z zadowoleniem, uważam, że jest bardzo ciekawe, wyróżnia się niezwykłym smakiem i powściągliwym stosunkiem do poruszanych tematów. Nie wątpiłem w te zalety pisma ani przez chwilę, dopóki nie przeczytałem nr.12 z 2002 roku. W tym numerze pod tytułem *Dlaczego Stalin zniszczył swoich generałów* zamieszczona jest rozmowa z historykiem, profesorem Pawłem Wieczorkiewiczem. Ku mojemu zmartwieniu, publikacja ta, jak mi się zdaje, nie w pełni odpowiada wcześniej przeze mnie wspominanym wysokim kryteriom pisma. Oczywiście, publikując materiały na tak dyskusyjne historyczne tematy, redakcja nie może odpowiadać za poziom ich naukowej poprawności, i ja też nie podejmuję się wstępować w polemiczne szranki z panem Wieczorkiewiczem na temat istoty jego naukowych badań, choć nie zgadzam się praktycznie z żadnym jego stwierdzeniem. A ten ton, panowie, co za ton!

Zgodzicie się, nader dziwna argumentacja w sporze naukowym w związku z pracą oponenta: „Nikczemna książka". Nic dodać, błyskotliwy dowód naukowy! Dalej, przypisując W.Suworowowi stwierdzenia, których w książce *Oczyszczenie* nie ma nawet w podtekście, szanowny profesor utwierdza nas w przekonaniu, że po prostu jej nie przeczytał.

Czy to Wam niczego nie przypomina? „Oczywiście, książki Pasternaka (Daniela, Galicza, Sołżenicyna, Wojnowicza itd., itd., itd...) nie czytałem, ale stwierdzam, że jest to nikczemna książka". Takie perły znajdowały się swego czasu w sowieckich środkach masowego przekazu, gdzie cytowano mnóstwo „gniewnych odzewów mas pracujących, piętnujących haniebnie żałosnych oszczerców z ich nikczemnymi wymysłami".

Nie daj Boże, żebyście się choć na jotę upodobnili do nich, czego z całej duszy Wam życzę!

A szanownemu profesorowi, zanim zacznie zarzucać Suworowowi ignorancję, należałoby spróbować zadać kłam choćby jednemu z setek ściśle wyważonych i uargumentowanych faktów, które są przytaczane w jego publicystycznych pracach. Do nich należy *Oczyszczenie*. Ale błagam, tylko nie metodą gazety „Prawda" z czasów sowieckich.

Z poważaniem i życzeniami dalszych sukcesów czasopismu „Nowaja Polsza"

Wasz czytelnik
Minasian Aleksander Grigorjewicz,
z zawodu lekarz, lat 54.
[2003]

List od naszego Czytelnika redakcja przekazała profesorowi Instytutu Historii Uniwersytetu Warszawskiego Pawłowi Wieczorkiewiczowi. Oto jego odpowiedź:

Pan Aleksander Grigorjewicz Minasian jest bliski stwierdzenia, że nie przeczytałem książek Suworowa. Pozwolę sobie mieć inne zdanie. Na przykład właśnie w jego *Oczyszczeniu* (o tę książkę tu chodzi) zawarta jest teza o jakoby dobroczynnym wpływie czystki na kondycję Armii Czerwonej w 1941 roku. Suworow uważa również, że Armia Czerwona w czerwcu 1941 roku była najpotężniejszą armią świata. W świetle toczącej się w ostatnim czasie bardzo ostrej polemiki między rosyjskimi historykami na temat klęsk ponoszonych w pierwszym etapie wojny, nie można się z tym zgodzić. Możliwe, że szanowny Czytelnik powinien zadać sobie pytanie: dlaczego ta silna i „oczyszczona" armia nie doszła do Berlina w ciągu trzech miesięcy?

Z poważaniem
Paweł Wieczorkiewicz

Początkowo Wasze czasopismo „Nowaja Polsza" zainteresowało mnie, ponieważ w linii mojej matki pochodzę ze starego rodu Dąbrowskich z Krakowa. W dzieciństwie babcia kochała mnie najbardziej spośród wszystkich swoich wnucząt, ale kiedy umarła, matka zaczęła wypominać ojcu, że jest Rosjaninem. Razem z bratem nieraz musieliśmy cierpieć z powodu narodowych konfliktów między rodzicami. Te problemy nauczyły mnie sztuki widzenia zalet i godności różnych narodów. Polskę kocham za Chopina i Mickiewicza, Ukrainę – za Szewczenkę i Łesię Ukrainkę, Rosję – za Łomonosowa i Jekaterinę Woroncową-Daszkową. Czechy kocham za to, że jakiś nieznany mistrz, który żył 700 lat temu, podarował mi okładkę dla mojej książki z wierszami. Bułgarię – za to, że ukrywa w sobie nie poznany jeszcze przez Europejczyków cud swojej muzyki. Obecnie pracuję nad jej interpretacją. A Wasze pismo błyszczy kulturą i spędziłam w bibliotece cudowne godziny zaznajamiając się z nim. Jak Wasz przepiękny „staroświecki" poeta Czesław Miłosz, wygłaszający swoje filozoficzne credo :

„Nie jestem i nie chcę być posiadaczem prawdy.
W sam raz dla mnie wędrowanie po obrzeżach herezji."

W młodości odczuwałam świat w bardzo podobny sposób, ale 90-letni laureat Nagrody Nobla i dzisiaj jest młodszy ode mnie, chociaż z racji wieku mogłabym być jego córką. Nie mogę wytrzymać, żeby nie wyrazić swojego uznania dla prof. Barbary Skargi – profesjonalnego filozofa. Jej życiowe osiągnięcia i kolosalny intelekt wywołują zdumienie. Daj jej Boże dobrego zdrowia!

Łada Odincowa
Moskwa [2003]

2 kwietnia 2004 r.

Piszę do Was z prowincjonalnej głuszy, znad Donu. Nazywam się Kowalenko Aleksander Stiepanowicz, jestem artystą-konserwatorem, zajmuję się przede wszystkim ikonami.

Chcę powiedzieć, że już drugi rok mam okazję czytać „Nową Polszę". Takich wydawnictw w Rosji jest wciąż stanowczo za mało. Obecnie Polska jest jeszcze bardziej oddalona od nas niż za komunistów. Może nawet tak jak Ameryka. Jakieś 15 lat temu bez problemu można było kupić w kioskach (miasta obwodowego) gazety i czasopisma. Kolekcjonowałem na przykład „Szpilki" i oryginalne zdjęcia z innych czasopism.

Szczególne miejsce zajmowała muzyka. Jak czekaliśmy na Festiwal Piosenki w Sopocie! Opera Leśna, kpiąco inteligentny konferansjer...

I kiedy przeczytałem w numerze 10 z 2003 roku (do nas egzemplarze „Nowej Polszy" docierają z dużym opóźnieniem), że gdzieś tam u Was odbył się kolejny koncert „Skaldów", byłem zaszokowany! I zachwycony jednocześnie – do tej pory na scenie! Zuchy, jestem dumny z tego zespołu.

Nawet nie wiecie, jakim podarkiem dla wszystkich miłośników polskiej muzyki byłoby opublikowanie na Waszych łamach materiałów o znanych zespołach: „Skaldach", „Niebiesko-Czarnych", „Alibabkach"! O ich drodze artystycznej i o tym, co robią dzisiaj.

Aleksander Kowalenko

ANKIETA „NOWEJ POLSZY"

Na przełomie 2002 i 2003 roku redakcja „Nowej Polszy" zwróciła się do kilkudziesięciu znanych osobistości w Polsce z prośbą o odpowiedź na następujące pytania:

1. Co, Pana/Pani zdaniem, przeszkadza jeszcze w normalizacji stosunków polsko-rosyjskich?
2. Czy nasze starania o porozumienie z niepodległą Ukrainą są przeszkodą w porozumieniu z Rosją?
3. Czy nasze starania o porozumienie z Rosją są przeszkodą dla porozumienia z Ukrainą?
4. Czy w przypadku kontrastu między bezpieczeństwem państwa lub jego strategicznym interesem a korzyścią gospodarczą należy preferować tę ostatnią?

MAREK BOROWSKI
Polityk, były marszałek Sejmu RP

Ja osobiście bardzo chciałbym, abyśmy mieli dobrosąsiedzkie i coraz lepsze stosunki z Rosją. Rosja jest bardzo ważnym uczestnikiem historycznego procesu przemian zachodzących na naszym kontynencie. Jestem przekonany, że również w przyszłości Polska jako członek Unii Europejskiej będzie konsekwentnym rzecznikiem otwartości Unii na wschód.

Oczywiście mamy w stosunkach dwustronnych z Rosją niemało zagadnień spornych, a nawet kontrowersyjnych. W stosunkach międzynarodowych to rzecz raczej normalna. Dwie najważniejsze trudne sprawy, mówiąc bardzo skrótowo, to kwestia dwustronnej współpracy gospodarczej (zwłaszcza zmniejszanie głębokiego deficytu w obrotach handlowych oraz „problem gazowy") i przezwyciężanie trudnego dziedzictwa historii — myślę tu przede wszystkim o sprawie zadośćuczynienia Polakom — ofiarom stalinowskich represji. Mam wrażenie, że w obydwu kwestiach posuwamy się do przodu, choć oczywiście postęp w ich rozwiązywaniu powinien być wyraźnie szybszy.

Drugie pytanie dotyczy kwestii, czy nasze starania o porozumienie z Ukrainą nie są przeszkodą w stosunkach polsko-rosyjskich, natomiast pytanie trzecie sugeruje, że nasz wysiłek na rzecz porozumienia z Rosją może być przeszkodą dla relacji z Ukrainą. Przyznam, że nie dostrzegam tu większych kolizji. To jest chyba bardziej problem publicystyczny niż praktyczny. Polska była pierwszym krajem świata, który uznał niepodległość Ukrainy i który konsekwentnie wspierał przez cały czas reformy w tym kraju i jego drogę ku europejskim wartościom. Nasze polsko-ukraińskie strategiczne partnerstwo jest korzystne dla Polski, dla jej roli w regionie i pozycji w NATO. Jak sądzę, jest także korzystne dla Ukrainy. Nie mogę dostrzec żadnego interesu Polski w tym, żeby stosunki Ukrainy z Rosją były złe, lub interesu Ukrainy, by pogarszały się stosunki polsko-rosyjskie. Nie wyobrażamy sobie, żeby narody tak nam bliskie jak Rosjanie i Ukraińcy mogły zostać po naszym przystąpieniu do Unii oddzielone od nas jakimś rodzajem nowej „żelaznej kurtyny".

Ostatnie pytanie dotyczy „kontrastu" między bezpieczeństwem państwa i jego strategicznym interesem a korzyścią gospodarczą. Polska dokonała wyboru w tej kwestii już dosyć dawno. Był on dla nas oczywisty, bo korzystne zarówno politycznie, jak i gospodarczo były bezsprzecznie kontakty z Zachodem, czyli udział w transatlantyckiej wspólnocie polityczno-obronnej i w europejskiej integracji. To były i są wielkie strategiczne cele Polski, i o żadnej próbie „przehandlowania"

ich za jakieś inne korzyści nie słyszałem. Polska ma dziś 70% obrotów handlowych z krajami Unii, więcej niż wszystkie chyba kraje „piętnastki» w obrotach wzajemnych. Dywersyfikacja źródeł zaopatrzenia naszego kraju w surowce energetyczne niezmiennie pozostaje ważnym celem naszej polityki (...).

PIOTR GROCHMALSKI
Historyk

1. Zanim odpowiem na to pytanie, pozwolę sobie na osobistą refleksję. Otóż zawsze, podczas moich pobytów w ZSRR, a następnie w Rosji, doznawałem wiele serdeczności od osób prostych, a zupełnie przypadkowych, gdy okazywało się, iż jestem Polakiem. Co więcej, ta moja polskość powodowała, iż wielu z moich przypadkowych rozmówców, spontanicznie i z wyraźną dumą z tego faktu, wspominało o wszelkich rodzinnych, bezpośrednich bądź bardzo odległych powiązaniach z Polakami. Przyznaję, iż nigdzie indziej na świecie nie spotkałem się z czymś podobnym. Ci ludzie nie tylko że nie ukrywali swych związków z Polską, ale byli z nich wyraźnie dumni. Mówię o tym, bo odnoszę wrażenie, iż współcześni politycy polscy i rosyjscy jakby nie mieli świadomości tego oczywistego faktu, jak w istocie wiele losów ludzkich łączy ze sobą te dwa społeczeństwa.

A główne przeszkody w dobrosąsiedzkich stosunkach wzajemnych dostrzegam właśnie w fałszywym postrzeganiu wzajemnych wizerunków. Oba narody przeżywają obecnie głębokie, wewnętrzne przewartościowania. Polacy starają się jakby na nowo określić swoje miejsce w ramach jednoczącej się Europy, Rosjanie ciągle zdają się czuć nieswojo w nowej roli, już nie mocarstwa światowego, ale społeczeństwa, które bodaj po raz pierwszy w historii ma szansę stać się w pełni nowoczesnym, obywatelskim. Przyznam, iż w tym szczególnym momencie dziejowym zawodzą polskie i rosyjskie elity. Po stronie rosyjskiej jest jakaś urażona duma spowodowana jakoby zdradą Polski. Z naszej z kolei strony drażni to irytujące i zupełnie niezrozumiałe poczucie wyższości wobec Wschodu (a równoczesne zakompleksienie wobec Zachodu). Nijak to się ma do tego, iż to przecież właśnie Polacy w ankiecie „Rzeczpospolitej" uznali *Mistrza i Małgorzatę* Bułhakowa, pisarza, który jest wspólnym skarbem kultury ukraińskiej i rosyjskiej, za najważniejsze literackie dzieło XX wieku. Ale — cóż za paradoks — z polskich księgarń niemal wymiotło ostatnio literaturę rosyjską. Zwykle zajmuje ona skromną, jedną półkę. Toż to jest zwykła głupota by nie powiedzieć sabotaż, jeśli się nagle „cenzuruje" dostęp do kultury naszego sąsiada. Kluczem wydaje się być wzajemna, dziś niczym nieuzasadniona, nieufność i — nie mam wątpliwości, iż jest to właściwe słowo — głupota oraz krótkowzroczność naszych, ale też i rosyjskich elit. Parafrazując Juliusza Mieroszewskiego, należałoby nawoływać do reformy „zakonu polskości i rosyjskości". Brakuje nam tego, co Gombrowicz w *Trans-Atlantyku* nazwał „wyzwoleniem Polaków z Polski". Rzecz w tym, abyśmy nie poddawali się biernie swej polskości, rosyjskości, ale „potraktowali ją z góry". To dlatego tak ogromne znaczenie ma istnienie takiego pisma jak „Nowaja Polsza", która ukazuje Rosjanom, jak intelektualnie prowokująca i pełna treści jest dzisiaj kultura polska. Bo jest w niej świadomość, iż wielki eksperyment europejski może zakończyć się budową nowego, cywilizacyjnego muru, dzielącego kontynent, jeśli polska kultura nie stanie się czymś w rodzaju otwartych w obie strony świata drzwi, miejscem otwartej rozmowy Wschodu z Zachodem.

2. Tak, jeśli nie będziemy w stanie prosto, otwarcie i jasno przedstawić swoich racji stronie rosyjskiej. Rzecz jednak w tym, iż nasze działania wobec Ukrainy są nierozerwalnie związane także z polityką wobec Rosji. W chwili obecnej kształtuje się nie tylko Nowa Polska, Nowa Rosja, ale też Nowa Europa. Rzecz w tym, iż to od samej Rosji będzie zależało, czy staniemy się peryferyjnym państwem Unii, czy też będziemy tym miejscem, dzięki któremu, w realnej, historycznej perspektywie możliwe będzie swoiste „zszycie" kontynentu, czyli zintegrowanie go o ziemie Ukrainy, Rosji, Białorusi. Rosja musi zrozumieć, że starając się o niepodległą Ukrainę, wspierając jej powolne i bolesne próby odnalezienia swego właściwego miejsca, tak naprawdę walczymy o

to, aby nie zostać zepchniętymi do roli państwa granicznego, skazanego na izolowanie Wschodu od UE. Bylibyśmy wówczas takim peryferyjnym „narodem strażników". Nie trzeba chyba wyjaśniać, iż nie jest w naszym interesie taka rola. Dlatego chcemy silnej Ukrainy mogącej realnie myśleć o stopniowym integrowaniu się z Europą i chcemy silnej Rosji, bo to oznacza dla nas bezpieczeństwo, ale także gospodarczy sukces Polski, regionu i UE.

3. Takie niebezpieczeństwo istniałoby tylko wówczas, gdybyśmy faworyzowali Rosję kosztem naszych stosunków z Ukrainą. Byłby to niewybaczalny błąd. Kardynalną zasadą naszej dyplomacji winna być żelazna reguła — o sprawach ukraińskich z Ukraińcami, o sprawach rosyjskich z Rosjanami, a więc nic za plecami Ukrainy.

4. W dobie globalizacji korzyści gospodarcze mają niebagatelne znaczenie dla stabilności państwa — ale państwo, które nie umie podporządkować interesów gospodarczych swym strategicznym celom, działa ewidentnie na swoją szkodę. Kluczem polskiej racji stanu winno być wykorzystanie naszego strategicznego położenia jako atutu gospodarczego — innymi słowy gospodarka winna realizować naszą strategię. Byłoby fatalnie, gdyby to gospodarka decydowała o kluczowych założeniach naszej polityki. Winniśmy w końcu nauczyć się czerpać korzyści z naszego położenia geopolitycznego, tym bardziej że mamy unikalną, najlepszą od kilkuset lat, koniunkturę polityczną. Co więcej — strategicznym celem Polski, jeszcze przed przystąpieniem do Unii, winno być wypracowywanie perspektywicznej strategii UE wobec Rosji i Ukrainy i dążenie do przesunięcia punktu ciężkości Europy z Zachodu do centrum kontynentu. Ta tendencja będzie zresztą nieunikniona w sytuacji, gdy kontynent przestanie się bać Rosji. W naszym interesie jest, by państwo to poczuło się raz na zawsze zakorzenione w Europie i zaczęło widzieć swą przyszłość w integracji z kontynentem, a przy tym by widziało, iż jest to niemożliwe bez wolnej Ukrainy jako gwarancji bezpieczeństwa i stabilności dla całej Europy w trakcie jej transformacji. Powstaje, po raz pierwszy w najnowszych dziejach, sytuacja, iż Rosja, pozostając nadal regionalnym mocarstwem i dysponując wselkimi możliwościami, staje się także regionalną potęgą gospodarczą, jest bezpieczna dla Europy — „Stary Świat" nie musi się już obawiać zbliżenia z Rosją, a nawet daleko posuniętej, stopniowej integracji, gdyż dysponuje wystarczającym potencjałem gospodarczym i militarnym, aby nie obawiać się zdominowania przez FR. Z kolei dla Rosji tak naprawdę jedynie Europa jest szansą ucieczki tego państwa przed widmem dryfu w cywilizacyjny obszar Trzeciego Świata. Realnym, strategicznym spoiwem tego procesu poszukiwania formuły współpracy powinna stać się Polska. Rodzi się oczywiście pytanie, co się stanie, jeśli jednak Rosja wybierze inną opcję i straci swoją historyczną szansę, podejmując próbę odbudowy swej mocarstwowej pozycji? Wtedy stracią gospodarczo Polska i Europa. Ale największą ceną za to zapłacą Rosja i Ukraina.

MICHAŁ JAGIEŁŁO
Dyrektor Biblioteki Narodowej

Parę lat temu zainicjowaliśmy cykl wystaw pod hasłem: Nasi sąsiedzi — nowe spojrzenie, i dotychczas zaprezentowaliśmy nasze, polskie postrzeganie następujących kultur i narodów: Litwy, Białorusi, Ukrainy, Słowacji oraz krajów skandynawskich (Danii, Finlandii, Islandii, Norwegii i Szwecji). Teraz przygotowujemy wystawę o Rosji. W następnych latach przyjdzie czas na Czechy, Niemcy oraz Estonię i Łotwę.

Wystawy te mają duże znaczenie edukacyjne, a może nawet i terapeutyczne, przede wszystkim dla nas, Polaków. Zebrane w jednym miejscu i w jednym czasie książki i arty-kuły prasowe odnoszące się do jakiegoś aspektu polskiego postrzegania wybranego sąsiada więcej oczywiście mówią o Polakach niż o tym sąsiedzie. Mówią o polskich mitach i polskich uprzedzeniach, o polskim paternalizmie w odniesieniu do kultur uznawanych za „chłopskie", ale mówią także o polskiej zdolności wyzwalania się z resentymentów, ze stereotypów, z uwięzienia w swojej, polonocentrycznej wizji historii.

Właśnie: odwaga porzucenia polonocentrycznego punktu widzenia, trzymanie na wodzy narodowej megalomanii, zdrowy krytyczny dystans

wobec kategorii Polak-katolik i wciąż występujących czasem przejawów tryumfalizmu polskiego Kościoła rzymskokatolickiego — to przesłanki (a może wolno powiedzieć staroświecko: cnoty) konieczne, jeśli chcemy układać nasze polityczne, gospodarcze i kulturalne stosunki z planetą o nazwie Federacja Rosyjska. Tak, Rosja — w szerokim, federacyjnym sensie tego pojęcia — to niemal odrębna planeta; tak jak USA, tak jak Chiny. My, Polacy, powinniśmy mieć świadomość różnicy statusów między Polską a Rosją. Świadomość tych różnic powinna pomóc nam w znalezieniu odpowiednich ścieżek „w głąb" Rosji, powinna też pomóc Rosjanom w wydeptywaniu swej „tropinki" do Polski.

Temu, w małej skali, ma służyć wystawa nieprzypadkowo zatytułowana „Między odrzuceniem a fascynacją". Temu ma służyć towarzysząca tej niezwykłej prezentacji konferencja na temat: „Biblioteki Narodowe Polski i Federacji Rosyjskiej: tradycja i dzień dzisiejszy", z udziałem dyrektorów i specjalistów obu spotykających się stron.

Do Rosjan, do rosyjskiej kultury, w głąb rosyjskiej duchowości trzeba iść z dobrą wolą zrozumienia wielkiego partnera. Z cywilną i polityczną odwagą mówienia, że dla nas, Polaków, Białoruś i Ukraina to odrębne byty państwowe i kulturalne, związane z Rosją wieloma nićmi, ale s a m o d z i e l n e; że problemu czeczeńskiego nie rozwiąże się tylko siłowymi metodami. Trzeba iść do Rosji i do społeczeństw rosyjskojęzycznych z wyraźnym przesłaniem (jak najdalszym od jakiegokolwiek pouczania), że boimy się tendencji imperialistycznych tlących się tu i ówdzie w rosyjskiej polityce i że cieszy nas każdy przejaw nastawień demokratycznych, pluralistycznych, zgodnych z modelem demokracji parlamentarnej. Do Rosjan trzeba iść z najlepszymi przejawami polskiej kultury, i wracać nasyconym kulturą tworzoną na tej fascynującej „planecie".

JAN NOWAK-JEZIORAŃSKI
Publicysta, polityk

Normalizacja stosunków z Rosją, a nawet więcej — zbliżenie i przyjaźń obu narodów leży w żywotnym interesie Polski. Pojednanie między Polską a Rosją, podobnie jak pojednanie z Niemcami, byłoby osiągnięciem w skali tysiąclecia. Podczas jednak, gdy Niemcy w swej ogromnej większości pogodziły się ze swoimi obecnymi granicami i wyrzekły dążeń imperialistycznych — dążenia do odzyskania dominacji nad sąsiadami, gdy sytuacja na to pozwoli, żyją wciąż w mentalności rosyjskiej elity politycznej. Utrwalenie niepodległości Ukrainy, Białorusi, państw bałtyckich jest rękojmią bezpieczeństwa dla Polski. Ponowne uzależnienie tych państw, narzucone przez Moskwę, byłoby równoznaczne z odrodzeniem się imperializmu wielkorosyjskiego, które stanowiłoby zagrożenie dla Polski.

Wydobycie się Rosji z jej obecnego niżu gospodarczego może otworzyć dla rozwoju gospodarczego Polski niepowtarzalną szansę historyczną. Zdobycie tej szansy nie może być jednak osiągnięte kosztem naszych bezpośrednich sąsiadów.

W dążeniu do pojednania z Rosją Polska powinna zdobyć się na cierpliwość obliczoną na długie lata w połączeniu ze stanowczością.

JERZY KŁOCZOWSKI
Historyk

1. Za jedną z zasadniczych przeszkód, zapewne wręcz najważniejszą, utrudniających normalizację naszych wzajemnych stosunków, uważam brak solidnego, obustronnego wysiłku krytycznego spojrzenia na całokształt naszych dziejów po dzień dzisiejszy, ze szczególnym uwzględnieniem wieku XX pozostającego bardzo głęboko w świadomości Polaków. Nie chodzi tu tylko np. o rewizję szkolnych podręczników, ale przede wszystkim o autentyczną konfrontację wizji bardzo nieraz odbiegających od siebie. Nawet próba uczciwego do końca, wielostronnego, przedstawienia różnic, lista sprzeczności, byłaby w takiej sytuacji ogromnym krokiem naprzód. Wynikałby z niej

przynajmniej program, kwestionariusz dalszych badań, możliwie wspólnie prowadzonych przy pełnym udostępnieniu dla obu stron dokumentacji źródłowej i publikacji dyskusji i wyników. Zapewnienie całkowitej niezależności takich prac stanowi oczywiście warunek sine qua non, warunkuje on także zaufanie, jakie najszersze kręgi społeczne obu krajów mogłyby im okazywać.

Rzecz jasna, w toku intensywnych prac dotknięte byłyby nie tylko kwestie sporne, ale i całokształt wzajemnych oddziaływań, np. rola wielkiej kultury rosyjskiej dla kultury polskiej czy rola Polaków w procesach modernizacyjnych na ziemiach rosyjskich.

Przykład tego rodzaju wielkiego i świadomego wysiłku francusko-niemieckiego, a ostatnio także polsko-niemieckiego ukazuje namacalnie jego wyjątkowe znaczenie dla „oczyszczenia" atmosfery między dwoma społeczeństwami. Dla całokształtu wzajemnych stosunków na wszystkich polach ma to fundamentalne wręcz znaczenie.

2. Przeszkodą może oczywiście być, ale wcale nie musi. Ideałem i wspólnym interesem byłyby równocześnie maksymalnie dobre stosunki ukraińsko-rosyjskie i ukraińsko-polskie, co byłoby też ważnym elementem stabilizacji europejskiej. Na bliską i dalszą metę taka stabilizacja jest niezmiernie potrzebna tak Rosji, jak i Polsce. Jej losy w niemałej mierze zależą właśnie od losów niepodległej Ukrainy przyjaznej tak Polsce, jak i Rosji.

3. Nie, nie są przeszkodą, pod warunkiem, oczywiście, zachowania cały czas lojalnej postawy wobec partnerstwa strategicznego z Ukrainą. Nie można stwarzać wrażenia dogadywania się dwóch stron ponad głowami trzeciej; pamięć chociażby traktatu ryskiego z 1921 r., tak właśnie odbieranego przez dużą część świadomej opinii ukraińskiej tamtych czasów, może tu być przytoczona jako przykład negatywny. Dobrze byłoby rozważyć możliwość spotkań trójstronnych w atmosferze braku jakichkolwiek presji zewnętrznych. (...)Taki dialog odrzucający z góry «polityczną poprawność» w przedstawianiu stanowisk jest w gruncie rzeczy absolutnie niezbędny jako warunek wstępny atmosfery wielkiego zaufania stron w stosunkach wzajemnych.

4. Bezpieczeństwo państwa i jego obywateli jest wartością nadrzędną, korzyści gospodarcze winny być w zasadzie podporządkowane — w mądry sposób, po wielorakim rozpatrzeniu sprawy — fundamentalnym racjom bezpieczeństwa.

MAREK KRÓL

Redaktor naczelny tygodnika „Wprost"

1. Wydaje się, że normalizacja już nastąpiła. Nie należy liczyć na wiele więcej. Nasze kontakty są oparte na grze interesów. A Polska na liście interesów Federacji Rosyjskiej zajmuje dość odległe miejsce. Oczekiwanie jakiejś nowej „normalizacji" rozumianej jako przyjaźń polsko-rosyjska jest nieporozumieniem. Istnieje realna różnica interesów dotycząca dwóch sfer: energetyki i uporządkowania spraw na obszarze definowanym przez Mieroszewskiego jako «ULB». Ta sytuacja sprawia, że normalność polsko-rosyjska musi być względnie chłodna.

2. Tak, jeżeli uznamy, że porozumienie to jest ufundowane na byciu „adwokatem" Ukrainy i przede wszystkim na wciąganiu Ukrainy do zachodniego obszaru polityczno-cywilizacyjnego. Jeżeli założymy, że celem Polski jest wprowadzenie Ukrainy do strefy euroatlantyckiej, to Rosja dąży do tego, by Ukraina była o krok dalej od Zachodu niż Moskwa. Przykład: my na pytanie, czy Rosja powinna wejść do NATO, odpowiemy: tak, dwa dni po Ukrainie. Rosjanie pytani o członkostwo Ukrainy odpowiedzą: tak, jeśli to my będziemy ją przyjmować.

3. O ile nie będzie to kapitulacja przed żądaniami Rosji, to nie powinny. Jeśli jednak zgodzimy się na uznanie formuły „bliskiej zagranicy", to wówczas cała nasza polityka wschodnia ostatniego dwunastolecia zostanie przekreślona. Kijów rozumie znaczenie kontaktów z Rosją, ale nie zaakceptuje handlu interesami ukraińskimi. Nawet wtedy, gdy formalnie powie „tak". Przykładem może być sprawa rurociągu — tzw. łącznika międzysystemowego. Formalnie Ukraina wspierała stanowisko Rosji, nieformalnie dziękowała Polsce za obronę jej interesów.

4. Byłoby to zachowanie absolutnie nieracjonalne i karygodne. Dla każdego państwa priorytetem jest interes strategiczny. Wymiana leków

ratujących życie na nowy garnitur jest usprawiedliwiona tylko w wypadku pewności bliskiego pogrzebu. A na szczęście nie żyjemy w epoce Lubeckiego.

STANISŁAW LEM
Pisarz

1. Ogólnie rzecz biorąc, ustroje mogą padać szybko, natomiast mentalność społeczeństw, a zwłaszcza elit władzy, wykazuje znaczną bezwładność. Rosjanie dzisiaj mają do Polski stosunek urobiony przez propagandę czasu sowieckiego, a więc uważają nas za odstępców, którzy wzgardzili imperialną opieką. Ten typ opinii dominuje w ośrodkach władzy, zwłaszcza militarnych. Putin wszedł raczej na zachodni kurs, ale do normalizacji stosunków z Rosją jest nam wciąż daleko.

2. Sprawa stosunków polsko-ukraińskich nie jest raczej, jak sądzę, przeszkodą w porozumieniu z Rosją. Zarówno Rosja, jak i Ukraina mają nieporównanie ważniejsze i pilniejsze problemy do rozwiązania, aniżeli porozumiewanie się z nami.

3. Powtórzyć tylko mogę to, co napisałem w odpowiedzi numer dwa.

4. Nie wydaje mi się, żeby dało się ocenić zyski i straty wywołane już to prymatem bezpieczeństwa państwa, już to korzyścią gospodarczą. Zbyt wiele niewiadomych ciąży nad całą strefą rozpościerającą się między nami, czyli wschodnią ścianą a Rosją i Ukrainą. Pozwolę sobie dodać, że potrzebna jest nam bardzo rozsądna i długodystansowa polityczna linia wobec obu państw wschodnich i że my sami choćby dlatego nie możemy takiej polityki wcielić w życie, ponieważ mamy ciężar własnych kłopotów wewnętrznych, który obarcza naszą państwowość.

MACIEJ ŁUKASIEWICZ
Redaktor naczelny
dziennika „Rzeczpospolita"

1. Na stosunki polsko-rosyjskie wciąż kładą się cieniem ostatnie trzy wieki naszych wspólnych dziejów, kiedy Rosja rosła w siłę, a myśmy coraz bardziej kurczyli się na mapie Europy i świata — bywało, że do zera — i że działo się to właśnie za sprawą imperialnej Rosji. Szczególnie dramatyczne było sowieckie 55-lecie. Polacy zbyt wiele od naszego wschodniego sąsiada wycierpieli, by łatwo to zapomnieć. Oni ciągle jeszcze pamiętają nam Batorego i Żółkiewskiego, a nie chcą zrozumieć, że potem była Katarzyna II, Aleksandry, Mikołaje, Lenin, Stalin i Katyń, o ich następcach nie wspominając.

Czas, rzecz jasna, robi swoje — im dłużej trwać będzie nasza nowa niepodległość, tym szybciej goić się będą stare rany. Pod warunkiem, że nie będzie się ich bezustannie jątrzyć. Ale to wymaga wzajemności ze strony Rosjan, dla których, obawiam się, Polacy są ciągle tymi, którzy „zdradzili" idee słowiańskiej wspólnoty. Największym problemem jest jednak to, że Moskwa wciąż przejawia wielkomocarstwowe apetyty — i trudno ją przekonać, by znacznie mniejszą Polskę traktowała po partnersku.

Natomiast po naszej stronie problemem jest brak całościowej, spójnej — i przyszłościowej! — koncepcji współpracy z Rosją. Spójnej — bez względu na to, jaki jest u nas aktualny układ koalicyjny, a przyszłościowej — ze względu na to, że Polska jest — obok Chin i Ukrainy — największym narodem sąsiadującym z Rosją. I że ma wszelkie szanse, biorąc pod uwagę jej potencjał — jeśli nie zmarnują ich mierni przywódcy i kiepscy politycy — stać się liderem całej wschodniej części Unii Europejskiej.

2-3. Jest rzeczą oczywistą, że staranie o zbliżenie z Ukrainą nigdy nie będzie dobrze widziane w Moskwie — o ile Rosjanie uznają, że jest ono skierowane przeciwko nim. Podobnie może wyglądać sprawa porozumienia polsko-rosyjskiego w oczach Kijowa. Mówiąc krótko: jak najlepsza współpraca, zarówno polsko-rosyjska, jak i polsko-ukraińska, jest nam bardzo potrzebna. Ale musi być to współpraca nie skierowana przeciwko komukolwiek (patrz pkt. 1).

4. Tu nie mam najmniejszej wątpliwości: jakakolwiek korzyść gospodarcza przy zagrożeniu bezpieczeństwa państwa niegodna jest najmniejszej nawet uwagi.

TADEUSZ MAZOWIECKI
Były premier RP (1989–1990)

1. Normalizacja jest pojęciem, które należy w zasadzie odnosić do stosunków międzypaństwowych. Sądzę, że taka normalizacja pomiędzy naszymi państwami istnieje. Jednakże stosunki miedzy Polską a Rosją mogłyby być bardziej intensywne zarówno w dziedzinie gospodarczej, jak i w dziedzinie wymiany kulturalnej. Myślę, że równolegle do tego problemem niezwykle ważnym jest intensyfikacja stosunków pomiędzy społeczeństwami, zwłaszcza w dziedzinie kulturalnej. Tym, co kładzie się niedobrym cieniem na te stosunki, są sprawy nie tyle polsko-rosyjskie co np. polityka Rosji wobec poszanowania praw innych narodów i poszanowania praw człowieka. Mam tu na myśli sprawę Czeczenii. Wiem, że dzieli ona również opinię rosyjską, ale polityka rosyjska ciągle nie znajduje zgodnego z poszanowaniem praw tego narodu wyjścia. To z kolej wywołuje wśród grup czeczeńskich akty terroru, których nie pochwalam. Jednakże wyniszczanie narodu czeczeńskiego kładzie się wielkim cieniem na stosunek do Rosji.

2-3. Na te oba pytania świadomie odpowiem łącznie. W interesie wszystkich trzech naszych państw, tj. Polski, Rosji i Ukrainy, leży to, aby nie widzieć wzajemnych stosunków jako przeszkody do porozumienia. Jestem głęboko przekonany o tym, że na dłuższą metę potrzebne jest właśnie dla naszych trzech krajów takie, nie antagonistyczne widzenie tych stosunków.

4.Pytanie jest sformułowane abstrakcyjnie i należałoby je ująć konkretniej. Zasadniczo biorąc, korzyść gospodarcza nie może być preferowana przed bezpieczeństwem państwa. Ocena zależy jednak od tego, czy istotnie taka sprzeczność zachodzi.

STANISŁAW OBIREK
Duchowny, jezuita

1.Stosunki polsko-rosyjskie nigdy nie były „normalne", stąd nie można mówić o ich normalizacji, ale o konieczności wypracowania zupełnie nowych sposobów wzajemnego odnoszenia się, opartych na wzajemnym szacunku i poszanowaniu odmienności.

2.Ukraina to młody organizm państwowy, który w przeszłości doświadczył wiele dobra zarówno od Polski, jak i od Rosji. Jednakże współczesna świadomość Ukraińców jest zdominowana pamięcią o doznanych krzywdach i to zarówno ze strony Rosji jak i Polski. Sukces pielgrzymki Jana Pawła II na Ukrainie w 2001 roku pozwala mieć nadzieję, że jest możliwe budowanie przyszłości również w oparciu o pamięć o wspólnym dobru.

3.Gdzie dwóch się dogaduje, tam trzeci korzysta. Nie widzę powodu, dlaczego zbliżenie polsko-rosyjskie miałoby prowadzić do oddalenia Ukrainy, wręcz przeciwnie.

4.A może to źle postawiony problem. Bezpieczeństwo państw, zwłaszcza sąsiadujących ze sobą, i ich strategiczne interesy są zwykle związane z ich kondycją gospodarczą. Perspektywa wzajemnych korzyści gospodarczych może być dobrym i godziwym motywem wzajemnego zbliżenia. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby gospodarczej prosperity towarzyszył wzrost kulturowej świadomości pojętej jako twórcze dopełnianie się.

WACŁAW WILCZYŃSKI
Ekonomista

1. W normalizacji stosunków polsko-rosyjskich przeszkadzają pozostałości rosyjskiego hegemonizmu, kolonializmu i przekonania o zasadności wkroczenia 17 września 1939 na teren Polski. Poczucie wyższości łączy się u Rosjan z brakiem szacunku dla imponderabiliów normalnych relacji. Rosyjski model cnót obywatelskich eksponuje nacjonalizm i lekceważenie ekonomicznej strony stosunków społecznych.

2. Niepodległość Ukrainy nie jest mile widziana przez Rosję i stąd wszelkie eksponowanie Ukrainy przez jej sąsiadów jako odrębnego, samodzielnego organizmu państwowego nie jest Rosji miłe. W dłuższej perspektywie czasowej obawiam się tendencji do oddzielenia od Ukrainy i przyłączenia do Rosji Ukrainy Wschodniej (zadnieprzańskiej) oraz do kulturalnej rerusyfikacji kraju.

3. Raczej nie. Ukraina, uzyskawszy niepodległość w bardzo korzystnych granicach, nie będzie doszukiwać się w porozumieniu Polski z Rosją żadnych gróźb.

4. Nie sądzę, by groziło Polsce ekonomiczne zdominowanie przez Rosję mimo ekspansjonistycznych poczynań Gazpromu itp. W przypadku Ukrainy nie ma w ogóle problemu bezpieczeństwa. Natomiast korzyści ekonomiczne Polski w dotychczasowej postaci ulegną redukcji w miarę rozwoju gospodarki rynkowej w Rosji i na Ukrainie. W perspektywie spodziewam się nawet konieczności obrony przed zalewem towarów ze Wschodu, choćby ze względu na niższe koszty produkcji.

ANNA WOLFF-POWĘSKA
Historyk

1.Przede wszystkim nie należy przesadnie wysoko ustawiać poprzeczki normalizacji w stosunkach polsko-rosyjskich, podobnie zresztą jak w stosunkach polsko-niemieckich. W obu przypadkach zbyt duże oczekiwania zakończą się jedynie bardzo nieprzyjemnym rozczarowaniem. Lepiej nauczyć się żyć z kłopotami niż żyć marzeniami. A główne kłopoty wynikają nadal z niewyklarowanej międzynarodowej roli przede wszystkim Rosji, ale również Polski. Wskutek tego wciąż brakuje jakichś solidniejszych podstaw, na których przynajmniej Polska mogłaby wyprofilować swoją politykę wobec Rosji. Za dużo niewiadomych na podjęcie lub przyjęcie jakiejkolwiek ofensywy dyplomatycznej. Próbować trzeba, ale bez większej nadziei na szybkie efekty. Natomiast wiele można i należy zrobić dla poszerzenia wiedzy o tym, co dzieje się (i działo się!) w literaturze pięknej i humanistyce rosyjskiej. Wsłuchujemy się w każde brzęknięcie z Zachodu, a na Wschód — ogłuchliśmy (tłumaczenia!!!). Ignorancja nie ułatwia porozumienia i co najgorsze zubaża duchowo społeczeństwo polskie.

2. Realnie patrząc, nazbyt demonstrowane polskie „poparcie" dla Ukrainy nie może budzić entuzjazmu w Moskwie, choć z rosyjskiego punktu widzenia jest ono bardziej irytujące lub kłopotliwe niż groźne. Trudno przypuścić, żeby Rosjanie nie zdawali sobie sprawy z sytuacji i nastrojów panujących na Ukrainie i żeby przywiązywali nadmierne znaczenie do polskich możliwości samodzielnego działania; Polska nawet gdyby chciała, to i tak nie byłaby w stanie rozgrywać karty ukraińskiej przeciwko Rosji. I po co? Natomiast same w sobie „starania o porozumienie z niepodległą Ukrainą" raczej nie powinny rodzić zasadniczych napięć w stosunkach z Rosją, nie znajdują się one w centrum rozbieżności polsko-rosyjskich. W rzeczywistości bardzo wiele tu zależy od klimatu panującego w stosunkach polsko-rosyjskich i rosyjsko-ukraińskich. Jeśli Rosja zdefiniuje swoje interesy wobec Ukrainy w stylu imperialnym, to wówczas każda nie uzgodniona z nią polska polityka wobec Ukrainy zostanie odebrana jako posunięcie nieprzyjazne, a jeśli nie — to mogą się pojawiać co najwyżej wzajemne kwasy. Chyba nieuniknione, ale bez większego znaczenia.

3. Nie bardzo widzę powody, dla których dążenie Polski do porozumienia z Rosją miałoby stanowić jakąś zasadniczą przeszkodę dla porozumienia między Polską a Ukrainą. Z jednym wyjątkiem, a mianowicie gdyby Polska aktywnie poparła jakąś agresywną politykę Rosji wobec Ukrainy. Ale na to akurat się nie zanosi. Że Ukraina będzie krzywo odbierała ewentualną poprawę stosunków polsko-rosyjskich, tego i tak się nie uniknie. Jednakże myślenie kategoriami „albo-albo" posiada rację bytu jedynie w sytuacjach ekstremalnych, obecnie zaś ani Polska, ani Rosja, ani Ukraina nie mają powodu, żeby kierować się zasadą „albo z nami, albo z nimi". Mogą się natomiast pojawiać napięcia w sprawach gospodarczych, w sytuacjach gdyby Polska miała do czynienia z mniej więcej równowartościową ofertą rosyjską i ukraińską. Jeśli oferty te nie mają implikacji w sferze bezpieczeństwa, to wówczas i Ukraina i Rosja powinny się pogodzić z tym, że decyduje uzasadniony merytorycznie interes Polski. Jeśli nie, to trzeba przełknąć niezadowolenie Moskwy lub Kijowa.

4. Pytanie czwarte zostało sformułowane nieco prowokacyjnie, z wyraźną chyba aluzją do sporów o rurociąg naftowy. Jeśli wziąć je dosłownie, to odpowiedź jest prosta i odnosi się w równej mierze do polskiej polityki wschodniej i zachodniej, do polityki każdego zresztą państwa. Tylko bardzo głupie państwo przedłoży jakąkolwiek, nawet bardzo dużą „korzyść gospodarczą"

nad „bezpieczeństwo" lub „strategiczny interes". Co bowiem zrobi z tą niby „korzyścią" w sytuacji zagrożenia dla swojego szeroko rozumianego „bezpieczeństwa"? Tylko przeklnie, bo nic innego nie pozostanie. Z tego punktu widzenia dywersyfikacja dostaw ropy i gazu z całą pewnością nie może być w Polsce rozpatrywana tylko lub nawet głównie przez pryzmat „korzyści gospodarczych". Nie czuję się jednak kompetentna do wypowiadania opinii na temat konkretnych posunięć polskich w tym zakresie.

JACEK WOŹNIAKOWSKI
Pisarz, wydawca

1. Myślę, że przede wszystkim wojna w Czeczenii, ale także bardzo niedoskonałe poszanowanie praw człowieka — w tym prawa do porządnego wyjaśnienia „zaszłości historycznych". Sprawa Kaliningradu też nie jest chyba czysto i porządnie wyjaśniona. Rosji jest się chyba trudno wyrzec imperialnych wspomnień, a to byłoby konieczne u stosunkach ze wszystkimi sąsiadami. Ostatnią wreszcie sprawą jest postawa Cerkwi wobec duchownych katolickich, łącznie z Papieżem. Niezmiernie cenna byłaby chyba o wiele obfitsza niż dzisiaj wymiana studentów, a także starszych, uczonych czy intelektualistów i artystów — nie wiem, co tu jest najpoważniejszą barierą.

2. Zdaniem władz rosyjskich zapewne tak. Ale nic na to nie poradzimy. Ze zbliżenia polsko-ukraińskiego zrezygnować nie możemy, choć wyjaśnianie Rosji, że to nie jest żadna dywersja, zostanie chyba długo bezowocne.

3. Nie.

4. Nie rozumiem, jaki miałby być pożytek z korzyści gospodarczych, jeśliby im zagrażało unicestwienie w skutek braku bezpieczeństwa państwa.

GRZEGORZ WÓJTOWICZ
Ekonomista, członek Rady Polityki Pieniężnej

W normalizacji stosunków z Rosją przeszkadza nieufność, ale pomoże czas. Źródłem kłopotów są zawiłości historyczne — mniej te zapamiętane z książek, a bardziej te znane z tragicznych przeżyć osobistych i rodzinnych. Polska szybko zdefiniowała swe miejsce w świecie i Europie. Myślę, że także Rosja coraz wyraźniej będzie dopasowywać się do współczesnych realiów. Scenariusze optymistyczne są dzisiaj bardziej prawdopodobne. Rosja i Ukraina są dla siebie bardzo ważnymi partnerami strategicznymi. Ta kwestia musi być punktem wyjścia w kształtowaniu naszych stosunków z Ukrainą. Nie sądzę, aby dobre stosunki Polski z Rosją przeszkadzały Ukrainie. Wręcz przeciwnie. Bezpieczeństwo państwa lub jego strategiczny interes dotyczy długiego okresu. Korzyść gospodarcza jest raczej zjawiskiem krótkookresowym, więc nie może być preferowana.

JÓZEF ŻYCIŃSKI
Arcybiskup, Metropolita Lubelski

1. Folklor polityczny, w którym Breżniew i Żyrynowski są traktowani jako typowi Rosjanie, zaś, dla symetrii, populistyczny środek kształtowania pamięci o historii stanowią obchody wypędzenia Polaków z Moskwy.

2. Nie powinny być, gdyż przyjaźń narodów oparta na dyplomacji i taktycznym uprzedzeniu do innego kraju okazuje się zawsze złudna i nietrwała.

3. j.w.

4. Nie wolno dopuścić, by racje ekonomiczne stały się najwyższą zasadą naszej kultury. Etyka podporządkowana ekonomii jest rozwiązaniem pozornym, na bardzo krótki dystans.

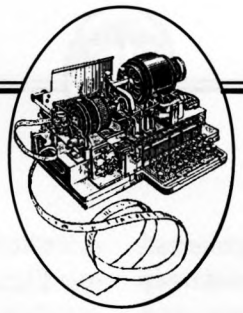

Wiktor Kulerski

KRONIKA (NIEKTÓRYCH) WYDARZEŃ BIEŻĄCYCH

WYBÓR Z LAT 1999-2004

• „Ograniczona wojna jądrowa? A dlaczego by nie? [...] trzeba wykorzystać to, w czym byliśmy najlepsi – właśnie broń jądrową", – słowa Pawła Felgengauera, „publicysty cieszącego się sławą nieoficjalnego rzecznika rosyjskiego Sztabu Generalnego" cytuje Sławomir Popowski. („Rzeczpospolita", 7 lipca 1999)

• „Przywiązuję wielką wagę do normalizacji kontaktów polsko-rosyjskich [...] Łatwe to nie jest, ale trzeba próbować. Takim zalążkiem jest powstająca *Nowaja Polsza*. [...] Redaktorem jest Jerzy Pomianowski, człowiek najbardziej kompetentny", – Jerzy Giedroyć. („Polityka", 28 sierpnia 1999)

• „I jakie mogą być stosunki między Polską a Rosją? Tylko dobre, korzystne dla obu stron. Nawet jeżeli biurokraci w obu naszych państwach, zainteresowani wyłącznie własną karierą, władzą, pieniędzmi, będą starali się wygrywać dawne konflikty, nie uda się nas skłócić [...] Jeżeli jestem zwolennikiem wolności własnego kraju i jego obywateli, to chcę tego samego także dla każdego innego narodu [...] najwyższy czas nasze poprzednie spory pozostawić historii. I zająć się przyszłością", – Aleksander Jakowlew. („Gazeta Wyborcza", 15 października 1999)

• „Jelcyna będziemy żałować [...] Zapomnimy, że ten człowiek mający w praktyce konstytucyjne uprawnienia dyktatora albo cara Mikołaja II, nikogo dotąd za polityczne przestępstwa do obozu pracy nie posłał, że żadnej gazecie nie zabronił pisać, co się jej żywnie podoba, że cenzury nie przywrócił i że pozwala się nawet zupełnie bezkarnie obrażać [...] Ma ogromne zasługi dla demontażu sowieckiego imperium [...] Ma swoje zasługi także dla Polski [...] Odbudowa rosyjskiego imperium jest sprzeczna z polską racją stanu. I ukrywać tego nie ma sensu [...] Polska jest kamieniem probierczym zamiarów Rosji wobec Europy", – Jerzy Pomianowski. („Przegląd Tygodniowy", 17 listopada 1999)

• „Przebaczcie" – powiedział ze łzami w oczach Prezydent Jelcyn, gdy składał kwiaty i ukląkł przed pomnikiem katyńskim na warszawskich Powązkach 25 sierpnia 1993 r. Był to gest w pełni porównywalny z uklęknięciem kanclerza Willy Brandta przed pomnikiem Bohaterów Getta w Warszawie" – Ernest Skalski. („Gazeta Wyborcza", 11-12 luty 2000)

• Odnaleziono poradziecki przeciwatomowy schron dowodzenia [...] jest to kompletnie wyposażony bunkier [...] To jedyna taka budowla w Polsce i powinna zostać z całym mieniem ruchomym wpisana w rejestr zabytków". („Rzeczpospolita", 22-23 stycznia 2000)

• „Ostatni incydent [wydalenie dyplomatów rosyjskich z Polski 21 stycznia, i polskich z Rosji 22 stycznia] jest w istocie poważnym ciosem dla polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które od dawna i konsekwentnie zabiegało o poprawę stosunków z Moskwą". („Rzeczpospolita", 22-23 stycznia 2000)

• Opinia Polaków o stosunkach między Polską a Rosją zmieniła się po wydaleniu dziewięciu dyplomatów rosyjskich. Według Centrum Badania Opinii Społecznej liczba osób wyrażających ocenę ujemną wzrosła z 17 do 37%. „Takie są bolesne koszty tamtej decyzji [...] Jeżeli jednak ktoś uznał, że będzie lepiej zrobić to z hukiem, to niech teraz powie, jak pracować, by oba społeczeństwa nie wróciły do nienawiści z czasów PRL i ZSRR", – napisał Piotr Pacewicz. („Gazeta Wyborcza", 24 lutego 2000).

• „Problemy Rosji wynikają z tego, że ma ona za sobą 70 lat rujnującego zarówno ekonomicznie, jak i czysto biologicznie, centralistycznego systemu. Szukanie remedium w postulacie powrotu do silnego państwa jest więc sięganiem po tę samą truciznę [...] Nie rozwiązany jest m. in. jeden z najważniejszych problemów: kwestia zakresu władzy państwowej oraz rozróżnienia między tym, co regionalne, a co lokalne; między tym, co centralne, a co federacyjne", – wicedyrektor Ośrodka Studiów Wschodnich Bartłomiej Sienkiewicz. („Tygodnik Powszechny", 30 stycznia 2000).

• W sześćdziesiątą rocznicę zgładzenia ok. 22.000 internowanych oficerów polskich przez NKWD na rozkaz Stalina, uroczystości uczczenia pamięci zamordowanych będą trwać od 3 marca do 17 września, w tym zostaną otwarte cmentarze: w Miednoje k. Tweru (ok. 6.500 ofiar) – 10 czerwca; w Piatichatkach k. Charkowa (ok. 4.000 ofiar) – 17 czerwca; w Katyniu k. Smoleńska (ok. 4.000 ofiar)

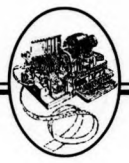

– 1 lipca. Miejsca kaźni i pochówku pozostałych ok. 7.000 nadal pozostają nieznane. (wg. „Rzeczpospolitej" z 11 lutego 2000).

• W dniu rozpoczęcia centralnych uroczystości w rocznicę zbrodni katyńskiej prezydent Federacji Rosyjskiej Władimir Putin telefonicznie zawiadomił prezydenta Polski Aleksandra Kwaśniewskiego o odkryciu nowego miejsca pochówku ofiar i zaproponował współdziałanie z prokuraturą rosyjską w przeprowadzeniu dochodzenia. Polska nadal poszukuje miejsc pochówku ok. 7.000 osób zgładzonych w 1940 r. („Gazeta Wyborcza", 13 kwietnia 2000)

• Rządowy samolot, którym 24 lipca leciała oficjalna polska delegacja przygotowująca uroczystości w Katyniu, był dwukrotnie, łącznie przez sześć godzin przetrzymywany na lotniskach w Moskwie i Smoleńsku. Samolot przepuszczono dopiero po dwukrotnych interwencjach polskiej ambasady. Władze rosyjskie udzieliły zgody na przejazd tylko jednego z planowanych dwóch pociągów specjalnych mających przewieźć do Smoleńska delegacje Rodzin Katyńskich, kombatantów i wojska. Strona rosyjska zgodziła się jednak na powiększenie składu pociągu do 22 wagonów. („Rzeczpospolita", 26 lipca 2000)

• Las Katyński to nie tylko polski cmentarz, to także graniczący z nim cmentarz – pomnik dziesiątków tysięcy obywateli ZSRR pomordowanych tu przez NKWD w latach 30. A na tym otwartym również wczoraj cmentarzu, który od polskiego oddziela tylko płot, było cicho i pusto. Tu dyżurowali tylko milicjanci i omonowcy. Przedstawiciel administracji obwodu smoleńskiego powiedział – „My w Smoleńsku chcieliśmy, żeby i na naszej części cmentarza była uroczystość: Msza, kompania reprezentacyjna, salwa honorowa. Żeby przyjechał Władimir Putin. Usłyszeliśmy, że nie trzeba, że ma być skromnie i bez tłumu ludzi. Szkoda". („Gazeta Wyborcza", 29-30 lipca 2000)

• 17 czerwca w Piatichatkach na przedmieściu Charkowa otwarto cmentarz ok. 3.800 polskich oficerów zamordowanych w kwietniu i maju 1940 r. przez NKWD. W uroczystości uczestniczyli premierzy Polski Jerzy Buzek i Ukrainy Wiktor Juszczenko. („Rzeczpospolita", 19 czerwca 2000)

• Szczątki 47 żołnierzy Ukraińskiej Powstańczej Armii poległych podczas walk z wojskami polskimi pochowano uroczyście na cmentarzu wojennym w Pikulicach pod Przemyślem. („Gazeta Wyborcza", 8-9 lipca 2000)

• „Niepodległa Ukraina wzmacnia naszą niepodległość, stwarza także dla Rosji szansę stania się w pełni demokratycznym państwem respektującym suwerenność innych krajów", – Bronisław Geremek, minister spraw zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej. („Rzeczpospolita", 18 listopada 1999)

• Prezydent Ukrainy Leonid Kuczma podczas wizyty w Polsce: „Musicie zrozumieć, że nam jest dużo trudniej zerwać z komunizmem, niż na przykład Polakom. Mieliście ogromne szczęście, że po II wojnie udało się wam zachować prywatną własność ziemi, że nie było takiego terroru ani izolacji jak u nas, że w Polsce komunizm trwał niecałe 50, a nie 70 lat. Te 20 lat różnicy to niby tylko jedno pokolenie, ale wystarczyło, żeby dzisiaj praktycznie nie było na Ukrainie ludzi, którzy pamiętają coś sprzed komunizmu. Wszystkiego musimy się nauczyć od nowa". („Gazeta Wyborcza", 17 stycznia 2000)

• Polsko-ukraińską „Deklarację o Pomocy Eksperckiej i Szkoleniowej w Przeprowadzaniu Reform Gospodarczych i Administracyjnych" podpisali wicepremierzy Leszek Balcerowicz i Jurij Jechanurow. Pomoc będzie dotyczyć reformy finansów publicznych i systemu podatkowego, prywatyzacji, reformy systemu emerytalnego i ubezpieczeń społecznych, restrukturyzacji górnictwa oraz reformy administracji rządowej i samorządowej. Koszty pomocy pokryje Polska. („Gazeta Wyborcza", 24 marca 2000)

• Szefowie sztabów generalnych Ukrainy – Wołodymir Szkidczenko, i Polski – Czesław Piątas, podpisali w Kijowie plan współpracy wojskowej na rok 2001. Po raz pierwszy zaplanowano szkolenie ukraińskich oficerów w Polsce. („Rzeczpospolita", 22 listopada 2000)

• Rząd Polski nie zgodzi się na budowę nowego gazociągu na południe Polski i na Słowację taką trasą, która miałaby umożliwić ominięcie przez Rosjan ukraińskiego systemu rurociągów tranzytowych – powiedział wicepremier Janusz Steinhoff. („Rzeczpospolita", 22-23 lipca 2000)

• Prezydent Aleksander Kwaśniewski powiedział: „Polska racja stanu, moja polityka, działania rządu są jednoznaczne – niczego przeciw Ukrainie nie wolno czynić [...] obowiązuje żelazna zasada polityczna – niczego nie robimy przeciwko Ukrainie – i że o tym wszystkim strona ukraińska jest informowana". („Gazeta Wyborcza", 12 lipca 2000)

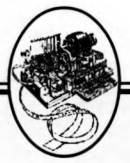

• Według Głównego Urzędu Statystycznego w ubiegłym roku granicę Polski przekroczyło prawie 10 milionów obywateli Ukrainy. Większość przyjeżdża na trzy miesiące w celach zarobkowych. Średnia pensja na Ukrainie wynosi mniej, niż 50 dolarów. Pracując w Polsce na czarno, można zawieźć do domu co najmniej trzy razy tyle. Sezonowi pracownicy z Ukrainy mówią: „Jeśli trafiłeś na uczciwego Polaka, to znaczy że ci się powiodło". („Rzeczpospolita", 10-11 czerwca 2000)

• W Miednoje k. Tweru 2 września otwarto trzeci i największy cmentarz ofiar zbrodni katyńskiej. Pochowano na nim 6.300 funkcjonariuszy policji, żandarmerii, Straży Granicznej, Straży Więziennej, pracowników sądownictwa, urzędników państwowych, księży, osadników wojskowych, ziemian i kupców. Delegacji polskiej przewodniczyli premier Jerzy Buzek i marszałek Sejmu Maciej Płażyński. Delegacji rosyjskiej – ministrowie spraw wewnętrznych Władimir Ruszajło, i kultury Michaił Szwydkoj. („Rzeczpospolita", 4 września 2000)

• „Chcę powiedzieć z żalem, że mamy kłopoty z ujawnieniem znajdujących się w Rosji dokumentów związanych ze zbrodnią katyńską", – powiedział prof. Leon Kieres, prezes Instytutu Pamięci Narodowej, podczas uroczystości odsłonięcia Pomnika Katyńskiego we Wrocławiu. („Rzeczpospolita", 23-24 września 2000)

• 1 marca rosyjskie służby specjalne odnalazły prof. Zofię Fiszer-Malanowską i dr Ewę Marchwińską-Wyrwał porwane w sierpniu 1999 r. w Dagestanie i przetrzymywane w Czeczenii. Na lotnisku Wnukowo Polki podziękowały „za uratowanie życia" wiceministrowi spraw wewnętrznych Federacji Rosyjskiej Władimirowi Kozłowowi. Władze RP przekazały specjalne podziękowania władzom Federacji Rosyjskiej. („Rzeczpospolita", 6 marca 2000)

• „Stosunek naszych obywateli do Rosjan nie jest zły – dużo lepszy niż można by się spodziewać po tak długim okresie dominacji. Życzyłbym Irlandczykom, żeby mieli tyle sympatii dla Anglików" – powiedział Władysław Bartoszewski, były minister spraw zagranicznych. („Wprost", 19 marca 2000)

• O Ławrze w podmoskiewskim mieście Siergijew Posad: „Pomiędzy wielkimi budynkami zwraca uwagę mała kaplica Nad Studnią [...] Kaplicę zbudowano nad źródłem odkrytym przez mnichów podczas polskiego oblężenia. W pobliżu przeczytać można tablicę – Trzy zarazy: „tyfus,Tatarzy, Polacy". („Gazeta Wyborcza", 11-12 marca 2000)

• Gazprom buduje przez Polskę połączenie telekomunikacyjne Moskwa–Berlin. Połączenie ma zostać uruchomione jeszcze w 2000 roku. Nic o tym nie wie polskie Ministerstwo Łączności, które wydaje koncesje na takie inwestycje. („Gazeta Wyborcza", 20 października 2000)

• „Nikt nie powinien obawiać się osi Berlin–Moskwa", – powiedział minister spraw zagranicznych Federacji Rosyjskiej Igor Iwanow podczas wizyty w Polsce. („Rzeczpospolita", 24 listopada 2000)

• „Sprawa kabla jest po prostu niewiarygodna. Zastanawiamy się nad tym, jak będzie przebiegał gazociąg przez Polskę, czy będzie on omijał Ukrainę. I nagle przy okazji dowiadujemy się o tym światłowodzie założonym na polskim terytorium [...] zagrożenie, o którym nie wiedzieliśmy [...] Jest to gangrena, która się nagle pojawiła, a która może popsuć nasze szanse i poczucie bezpieczeństwa", – powiedział były minister spraw zagranicznych Bronisław Geremek. („Gazeta Wyborcza", 25-26 listopada 2000)

• Fotografie satelitarne obwodu kaliningradzkiego potwierdzają obawy, że została tam rozmieszczona taktyczna broń jądrowa. Według ministra spraw zagranicznych Władysława Bartoszewskiego informacje te nie są zaskoczeniem, bowiem „Polska także, jako członek NATO, miała i ma nadal informacje na temat sytuacji w Kaliningradzie". („Rzeczpospolita", 5 stycznia 2001)

• Zdaniem Aleksandra Pikajewa z moskiewskiego ośrodka politologicznego Centrum Carnegie: „Szum wokół broni jądrowej w obwodzie kaliningradzkim jest całkowicie nieuzasadniony. Rosja nigdy nie twierdziła, że nie ma tam takiej broni. Nikogo też nie powinno dziwić, że może się ona tam znajdować". („Rzeczpospolita", 6-7 stycznia 2001)

• Grigorij Jawlinski w wywiadzie dla tygodnika „Wprost" ostrzegł: „Nasze przywództwo jest nieprzewidywalne. Wszystko jest możliwe. Bądźcie przygotowani na wszystko". („Wprost", 25 lutego 2001)

• Polska straciła kontrolę nad przebiegającym przez jej terytorium odcinkiem gazociągu jamalskiego, nie ma wpływu ani na kabel światłowodowy, ani na tłocznie, będące sercem całego systemu. Od pięciu lat brakuje nadzoru administracji państwowej nad tą instytucją. Takie są ostateczne ustalenia komisji rządowej po zbadaniu kontraktów gazowych. Komisja postanowiła przekazać zebraną dokumentację prokuraturze w Gdańsku, która prowadzi śledztwo w sprawie „przekroczenia w latach 1992-2000 uprawnień przez

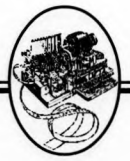

funkcjonariuszy publicznych w związku z budową na terytorium Polski gazociągu i światłowodu i wyrządzenie w ten sposób szkody skarbowi państwa". Komisja postuluje przywrócenie rzeczywistego nadzoru administracji państwowej nad realizacją porozumienia między Polską a Rosją z 1993 r. („Rzeczpospolita", 16 stycznia 2001)

• Sejm znowelizował prawo telekomunikacyjne. Dzięki nowej ustawie światłowód układany wzdłuż gazociągu jamalskiego na terytorium Polski, zostanie podporządkowany władzom polskim. („Gazeta Wyborcza", 25-26 sierpnia 2001)

• Naturalne staje się porównanie rosyjskiej sieci gazociągów, oplatającej dawne kraje tzw. demokracji ludowej, do stalowych więzów. Rozluźnić te pęta można tylko w jeden sposób: pośpiesznie szukając alternatywnych źródeł dostaw gazu (co na szczęście czyni Polska) i jeszcze szybciej rezygnując z usług prywatnych pośredników – często związanych z rosyjskim molochem na śmierć i życie. („Wprost", 26 sierpnia 2001)

• Według Siergieja Karaganowa, przewodniczącego rosyjskiej Rady Polityki Zagranicznej i Obronnej, „Nikt się obecnie poważnie nie zajmuje stosunkami rosyjsko-polskimi". („Wprost", 18 marca 2001)

• W ocenie stosunków polsko-rosyjskich za normalne uznało je 54% Polaków i 44% Rosjan; jako przyjacielskie oceniło je 21% Polaków i 7% Rosjan; jako napięte zostały określone przez 13% Polaków i 25% Rosjan; mianem wrogich nazwało je 2% Polaków i 3% Rosjan. 56% Polaków widzi w Rosji partnera, 15% – sojusznika a ponad 10% – przeciwnika. Sympatię dla Rosjan zadeklarowało 31% Polaków, a wrogość – 2%. Badania przeprowadzono na zlecenie polskiej agencji PAI i rosyjskiej RIA Nowosti. („Rzeczpospolita" i „Gazeta Wyborcza", 18 grudnia 2001)

• „Wielokrotnie miałem okazję obserwować w jak pogardliwy sposób są traktowani tzw. „ruscy" przez funkcjonariuszy polskich służb granicznych, a także policji. Poczynając od zwracania się per „ty", a kończąc na przeróżnych szykanach. Takie zachowanie w sposób oczywisty wzbudza nastroje niechęci do Polski wśród naszych wschodnich sąsiadów. A przecież w interesie państwa polskiego jest, aby ich nastawienie do Polski i Polaków było jak najlepsze", – napisał Jacek C. Kamieński. („Myśl Polska", 11 lutego 2001)

• Fragment wywiadu z księdzem Wojciechem Lemańskim, byłym proboszczem w Świrze na Białorusi, obecnie w Otwocku koło Warszawy: „Kiedyś przyjechali do mnie ludzie ze [Stowarzyszenia] Wspólnota Polska [w Warszawie] z transportem darów. Już od progu zastrzegli: To tylko dla polskich dzieci, proszę księdza. – To zabierajcie z powrotem! – Dlaczego? – oburzyli się. – Bo ja nie mam tu polskich dzieci, mam po prostu dzieci". („Rzeczpospolita", 9-10 czerwca 2001)

• „Pomianowski przypomina [...] szczególną rolę, jaką w ujawnieniu i udokumentowaniu zbrodni katyńskiej odegrali sami Rosjanie. Wymienia nazwiska prof. Natalii Lebiediewej, Jurija Zori, Tatiany Kudriawcewej, Aleksandra Jakowlewa [...] oraz ochotników z organizacji Memoriał [...] W rzeczywistości lista Rosjan, którzy walczyli o prawdę, płacąc za nią często wysoką cenę, jest znacznie dłuższa. Ośrodek *Karta* w broszurze „Rosja i Katyń" wymienia dwóch prokuratorów z Głównej Prokuratury Wojskowej – pułkownika Aleksandra Triteckiego i Stefana Rodziewicza. Władimir Adrianow był autorem dwóch książek o Katyniu: *Katyński labirynt* i *Katyński dramat*. Major zarządu KGB w Smoleńsku Oleg Zakirow wbrew zakazom wyszukał kilku ważnych świadków katyńskiej zbrodni. Na liście *Karty* znalazła się także Walentyna Parsadanowa i Władimir Fiłatow, redaktor „Wojenno-istoriczeskogo Żurnała" [...] Zabrałem głos w tej sprawie w felietonie emitowanym przez Polskie Radio siedem lat temu (22 listopada 1994 r.). Od tamtego czasu daremnie zabiegam o to, aby ci ludzie otrzymali wysokie odznaczenia państwowe w odpowiedniej, najbardziej uroczystej oprawie. Nie jest im to potrzebne, bo żadnej nagrody nie oczekiwali, ale nam samym, abyśmy ujrzeli to drugie oblicze Rosji, które budzi nadzieję na lepszą przyszłość w stosunkach między obu narodami", – napisał w liście do redakcji Jan Nowak-Jeziorański. („Gazeta Wyborcza", 15 maja 2002)

• Oleg Zakirow, były oficer KGB, który ryzykując karierę, a może i życie, zebrał dowody dotyczące zbrodni katyńskiej, otrzymał polskie obywatelstwo. 10 maja prezydent Aleksander Kwaśniewski przyznał je rodzinie Zakirowów zamieszkującej w Polsce już od paru lat. („Gazeta Wyborcza", 15 maja 2002)

• „Polskim politykom, odpowiedzialnym za dyplomację, trzeba przyznać, że niezależnie od tego, z jakiego obozu się wywodzili, dążyli do ułożenia stosunków z Rosją [...] Prezydent Aleksander Kwaśniewski gotów był wykorzystać (i wymyślić) każdy pretekst, byle tylko spotkać się i utrzymać choćby pozór poprawności w stosunkach najpierw z Jelcy-

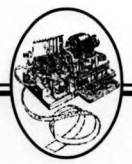

nem, a potem z prezydentem Putinem. Podobnie postępowali nasi ministrowie spraw zagranicznych. Bronisław Geremek i Władysław Bartoszewski za nic mieli sobie protokólarne wymagania dotyczące kolejności wizyt i rewizyt, z uporem poszukując możliwości nawiązania dialogu z rosyjskim partnerem. To właśnie ministrowi Bartoszewskiemu należy przypisać, że ostatecznie stosunki polsko-rosyjskie zostały odideologizowane i pragmatyzm wziął górę nad wątkami rozliczeniowymi", – pisze Sławomir Popowski. („Rzeczpospolita", 15 stycznia 2002)

• Polska nadal poszukuje grobów przeszło 7 tysięcy polskich obywateli, zamordowanych do 1941 r. na terenach byłego ZSRR, m.in. na Białorusi, skąd także usiłuje się uzyskać informacje. Polska ambasada w Mińsku poprosiła o umożliwienie wysłania ekspertów na Białoruś. Białoruski historyk Igor Kuzniecow wątpi, aby została wydana na to zgoda: „Archiwa białoruskiego KGB są zamknięte. Polska otrzymała niemal całą dokumentację dotyczącą rozstrzelanych jeńców wojennych z Rosji i Ukrainy. W przypadku Białorusi te informacje są szczątkowe lub nie ma ich wcale". („Gazeta Wyborcza", 28-29 kwietnia 2001)

• Masowe mogiły w Bykowni koło Kijowa zawierają szczątki kilku tysięcy Polaków zamordowanych przez NKWD – ustalili prokuratorzy z Instytutu Pamięci Narodowej. Groby te zostały odkryte wiosną 1989 r. Pierwsze informacje dostarczył do Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu ukraiński dziennikarz w 1991 r. Gdyby nie on i nie dobra wola Ukrainy, być może do dziś obowiązywałoby zdanie oficera KGB, że „nie było tam żadnych Polaków", – powiedział prof. Witold Kulesza, szef pionu śledczego IPN. („Rzeczpospolita", 5 października 2001)

• „Udało się stworzyć infrastrukturę polsko-wschodnich kontaktów. Tysiące studentów, samorządowców, polityków, przedstawicieli administracji, ludzi kultury, działaczy organizacji pozarządowych odwiedza Polskę, studiuje tu, poznaje polskie doświadczenia związane z transformacją i t.d. Powstaje solidna baza dla stosunków dwustronnych, szczególnie polsko-ukraińskich. Ich stan zdumiewa w kontekście dziedzictwa konfliktu polsko-ukraińskiego z lat wojny", – napisała Bogumiła Berdychowska. („Tygodnik Powszechny", 4 marca 2001)

• 117 ukraińskich nauczycieli języka angielskiego uczy w polskich szkołach. („Gazeta Wyborcza", 1 marca 2001)

• Według Władimira Łukina, zastępcy szefa partii Jabłoko: „Rola przywódcy regionalnego jest dla Polski naturalna. To największy kraj tej części kontynentu, z głęboko zakorzenioną demokracją. Nikt tego nie kwestionuje. Ale wiele z tego, co Polska proponuje, ma kierunek antyrosyjski. Jakieś próby reanimowania średniowiecznych układów z Ukrainą kosztem Rosji. To nierealne i niebezpieczne". („Gazeta Wyborcza", 14 stycznia 2002)

• Prezydent Rosji wchodził do polskiego parlamentu w ciszy, wychodził żegnany oklaskami. Po spotkaniu z parlamentarzystami prezydent Putin nieoczekiwanie złożył kwiaty przed pomnikiem Polskiego Państwa Podziemnego i Armii Krajowej. Dziękując za ciepłe przyjęcie prezydent Putin powiedział: „Priorytetem jest zwiększenie współpracy handlowo-gospodarczej". Przestrzegł jednak Polskę przed kupowaniem gazu poza Rosją. („Gazeta Wyborcza", 17 stycznia 2002)

• Unia Europejska odrzuciła wczoraj proponowane przez Rosję stworzenie korytarzy przez terytorium Polski i Litwy, umożliwiających mieszkańcom obwodu kaliningradzkiego bezwizowy tranzyt do Rosji. „Jest to nie do przyjęcia dla Unii, Polski i Litwy", – głosi komunikat wydany przez członków Komitetu Współpracy Rosja–UE, którzy spotkali się w Swietłogorsku" – donosi Sławomir Popowski. („Rzeczpospolita", 16 maja 2002)

• „Nie może być mowy o korytarzach. Przede wszystkim z Polską proszę o tym nie mówić, bo to nieuchronnie prowadzi nas do sprawy z początku II wojny, która zaczęła się od tego, że Niemcy zażądali swobodnego korytarza do Gdańska", – oświadczył prezydent Aleksander Kwaśniewski w Moskwie po rozmowach z prezydentem Władimirem Putinem. („Gazeta Wyborcza", 7 czerwca 2002)

• Trzej z pięciu usuniętych ostatnio z Rosji księży katolickich, zaproszonych tam do pracy duszpasterskiej przez Episkopat Rosji zgodnie z prawem Federacji Rosyjskiej i statutem Kościoła, to obywatele Polski, a duża część ich wiernych jest pochodzenia polskiego. („Rzeczpospolita", 13 września 2002)

• Według Franciszki Zarembińskiej „w Rosji szuka się nowych wrogów ludu. A Polacy, i to katolicy, pasują do tej roli świetnie", – pisze Maria Narbutt w reportażu z Irkucka po wydaleniu z Rosji irkuckiego biskupa Jerzego Mazura. („Rzeczpospolita", 18-19 maja 2002)

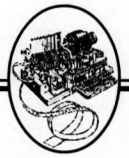

• „Gdy w Irkucku odbywa się demonstracja przeciwko polskiemu ekspansjonizmowi, to jest to w najlepszym razie dziwactwo. Polacy trafiali tam wyłącznie w roli zesłańców, jako katorżnicy, a nie agresorzy",– mówi Jerzy Pomianowski. („Wprost", 5 maja 2002)

• Polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych w nocie, będącej odpowiedzią na notę rosyjską, stwierdziło, że nic nie wskazuje na to, by czeczeńskie ośrodki w Polsce prowadziły działalność niezgodną z polskim prawem. Na terenie Polski nie ma też jakiegokolwiek przedstawicielstwa czeczeńskiej Republiki Iczkeria. Jeżeli Rosjanie mają dowody na to, że działalność czeczeńskich ośrodków w Polsce może sprzyjać terroryzmowi, to MSZ prosi o ich przekazanie. W odpowiedzi na żądanie niewpuszczania Czeczenów do Polski stwierdzono, że obywatele Rosji narodowości czeczeńskiej wjeżdżając do Polski legitymowali się ważnymi dokumentami wystawionymi przez Federację Rosyjską, a „Polska nigdy nie stosowała kryterium narodowościowego i nie uzależnia od niego zgody na wjazd", – podkreślił rzecznik MSZ. („Gazeta Wyborcza" i „Rzeczpospolita", 13 listopada 2002)

• Rosjanie przekraczają granicę z Polską około miliona razy w ciągu roku. Większość przyjeżdża wielokrotnie. („Gazeta Wyborcza", 6 marca 2003)

• „Najbardziej podejrzane i tajemnicze wydają się interesy ojca Rydzyka [dyrektora Radia Maryja] z władzami Federacji Rosyjskiej [...] Na podstawie koncesji rosyjskiego resortu łączności i umowy z należącą do niego spółką RTRS wykorzystywane przez o. Rydzyka nadajniki stoją m.in. W Krasnodarze na południu Rosji [i Samarze]. Jak ustaliła „Gazeta Wyborcza", umowę z Rosjanami toruńska rozgłośnia podpisała w 1997 r., na dwa lata przed wejściem Polski do NATO (czego Radio Maryja było zdecydowanym przeciwnikiem). Jej kopia znajduje się w Krajowej Radzie Radiofonii i telewizji. O. Rydzyk nie przedstawił jednak dołączonego do umowy aneksu, zasłaniając się tajemnicą handlową [...] W dodatku nikt, nawet zakon redemptorystów [do którego należy o. Rydzyk], nie wie, w jaki sposób dokonywane są płatności i ile kosztuje kontrakt. Nie sposób nawet ustalić, kto komu płaci", – pisze Mikołaj Lizut. („Gazeta Wyborcza", 26 listopada 2002)

• Sąd Najwyższy utrzymał w mocy wyrok czterech lat więzienia i degradacji pułkownika Czesława W., winnego szpiegostwa na rzecz ZSRR i Rosji. W 1998 r. aresztowano trzech oficerów podejrzanych o podobne czyny – drugi z nich podpułkownik Zbigniew P. został skazany w 2001 r. na trzy lata więzienia i degradację, sprawa trzeciego z oficerów trwa. („Rzeczpospolita", 16 października 2002)

• Według sondaży Centrum Badania Opinii Społecznej sympatia do Rosjan wzrosła w Polsce z 17% w 2001 do 24% w 2002 r., antypatia natomiast spadła z 56% w 2001 do 43% w 2002 r. Podobne zmiany zaszły w stosunku Polaków do Ukraińców – odpowiednio sympatia wzrosła z 12 do 22%, antypatia zaś spadła z 65 do 48%; Białorusinów – wzrost sympatii z 19 do 26% i spadek antypatii z 47 do 36%; Litwinów – sympatia wzrosła z 24 do 38%, antypatia spadła z 43 do 24%. („Gazeta Wyborcza", 6 stycznia 2003)

• Fragment wywiadu z Włodzimierzem Cimoszewiczem: „Pięć lat temu byłem we Francji i spotkałem się z prezydentem Chirac'em. Dwie trzecie naszej rozmowy poświęciliśmy sprawom ukraińskim. Następnego dnia w Paryżu przebywał prezydent Kuczma i Chirac opowiedział mu o tym. Przypadek zrządził, że spotkaliśmy się z Kuczmą na chodniku w Paryżu. Rzucił mi się na szyję, dziękując za to, co zrobiłem. Najtrudniejszy jest przypadek Białorusi. Wszyscy, także Polska, mamy powód do rozmyślań, jak dalej układać stosunki z tym państwem. My powinniśmy rozmyślać [o tym] bardziej niż inni, bo nasze kraje łączy wiele – mam na myśli mniejszości narodowe po obu stronach granicy". („Rzeczpospolita", 19 października 2001)

• Prezydent Aleksander Kwaśniewski w liście do uczestników konferencji „Polacy – Ukraińcy 1939 -47", zorganizowanej przez Instytut Pamięci Narodowej, napisał: „ 55 lat temu, 28 kwietnia 1947 r., rozpoczęła się niesławna akcja „Wisła". Stała się symbolem wszystkich niegodziwości wyrządzonych ludności ukraińskiej w Polsce przez ówczesne władze komunistyczne [...] Z punktu widzenia integralności państwa polskiego można zrozumieć działania wojskowe wobec ukraińskiej partyzantki [...] Nie mogły one jednak stanowić usprawiedliwienia dla brutalnej pacyfikacji wsi ukraińskich, a tym bardziej dla przymusowych wysiedleń stu kilkudziesięciu tysięcy ludności cywilnej [...] Akcja „Wisła" i całe bezduszne postępowanie władz wobec ludności ukraińskiej powinny zostać jednoznacznie potępione. W imieniu Rzeczypospolitej chciałbym wyrazić ubolewanie wszystkim tym, którzy ucierpieli w wyniku tamtych haniebnych działań". („Gazeta Wyborcza", 19 kwietna 2002)

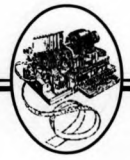

• Prezydent Ukrainy Leonid Kuczma w rozmowie telefonicznej z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim wyraził ubolewanie z powodu niedojścia do skutku uroczystości otwarcia Cmentarza Orląt we Lwowie 21 maja. Kuczma przeprosił Polskę i osobiście prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. („Rzeczpospolita", 20 maja 2002)

• W dawnym Porycku, obecnie Pawliwce, podczas obchodów 60-tej rocznicy tragedii Wołynia, prezydent Aleksander Kwaśniewski przypomniał: „W większości ofiarami była bezbronna ludność cywilna, mordowana często ze straszliwym okrucieństwem [...] Za masakrę, popełnioną na polskiej ludności, nie można winić narodu ukraińskiego. Nie ma narodów winowajców. Za zbrodnie i złe uczynki odpowiedzialność ponoszą zawsze konkretni ludzie. Trzeba jednak tutaj wyrazić moralny protest wobec ideologii, która doprowadziła do akcji antypolskiej, zapoczątkowanej przez część Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i Ukraińskiej Powstańczej Armii [...] Za krew odpłacano krwią. Z polskich rąk ginęli ukraińscy bracia i sąsiedzi [...] Wczoraj słowa pojednania wypowiedziały parlamenty Ukrainy i Polski [...] Odnajdujemy to, co nas łączy". Prezydent Ukrainy Leonid Kuczma mówił: „Pamięć o poległych Polakach wołyńskich, o wszystkich ofiarach tamtych wydarzeń powinna być w naszych sercach [...] Tak samo nasza ludność ginęła w latach 40-tych [...] Nie można usprawiedliwiać aktów przemocy wobec ludności cywilnej, kobiet i dzieci, nawet jeśli ich inicjatorzy uważali, że kierują się świetlanym celem, jakim była dla nich wolność narodowa". („Gazeta Wyborcza", 12-13 i 14 lipca 2003)

• Co roku przyjeżdża do Polski 6 milionów Ukraińców. Tylu doliczyła się strona ukraińska. Nawet wprowadzone niedawno wizy nie zmieniły tej liczby. Spośród 23 tysięcy cudzoziemców, którzy w 2002 roku otrzymali zgodę na pracę, Ukraińców jest najwięcej – aż 3 tysiące. („Gazeta Wyborcza", 9 lutego 2004)

• Połowa Polaków ma negatywne skojarzenia z Ukrainą, neutralne – 38%, pozytywne – 12%. Połowa Ukraińców ma pozytywne skojarzenia z Polską, obojętne – 39%, negatywne – 11%. Jednocześnie 83% Polaków popiera rozwój współpracy gospodarczej z Ukrainą, 85% popiera współpracę polityczną, 59% opowiada się za popieraniem Ukrainy przez Polskę na arenie międzynarodowej, a prawie 50% chce, aby Polska udzieliła Ukrainie pomocy gospodarczej. 60% Polaków uważa pojednanie polsko-ukraińskie za możliwe, a 9% odrzuca je. 70% Ukraińców uważa to pojednanie za możliwe, a 6% nie wierzy w nie. W ostatnich latach w Polsce następuje niewielki wzrost sympatii dla wschodnich sąsiadów, w tym także dla Ukraińców. („Gazeta Wyborcza", 21 listopada 2001)

• Pomoc Polski w staraniach zbliżenia Ukrainy do struktur zachodnich to jeden z głównych celów Polsko-Ukraińskiego Zgromadzenia Parlamentarnego. Zgromadzenie, któremu ze strony polskiej przewodniczy wicemarszałek Senatu Jolanta Danielak a ze strony ukraińskiej – wiceprzewodniczący Rady Najwyższej Ołeksandr Zinczenko, ma się zbierać raz na rok. Stale będą natomiast pracować komisje Zgromadzenia: polityczno-społeczna i współpracy gospodarczej. Pierwsze posiedzenie Zgromadzenia odbyło się w Kijowie. („Gazeta Wyborcza", 14 października 2003)

• Prezydent Ukrainy Leonid Kuczma podczas wizyty w Warszawie ogłosił, że w maju rurociągiem Odessa–Brody popłynie ropa ze złóż kaspijskich. Rurociąg będzie przedłużony do Płocka w Polsce, co pozwoli nam na częściowe uniezależnienie od dostaw rosyjskich. Obecnie Polska kupuje od Rosji ok. 95% surowca, przerabianego w polskich rafineriach. Kiedy rurociąg ukraiński osiągnie pełną przepustowość, udział ropy rosyjskiej może spaść do ok. 60%. („Newsweek Polska", 22 lutego 2004)

• Dwa fragmenty wywiadu z prof. Jarosławem Hrycakiem, historykiem ukraińskim: „Sondaże opinii publicznej dowodzą, że na pytanie, które z państw ma być wzorem dla Ukrainy, najczęściej wskazujemy Polskę. Rzadko Rosję, ponieważ tkwi w zapaści, a Polska odniosła sukces w transformacji politycznej i gospodarczej [...] Często powtarzam, że ukraiński nacjonalizm jest odbiciem polskiego, a ukraińscy nacjonaliści są wzorowymi wychowankami nacjonalistów polskich". („Tygodnik Powszechny", 21-28 grudnia 2003)

• „Na Białorusi ciągle naruszane są prawa człowieka, działacze opozycji znikają w tajemniczych okolicznościach, a manifestowanie poglądów jest karalne. Jeżeli to się nie zmieni – nie zmieni się też nasz stosunek do przywódców Białorusi", – oświadczył minister spraw zagranicznych Włodzimierz Cimoszewicz. („Wprost", 7 kwietnia 2002)

• Ministerstwo Spraw Zagranicznych w Mińsku nazwało „rozumnym" stanowisko Polski o nieprzyłączeniu się do decyzji 14 państw Unii Europejskiej oraz USA o zakazie wjazdu na ich terytorium dla Aleksandra Łukaszenki i najwyższych białoruskich urzędników państwowych. „MSZ Białorusi pozy-

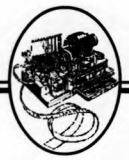

tywnie ocenia stanowisko Polski", – powiedział rzecznik resortu Paweł Łatuszka. („Gazeta Wyborcza", 29 listopada 2003)

• Na Białorusi nie ma już stałych korespondentów polskiej prasy. Jako ostatnia zlikwidowała swoje biuro na początku października Polska Agencja Prasowa. Powstała sytuacja budzi niepokój białoruskiej opozycji. („Rzeczpospolita", 17 października 2003)

• Białoruskie KGB zatrzymało w Mińsku polskiego dyplomatę pod zarzutem szpiegostwa. To uniemożliwiło wizytę białoruskiego premiera Siarhieja Sidorskiego na szczycie ekonomicznym w Warszawie. Zatrzymanie odbyło się z naruszeniem norm międzynarodowych. („Gazeta Wyborcza", 30 kwietnia 2004)

• Polska pomoże Rosji likwidować broń chemiczną. Minister spraw zagranicznych Włodzimierz Cimoszewicz i prof. Zinowij P. Pak – dyrektor rosyjskiej Agencji do spraw Amunicji podpisali porozumienie w tej sprawie. Wyłącznie polscy chemicy z fabryki „Azoty" mają skuteczny patent na likwidowanie luizytu – groźnego bojowego środka trującego. Wśród 40 tysięcy ton chemicznych środków bojowych, zmagazynowanych w Rosji, znajduje się 6 tysięcy ton luizytu. („Rzeczpospolita", 18 grudnia 2002)

• Rosjanie zadeklarowali pomoc dla polskiej misji stabilizacyjnej w Iraku. Sekretarz Rady Bezpieczeństwa Narodowego Federacji Rosyjskiej Władimir Ruszajło podczas spotkania z ministrem Markiem Siwcem, szefem Biura Bezpieczeństwa Narodowego, powiedział: „Mamy doświadczenia z Afganistanu i Czeczenii. Możemy je «przekazać polskim wojskom»". („Trybuna", 11 czerwca 2003) „Czy to są modele, które mogą być przydatne naszym wojskom w Iraku?" – pyta Marcin Bosacki. („Gazeta Wyborcza", 11 czerwca 2003)

• „Szkoda, że została odrzucona propozycja całkowicie bezpłatnych polskich wiz w zamian za odstąpienie od obowiązku posiadania wiz rosyjskich przez Polaków. To byłoby przecież dobrym punktem wyjścia do późniejszych dyskusji o wizach między Rosją a Unią Europejską, o co zresztą usilnie zabiega strona rosyjska. Taką zasadę wprowadziły między sobą Polska i Ukraina", – mówi Stanisław Ciosek, były ambasador w Moskwie. („Rzeczpospolita", 18 września 2003)

• Według prof. Bronisława Geremka, byłego ministra spraw zagranicznych: „Społeczeństwo rosyjskie dało przyzwolenie na budowę rządów autorytarnych. Z Dumy zniknęły partie demokratyczne, szerokie poparcie zyskały partie radykalne, w języku polemik rosyjskich nazywane brunatnymi [...] Rozwój sytuacji w Rosji nie jest zagrożeniem dla Polski. Ale Rosja realizuje swą politykę wobec tzw. bliskiej zagranicy, czyli przestrzeni postsowieckiej, z której szczęśliwie wyłączone zostały republiki bałtyckie, w czym Polska ma swój udział. Na całą przestrzeń postsowiecką autorytarne rządy w Rosji nakładają politykę imperialnego podporządkowania [...] Znając Rosję, chcąc by była nam przyjazna, powinniśmy reprezentować stanowisko, ze tylko Rosja demokratyczna wytwarza stabilny i pokojowy układ. Rosja imperialna i autorytarna stanowi na dłuższą metę zagrożenie". („Gazeta Wyborcza", 20-21 grudnia 2003)

• „Minister obrony Rosji Siergiej Iwanow był łaskaw wyrazić oburzenie planami budowy baz amerykańskich w Polsce [...] Minister przypomniał, że Polska to strefa żywotnie ważnych interesów Rosji i zagroził, że jeśli plany rozmieszczenia amerykańskich baz w Polsce nie zostaną zrewidowane, to jego kraj „podejmie stosowne kroki" i tu jednym tchem wymienił rozbudowę potencjału wojennego baz w Kaliningradzie i domaganie się swobodnego dostępu Rosjan do nowych baz [...] Odwołanie się do parasola bezpieczeństwa NATO i wprost do USA wydaje się tu rozwiązaniem rozsądnym – prawda panie ministrze?" – pyta Jacek Łęski. („Gazeta Polska", 11 lutego 2004)

• Rosyjskie rakiety nie są i nie będą wycelowane w Polskę, nawet jeśli na jej terytorium zostaną rozmieszczone amerykańskie bazy, – oświadczył zastępca Sztabu Generalnego rosyjskiej armii gen. Jurij Bałujewski. („Rzeczpospolita", 11 lutego 2004)

• „Wczoraj – po zakręceniu przez Rosję kurka – polskie przedsiębiorstwa chemiczne przestały otrzymywać gaz. Zaczęli się bać także zwykli ludzie. Premier Leszek Miller zauważył: „Rosja jako dostawca gazu jest mało wiarygodna", – donosi Marcin Bosacki. („Gazeta Wyborcza", 20 lutego 2004)

• Polskie rafinerie korzystają w 90% z ropy rosyjskiej, a Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo – w 70% z rosyjskiego gazu. („Rzeczpospolita", 3-4 kwietnia 2004)

• „Rosyjska ropa naftowa i gaz ziemny w Europie Środkowej" – taki tytuł nosi raport przygotowany przez Ośrodek Studiów Wschodnich, MSZ oraz Ministerstwo Gospodarki, Pracy i Polityki Społecznej. Według autorów raportu, „eksport surowców energetycznych ma strategiczne znaczenie dla Fe-

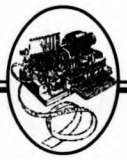

deracji Rosyjskiej i jest integralną częścią rosyjskiej polityki zagranicznej. Celem Kremla jest budowa potęgi ekonomicznej kraju oraz umocnienie pozycji Rosji na arenie międzynarodowej a rosyjska polityka energetyczna ma m.in. służyć temu celowi. Strategia działań rosyjskich koncernów energetycznych jest czytelna [...] celem jest utrzymanie lub przejęcie kontroli nad szlakami transportowymi i terminalami naftowymi, a także kontrola nad regionalnym rynkiem paliwowym oraz budowanie przyczółków do wejścia na rynek UE", – podaje Sławomir Popowski. („Rzeczpospolita", 19 kwietnia 2004)

• 51% Polaków obawia się rosyjskich inwestycji w Polsce. Zagrożeń upatruje się głównie: w uzależnieniu gospodarczym od Rosji – 60%; w praniu brudnych pieniędzy – 38%; w możliwości powrotu do sfery politycznych wpływów Rosji – 32%; w nasileniu się działalności mafii rosyjskiej w Polsce – 32%. Sondaż przeprowadziła Pracownia Badań Społecznych. („Rzeczpospolita", 2 października 2002)

• „1 czerwca Rosja zażądała ujednolicenia unijnych certyfikatów weterynaryjnych i dopuszczenia rosyjskich inspektorów do zakładów mięsnych w nowych państwach członkowskich – i wstrzymała import mięsa z wielu krajów Unii, w tym z Polski. Jednak Bruksela odpowiedziała – teraz już także w naszym imieniu – *niet* [...] „To przyjemne uczucie, kiedy wobec blokady stoi za nami Unia, która ma 450 milionów ludzi. Wcześniej byliśmy w takich sytuacjach bezradni", – skomentował minister rolnictwa Wojciech Olejniczak", – pisze Wojciech Maziarski. („Newsweek Polska", 3 czerwca 2004)

• „Od kilku dni koń z obwodu kaliningradzkiego, nie bacząc na zakazy, gna ile sił w kopytach do Polski, czyli do Unii Europejskiej. „Zapałał uczuciem do polskiej klaczy z przygranicznej wsi Jagiele", – tłumaczy ppłk. Franciszek Jaroński, rzecznik Warmińsko-Mazurskiego Oddziału Straży Granicznej [...] Łapią amanta na powróz i odstawiają na rosyjską stronę. „Ale koń jest niezwykle stały w uczuciach i ciągle wraca. I to już po kilku godzinach", – przyznaje ppłk. Jaroński" – z Olsztyna donosi Joanna Wojciechowska. („Gazeta Wyborcza", 15-16 maja 2004)

• Instytut Pamięci Narodowej rozpocznie śledztwo w sprawie zbrodni katyńskiej. „O ile mi wiadomo, pomiędzy stroną polską i rosyjską zawarta została umowa, chyba niepisana, w myśl której śledztwo prowadzą Rosjanie, a strona polska udziela każdej możliwej pomocy prawnej. Prawdą jest jednak, ze sprawa ciągnie się już kilkanaście lat i dotychczas śledztwo formalnie nie zostało zakończone. W początkowej fazie przekazywano jego materiały stronie polskiej, ale ostatnio najwyraźniej i z tego zrezygnowano", – oznajmił prof. Piotr Hofmański, rzecznik Sądu Najwyższego. „Starałem się kilkakrotnie o umożliwienie mi wizyty w Narodowej Prokuraturze Wojskowej Federacji Rosyjskiej w Moskwie, ale nigdy do tego nie doszło. Zdarzyło się nawet, ze uzgodniona wizyta była w ostatniej chwili odwoływana", – dodaje prof. Leon Kieres, prezes IPN. („Rzeczpospolita", 28 kwietnia 2004)

• „Czy koniec polskich snów o przyciągnięciu Ukrainy do Zachodu? Pełne członkostwo w NATO i UE nie jest już celem Ukrainy – zapis o tym prezydent Kuczma usunął wczoraj z ukraińskiej doktryny obronnej. W zamian Kijów chce przyspieszyć zbliżenie z Rosją. „Agentura z krajów zachodnich próbuje skompromitować proces integracji Ukrainy z Rosją", – mówił wczoraj w Jałcie podczas spotkania z Leonidem Kuczmą prezydent Rosji Władimir Putin [...] Ukraińcy ogłosili, że od 1 sierpnia zmieniają przeznaczenie strategiczne rurociągu Odessa–Brody. Miał on tłoczyć kaspijską ropę do Polski i wiązać Ukrainę z Zachodem. Teraz będzie w odwrotnym kierunku transportował ropę rosyjską", – donosi Marcin Wojciechowski. („Gazeta Wyborcza", 27 lipca 2004)

Rosyjskie wydania «Nowej Polszy» ukazują się również na stronie internetowej
www.novpol.ru
Jest to nie tylko zwierciadło bieżącego numeru, ale także numerów archiwalnych.
Redakcja serdecznie zaprasza do odwiedzania strony.

Natalia Gorbaniewska

Spolszczył
Jerzy Pomianowski

DWA WIERSZE NA ZGON JERZEGO GIEDROYCIA

Stół, komputer, łóżko, fotel –
jak odprawić czas z powrotem?
W co przetopić tę zgryzotę,
w czym ją topić potem?

To nie lampy klosz niewinnej,
to jest dzwon, dzwon z miedzi.
Odtąd wszystko jest już inne
i kół w gardle siedzi.

Powierz słowa czarnej rzece,
wrócą pełną miarą –
na nieznane nam narzecze
przeprawi je Charon.

Kto żyw, młodzi, starcy
spieszą, co sił starczy,
by nie dożyć do końca stulecia.
Już dosyć, już pora,
już przykrzy się porać
z ciemnościami, jak samotna świeca.

i znów niestrudzenie
rozniecać czas tchnieniem
i rozżarzać go do temperatury
ust, powiek i czoła,
jakby wiek ten zgoła
był dziewczyną z obrazu La Toura.

НОВАЯ ПОЛЬША 2000, nr 10

KULTURA 2000, nr 10

Paulina Zielona

NASI AUTORZY

Jarosław Abramow
Anna Achmatowa
Irit Amiel
Helena Amiradżbi
Janusz Anderman
Władysław Anders
Timothy Garton Ash
Natalia Astafjewa
WładimirAwiłow
Erwin Axer
Bronisław Baczko
Leszek Balcerowicz
Edward Balcerzan
Hanna Baltyn
Marcin Baran
Stanisław Barańczak
Władysław Bartoszewski
Natełła Baszyndżagian
Andriej Bazilewski
Stanisław Bereś
Witold Bereś
Marek Beylin
Miron Białoszewski
Katarzyna Bielas
Jan Krzysztof Bielecki
Wolf Biermann
Katarzyna Bik
Anna Bikont
Władimir Blinkow
Andriej Blinuszow
Jan Błoński
Krystyna Bochenek
Jacek Bocheński
Teresa Bogucka
Sardana Bojakowa
Teresa Bojarska
Anna Bolecka
Michał Bołtryk
Andrzej Borowski
Marek Borowski
Walerij Bosienko
Stefan Bratkowski
Walentyna Brio
Władimir Britaniszski
Josif Brodski
Władysław Broniewski
Maria Brzostowiecka
Natalia Budzan
Siemion Bukczyn
Monika Bułaj
Krzysztof Burnetko
Andriej Burowski
Marcin Cecko
Paulina Cedro
Georgij Chałturin
Selim Chazbijewicz
Andrzej Chłopecki
Mirosław Chojecki
Wiktor Choriew
Stefan Chwin
Bogdan Cywiński
Michał Czajkowski
Józef Czapski
Andrzej Czcibor-Piotrowski
Teresa Czerniewicz-Umer
Wojciech Czuchnowski
Krzysztof Czyżewski
Eugenia Dąbkowska
Maria Dąbrowska
Tadeusz Dąbrowski
Bogusław Deptuła
Przemysław Deles
Olga Deszko
Leszek Długosz
Andrzej Dobosz
Jerzy Domagała
Zbigniew Domaszewicz
Artur Domosławski
Wiktor Domuchowski
Tadeusz Drewnowski
Janusz Drzewucki
Tatiana Drzycimska
Marian Kamil Dziewanowski
Alda Engojan
Wiktor Erlich
Barbara Fabiańska
Michał Fajbusiewicz
Lech Falandysz
Agnieszka Fedorczyk
Jerzy Fedorowicz
Jerzy Ficowski
Georgij Fiedotow
Tomasz Fijałkowski
Jan M. Fijor
Stanisaw Filipczak
Kornel Filipowicz
Natalia Fiłatowa
Aleksander Fiut
Ludwik Flaszen
Zbigniew Florczak
Sylwia Frołow
Władimir Fromer
Andrzej Furier
Witold Gadomski
Konstanty Ildefons Gałczyński
Katarzyna Gardzina
Konstanty Gebert
Bronisław Geremek
Hanna Geremek
Jerzy Giedroyc
Wojciech Giełżyński
Henryk Głębocki
Janusz Głowacki
Michał Głowiński
Siergiej Głuszkow
Nikolaj Gołowkin
Witold Gombrowicz
Juliusz Wiktor Gomulicki
Natalia Gorbaniewska
Stanisław Grabowski
Maria Graczyk
Hieronim Grala
Anna Griszina
Piotr Grochmalski
Magdalena Grochowska
Jerzy Grotowski
Krzysztof Grygajtis
Krzysztof Grzegrzółka
Remigiusz Grzela

Marian Grześczak
Małgorzata Gutowska-Adamczyk
Artur Guzicki
Julia Hartwig
Zygmunt Haupt
Józef Hen
Zbigniew Herbert
Paweł Hertz
Gustaw Herling-Grudziński
Tomasz Hodana
Roman Honet
Wilm Hosenfeld
Paweł Huelle
Jacek Iskra
Ałmaz Ismanow
Inga Iwasiów
Jarosław Iwaszkiewicz
Jan Jabłoński
Paweł Jabłoński
Aleksander Jackowski
Michał Jagiełło
Hatif Janabi
Anna Janko
Janusz Jankowiak
Katarzyna Janowska
Aleksander Janyszew
Dorota Jarecka
Jerzy Jarocki
Robert Jarocki
Wojciech Jaruzelski
Paweł Jasienica
Bruno Jasieński
Jerzy Jastrzębowski
Jerzy Jedlicki
Andriej Jermonski
Wiktor Jerofiejew
Jan Jerszyna
Jan Nowak-Jeziorański
Wieniamin Jofe
Henryk Józewski
Irina Jureńska
Jacek Kaczmarski
Włodzimierz Kalicki
Anna Kalinowska
Agnieszka Kalińska
Anna Kamieńska
Łukasz Kamiński
Ryszard Kamiński
Jerzy Kaniewicz
Ryszard Kapuściński
Robert Karabin
Krzysztof Karasek
Marek Karpiński
Wojciech Karpiński
Zbigniew Karpus
Bożena Kastory-Grzędzielska
Agnieszka Klawinowska
Marek Klecel
Igor Klech
Jerzy Kleer
Agnieszka Kloch
Jerzy Kłoczowski
Justyna Kobus
Agnieszka Kołakowska
Leszek Kołakowski
Michał Komar
Jarosława Koniewa
Maria Konopka-Wichrowska
Lian Konter
Tadeusz Konwicki
Beata Kopyt
Andrzej Koraszewski
Jerzy Korczak
Wiesława Kordaczuk
Leonid Korniłow
Dariusz Kortko
Tatiana Kosinowa
Bohdana Kostiuk
Krzysztof Kościesza
Wiesław Kot
Jan Kott
Paweł Kowal
Andrzej Stanisław Kowalczyk
Aleksander Kowalenko
Marcin Kowalski
Stanisław Koziej
Hanna Krall
Janusz Krasiński
Władymir Kriukow
Jerzy Kronhold
Aleksander Kropiwnicki
Marcin Król
Marek Król
Sylwia Krzemianowska
Adam Krzemiński
Jan Krzywda
Agnieszka Kuciak
Zofia Kucówna
Antoni Kuczyński
Waldemar Kuczyński
Wiktor Kulerski
Janina Kumaniecka
Maria Kuncewiczowa
Jan Kurczab
Krystyna Kurczab-Redlich
Jacek Kuroń
Jarosław Kurski
Sergo Kuruliszwili
Siergiej Kutiejnikow
Aleksander Kwaśniewski
Barbara Labuda
Andrzej de Lazari
Wacław Lednicki
Ryszard Legutko
Aleksandra Leinwand
Paweł Lekrzycki
Stanisław Lem
Albrecht Lempp
Adam Leszczyński
Janusz Lewandowski
Iwona Libucha
Ewa Likowska
Aleksander Lipatow
Ewa Lipska
Jan Józef Lipski
Bogumił Luft
Ostap Łapski
Siergiej Łarin
Józef Łobodowski
Ida Łotocka-Huelle
Wiktor Łozinski
Maciej Łukasiewicz
Janusz Maciejewski
Józef Mackiewicz
Katarzyna Madoń-Mitzner
Marek Majewski
Agnieszka Majle
Tadeusz Maleszko

Mariola Małecka
Monika Małkowska
Andrzej Mencwel
Andrzej Mandalian
Paweł Marcinkiewicz
Jarosław Markiewicz
Stanisław Martynowski
Krzysztof Masłoń
Walerij Mastierow
Ryszard Matuszewski
Piotr Matywiecki
Wojciech Maziarski
Tadeusz Mazowiecki
Marek Mądzik
Jacek Melchior
Dorota Mentzel
Kazimierz Michalewicz
Bartosz Michalak
Adam Michnik
Adam Mickiewicz
Aleksander Miedwiediew
Marta Mikiel
Stanisław Milewski
Krystyna Miłobędzka
Czesław Miłosz
Anna Mitzner
Piotr Mitzner
Zbigniew Mitzner
Karol Modzelewski
Edmund Mokrzycki
Nina Moliewa-Bielutina
Tamara Mońko-Ejgenberg
Sławomir Mrożek
Jerzy Mucharski
Piotr Mucharski
Piotr Müldner-Nieckowski
Bartosz Muszyński
Joanna Müller
Andrzej Najmrodzki
Maria Narbut
Anna Nasiłowska
Aleksander Naumow
Igor Newerly
George Nivat
Andrzej Nowak
Jan Nowak-Jeziorański
Klara Nowakowska
Ewa Nowakowska-Butrym
Marek Nowicki
Paulina Nowosielska
Tadeusz Nyczek
Stanisław Obirek
Daniel Olbrychski
Giennadij Orłow
Witold Orłowski
Mariusz Orski
Bohdan Osadczuk
Agnieszka Osiecka
Katarzyna Osińska
Lidia Ostałowska
Marek Ostrowski
Arkadiusz Pacholski
Aleksiej Pamiatnych
Teresa Pakosz
Borys Pasternak
Antoni Pawlak
Andrzej Pawluczuk
Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz
Krzysztof Penderecki
Alina Perth-Grabowska
Monika Piątkowska-Talko
Susanna Pieczuro
Krzysztof Piesiewicz
Barbara Pietkiewicz
Krzysztof Pilawski
Jerzy Pilch
Rafał Pisera
Jerzy Płażewski
Leonid Pocziwałow
Olga Podborska
Marta Podgórnik
Natalia Podolska
Jacek Podsiadło
Krzysztof Pol
Cezary Polak
Izabella Polkowska
Elżbieta Południk
Krzysztof Pomian
Jerzy Pomianowski
Adam Pomorski
Sławomir Popowski
Witalij Portnikow
Antoni Pospieszalski
Tomasz Potkaj
Maria Prussak
Grzegorz Przebinda
Piotr Przesmycki
Jeremi Przybora
Ryszard Przybylski
Edward Psewicz
Dominika Pszczółkowska
Iza Pur Rannama
Renata Radłowska
Łukasz Radwan
Anna Radziukiewicz
Wacław Radziwinowicz
Marek Rapacki
Jerzy Redlich
Paweł Reszka
Magda Richter
Stefan Rodziewicz
Radosław Romaniuk
Andrzej Romanowski
Maciej Rosalak
Jacques Rossi
Adam Daniel Rotfeld
Tadeusz Różewicz
Adolf Rudnicki
Marek Rudnicki
Marek Rybarczyk
Jarosław Marek Rymkiewicz
Jerzy Sadecki
Andrzej Sadowski
Jakub Sadowski
Jeremi Sadowski
Michelle Sadr
Agnieszka Sambor
Jerzy Sandecki
Mazllum Saneja
Władysław Sebyła
Julia Serioda
Wanda Sieliwanowska
Mariusz Sielski
Jacek Sieradzki
Wacław Sieroszewski
Marina Silwanska
Krzysztof Siwczyk
Wojciech Skalmowski
Ernest Skalski
Bohdan Skaradziński
Barbara Skarga
Christian Skrzyposzek
Krystyna Skarżyńska
Teresa Skoczyńska
Igor Sławicz
Tadeusz Słobodzianek
Aleksander Smolar
Iwona Smolka
Elżbieta Smułkowa
Aleksander Smykalin

Elżbieta Smykowska
Tadeusz Sobolewski
Ludmiła Sofronowa
Edward Stachura
Wojciech Stanisławski
Tomasz Stańczyk
Ksienia Starosielska
Jerzy Starzyński
Dariusz Stasik
Agnieszka Stasiuk
Andrzej Stasiuk
Jolanta Steciuk
Jolanta Stefko
Hugo Steinhaus
Andrzej Stelmachowski
Jerzy Stempowski
Marzena Stępień
Tadeusz Stolarzewski
Ludwik Stomma
Siergiej Stratanowski
Jan Strękowski
Julian Stryjkowski
Jan Strzałka
Henryk Suchar
Jerzy Surdykowski
Swiatosław Swiacki
Feliks Swietow
Leszek Szaruga
Edward Szczepanik
Jan Józef Szczepański
Jurij Szczerbak
Joanna Szczęsna
Wasilij Szczukin
Andrzej Szczypiorski
Wiktor Szełygin
Aleksander Szenker
Andrzej Szpilman
Władysław Szpilman
Anita Szarlik
Jelena Szwarc
Joanna Szwedowska
Ryszard Szawłowski
Jadwiga Szymak-Reiferowa
Kamila Szymańczyk
Jelena Szymańska
Adam Szymański
Wisława Szymborska
Wiktoria Śliwowska
René Śliwowski
Marcin Świetlicki
Janusz Świeży
Katarzyna Taras
Janusz Tazbir
Jerzy Timoszewicz
Józef Tischner
Andrzej Titkow
Olga Tokarczuk
Paweł Tomczyk
Jan Tomkowski
Teresa Torańska
Kazimierz Tracewicz
Agata Tuszyńska
Julian Tuwim
Jan Twardowski
Dominik Uhlig
Leopold Unger
Mariusz Urbanek
Tomasz Urzykowski
Stanisław Vincenz
Georgij Władimow
Joanna Walaszek
Lech Wałęsa
Danuta Waniek
Kacper Wańczyk
Marek Wasilewski
Aleksander Wat
Emil Wąsacz
Leszek Wątróbski
Andrzej Werner
Ewa Wesołowska
Jerzy Węgierski
Antoni Wieniawski
Piotr Wierzbicki
Wacław Wilczyński
Ewa Wilk
Mariusz Wilk
Bronisław Wildstein
Jan Winiecki
Stanisław Ignacy Witkiewicz
Marcin Wojciechowski
Maciej Wojtyszko
Jan Woleński
Anna Wolff-Powęska
Agnieszka Wolny-Chamkało
Tatiana Woltskaja
Leszek Wołosiuk
Wadim Wołubiejew
Natalia Woroszylska
Wiktor Woroszylski
Andrzej Woźniak
Henryk Woźniakowski
Jacek Woźniakowski
Władysław Woźniewicz
Grzegorz Wójtowicz
Janusz Wróblewski
Aneta Wujciszyn
Henryk Wujec
Katarzyna Wypustek-Zuchowicz
Tadeusz Wyszomirski
Nikołaj Zachmatow
Adam Zagajewski
Sławomir Zagórski
Larysa Zajączkowska-Mitznerowa
Andrzej Zakrzewski
Krzysztof Zanussi
Małgorzata Zaręba
Paweł Zarzeczny
Andrzej Zawada
Filip Zawada
Włodzimierz Zawadzki
Irena Zawisza
Marian Zdziechowski
Agnieszka Zegier
Zygmunt Ziątek
Marek Zieleniewski
Jan Zieleński
Michał Zieliński
Tadeusz Zieliński
Manuk Żażojan
Zbigniew Żbikowski
Anna Żebrowska
Agata Żmudzińska-Judicka
Michał Żórawski
Józef Życiński
Agata Żylińska
Metropolita Sawa

NASI TŁUMACZE

Anna Achmatowa
Irina Adelgejm
Natalia Astafjewa
Władimir Awiłow
Zara Badowska
Jelena Bażowa
Andriej Bazilewski
Władimir Blinkow
Aleksander Bondariew
Władimir Britaniszski
Leonard Buchow
Jurij Czajnikow
Olga Dawidenko
Eugenia Dąbkowska
Olga Deszko
Boris Dubin
Asar Eppel
Stanisław Filipczak
Estera Gessen
Anatolij Gieleskuł
Natalia Gorbaniewska
Weronika Gradus
Ingrid Grzymała-Siedlecka
Larysa Gwozd'
Lilia Iwaniuch-Śpiwak
Anatolij Jakobson
Andriej Jermonski
Władimir Kadenko
Olga Kartetko
Rusudan Kikaleiszwili
Igor Klech
Jarosława Koniewa
Iryna Kononenko
Marina Kurganska
Walentyna Kułagina-Jarcewa
Nikita Kuzniecow
Ostap Łapski
Siergiej Łarin
Olga Łobodzińska
Leonid Martynow
Gajane Mauradian
Michaił Miklajew
Wasyl Nazaruk
Michaił Nowikow
Irina Obuchowa
Wasilij Pawliw
Irina Podczyszczajewa
Galina Pogożewa
Jerzy Pomianowski
Anna Pustyncewa
Aleksander Rewicz
Jerzy Redlich
Anatolij Rojtman
Wiera Siewierianowa
Ksienia Starosielska
Olga Starożyłowa
Swiatosław Swiacki
Wiktor Szankau
Swietłana Jędrzejewska
Wasilij Szczukin
Siergiej Szorgin
Bolesław Szostakowicz
Jelena Szymańska
Stełła Tonkonogowa
Larysa Trybus
Jelena Twerdisłowa
Dmitrij Wiedieniapin
Walery Werbicki
Mirosław Werbowy
Igor Werestiuk
Jurij Wronski

BIBLIOTEKA NARODOWA

Najlepsi pisarze i krytycy Biblioteka Narodowa poleca czasopisma kulturalne:

twórczość

Najstarszy polski miesięcznik literacki. Przedstawia współczesną prozę, poezję i krytykę literacką. Uczestniczy w przemianach polskiej literatury.

Dialog

Miesięcznik poświęcony dramaturgii współczesnej teatralnej, radiowej i telewizyjnej.

NOWE KSIĄŻKI

Miesięcznik - od ponad półwiecza niezastąpione źródło wiedzy i opinii o książkach. Recenzje, wywiady, sylwetki pisarzy, publicystyka, bibliografia, zapowiedzi wydawnicze.

ruch muzyczny

DWUTYGODNIK

Najstarsze i jedyne czasopismo poświęcone życiu muzycznemu, twórczości i myśli o muzyce (26 numerów w roku).

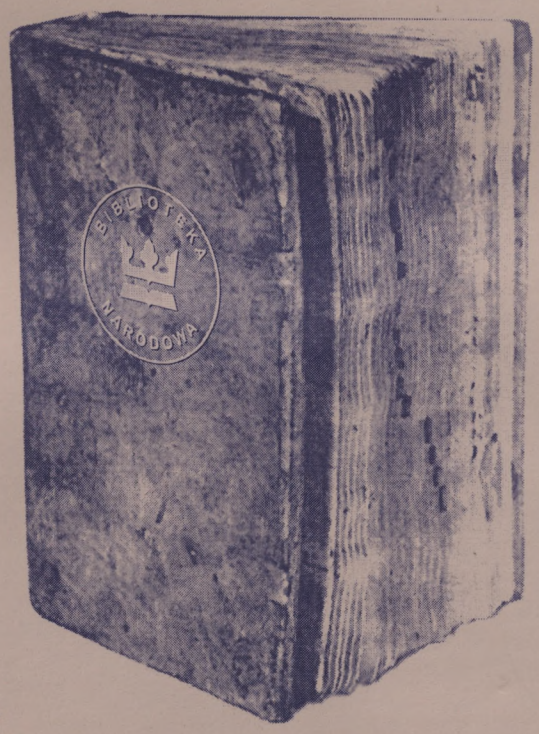

НОВАЯ ПОЛЬША

Nowaja Polsza - miesięcznik. Jedyne pismo o Polsce w języku rosyjskim. Bogaty wybór publicystyki autorów polskich i rosyjskich. Przekłady nieznanych w Rosji utworów polskiej poezji i prozy.

LITERATURA na świecie

Miesięcznik - jedyne pismo od lat ukazujące wszystko, co ze współczesnej literatury światowej znać warto.

Biblioteka Narodowa, Dział Wydawniczy Czasopism Patronackich
02-086 Warszawa, al.Niepodległości 213, tel.[0-22] 608 23 74, tel./fax [0-22] 608 24 88